

UNIVERSITY OF TORONTO

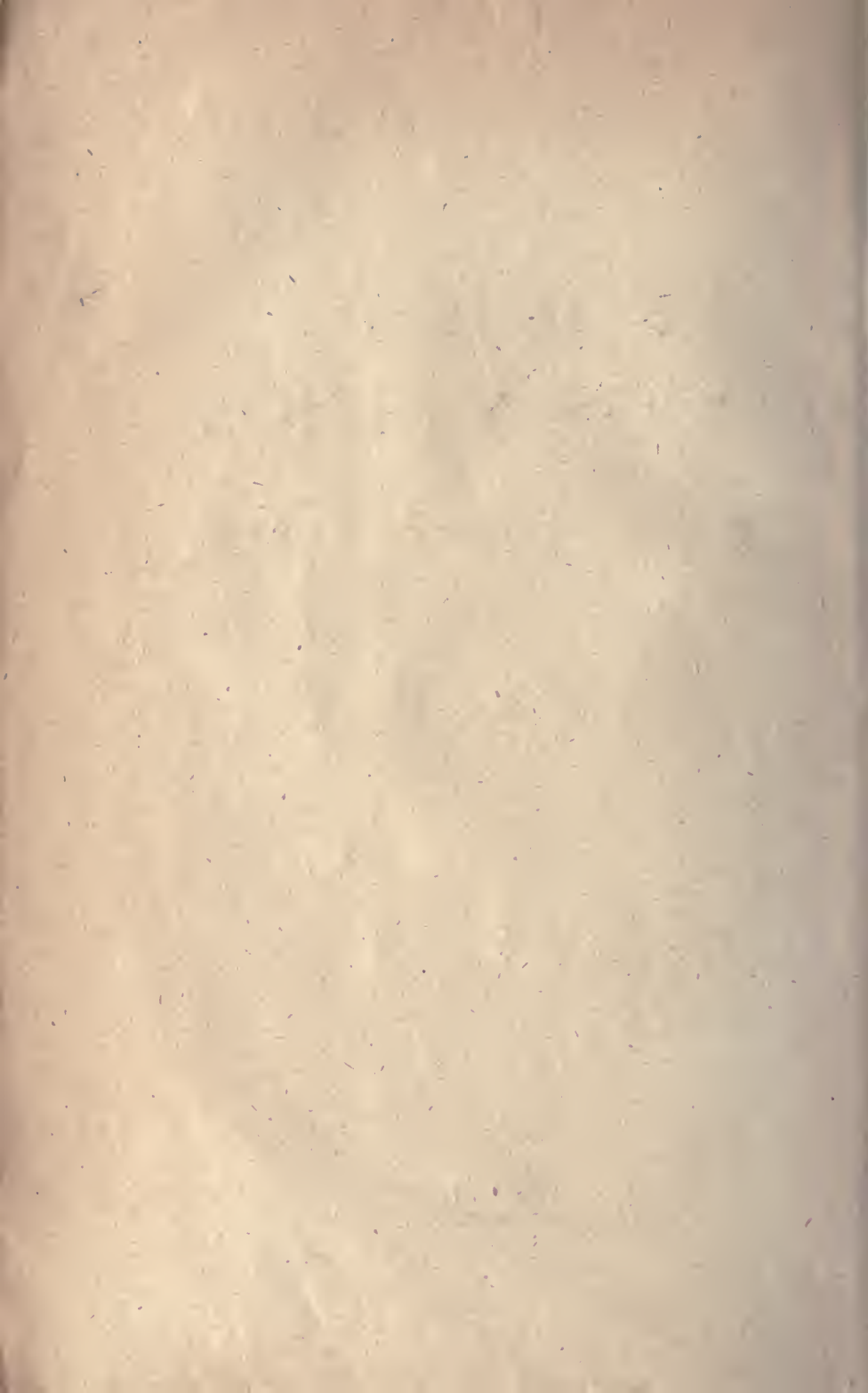


3 1761 01767753 5



POLSKIE LOGOS A ETHOS





FELIKS KONECZNY

POLSKIE LOGOS A ETHOS

ROZTRZĄSĄNIE O ZNACZENIU I CELU POLSKI

TOM I.

POZNAŃ ▪ 1921 ▪ WARSZAWA
KSIĘGARNIA SW. WOJCIECHA

DK
411
K66
t.1



906256

NA ŻYCZENIE AUTORA KSIĘGARNIA
ŚW. WOJCIECHA STWIERDZA, ŻE
REKOPIS ODDANY BYŁ DO DRUKU
W CAŁOŚCI W PIERWSZEJ PO-
ŁOWIE PAŹDZIERNIKA 1920 ROKU

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA

Rozdział wstępny.

W ognjach wojny powszechnej przetopily się potworne przesła pancernej budowli XIX wieku: leżą poskręcane na grzędawicy podmokłej krwią całego pokolenia wszystkich niemal ludów ziemi. Krwią złane pokolenie siedzi na zgliszczach, zbiedzone, przygnębione, i nawet na zwycięzcach znać jakieś posępne skupienie. Zwycięzcy, jakby nagłym tknięci paraliżem, stanęli bezradni, nie wiedząc, co począć z własnem zwycięstwem. Trudno powiedzieć, kiedy większą i cięższą była powaga chwili; czy, gdy wypowiedano sobie wojnę, czy też obecnie, kiedy od roku już przeszło układa się pokój; to pewna, że dziś stosunki są o wiele zawilsze. Powaga odpowiedzialności wywołuje naprężenie, nie sprzyjające radości życia; to też panuje w całej Europie przygnębienie.

A tymczasem z pod gruzów i zgliszcz słyhać raz wraz jakieś ruchy, których nie umie się określić: czy to odruchy są ostatnich konwulsyj gruboskórych potworów, zmiażdżonych dopiero co, czy też zapowiedzi odrodzenia ich? Nasłuchuje przeto w przygnębieniu skąpane w krwi pokolenie, bo ma wątpliwości, czy ziści się owo Dobro, w imię którego wstrząsnęto świat w posadach. Czasem narzuca się rozpaczliwa myśl, czy tylko nie zamienia się starego Zła na jakieś nowe, do którego powstania wojna powszechna sama się przyczyniła? A czy nowe Zło nie będzie gorsze od dawnego? A może to właśnie dobrze, że nie ma się jeszcze pewności, czy owe przesła pancerne dynastyczności i militaryzmu należą do przeszłości niepowrotnej, czy one istotnie stały się przeżytkami?

Czy wytwarzamy nowe w dziejach pojęcie Dobrą powszechnego, czy też zburzywszy ustrój europejski poprzedni, bezsilni do wzniesienia budowli nowej, radzi będziemy, gdy nam się po pewnym czasie uda przywrócić ład i spokój pod tarczą reakcji — oto pytanie naszej doby!

Zasmuca zwycięzców brak pewności, czy osiągnięte będą cele zwycięstwa — i dlatego zamiast triumfalnej radości panuje przygnębienie. Gryzie dusze robak wątpienia.

Jest kraj w Europie, jakby wyznaczony na zbiór wszelkiej radości: to Polska. Czyż istnieje bowiem na świecie naród, kochający bardziej wolność, umiejący cenić wyżej niepodległość? I oto ziściło się nam to, o co od lat dziecinnych błagaliśmy Pana w codziennym pacierzu! Zwyciężyła wreszcie Sprawiedliwość, oś całego układu duchowego makrokosmu i mikrokosmu, to też pod niebiosa bije łuna radości od całego świata, pragnącego ułożyć się według sprawiedliwości. Czyż kwestja polska nie była probierzem wszelkiego Ideału?

Pomiędzy niebem a ziemią, pomiędzy Ideałem a rzeczywistością służy za pomost tęcza uwita z siedmiu ofiar: poświęcenia, miłości, zachwytu, czułości, z hartu, stałości, niezłomności; po tej wstędze przymierza zstępowały na ziemię wszystkie radości niebiańskie, gdy niepodległość Polski z marzenia stawała się faktem ziszczonym, spełnionym, by się napawać najpotężniejszym w dziejach triumfem D — a, uproszonym przez ofiary, nakładane dziedzictwem z pokolenia w pokolenie aż oto do skutku. Gdziekolwiek tedy w przestworzach kryła się iskierka radości, wszystkie zbiegły się i złączyły, by świecić ponad Polską wielką zorzą wesela od świata całego. A myśmy to widzieli, myśmy to przeżyli!

Jakiż robak ma gryźć nasze umysły?!

Umysłowość polska kształcona na poziomach, „gdzie graniczą Stwórca i natura“, przywykła zdobywać coraz dalsze i głębsze postulaty dla widoków doskonalenia się, pomnaża przez to samo nieustannie wymagania etyczne,

a więc utrudnia zarazem zadowolenie z siebie. Myśl polska, wiedzona przez wieszczów narodowych na szczyty ludzkiego poznania, do najwspanialszych nawykła tam horyzontów, znajduje jednakże w temże swą udrękę. Wysokość wielka polskości, jeżeli ma być utrzymana, zobowiązuje do również wielkiej głębi obowiązków, a skoro się to rozumie i przyjmuje, ma się do czynienia z nie kończącym się nigdy rachunkiem sumienia.

Chcieliśmy niepodległości, bo się nam należała, i umieliśmy upominać się o nią wyraźniej i dosadniej od jakiegokolwiek innego narodu, nie szczędząc ofiar w żadnym pokoleniu. Ale nigdy — również w żadnym pokoleniu — nie uważaliśmy odzyskania niepodległości za koniec naszej drogi, tylko za początek drogi właściwej, mogącej już naprawdę prowadzić do celu. Niepodległość uważaliśmy i uważamy za środek do skutecznego wspięcia się na szczyty ludzkości, ażeby spełnić wobec cywilizacji powszechniej jak najlepiej nasze obowiązki.

Czy państwo polskie zdadne do tego pochodu ku szczytom, czy społeczeństwo podola? I czyż rzeczywistość mało gotuje zgryzot Polakowi, zadającemu sobie takie pytania?

A umysłowość polska nie umie się wprost obejść bez roztrząsania tych zagadnień, a że stanowią one rodzaj narodowego rachunku sumienia — skłonność ta świadczy dobrze o charakterze narodowym. Na tego rodzaju roztrząsaniach może się myśl polska i rozszerzać i pogłębiać.

- Autokrytyka wysuwać musi oczywiście wszystkie wątpliwości, nie cofając się przed kwestjami najbardziej drażliwemi. Aleć w Polsce minął już dawno, bardzo dawno okres, kiedy-to trzeba było schlebiać, chcąc być słyszonym!

Chromalibyśmy, gdybyśmy nie mogli czerpać otuchy na nowy okres dziejowy z przeświadczenia o naszej wartości i pożyteczności, i wiemy, że znaczenie zależeć winno od wartości. To też musimy wejść odważnie

w zawilość zagadnienia naszej wartości, które należy ująć jasno i określić ściśle. Wykluczamy odpowiedź na to zagadnienie taką, któraby polegała na indywidualnym czyjemś przekonaniu, a sformułowana byłaby w ogólniki jakieś; trzeba nam odpowiedzi opartej na specjalnych studjach, takiej, któraby posiadała obiektywną wartość miary i wagi, wynikając nie z indywidualności samej badacza, lecz z zebranych rzeczowo faktów. Słowem: zagadnienie to winno stać się przedmiotem dociekań naukowych.

Należy wyjaśnić trzy sprawy, a mianowicie:

- 1) Jaki jest udział Polski w kulturze umysłowej europejskiej?
- 2) Jaki rodzaj twórczości polskiej, stopień jej natężenia i wydatności?
- 3) Czy i o ile sprawa polska posiadała lub posiada znaczenie powszechne?

Trzy te pytania stanowią trzy stopnie jednej i tej samej kwestji. Pierwsze, najmniej skomplikowane, posłuży do roztrząsania drugiego, obydwie razem stanowią będą podstawę do szukania odpowiedzi na trzecie z nich.

Myśl polska kołuje niejako ciągle około kwestji, jakie jest znaczenie Polski w dziejach powszechnych, i jaki jej cel? Czy nie próżne, bezużyteczne kołowanie?

Czy się kołuje, czy posuwa naprzód, to już zależy od metody, z jaką się zagadnienie dane traktuje; wszak można kołować napróżno przy wszelkiem zagadnieniu, nawet przy zadaniu matematycznym! Chodzi o to, by nareszcie z kołowania wybrnąć i już nie popaść w nie na nowo. Odszukać trzeba punkt, od którego można zacząć pochód ku prawdzie.

Chodzi jednak o coś więcej: czy samo dociekanie znaczenia i celu jakiegoś naródu jest naukowo dopuszczalne? Czy pewien naród może mieć jakieś specyficzne znaczenie historyczne pod względem cywilizacyjnym i ja-

kiś specyficznie swój cel? Ale wątpliwość może sięgać jeszcze dalej: czy narody wogóle posiadać mogą jakieś cele z poza siebie? czy jedynym celem każdego z nich, wspólnym jednakowo wszystkim, nie jest utrzymanie się? Może naród nie dąży nigdy do niczego więcej, jak tylko do tego, żeby się utrzymać, żeby zabezpieczać sobie byt coraz dokładniej, wszechstronniej i coraz dogodniej? Może walka o byt stanowi jedyne kryterjum życia narodowego, a wszystko bez wyjątku mieści się w tem jedynem zadaniu jego prac i trudów?

Chodzi o to, czy kwestja znaczenia i celu Polski nie jest fikcyjną; czy prosty frazes literacki nie odgrywa roli błędnego ognika?

Nie wymijając odpowiedzi na tę wątpliwość, pójdźmy w ścisłości jeszcze dalej — i zacznijmy od posunięcia wymagań określeń dokładnych, ścisłych, aż do pytania: co to jest naród? Dopóki sobie nie ustalimy tego pojęcia, póki się nie porozumiemy jasno co do znaczenia tego wyrazu — wisiałaby doprawdy w powietrzu cała dyskusja o tem, czy naród może mieć cel jaki z poza walki o swój byt.

Narodowość nie jest wcale czemś danem zgóry. Niema w całym świecie takiej krainy, o której mieszkańcach możnaby powiedzieć, że byli od zarania dziejów przeznaczeni należeć do narodowości danej zgóry, takiej, a nie innej. Samo przyrodzenie, tj. czynniki etnograficzne i antropologiczne, wytwarza z rodów plemię, mówiące wspólną gwara; z plemion lud, używający wspólnego narzecza — i na tem koniec; związków większych czynniki przyrodzone nie wytwarzają. Narodów, wśród których z narzeczy wytwarza się język narodowy, dostarcza ludzkości historia.

Narodowość nie jest bowiem wcale siłą daną zgóry, przyrodniczą czy antropologiczną, wrodzoną pewnemu żywiłowi etnograficznemu, lecz jest siłą aposterjoryczną, nabytą, wytworzoną przez człowieka, a wytwarzalną dopiero na pewnym stopniu kultury. Są ludy,

wśród których nie wytworzyła się żadna narodowość. Nie można też przewidywać, czy z pewnych ludów wytworzy się narodowość jedna, dwie lub więcej, bo w tej dziedzinie nie rozstrzygają żadne czynniki wrodzone, żadne siły aprioryczne, lecz rozwój historyczny.

I dlatego właśnie tak nam jest drogą narodowość własna, jako wcielenie wszystkich ideałów życia, bo ona jest wytworem pracy, nabytkiem rozwoju, świadectwem udoskonalenia, do którego doszło się ciężkim trudem licznych pokoleń, wśród walk, bólów, zawodów, ale też z myślą przewodnią, mającą wieść do coraz wyższego uduchowienia przyrodzonego materiału etnograficznego, zebranego w naród przez dostojność pracy kulturalnej. A praca ta niemożliwa jest w stopniu wyższym i w zakresie wszechstronnym ani w ludzie, który nie dorósł jeszcze do świadomości narodowej, ani też w kosmopolitycznym „obywatelstwie świata“; praca kulturalna da się bowiem zorganizować wszechstronnie tylko w narodach. Tylko przez naród można służyć skutecznie ludzkości.

Mylne to zapatrywanie, jakoby osobnym było narodem, co jest etnograficznie odrębne! Pewien żywioł etnograficzny może być absolutnie niezdatny na naród — indziej znowu różnolite żywioły etnograficzne składają się na jeden naród. Może być lud opływający w wyraziste wielce odrębności etnograficzne, a pomimo to nie stanowić zawiązku jakiejś narodowości. Pomylenie pojęć etnograficznych z narodowymi prowadzi do mnożstwa pomyłek¹⁾.

Błędem też jest mniemanie, jakoby narody istniały wszędzie, gdziekolwiek są ludzie, po całym świecie, jakoby cała ludzkość składała się z narodów.

Ludzkość można dzielić fizycznie i duchowo. Próby podziałów fizycznych na rasy, szczepy i t. d. są po-

¹⁾ Obszerniej pisałem o tem we wstępie do I. tomu swych „Dziejów Rosji“ (Warszawa 1917).

wszechnie znane; jest tych systemów kilkanaście. Wiadome są też systemy filologiczne podziału ludzkości według grup językowych; wielce zawile, ogromnie trudne, a zawodne, bo nauka wykryła fakt, że są ludy, zmieniające w ciągu wieków język, nawet kilkakrotnie. Otóż może być inny jeszcze podział ludzkości, trzeciego rodzaju, według sprawdzianu duchowego, a mianowicie według cywilizacji. Cywilizacje stanowią największe, najrozleglejsze skupienia, mogąc obejmować w sobie społeczności rozmaitych grup językowych i rozmaitego pochodzenia rasowego.

Ze wszystkich cywilizacji jedna tylko zawiera w sobie pojęcie narodowości: cywilizacja chrześcijańsko-klasyczna (zachodnio-europejska, łacińska). Poczucia narodowego nie posiada cywilizacja bizantyńska, ani też żadna z azjatyckich: ni arabska, ni turańska, ni chińska, ani też żydowska.

Badanie pojęcia narodowości zawiodło nas do powoływania się na pojęcie cywilizacji. Ależ czy wolno jedną niewiadomą wyjaśniać zapomocą drugiej niewiadomej, również niewyjaśnionej? Należy tedy zadać sobie z kolei rzeczy pytanie, co należy rozumieć przez cywilizację?

Definicja może brzmieć, że cywilizacja, to m e t o d a ustroju życia zbiorowego (więc nie tylko publicznego, bo życie rodzinne również jest zbiorowem, chociaż niepublicznem). W metodach odróżniać należy różnice zasadnicze i drugorzędne odmiany — to też w danej cywilizacji mieścić się może szereg odmian cywilizacyjnych, które zwijmy kulturami¹⁾. Tak np. w obrębie cywilizacji

¹⁾ Odróżnianie cywilizacji a kultury w tym sensie, żeby jednego z tych wyrazów używać do oznaczenia zewnętrznej (materiałnej) strony życia, drugiego zaś do wewnętrznej (duchowej), utrzymać się nie da wobec tego, że jedne i drugie objawy spletają się jak najściślej, nierozdzielnie. Wszelka kultura mieści w sobie obie strony: duchową i materiałną, które rozwijają się historycznie mniej więcej równocześnie i równolegle. Ponieważ

chrześcijańsko-klasycznej (łacińskiej) mówimy o kulturze polskiej, która stanowi wprawdzie jedność cywilizacyjną z kulturą francuską, angielską i t. p., a jednak posiada swe odrębności i to wybitne. Odrębność kulturalną nie wymaga zresztą odrębności etnograficznej. Na rozmaitem podłożu etnograficznym istniała np. średnio-wieczna kultura rycerska.

Definicja potrzebną jest do ścisłości rozumowania, lecz przedmiot sam wyjaśnia się dopiero przez stwierdzenie objawów, cech zasadniczych i najważniejszych cech znamienych (czyli charakterystycznych)¹⁾ — zastanówmy się więc nad cechami pośród objawów cywilizacji.

Pełnia cywilizacji polega na tem, żeby posiadać takie ustroje życia prywatnego i publicznego, społecznego i państwowego, tudzież taki system moralno-intelektualny, iż wszelkie dziedziny życia, tak uczuć, jako też myśli i czynów, tworzą zestroje o jednolitym umiarze, konsekwentne w zespole swych idei. Niewszędzie atoli panuje pełnia cywilizacji. Są cywilizacje bardziej i mniej wielostronne, jednolite i mieszane, oryginalne i naśladowcze, w całości naśladowcze lub częściowo; są twórcze kultury i bierne, płonące światłem własnym i pożyczanem; są cywilizacje pełne i niepełne; są kultury i półkultury.

Zasadnicze cechy cywilizacji wynikają z tego, czy opiera się ona na religji lokalnej (względnie wyłącznie szczepowej), czy też na uniwersalnej; czy mieści w sobie pojęcie narodowości, czy też obchodzi się bez niego; czy posiada odrębne prawo publiczne, czy też państwo-

zaś zachodzi potrzeba odróżniania części cywilizacji (np. polskiej) od całości (łacińskiej), — proponuję używanie wyrazów: kultura, cywilizacja — na oznaczenie tego właśnie stosunku części do całości. Nie będę się upierał przy tej terminologii, jeżeli kto wskaże inną.

¹⁾ Zasadnicze, bez których przedmiot przestałby być sobą; znamienne: przedmiot od przedmiotu odróżniające w sposób najwidoczniejszy, najuchwytniejszy dla zmysłów wogóle.

wość opiera się na rozszerzonym prawie prywatnym; wreszcie: czy organizacja społeczna może być samodzielna, czy też spływa w jeden system z organizacją państwową.

Do najważniejszych zaś cech znamienych rozmaitych cywilizacji należą: pojęcia świętości, własności, zwłaszcza ziemskiej, i małżeństwa, w czym w związku prawo familijne i spadkowe, wreszcie dwie ogólne kategorie myślenia: jak zapatrują się gdzieś na jedność a jednostajność, na różnorodność a rozbieżność, o ile mieszają jedno z drugim, identyfikują lub też odróżniają ściśle jedno od drugiego. Np. bizantyzm nie pojmuje jedności inaczej, jak przez jednostajność, a różnorodność uważa za zaprzeczenie jedności.

Tylko jedna tedy z metod ustroju życia zbiorowego, metoda cywilizacji chrześcijańsko-klasycznej, dopuszcza do rozwoju pojęcia narodowości; jest ono nawet zasadniczem w obrębie tej cywilizacji. Inne cywilizacje mają inne znów zasadnicze pojęcia, a żadna z cywilizacji nie posiada wszystkich pojęć dotyczących życia zbiorowego — i stąd trudność wzajemnego zrozumienia się, skoro członkowi pewnej cywilizacji może być brak zupełnie pojęcia, najbardziej właśnie rozpowszechnionego w innej.

Nie było bowiem nigdy, ani obecnie niema jakiejś cywilizacji ogólnej, powszechnej, wszechludzkiej, lecz w rozmaitych miejscach i w różnych czasach powstawały odrębne cywilizacje. Cywilizacja chrześcijańsko-klasyczna jest dalszym ciągiem rzymsko-helleńskiej, uprawianej na chrześcijańskim podłożu. Pojęcie narodowości pochodzi w samej istocie swej ze świata klasycznego, jakkolwiek uległo znacznemu rozszerzeniu i pogłębieniu. Dla Hellena narodowościami odrębnymi były zrazu Ateny i Sparta, ale już Herodot zwraca uwagę na jedność Hellenów, a Rzym doszedł do tego, iż wszystkich Italików uznał współobywatelami, rodakami. Dalszy rozwój pojęcia narodowości ucierpiał przez dopuszczenie wpływów azjatyckich (z cywilizacji nie posiadających

tego pojęcia), a bizantynizm (powstały z mieszaniny klasycyzmu i orientalizmu) pojęcie to całkiem utracił. Zanika ono i w zachodniej Europie w okresie upadku studiów klasycznych, ażeby pojawić się na nowo na tle chrześcijańskim stosunkowo bardzo późno. Najwcześniej stało się to w Polsce (w wieku XIV); w innych stronach Europy wytwarza się pojęcie nowożytne narodowości mniej więcej równocześnie ze wskrzeszeniem studiów klasycznych. Humanizm był prądem powszechno-europejskim, ale przyczyniał się jak najbardziej do uświadomienia indywidualności narodowych, właśnie dlatego, iż stanowił odbicie pojęć klasycznych.

W jakim sposobie zwracają się społeczności w cywilizacjach nie posiadających pojęcia narodowości? Rzućmy okiem jeszcze na te objawy dziejowe, a odpowiedź na pytanie: czy naród może mieć cel jaki z poza walki o byt — nasunie się sama przez się.

Ani Hunowie, ani Chazarzy, ni Mongołowie, ni Tatarzy średniowieczni, ani Turcy następnych wieków nie byli nigdy narodem. Wśród Turańców może lud utracić nawet całkowicie język ojczysty, dojdź tedy do tego, co według naszych pojęć jest już samem dnem wynarodowienia, a jednak nie przestać być tem samem, czem był przedtem. Tak np. potomkowie owych Mongołów, którzy zdobyli Ruś w XIII. w., mówią narzeczaną turecką; turecka zaś grupa językowa nie ma etnograficznie nic wspólnego z mongolszczyzną, lecz jest równorzędną grupie fińsko-ugryjskiej, jako drugi dział północnych Turańców. Mongołowie przyjęli tedy mowę turańską, nie przestając być Mongołami. Podział językowy nie łączy się w Azji niemal nigdy z innymi cechami etnograficznymi. W Azji zgoła nie można mówić o narodach, czy choćby o ludach, skupiających się historycznie według powinowactwa językowego. W chaosie ludów azjatyckich można grupować tylko języki, ale nie ludy same.

Nie tylko nie było narodu huńskiego, chazarskiego i t. d., ale właściwie nie było nigdy jakiegokolwiek etnograficznego

społeczności huińskiej, madiarskiej, mongolskiej, chazar-
skiej, mandżurskiej, tatarskiej lub tureckiej. Były to
związki polityczne rozmaitych ludów, występujące
pod owymi nazwami, a złożone pod względem etnogra-
ficznym wielce niejednolicie.

Społeczności historyczne azjatyckie są zreszeceniami
nie etnograficznymi, lecz wyłącznie politycznymi. Hasła,
pod któremi dokonywały się w Azji formacje społec-
czeństw, bywały ekonomiczne i społeczne. Wśród lu-
dów cywilizacji turańskiej ekonomiczne działały silniej,
a na pierwszy plan wysunął się pewien rodzaj walki
o byt, znany w Europie zaledwie w minjaturze: utrzy-
mywanie się z rzemiosła wojennego. Ten rodzaj walki
o byt stał się w Azji pierwszorzędnym czynnikiem twór-
czym społeczeństw i państw. Wyobraźmy sobie zacięż-
ne najmiectwo, ogarniające całe narody! Najbardziej od-
znaczały się w tym kierunku ludy tureckie; te ludy — to
półki; przybierają też często nazwy od wodzów (np.
Osman).

Czynniki polityczne odegrały też w tworzeniu się
społeczeństw azjatyckich rolę znacznie większą, bardziej
rozstrzygającą, niż w Europie. Nad Azją historyczną
przewalały się losy dłużej, ciężiej, wszechstronniej i czę-
ściej, niż nad Europą. Społeczeństwa azjatyckie przera-
biały się, przetwarzały, rozchodziły i skupiały na nowo
a odmiennie, przemianami takimi, wobec których rewol-
ucje europejskie i nasze zmiany państwowe wydają się
ledwie drobnymi odmiankami jakby rzeczy w istocie
swej niezmiennych.

Wystarczy zestawić choćby tylko kondotjerstwo
w Europie a w Azji. Metoda zreszczania się wojskowego
tworzyła w Azji całe cywilizacje, kiedy w Europie zdo-
łała posłużyć za podłoże ledwie drugorzędnym lokalnym
dynastjom. Nawet handel schodził w Azji na plan drugi
wobec wyolbrzymionego kondotjerstwa. Turecki „ka-
gan“, to przedsiębiorca wojskowy, zamieniony we wład-
cę. Gdy odwróci się od niego fortuna, i gdy nie może

już opłacać swych poddanych-żołnierzy, rozpuszcza ich, a ludy-pułki jego szukają utrzymania pod innym jakim sztandarem. Losy wojny, świecąca lub gasnąca gwiazda kagana-kondotjera rozstrzygały o tworzeniu się i zniknięciu ludów Azji turańskiej i mongolskiej. W taki-to sposób, kondotjerstwem, powstało społeczeństwo polityczne Mongołów Niebieskich, zdobywców wschodniej Europy, złożone z 45 ludów, urządzonych po wojskowemu. Wielki ich organizator Temudżin wyrósł na kondotjerstwie w Chinach, aż wkońcu sam Chiny zdobył. On to utworzył pierwszą w wiekach średnich armię regularną, z kadrami oficerskimi i regularnym awansem, z kwatermistrzostwem i sztabem generalnym, ze studjami strategicznymi — i dzięki temu był niezwyciężonym. A gdzie siła fizyczna zorganizowała się raz w militarystykę, tam polityka musiała pozyskać przewagę stanowczą ponad wszelkimi innymi kategorjami życia zbiorowego. Historję Azji możnaby też scharakteryzować jednem słowem, jako elephantiasis polityki.

Na azjatyckich społecznościach studjować można kwestję ciekawą nie tylko dla historyka, na co narażone są zreszczenia polityczne, nie mające innego celu jak tylko walkę o byt. Niema bowiem w całej Azji — ani w Indjach, ani w Chinach — społeczności, której geneza nie tkwiłaby wyłącznie w przyczynach ekonomicznych. Nauka, męstwo wojenne, poezja, wszystkie przejawy myśli i uczucia zwrócone są i używane w tym jednym kierunku: dla ułatwienia walki o byt. W tym tylko celu istnieją tam państwa, bo tylko z tej przyczyny powstały. Wyłączność ta nie zdała się jednak na nic: ludy turańskie i mongolskie były i są ubogie, najpracowitsze Chiny najwięcej cierpią głodu, a najbardziej uduchowione Indje zdobyły się w swej myśli filozoficznej tylko na prymitywne odrzucenie wszelkiej walki o byt, na podniesienie nędzy do godności zasady.

Cywilizacje, nie nakładające swym uczestnikom innych obowiązków, ani nie wskazujące innych celów, jak

tylko materialne, wynikające z walki o byt, nie dochodzą przeto zgoła do pojęcia narodowości. A zatem pojęcie to możebne jest tylko tam, gdzie społeczności zrzeszają się nie tylko ze względów ekonomicznych i ekonomiczno-politycznych, a zrzeszone wytykają sobie cele z poza walki o byt. Gdyby było inaczej, historia Europy nie różniłaby się od historii Azji, i nie byłoby w Europie narodów.

Zestawienie Europy i Azji doprowadza do wniosku, że naród nie tylko może mieć cel z poza walki o byt, ale naprowadza wprost na definicję, że naród jest to społeczność ludów zrzeszonych do celów z poza walki o byt. Walka ta stanowi dla narodu tylko środek do celu. Sama ta walka nigdy narodu nie wytworzy, ani nawet z innych przyczyn wytworzonego, nie utrzyma. Gdy naród nie ma innego zajęcia, jak tylko samą walkę o byt, gdy przyświecają mu same tylko cele ekonomiczne, zbliża się do upadku.

Celem jedynym istotnym narodu nie może być samo utrzymanie narodowości, w materialnem znaczeniu tego wyrazu, skoro narodowość powstaje z przyczyn nie tylko materialnych. Utrzymanie narodowości mieści tedy w sobie bezwarunkowo pierwiastki z poza walki o byt; gdyby je przeto zlekceważono, zachwiać musiałaby się sama istota narodowości, słabnąć i upadać. Naród nie tylko więc może mieć cele z poza walki o byt, lecz mieć je m u s i; inaczej ginie.

Wykreślmy z życia narodów europejskich tę cechę, a zamienimy się po niedługim czasie w społeczności azjatyckie. Wiek XIX próbował tego — i obdarzył Europę militarystem, przerostem polityki, międzynarodówkami i t. p., zbliżając się do azjatyckich form zrzeszania się. Dochodziło się wreszcie do tego, że sztuka i nauka poczynają się wysługiwać militarystom i handlowi...

Ale nie o porównania cywilizacyj tu chodzi, więc przezwijmy te uwagi, skorośmy doszli do tego, czego nam

było trzeba, tj. żeby uzyskać określenie narodowości i wykazać, że dociękanie znaczenia i celu pewnego narodu jest naukowo dopuszczalne.

Celowość nie cieszy się wogóle opinią „naukowości“, dzięki pewnego rodzaju sekcjarstwu, które wykluczało tę kategorię myślenia, odsadzając ją zgóry od wszelkiej wartości naukowej; ta zastrzeżoną była wyłącznie dla przyczynowości. Jednostronność ta przenosiła się z nauk przyrodniczych na humanistyczne, i w zakresie Historji słyszało się jako o najwyższem zadaniu tej nauki, tylko o wytłumaczeniu „przyczynowego związku faktów“. Nigdy nikt nie przypuszczał możliwości celowego związku faktów.

Zastrzec się trzeba, że co innego przyroda, a co innego objawy historyczne. Przyjęto a priori, że jednako- we są prawa materji a ducha, przyrody a umysłowości — i popełniono grubą pomyłkę.

Badanie stosunku praw świata materialnego do praw świata duchowego stanowi najwyższy szczyt nauki; ale też trzeba prawa każdego z nich badać osobno i następnie porównywać. Orzekanie, że znając prawa przyrody, zna się prawa w s z e l k i c h objawów życia; zbadanie jednej tylko dziedziny i odniesienie jej praw w czambuł do drugiej, bez specjalnych dochodzeń, mocą apriorystycznego jakiegoś dekretu — było postępowaniem zaiste wielce nienaukowym.

Zdaje mi się, że stosunek świata fizycznego do duchowego jest pod tym względem trojaki: niektóre prawa są wspólne, niektóre działają wręcz przeciwnie, nadto zaś każda z tych dziedzin ma prawa wyłącznie swoje, nie zachodzące w dziedzinę drugą ani pozytywnie, ani negatywnie.

Np. wspólnem jest prawo bezwładności. W świecie duchowym, również jak w materialnym, działa wszelka siła jeszcze przez pewien czas po zamknięciu swego źródła.

dła. Dla przykładu zwróćmy uwagę, jakto Niemcy zachowują się wciąż jeszcze tak, jak gdyby prusactwo miało nadal kierować niemi i Europą wschodnią. Podobnie i Polska ulega ciągle jeszcze siłom z czasów rozbiorowych; dość wskazać na tę (zabawną zaiste) okoliczność, że w sejmie walnym Rzplitej niepodległej, w całej organizacji wyborczej, w dziennikarstwie i t. d. istnieje nadal podział na stronnictwa według szablonu z r. 1913. Świat cały zmienił się, a stronnictwa polskie używają dla siebie kryterjów... pozbawionych jakiegokolwiek znaczenia; a co najciekawsze, o kryterja te (faktycznie już nie istniejące) wre w najlepsze walka stronnictw! Na podobne objawy możnaby zwrócić uwagę we wszystkich krajach europejskich, jakkolwiek nie w tak wielkim stopniu jak w Polsce.

Bywa zaś, że pewne prawo dziedziny materialnej zamienia się na wręcz przeciwne w duchowej. Np. chyżość na obwodzie ciała będącego w ruchu jest większa, niż w części środkowej, najmniejsza zaś przy samym centrum; chyżość taka wzrasta z długością promienia. Wręcz przeciwnie ma się z chyżością socjologiczną i historyczną:¹⁾ jest ona największą właśnie w centrach (w stolicach, w prowincjach centralnych).

Najdonioślejszem zagadnieniem z dziedziny ducha jest dociekanie prawa wzajemnego przestrzennego stosunku cywilizacji. Prawo fizyczne nieprzenikliwości nie obowiązuje tu, boć na tem samym miejscu mogą istnieć obok siebie i rozwijać się rozmaite cywilizacje, jakto wi-

¹⁾ O chyżości historycznej zob. „Przegląd Powszechny“ z maja 1920. — Bardzo ważny przykład stosunku prawa materji do świata duchowego podaje Erazm Majewski w swej „Nauce o cywilizacji“, tom III, str. 369: „Gdy bowiem zwykłej energii lub materji musi koniecznie ubywać tyle w jednym miejscu, ile przybywa w innym — nie tak jest z potęgą duchową. Ta może przyrastać bez żadnej straty dla miejsc, skąd się rozchodzi, bo właściwie nie rozchodzi się ona znikąd — tylko bywa wzbudzana pod wpływem istniejącej już gdziekolwiek potęgi“.

dzimy we wszystkich niemal znaczniejszych ogniskach Orjentu i... w Polsce (cywilizacja żydowska obok łacińskiej, w niektórych stronach nadto słowiańsko-turańska kultura). Być może, że kultury zachodzą wzajemnie na siebie jak koła od dwóch kamieni rzuconych do stawu (doświadczenie Lionarda da Vinci) — a może nakształt krzyżowania się fal świetlnych? Może okaże się, że co innego nieprzenikliwość materji, jako masy, a inna sprawa z ruchem fal objawów fizycznych (głosu, światła, elektryczności); może więc objawy duchowe podlegają prawom objawów ruchowych, ale może zachodzi tu podobieństwo tylko częściowe, lub nawet pozory tylko łudzące przy pierwszym badaniu, niedokładnem i jednostronnem, a które rozwieją się przy dalszem studjów pogłębieniu. Narazie cała kwestja zamyka się jeszcze w tem, że... można zwrócić uwagę na jej istnienie.

Skoro zaś naukowe badanie stosunku praw materialnych do duchowych jeszcze właściwie nie rozpoczęte, nie można braku celowości w przyrodzie odnosić do świata duchowego. Choćby przyrodnicy zupełnie byli zgodni, co do zarzucenia celowości (zagadnienie to należy pozostawić oczywiście im samym w zakresie przyrodoznawstwa), nie może to powstrzymać humanisty od zaznaczenia celowości, ilekroć znajdzie sposobność stwierdzenia jej w zakresie swych badań. Czas już spory na reakcję pod tym względem! Myślenie jednostronne pod kątem wyłącznie przyczynowości osłabiło nadzwyczaj duchową sferę życia, wzmógłszy nieproporcjonalnie materialną. Co gorsza, osłabiło niesłuchanie kulturę czynu, która musi się opierać na poczuciu celowości, bo inaczej wyradza się w odruchowość, w marnowanie energii na próżne zabiegi i wysiłki. Błędne koło czynu stało się nieuchronnem następstwem błędnego koła myśli. Monopol przyczynowości wprowadził nas zaiste w błędne koło monomanji umysłowej.

Przyczynowością wyjaśnić można nie wszystko z tego, co już jest, z tego zaś, co będzie, to tylko, co się

stać ma samą siłą bezwładności; jako prosty wynik tego, co było. W kategorii przyczynowości nie mieści się tedy nic istotnie nowego. Ludzie umiejący myśleć tylko przyczynowo, kształcący się wyłącznie zapomocą dociekania przyczyn, niezdatni są przeto do wzbogacenia zasobów kulturalnych żadnym nowym pomysłem twórczym; umieją tylko przerabiać i przeżuwać rzeczy stare, a zatem cofają rozwój ludzkości, bo odnoszą wszystko do kategorii przeszłości, w której zawsze tkwi przyczyna. Przeszarżałość ich punktu widzenia, zakrywana frazesem, wychodzi jednak najaw w skutkach. Chociaż, doszukując się nieustannie nowych przyczyn, wysnuwają z tego wnioski nowe, wszystkie one oparte są z konieczności na przeżytkach, to też stosowane do przyszłości wywołują skutki wręcz przeciwnie zamierzonym, bo cofają rozwój społeczeństwa. Z samej bowiem przyczynowości spraw przeszłych nie da się wykrzesać nic nowego, tj. zdatnego do życia w przyszłości, wiodącego ku postępowi. Nowy wniosek, wysnuty tą drogą, stanowi ledwie odkrycie nowej formy dla rzeczy przestarzałej. W taki sposób powstał cały ruch socjalistyczny. Stಾನowi on zajmujący przykład, jak niezdatni są do usunięcia przyczyny ludzie myślący wyłącznie przyczynowo: socjaliści zrezygnowali już dawno z usuwania przyczyn zła w nowoczesnym ustroju społecznym, nie mogąc wybrnąć ze swego błędnego koła inaczej, jak tylko postanowieniem rozwiązania całego ustroju społecznego. To też rewolucja, która miała być środkiem, stała się dla nich sama celem, i tak kręca się w kółko.

Zdawanie sobie sprawy z przyczynowości zjawisk jest oczywiście nieodzownym warunkiem wykształcenia nowoczesnego człowieka; ale chodzi o to, żeby nie uważać tego za jedyny sposób myślenia „naukowego“, i nie używać, a właściwie nadużywać metody tej do wszystkiego z zaniedbaniem metod innych, a zwłaszcza myślenia celowego. Jednostronność doszła do tego, że w szkołach średnich naucza się wyłącznie według kategorii

przyczynowości. Być rozumnym, znaczy według tego przepisu, umieć w każdej sytuacji życia odpowiedzieć na pytanie: dlaczego?

Praktyka życia poucza jednakże, że niema absurdu, którego nie dałoby się pokryć formułą przyczynowości. Musi to bowiem wieść do absurdu, jeżeli stosuje się przyczynowość w takich objawach życia, z którymi ona nie pozostaje wogóle w żadnym związku, gdzie stosowanie jej jest naciąganiem, a pochodzi stąd tylko, że się nie umie myśleć pod inną kategorią. Czyż np. biurokracja nie umie napoczekaniu usprawiedliwić największych swych nonsensów powołaniem się na przyczynowość? Napoczekaniu wytłumacza, dla czego muszą coś robić wbrew rozsądkowi! Wyłuszczają nawet w takich wypadkach zwykle po kilka przyczyn. Wogóle nigdy nie brak nikomu z naszego pokolenia odpowiedzi na pytanie: dlaczego, bośmy wyćwiczeni w tem na wszystkie strony od ławy szkolnej. Obfitujemy też w zdolności „krytyczne“, mniej zdolni do twórczości.

Nie umiemy też patrzeć z otuchą w przyszłość, bośmy przywykli wyobrażać ją sobie, jako skazaną zgóry na pewien kształt nieuchronny, skutkiem „przyczynowego związku faktów“. Skoro zaś przyszłość zgóry jest „zeterminowana“, na nic myśleć o tem, jaką ona być winna i starać się, żeby była taką, jak tego pragnęlibyśmy; pragnienia nasze nie mają tu nic do rzeczy, a cała inteligencja nasza wysilać się musi jedynie nato, by odgadnąć, obliczyć to, co jest nieuchronnem i nieodwrotnem i... zastosoować się do tego z jak najmniejszą dla siebie szkodą, a jeżeli się da, więc z jak największym zyskiem. Oto ostatni skutek ekskluzywności myślenia według kategorii przyczynowości. Można to śmiało nazwać niedołęstwem życiowem. Wypadki przewalają się nad biernymi świadkami toku dziejów, z których najlepsi, myślący myślą tylko o tem, jaka przyczyna tego, co się koło nich dzieje. O kierowaniu wypadkami, o zapobieganiu złemu jakżeż trudno mówić z takimi ludźmi; o wytwarzaniu

niu zaś dobra, o tworzeniu wypadków nie da się z nimi mówić zgoła.

A jednak możebnem jest tworzenie wydarzeń! Gdybyśmy choć połowę zabiegów, zużytych na pogrzebanie w inteligencji europejskiej kategorii myślenia celowego, użyli na wskrzeszenie tej zdolności, jeszcze bylibyśmy ocaleni z odętu straszliwego, w jaki nas pogrążyła bierność ostatnich pokoleń, nie posiadających już kultury czynu celowego, tj. zastosowanego nie do wniosków wysnutych z dociekania przyczyn, ale do pragnień cywilizacyjnych.

Można posiadać zdatność do czynu, nawet wielką, a przejść przez życie biernym, lub co najwyżej zerwać się czasem do jakiej akcji na niedługą metę i nie wymagającej wysiłku woli. Człowiek istotnie czynny jest czynnym zawsze; on nie zna wypoczynku poza fizjologiczną koniecznością, bo nie da mu spokoju popęd twórczy: on musi tworzyć. Sto przeszkód koło niego nie poradzi wątkowi twórczości, który on snuje z siebie samego. Okolicznościami zmuszony, będzie zastosowywał twórczość swą w kierunku innym, niżby pragnął, ale nie da jej spocząć. Epizodyczność czynu nie stanowi zgoła niczego o charakterze pewnej osoby, boć największy nawet niedołęga lub leń może być okolicznościami zmuszony do wyjątkowego okazania czynności, (np. egzamin, a nawet praca naukowa jednorazowa celem pozyskania bezpośredniej korzyści). Niema tak biernego „zjadacza chleba“, któryby nie potrafił przybrać wyjątkowo na się roli umysłu twórczego. Ogólna zdatność do czynu jest powszechną — a jednak niewszyscy są na tym świecie czynnymi.

Podobnie powszechna jest zdatność do myślenia. Wyjątkowo ktoś skazany jest przez macoszą dla siebie przyrodę na niemożność myślenia; są to matolki, chorzy pewnego rodzaju i t. p., osobniki, które fatalnym a wyjątkowym trafem znalazły się poza linjami ludzkiego przyrodzonego rozwoju. To wyjątki, o którychli możnaby po-

wiedzieć, że stwierdzają tylko regułę. Z reguły każde dziecko zdadne jest do rozwinięcia w sobie myślenia nie tylko spostrzegawczego, ale krytycznego (choć w stopniu niejednakowym). Niebardzo przesadzę, jeżeli powiem, że każde dziecko mogłoby wykształcić się na umysł krytyczny, a jednak jakżeż mało ludzi przywykło do myślenia krytycznego!

A nie można nawet powiedzieć, żeby do tego byli na ogół niezdatni, bo gdy chodzi o bezpośredni interes osobisty, o niebezpieczeństwo, a zwłaszcza o stratę materialną, jakżeż odnajduje się nagle zdolność do orientowania się w zawikłanem nawet położeniu i krytycznego ocenienia sytuacji i szczegółów jej! Powiadają, że do z bogacenia się nie potrzeba rozumu, wystarczy spryt. Właściwie znaczy to, że pewni ludzie używają daru myślenia tylko wtedy, gdy chodzi o bogacenie się, a zresztą pozwalają sobie pozostawać stworzeniami bezmyślnymi — ale nie sądzmy, że nie mają zdolności do myślenia! Zapewne, jeżeli się jakiejś władzy nie używa przez lat kilkadziesiąt, znajdzie się ona nareszcie w stanie zaniku. Gdyby ktoś przestał chodzić, chociaż mając nogi zdrowe, po latach nogi jego nie dawałyby sobie rady z chodzeniem; tem bardziej myśl, leżąca odłogiem, musi wkońcu wyjałowić. Myśl używana jednostronnie stanie się nieczułą na inne podniety. Kupiec „najsprytniejszy“ w swym sklepie, okaże się niezdatnym poza swym kramem. Jest to specjalizacja myśli. W zasadzie zupełnie to samo jak uczość ultra-specjalisty, który zna się doskonale na ułamkowym złomku ułamkowej nauki jakiejś, a poza tem zdradza objawy braku prostej inteligencji. Ale czyż nie ma kupców naprawdę światłych, posiadających niemałe wykształcenie naukowe, artystyczne lub doświadczenie życiowe, które umieją przybrać doskonale w kategorie teoretycznego myślenia? Czyż nie ma uczonych, tak w swej ultra-specjalności tęgich, że mogą się popisać przed najbardziej ograniczonym specjalistą, a jednak

ogarniających całość nie tylko przedmiotu swego, ale i całość życia?

Z powszechnej zdatności do myślenia powszechnie nie korzysta się. Oto całe zagadnienie! Podobnież powszechna zdatność do czynu pozostaje powszechnie bezczynną.

Nie wystarcza tedy zdatność sama, trzeba chęci, a raczej silnej woli korzystania ze zdatności, wyzyskania jej i wyćwiczenia. Obie one zaś mają to do siebie, że używanie ich przyjemnem z początku nie jest, bo polega na wysiłku, a to sprawia ból. Od myślenia boli głowa nieprzywykłego, a przytem zabiera to czas, którego można użyć na łatwiej dostępne i napoczekaniu wypłacające się przyjemności życia. Żaden wysiłek nie sprawia sam przez się fizycznej przyjemności, i dlatego ludzie prymitywni go unikają.

Poprzez szereg nieprzyjemności, dotkliwych częstokroć, musi się wyrobić w sobie kulturę myślenia i kulturę czynu — tj. zdolność myślenia ciągłego, i zarazem czynności nieustannej — i wtenczas dopiero jest się człowiekiem myślącym i osobnikiem twórczym.

Stosunek myśli do czynu decyduje o kształcie życia, tak indywidualnego jako też zbiorowego. Jak bywają czyny bezmyślne, podobnież nie brak myśli bezpłodnych. Cała rzecz w tem, żeby skoordynować obie te dziedziny, żeby dążenia oprzeć o myśl dojrzałą, żeby nie było czynów bez dokładnego przygotowania się do nich, a myśl żeby nie poprzestawała na badaniu przyczynowości, lecz — by była też celową, poszukującą dróg czynowi.

Kultura czynu polega na myśleniu według kategorii celowości. Niema tedy nic pożyteczniejszego dla narodu jak zastanawianie się nad jego celem i popularyzowanie tego toku myśli; pomnaża to bowiem zdatność do czynu. Przejmowanie się celem musi wieść do pragnienia, żeby cel spełnić, a więc w rezultacie do myślenia celowego.

Poznanie siebie samego stanowić musi pierwszy szczebel na tej drodze, a czyż trzeba rozwodzić się nad

korzyściami z tego płynącemi? Cel narodu nie może bowiem pochodzić z zewnątrz niego, z poza niego, lecz musi tkwić w nim samym i n n u c e i wysnutym być jako wniosek, z jego zasobów i zdolności. Nie może naród żaden mieć celu z poza siebie, boć w takim razie cel ten byłby mu obcy, narzucony. Rzecz jasna, że cel musi być dobrowolny, z własnej wynikający ochoty, z własnego zaczerpnięty ducha.

Jak naród nie stanowi formy apriorycznej, jak narodowość nie jest siłą aprioryczną, tak też cel narodu apriorycznym być nie może. Mylnem było rozumienie „misji dziejowej“, jako celu wytkniętego narodowi zgóry przez nadprzyrodzony porządek (przez Opatrzność). Żaden naród nie ma koniecznie celu, wszak wolno mu żyć życiem niepełnem, wegetować w granicach walki o byt. Można nawet w granicach tych wykonać niemały szereg „czynów historycznych“! Żaden naród nie musi wznosić się do celowości swego bytu; wolno każdemu poprzestać na przyczynowości, która działała w pewnym okresie czasu z pewnych ludów dany naród, a skoro już istnieje, więc dbać o zabezpieczenie istnienia, którą to drogą można dojść nawet do wielkiej potęgi. Celowość bytu narodowego stanowi ciężar, który się dobrowolnie nakłada na siebie, i który może być każdej chwili zrzucony.

Naród sam sobie swój cel oznacza. W różnych czasach może on być zmienny, a więc tem samem stanowić może przedmiot badań historycznych. W danym zaś czasie mogą postawić się rozmaite dążenia co do celu, wątpliwości co do jego wyboru lub odrzucenia, a zatem sprawa celu może stanowić przedmiot roztrząsania. Wszystko zaś, nad czem zastanawiać się można poważnie, może, a raczej winno stanowić przedmiot dociekania naukowego.

Dociekanie znaczenia i celu jakiegoś narodu nie jest tedy niczem innym, jak pogłębieniem badań nad właściwościami tegoż narodu; polega ono na ujęciu znanego i powszechnie uznanego zagadnienia naukowego w inną

metodę. Biorąc rzecz ściśle, nie wprowadza się nowego przedmiotu, a tylko nową metodę.

Nasuwa się jedna jeszcze wątpliwość: czy przedmiot jest historyczny, czy też „historjozoficzny“, filozoficzny, a przynajmniej filozofujący (z czem łączy się podejrzenie dyletantyzmu...) — czy mieści się w granicach metody historycznej?

Za mojej młodości ostrzegano mię przed historjozofią jako przed zarazą, która może wyjałowić mózg frazesami i zmarnować zmysł historyczny w badaczu przeszłości. Zwracano też uwagę, że historjozofią nie trudnią się nigdy historycy, lecz rozmaici ochotnicy, historii nie znający. Uważano też „historjozofję“ za filozofję historii, a więc każdy system filozoficzny mógł sobie, jeżeliby zechciał, mieć swoją historjozofję; jeżeli kto wymyśli nowy system, będzie też o jedną historjozofję więcej — a historyków nie będzie to i tak nic obchodzić. Dla historyka stanowiło to coś, co znajduje się poniżej jego godności naukowej; i patrzył na te zabawy dyletanckie z pobłażliwym, a nieco pogardliwym uśmiechem. Uczony historyk ma się ograniczyć do „przyczynowego związku faktów“; to też nie przyśniło się nikomu wrywać historjozofji z rąk dyletantów filozofujących i spróbować, czem byłaby, gdyby ją oprzeć na metodzie historycznej.

Powiedziano niestety słusznie, że nauka polska stała w przedpokoju nauki niemieckiej¹⁾. Metoda historyczna niemiecka ma strony dobre, ale tyczą się one ciasnego zakresu dociekania szczegółów; w tem wymyślili Niemcy rzeczywiście kilka udoskonaleń metody; ale metoda ta, użyta do osądzania całości nauk historycznych, okazała się jak najbłędniejszą, a przedewszystkiem niewystarczającą, i już dla tej samej wady wiodącą na manowce. Jakoż zawiodła tam niejednego polskiego uczonego...

¹⁾ wyrażenie lwowskiego profesora Szelągowskiego.

Wiedzie uczonego na manowce wszelka jednostronność, a historjografia polska przejęła się wyłącznie metodą niemiecką, nie próbując nawet uzupełnień ni korektur skądinąd. Nie zarzekając się niczego, co jest dobrze u Niemców, trzeba się strzec ugrzęźnięcia w ich metodzie, która opanowawszy polskie dziejopisarstwo, doprowadziła do skurczenia obszaru badań historycznych w Polsce. Niegdyś Lelewel roztrząsał dzieje narodowe na tle powszechnych, a warsztat jego naukowy sięgał od Rusi do Hiszpanji, ale potem zacieśniano się coraz bardziej. Byli jednakowoż zawsze wyjątkowi uczeni, którzy płynąc przeciw prądowi, wołeli opierać się na metodach zachodnich, a przynajmniej uwzględniali je obok niemieckiej; faktem zaś jest, że tacy właśnie posiadają w swoim dorobku naukowym zawsze coś powszechno-dziejowego, rozprzestrzeniającego horyzont nauki polskiej.

Lelewel znał dokładnie wszelkie odmiany metod w nauce europejskiej, a dorzucał do nich i własny dorobek niepośledni metodyczny. Nie wahał się danej metody kształcić dalej własnymi pomysłami — i za najwyższą chwałę stanie mu fakt, że gdyby potem mniej było się prowadziło polemiki pośmiertnej z Lelewelmpolitykiem, a zato gdyby się było więcej uczyło od Lelewela-historyka, byłoby się zapewne doszło już do polskiej metody w naukach historycznych, tj. byłibyśmy wzbogacili metodę tę polskimi pomysłami na tyle, iż polski dorobek nadawałby jej cechę.

A należy się spieszyć z dostrojeniem się do szerszych przestrzeni historycznego myślenia, boć już tymczasem historia powszechna z europejskiej stała się naprawdę powszechną, obejmującą pięć części świata faktami coraz bardziej nie tylko spletanemi przyczynowo, ale też spełnianemi celowo, a faktami o doniosłości ogólnołudzkiej. Jeżeli nauka polska historyczna nie ma stanąć wobec najgroźniejszego dla nauki niebezpieczeństwa, a mianowicie pozostać w tyle poza rozwojem życia — musi

się na nowo rozprzestrzeniać co do zakresu zagadnień podejmowanych, i to rozprzestrzeniać wielce. A samą tylko niemiecką metodą wydaje mi się to niemożliwym, bo umysłowość niemiecka nie chwyta należycie wątku powszechno-dziejowego; dokładna w ograniczonym ściśle zakresie, potrafi nieraz nawet po mistrzowsku zbadać i skreślić obraz dziejów danego narodu, każdego z osobna; ale gdzie zachodzą szwy łącznikowe pomiędzy dziejami jednego a drugiego narodu, tam słabnie zmysł historyczny niemiecki, a często nie umie sobie wprost dawać rady.

Nigdy nie ograniczali się historycy polscy tak ściśle do tematów wyłącznie polskich (z największą dla historii polskiej szkodą oczywiście), jak w tym okresie ugrzęźnięcia w niemieckiej metodzie; pod koniec nie przekraczało się już niemal Polski etnograficznej, piastowskiej. A dzieje narodowe natenczas tylko przedstawić dadzą się należycie, gdy się je osadzi na tle powszechnych, choćby tylko na tle jakiegoś odcinka historii powszechnej.

Niewszystko bowiem jednak jest powszechnem; związek pewnego faktu lokalnego ze stosunkami ogólnymi może być węższy lub ściślejszy, luźny lub istotny, jednostronny lub wielostronny. W zasadzie niema wydarzeń ściśle lokalnych w społecznościach cywilizowanych, bo przyczyną lub skutkiem wiążą się wydarzenia wszystkie ze stosunkami terytorjów sąsiednich (osad, rodów czy klanów, a tem bardziej tam, gdzie można już odróżniać gminy, miasta, prowincje), nie mówiąc już o wyższym stanie uspołecznienia, gdzie może zachodzić działanie celowe, które dotyczy obszarów tem rozleglejszych, im wyższe przyświecają mu cele.

W konstrukcji historycznej jest lokalizm właściwie tylko fikcją, mającą ułatwić pracę, podobnież jak np. w geometrii fikcja punktu i linii. Badacz, który lokalizm pojmuje w historii dosłownie i kontentuje się nim, jest nie historykiem, lecz tylko pracownikiem pomocniczym, przygotowującym materiał dla historyków. Metoda

niemiecka zgrzeszyła właśnie tem, że wzięła za naukę samą to, co jest tylko środkiem naukowym.

Są trzy stopnie pracy historjograficznej i trzy szczeble metody. Na pierwszym chodzi o naukowe stwierdzenie i określenie faktu lub grupy faktów¹⁾.

Jest to seminaryjny stopień nauki historycznej. Niemieccy uczeni poprzestają na nim po większej części, to też z reguły uczeń początkujący różni się przy niemieckiej metodzie zasadniczo niczem od swego profesora, który, biorąc rzeczy ściśle, nie postąpił jakośkolwiek ni kroku poza swoją niegdyś pierwszą pracę seminaryjną. *Difficile est satyram non scribere*, że coś podobnego zaszczeniało się w Polsce, i to do tego stopnia, iż wyklinało się takich, którzy odważyli się sięgnąć pracami swemi poza te kratki niemieckiej metody. Doprawdy, poczynała panować zasada: im więcej kto złoży dowodów ciasnoty, tem uczeńszy.

Zaznaczam z największym naciskiem, że ów seminaryjny stopień jest wprost niezbędny i że nie można nic a nic opuścić z jego wymogów; uznaję, że kto nie nabędzie znacznej biegłości w stwierdzaniu i określaniu faktów, nie może absolutnie być historykiem; ani też sam nie uważam za historyka nikogo, kto nie pracuje około zagadnień z tego pierwszego szczebla stale, ciągle, nie-

¹⁾ Tu należą takie prace, jak np. dociekania, kiedy zaczynało w latopisach ruskich rok nowy; jaką mogła być polityka Krzyżaków w latach 1389 i 1390; jakie zajmował stanowisko który z inflanckich landmistrzów Zakonu (np. Plettenberg) wobec Prus, Litwy, Moskwy w pierwszej ćwierci 16. wieku; kwestja, czy pewien książę wydawał pewnego dnia gdzieś pewien dokument (np. Jerzy Światosławicz smoleński w Sandomierzu d. 22 maja 1386); bliższe zbadanie sprawy, jako to księciu twerskiemu zabrakło w Saraju w r. 1371 gotówki i jakie z tego wypłynęły następstwa pomiędzy Rurykowiczami; a czy Jerzemu Dymitrowiczowi odebrano gród Dmitrow w r. 1432, czy 1433? i t. p. — Dla uniknienia nieporozumień, jakobym z kogokolwiek chciał sztydzić, zaznaczam, że przytoczyłem... swoje własne prace z lat rozmaitych.

ustannie; przestrzegam, że bez tego cała nauka zawisłaby w powietrzu, zamieniając się w krótkim czasie na indywidualne pomysły, złożone z dowolnych domysłów; uznaję, że właściwości metody niemieckiej czynią ją bardzo a bardzo dobrą do nauczania elementów pracy historycznej, ale chcę, żeby uczoność polska nie poprzestawała na biegłości w robotach seminaryjnych.

Drugi stopień dziejopisarstwa polega na poszukiwaniu przyczynowego związku faktów, co może obejmować znacznie obszary i dłuższe czasy. Wymaga to gruntownego opanowania przedmiotu, ujmowanego wielostronnie, przyczem przejrzyste ugrupowanie wątku spraw dostępne jest tylko talentowi. Tego ostatniego przymiotu brak też najczęściej Niemcom, ale pomimo to nie brak im wybitnych monografij i udatnych całości. Zasadniczą wadą tych dzieł (nie mówiąc o wyjątkach), że nie dotyczą tych stron przedmiotu, które mieszczą się poza mechanicznymi objawami dziejów, tj. poza wątkiem *w y d a r z e ń*, choćby powiązanych najsutelniej przedstawioną przyczynowością. Boć nauka niemiecka poprzestaje bądź co bądź na opisie faktów¹⁾.

Nauka nie może poprzestać na uprawianiu zewnętrznej szaty dziejów. W takim ograniczeniu objawy historyczne muszą być ujmowane w całość mniej więcej sztucznie, skoro *m a t e r j a ł* historii powszechnej bierze się mylnie za jej *p r z e d m i o t*. W najwybitniejszych dziełach niemieckich znać skutki tego pomieszenia, wynikłego z grubego nieporozumienia.

Nie lekceważmy dorobku nauki, opartej na określonych tu dwu szczeblach metody, ale nie wahajmy się stwierdzić, że nauka musi się piąć wyżej. Pnie się zaś tylko poza metodą niemiecką, w dziełach uczonych włoskich, francuskich, angielskich; tudzież w takich niemieckich, które nie na niemieckiej wyrosły metodzie.

¹⁾ Największy historyk niemiecki, Leopold Ranke, stawiał historii za zadanie „*sagen, wie's hatt gewesen*“.

Za daleko zaprowadziłoby nas poza temat niniejszego dziełka rozpatrywanie tych prądów naukowych; starczy zaznaczyć, że chodzi o to, jak pojmować historję powszechną, jaki cel badań historycznych, a więc pośrednio i o to, co ma stanowić kryterjum naukowe historjografji — w czem zdania są podzielone. Należy czytelnika zgóry uprzedzić, jak w tem dziełku kwestja ta jest traktowana.

Dzieje powszechne można będzie układać dopiero na tle walki cywilizacyjnej i prób syntez cywilizacyjnych. Dopiero wtedy będzie można mówić o umiejętności badań historycznych (a nie o sztuce narracyjnej), bo zyska się podstawę porównawczą i będzie się wiedziało, co za cel tylu dociekań na stopniach niższych, do czego przydatny cały ten materiał, który dotychczas sam sobie za cel uchodził.

Pojawia się wprawdzie gdzieś obok Historji jakowaś „historja kultury“, ale to tylko schowek niewyrobionych jeszcze należycie działów Historji; istny przytem magazyn niemowlęctwa naukowego, bo z zupełnym brakiem metody. Cóż stanowi przedmiot tej nauki i na jakie kwestje poszukuje ona odpowiedzi?

Miejmyż otuchę, że na miejsce tej mętności wstąpi jasna nauka o cywilizacjach¹⁾, jako wynik wszelakiej różnaitości dociekań historycznych, jako najwyższy szczebel Historji.

Jeżeli przy wznoszeniu się do tego szczebla nie obejdzie się bez wykształcenia filozoficznego, tem lepiej! Zawołać należy: „nareszcie“! Od dawien bowiem w li-

¹⁾ Erazm Majewski w pomnikowym zaiste swem dziele: „Nauka o cywilizacji“ traktuje sprawę cywilizacji ze stanowiska przyrodniczego. Traktując rzecz ze stanowiska historycznego, sądzi, że nauka o cywilizacji wymaga wpierv nauki o cywilizacjach.

cznych naukach uznano niezbędność takiego wykształcenia, jeżeli uczoney miał być przygotowanym do prac nad syntezą danej nauki; tylko w Historji było o tem głucho. Nie sędzę, żeby to było zaszczytnym wyjątkiem — sędziłbym natomiast, że brakiem tym da się wyjaśnić doskonale, dlaczego w Historji synteza tak okrutnie chroma, dlaczego nawet dochodziło do powątpiewań, czy ona tu wogóle możliwa, a zdarzały się twierdzenia, że niepotrzebna!

Historja nie potrzebuje żadnej zgoła filozofji historji; ale historykowi filozofja przydatna, ażeby mógł wspiąć się na ten trzeci stopień swej nauki, gdzie n i l h u m a n i a s e a l i e n u m p u t a n s ogarnąć może wszystko, co ludzkie, we wszystkich cywilizacjach i zestawiać je porównawczo, a naodwrot oznaczać miejsce i stopień danego społeczeństwa w danej cywilizacji.

Walnym do tego środkiem będzie badanie znaczenia i celu danego społeczeństwa, w cywilizacji zaś chrześcijańsko-klasycznej: narodu.

Musi się więc badać metodycznie stosunek myśli do czynu, zdatność myślenia i kulturę czynu w danem życiu zbiorowem. Nie obniży się zapewne poziomu nauki historycznej, jeżeli się wskaże jej zadanie badania stosunku *Logosu* i *Ethosu* w życiu zbiorowem społeczeństw (narodów), kultur i cywilizacyj. W tych dwóch terminach, posiadających w filozofji znaczenie tak ścisłe, zmieści się ściśle cały a cały ogrom badań historycznych. *Logos* i *Ethos* stanowią o wszystkim u człowieka i we wszelakich odłamach ludzkości. Ich wzajemny stosunek urabia stosunki ludzkie.

Rozum a wola, myśl a czyn, rozważanie a wykonywanie — oto granice pojemności człowieczeństwa. Ponieważ zaś kultura czynu wymaga myślenia według kategorii celowości, rozum wtenczas dopiero pobudzi wolę do skutecznego wykonania zamierzeń, gdy zbadawszy przyczynowość oprze się na celowości, gdy myśl przejdzie do tej wyższej kategorii; inaczej bowiem skutki wy-

konania mogłyby zawieść, okazując się niezgodnymi z zamiarem, wywołując zjawiska mijające się z upragnionym celem, a nawet mu przeciwne. Myślenie celowe stanowi pomost od rozumu do woli, łącznik, Logosu z Ethosem, rękomię harmonijnego ich związku.

Przeczylibyśmy przeto istnieniu kategorii Logosu i Ethosu, gdybyśmy nie uznali, że naród może mieć cel, i to z własnego wyboru, z własnego popędu. A skoro możebną jest celowość narodu, otwiera się tem samem kwestja jego znaczenia pośród narodów, w obrębie danej cywilizacji.

Znaczenie pewnego narodu jest rezultatem jego kultury umysłowej, niektórych danych przyrodzonych (darów przyrody) i jego siły twórczej; wynika bowiem z tego, co naród ten posiada i do czego jest zdolny, słowem z tego: na co go stać. Cel zaś, obrany z poza własnej walki o byt, pozostając w związku z bytem narodów innych, staje się przez to samo wykładnikiem stopnia i rodzaju powszechności sprawy tegoż narodu, tj. powszechnego interesu w jego istnieniu i rozwoju, przydatności jego innym narodom. Oznaczenie sobie celu stanowi zarazem kryterjum twórczości, bo wynika z jej rodzaju, kierunku, zamiłowania, a wkracza w dziedzinę nieistniejącego jeszcze Dobra, które wypada dopiero urzeczywistnić. To też siła twórcza pewnego narodu stanowi pomiędzy jego kulturą umysłową a powszechnością czynnik stały, bez którego działalność umysłowa byłaby jałową, a znaczenie narodu wyłącznie lokalne, wobec powszechności nacechowane biernością. Bez siły twórczej niema ni kultury umysłowej czynnej, ni stanu czynnego wobec powszechności.

Rozdzielimy sobie przeto roztrząsania nasze na trzy części, w ten sposób, że nad twórczością polską zastanowimy się w części środkowej, a rozwiązanie powszechności sprawy polskiej przesuniemy do części trzeciej, że-

by móc się już powoływać na pewne wyniki części drugiej; wstępem zaś do całego przedmiotu będzie określenie stopnia i rodzaju kultury umysłowej jako materiału, na którym oprzeć się musi wszystko inne.

Zaczynamy więc od kultury umysłowej polskiej. Zbierzemy jak najwięcej faktów z n a m i e n n y c h, posługując się bezwarunkowo metodą indukcyjną, ażeby w następnych częściach operować czemś konkretnym, a nie pomysłami literackimi. Nie będziemy bujali po obłokach, lecz ziemi się trzymając, poddamy kulturę polską analizie.

Byliśmy i jesteśmy częstką cywilizacji łacińskiej, zachodnio-europejskiej. Określić dokładniej wielkość tej cząstki — toć bodaj czy nie najpoważniejsze zadanie historyka; jest w tem i obrachunek dziejowy i korzyść niezawodna z zastosowania zasady „znaj siebie samego“.

Oznaczenie czyjegoś miejsca w dorobku ogólnym cywilizacyjnym dokonywać się musi według prawidła, że równą wartość kulturalną mają ci, którzy caeteris paribus okażą równe warunki. Wydatność pracy należy oceniać proporcjonalnie do możliwości, zawisłej od warunków i okoliczności. Chodzi o to, czy społeczność pewna jest w ogólnej grupie cywilizacyjnej biernym członem, czy czynnym, czy uznać ją wypada dłużnikiem czy też wierzycielem owego ogółu; to zaś zależy od stosunku wydatności udziału w dorobku cywilizacyjnym do minimum, czy też do maximum tego, co można wytworzyć w danych warunkach. Wartość kulturalna zawisła od stosunku możliwości do faktycznego dorobku.

CZEŚĆ I.
KULTURA UMYSŁOWA.

Rozdział I.

Historyzm a podkład ludowy.

1. Historyzm.

Kultura rodzi się z tradycji i tradycją żywi; tradycja jest kością pacierzową wszelkiej kultury. Do tradycji należy z przeszłości to tylko, co weszło w świadomość następnych pokoleń i wywiera ciągle wpływ na umysły. Do narodowej tradycji należą czyny przodków takich, którzy „non omnes mortui“, współpracują z żywymi dalej z poza grobu, a nawet nieraz przodują im, posługując się pokoleniem późniejszym jako wykonawcą swych pomysłów. Obecowanie pokoleń jest zasadniczym pewnikiem doświadczenia dziejowego; z czegoż ciągłość historyczna? Niema w tem nic mistyki, sprawa jest nader prosta, a zrozumie mię wlot każdy Polak, gdy dla przykładu powołam się na fakt, jakto my wszyscy żyliśmy i pracowali pod wpływem Kościuszki i Mickiewicza, czyli tradycją kościuszkowską i mickiewiczowską.

Z faktów historycznych bywa tradycja bardzo nierównej długości czasu. Niektóra staje się stałą i wchodzi w samą istotę narodu tak dalece, iż naród ów przestałby być sobą, gdyby się jej wyzbył. Im więcej w historii faktów, nie tracących pewnej aktualności dla późnych potomków, tem bardziej skomplikowaną staje się tradycja, i tem bardziej... krępuje kroki potomnych.

Takie krępowanie współczesności przez przeszłość, jeżeli współcześni poddają mu się świadomie i chętnie — nazwijmy historyzmem.

Tradycja może być bierną i czynną. Może stanowić motyw natchnienia artystycznego, rodzaj estetyzmu lub przedmiot kultu, z odcieniem nawet religijności w mniejszym czy wyższym stopniu, a jednak nie nakładać żadnych obowiązków realnych w życiu praktycznym, prywatnym czy publicznym. Może atoli być inaczej: tradycja może być czynną w dosłownym znaczeniu wyrazu, bo pobudzać do czynów, wywoływać je i nadawać im kierunek, może być sterowniczką życia praktycznego. Obok kultury tradycji pomieści się zupełna niezależność życia współczesnego od niej (to swoją drogą, a tamto swoją), ale może również zachodzić zawistość wyraźna. Stanowi to jeden z najciekawszych przedmiotów studjum historycznego, dociekanie zawilego stosunku tradycji a współczesnego życia rzeczywistego w danym pokoleniu; jakżeż rozmaicie przedstawia się ta sprawa w rozmaitych cywilizacjach, w różnych czasach, u różnych ludów. Badanie tej strony stosunków ludzkich wprowadza równocześnie i równomiernie tak do ogólnoludzkiego widoku człowieczeństwa, jako też do szczegółowych jego działów i poddziałów w czasie i przestrzeni; wiedzie i do chwywania rysów ogólnych i uczy zarazem orientować się ściśle w przebogatem zróżniczkowaniu ludzkości. Jest to jedna z najwdzięczniejszych zaiste dziedzin badań historycznych.

Historyzm opiera się na tradycji czynnej. Nie o to bowiem chodzi, czy się rozumie życie przodków, bo to kategoria naukowa; np. możemy rozumieć doskonale urządzenia starożytne faraoniskie, a jednak nie przyśni nam się przystosowywać czegoś z nich do życia dzisiejszego; —chodzi właśnie o praktyczną doniosłość tradycji.

Historyzmu mogą być rozmaite rodzaje i stopnie, jakościowo, tudzież ilościowo. Niewszystko w przeszłości było dobrem; co więcej, niewszystko, co dobrem

było w przeszłości, zostaje dobrem dla potomnych; są rzeczy i sprawy złe zasadniczo czy z pomyłki ludzkiej, i są rzeczy, które mogą być dobrami lub złymi, zależnie od okoliczności, a zwłaszcza od czasu i miejsca, które tedy z dobrych stać się mogły w toku czasów złymi; tradycja ich przeto jest tradycją złą, i im czynniejsza, tem gorzej dla społeczeństwa. Nie wszelka tradycja stanowi dodatnią pozycję w bilansie narodowym.

Uniknęłoby się niebezpiecznej tradycji zła, gdyby się nie posiadało tradycji wogóle. Nie brak też doktrynerów, rządzących się w sprawach życia zbiorowego czystą logiką, jakby w geometrii, którzy odrzucają tradycję i w racjonalistyczny mniej lub więcej sposób snują programy społeczne, zdecydowani rozpoczynać nową erę ludzkości od daty... swego przyjścia na świat. Tacy, jedyni do burzenia, okazywali się jednak zawsze niedołączkami ostatniego rządu, gdy trzeba było coś stawiać; stać ich było i jest jedynie na domki z kart i zamki na lodzie. Niema w nich istotnej kultury czynu, bo oni znajdują się poza wszelką kulturą, do żadnej ściśle nie należąc, należeć nie chcąc, skoro zajęci są widokami wytworzenia nowej. Ale kultury nie improwizuje się; i nawet wtedy, gdy w toku dziejów ma powstać nowa, musi powstawać na podłożu dawniejszej, z niej się wyłaniając, inaczej nastaje stan akulturalny. Racjonalistyczni doktrynerowie, odrzucający tradycję, są też w społeczeństwie czynnikiem akulturalnym. Nie obarczają oni społeczeństwa niczem złym, zaczerpniętem z ujemnego historyzmu, ale zatrują je, a gdy uda się im wziąć górę, doprowadzą społeczeństwo do stanu nicości. Tradycja niewłaściwa wiedzie do szkód, ale brak tradycji jest niezawodną drogą do rozkładu, do nicości. Wszelki czyn twórczy musi należeć do pewnego systemu kulturalnego, a bez jakiejś tradycji (jakiegokolwiek) niema zgoła kultury. Czyny, zmierzające zasadniczo do wywrócenia wszelkiej tradycji, są anormalnymi wyskokami; stanowią

w umysłowości to samo, co nowotwory w ciele, których nikt nie będzie uważał za objaw siły twórczej organizmu fizycznego, za objaw zdolności wzrostu.

Odrzucenie tradycji jest tedy czemś bez porównania gorszem od wszelakich możliwych ujemnych skutków historyzmu. Od szkód jego bronić się trzeba inną drogą, a mianowicie bliższem zbadaniem jego właściwości.

Przerzućmy się teraz w roztrząsaniu tego przedmiotu do drugiego bieguna: przypuśćmy, że historyzm osiąga maximum, że wszystko a wszystko z przeszłości obróciło się w terażniejszości w tradycję czynną. Nie trudno spostrzec, że w samym takim przypuszczeniu popadamy w błędne koło. Skoro wszystko pozostaje nietknięte przez synów, stosujących się we wszystkim do ojców, zaciera się różnica pokoleń, nic się nie zmienia, a zatem... niema historii, nie może tedy być historyzmu. Zastój powszechny i całkowity sprawiłby, że zaginęłaby też sama zdolność wytwarzania tradycji, bo nie byłoby do tego pola po niedługim czasie. Gdzie nic a nic nie zmienia się, ustaje życie, zanika myśl, stępieją się odczuwanie — a skutkiem tego zabraknie wreszcie wprost materiału, z którego mogłaby się wytwarzać jakakolwiek tradycja. Gdyby stan taki miał trwać przez szereg pokoleń, zjawić musiałyby się wkońcu zmiany wsteczne, cofanie się, powrót do życia prymitywnego, do coraz prymitywniejszego. Kto wie, czy niejednym z t. zw. „ludów dzikich“ nie jest właściwie... zdziczałym, doprowadzonym do stanu „dzikości“ przez wyłuszczone następstwa zbytnio przedłużonego zastoju.

Życie historyczne mieści się przeto w granicach pomiędzy odrzucaniem tradycji, a niemożnością posiadania jej, pomiędzy całkowitem bezwzględem naśladownictwem poprzedniego pokolenia, a zatraceniem związku z jego spuścizną. Historyzm powstaje pośrodku tych ostateczności.

W społeczeństwach, wiodących życie historyczne, tj. rozwijających się przez odpowiednie dla swej pomyśl-

ności zmiany (choćby wbrew niekorzystnym warunkom), nie wszystkie przejawy życia zbiorowego przechodzą w tradycję; bywają bowiem i takie, które nie przetrwają nawet jednego pokolenia i giną; te zaś przejawy, które przechodzą w tradycję, niejednakowo długo bywają przez nią przechowywane, pielęgnowane. Tradycja przybiera w biegu czasów nowe pierwiastki, a gubi niejedne stare, podczas gdy niektóre, chociaż starsze, zachowuje. Tradycja bywa więc zmienną, ma też swą historję. Z uznawanej dziś tradycji ubędzie coś w następnych pokoleniach, może już w najbliższym, podobnie jak niema już w niej niejednego pierwiastka, który zajmował wybitne może miejsce w tradycji, uznawanej przez naszych ojców, dziadów, a tem więcej ubyłoby nam zapewne z tradycji pradziadów — jakkolwiek obok tego pielęgnujemy nadal pierwiastki jeszcze dawniejszego pochodzenia. Gdyby diagramem przedstawić historję tradycji danego społeczeństwa, wypadłoby kreślić dużo linii równoległych o najrozmaitszej długości, a nadto zaczynających się i kończących w rozmaitych miejscach. Byłyby też w obrazie tym linje przerywane; zdarza się bowiem, że pewien przejaw życia zatracą tradycję i odzyskuje na nowo w niej miejsce, porzucany i przywracany na nowo do życia. Tradycja zmienia tedy swoje kryterja, upodobania, swe pojęcie wartości, według którego rozdziela pochwały i nagany poprzednim czynom i stosunkom.

Chwałą i naganą, zawartą w tradycji, kieruje się historyzm, unikając powtórzenia się tego, co tradycja gani, starając się utrzymać, a nawet w danym razie przywrócić to, co uchodzi w tradycji za chwalebne. Życie współczesne obraca się w znacznym stopniu w granicach historyzmu, stosując do niego swe cele, wysuwając z niego swe obawy i nadzieje.

Stopień napięcia historyzmu może być rozmaity, słabszy i mocniejszy, stosownie do doniosłości tych działań życia zbiorowego, które pragniemy oprzeć na tradycji; drugorzędne już tylko ma znaczenie kwestja ilo-

ściowa, czy mniej czy więcej objawów życia zbiorowego usiłujemy sprząć z przeszłością i zachować przy żywym, aktualnym z nią związku, bo bardziej zaważy na szali historyzmu jeden dział, a zasadniczy, niż szereg spraw drobniejszych, nie posiadających rozstrzygającego wpływu na ustrój życia zbiorowego i prądy umysłowe danego pokolenia.

My tkwimy w historyzmie głęboko; od upadku państwa historyzm był naszą ostoją, a odzyskanie niepodległości pogłębia narazie jeszcze bardziej tę stronę polskiej umysłowości. Ileż-bo zawdzięczamy historyzmowi!

Pośród narodów odzyskujących niepodległość skutkiem klęski tych państw, które niegdyś Polskę rozebrały, my jedni dobijaliśmy się jej po wielekroć z orężem w ręku. Posiadamy żywą tradycję wolności i nieprzerwalność w snuciu wątku myśli państwowo-twórczej, która nigdy stłumić się nie dała ani najcięższym nawet uciskiem. Posiadamy również nieprzerwalność własnej kultury narodowej, którą doskonaliliśmy bez przerwy nawet w niewoli. W dziejach polskiej myśli niema luk; niema w historii polskiej żadnego okresu zaniku polskości (czem różnimy się od wszystkich innych Słowian). Historyzmowi obecnie nie chodzi o budowę życia narodowego wogóle, lecz tylko o uzupełnienie go własną państwowością, która to strona życia polskiego przechodzi z dziedziny teorii w praktykę codziennego doświadczenia, mając się tem właśnie doświadczeniem doskonalić.

Niepodległość stanowi podstawę naturalną życia zbiorowego w narodzie. My o tem wiemy coś więcej niż inne narody, i zdajemy sobie sprawę, jak nienaturalnem było nasze życie w ciągu dziejów porozbiorowych. Działaliśmy i rozwijaliśmy się pomimo braku własnego państwa — ale było to jakby w gorączce, a nadto jakżeż nierównomierne. Są bowiem dziedziny życia zbiorowego, dostępne w praktyce tylko dla narodów posiadających niepodległość. Teraz wiele rzeczy zejdzie z wyżyn poezji na niziny życia powszedniego, bo będą nam

potrzebne na każdym kroku, do użytku codziennego, a nie tylko dla „pokrzepienia ducha“.

Co było ideałem: państwowość polska — ziszcza się, zamienia w rzeczywistość. Wszelkie zaś urzeczywistnianie myśli pociąga za sobą sporo rozczarowań i wynikających, stąd przykrości, a mianowicie dlatego, ponieważ historycy, statyści, a tem bardziej t. zw. politycy aktualni ulegają ciągle złudzeniu, jakoby wprowadzanie czegoś w czyn mogło się dokonać, gdy rozporządza się siłami, jakie teoretyczne uprzednie rozważenie przedmiotu uznało za stosowne i dostateczne. Jest to mylne zapatrywanie. Zachodzi tu jeden z tych wypadków, w których świat fizyczny i duchowy podlega temu samemu prawidłu. Fizycy, mechanicy poznali je już od dawien, jako t. zw. „tarcie“, które uwzględnione być musi przy budowie każdej maszyny i przy najprostszycy zabiegach mechanicznych jednakowo. Lina, mająca wytrzymać napór, musi być dobrana z pośród takich, które według teoretycznych prawideł fizyki zdolne są podołać naporowi $2x = 5x$, stosownie do okoliczności; po większej bowiem części w praktyce marnuje się na „tarcie“ znacznie więcej energii, niż jej pochłania właściwa praca. Mechanik, któryby tego nie wiedział, byłby zdalny tylko do psucia robót, chociażby był znakomitością w zakresie fizyki. Otóż życie podlega również takiemu prawu „tarcia“, które występuje w całej jawności dopiero w miarę, jak się urządza państwo niepodległe.

Nasi statyści wiedzieli jasno, jakim państwo być winno; nieobcym im nawet było znawstwo sił, przy urządzaniu państwa potrzebnych. Śmiem nawet twierdzić, że przedmiot ten był wśród inteligencji polskiej dość spopularyzowany. Ale z „tarcie“ zapoznać nas może dopiero praktyka i na to niema rady. Zawody i szkody, pochodzące z nieuwzględnienia tarcia, czy też choćby z nieumiejętnego uwzględnienia go, są przeto koniecznością nieuchronną. Trzeba przecierpieć... kurs nauki o „tarcie“.

Tymczasem jednak doznawane zawody wpływają deprymująco na psychikę narodową. Im bardziej spopularyzowane były wyobrażenia o tem, jakto państwowość polska zerwie z wadami wybujałemi w „państwie nowożytnem“, im wyżej ku ideałom sięgały nadzieje, że polski ustrój państwowy będzie idealnym — tem większy ból rozczarowania. Czyż państwo nasze takie, jakim jest w rzeczywistości powszedniego z niem obcowania (z biurokracją!), jest w czemkolwiek podobne do tego marzenia, za które cierpiano przez całe pokolenia?!

Oto obok ogólnego europejskiego przygnębienia jeszcze specyficzne przygnębienie polskie...

Przeczenie chorobliwe, czy co?! Skąd takie pomięszanie kwestyj ideowych z tem, co musi być nawskroś realnem, z państwem?... zapyta „polityk“. Odpowie mu historyk: a czyż Historia nie dostarcza mnóstwa dowodów, że kwestje ideowe są właśnie najrealniejszymi (choć nie zwykli się nimi zajmować historycy niemieccy)? Czyż nie, od idei zawisł kształt życia realnego?

U każdego narodu, nie tylko w Polsce, łączy się na pewnym stopniu rozwoju ambicja polityczna z popularnością pewnych haseł niepolitycznych, mających służyć polityce za podkład polityczny i za jej wytłumaczenie. Nawet Prusacy usprawiedliwiali sami przed sobą politykę swą wobec ościennych tem, jakoby ich cywilizowali („kulturtraeger“); nawet prusactwo tedy miało swój „romantyzm polityczny“.

Pierwiastki tego objawu znajdują się wszędzie a wszędzie w cywilizacjach opartych na religjach uniwersalnych, bo dobre czy fałszywe zrozumienie takich religij, choćby nawet przekręcanie ich istoty, wiedzie do tendencyj propagandystycznych, które tak głęboko tkwią w umysłach, iż nawet objawy najgrubszej walki o byt osłania się osłonkami pseudopropagandy jakiejś, gdyż tylko religije lokalne lub plemienne udzielają sankcji gnębieniu innych ludów jako wyznawców „cu-

dzego boga“, w imię „swojego boga“. W chrześcijaństwie nawet taki, który postępuje wbrew niemu, wysilać się będzie na wynalezienie jakiegoś ogólnoludzkiego motywu na pokrycie swego postępowania.

Najgłębiej sięgnęły pierwiastki tego objawu w ducha narodu polskiego, a rzecz samą ujęto nader wielostronnie, dotykając stron ignorowanych u innych narodów, mianowicie względów etycznych. Chodzi oczywiście o etykę życia zbiorowego, a więc o kategorię, z którą inne narody nie mogąc sobie dawać rady, rozprawiły się radykalnie, zaprzeczając zgoła jej istnieniu. Podczas gdy cała Europa uznała, że polityka nie ma związku z moralnością i mieć nie może, my w XIX. nawet wieku nie opuściliśmy średniowiecznego, wiecznego marzenia. Ci, którzy każą nam się wstydzić tego, płytko myślą. Doskonałości nie osiągnie się wprawdzie nigdy, ale doskonalenie się jest pomimo to obowiązkiem. Wieczne marzenie naprowadza na coraz właściwsze drogi ku doskonaleniu się, kiedy zaniechanie marzeń może stanowić najgłębszą przyczynę cofania się i upadku. Idealny cel, im goręcej wyznawany, tem niezawodniej naprowadzi na środki realne.

Jeżeli przez „romantyzm polityczny“ rozumieć usiłowania skierowane poza bezpośrednią korzyść i poza interesy bezpośrednio własne, usiłowania ku wzmożeniu dobra powszechnego — w takim razie ów nasz „romantyzm“ datuje doprawdy jeszcze z wieków średnich.

Na soborze w Konstancji występował w r. 1417 rektor uniwersytetu krakowskiego Paweł Włodkowic z Brudzewa w obronie pogańskich ludów, w obronie swobody wiar, choćby pogańskiej wiary nawet. Potem nie przyjęła Polska mandatu kurji rzymskiej do opanowania husyckiego królestwa czeskiego, a sił swych używała na wspieranie Litwy w jej wojnach wschodnich i wplątała się w wojny z krajem, z którym nie stykała się całkiem, z Moskwą. Nastawiała głowy za innych Turkowi. W ziemiach ościennych propagowała wolności obywatel-

skie, do równości pociągała tych, nad którymi mogła była panować. A gdy sama utraciła niepodległość, gdy nikt za nią się nie ujął, walczyła „za waszą i naszą wolność“. A gdy ledwie poczyniała państwem być na nowo, zakładała ościennym państwa niepodległe krwią własnych synów, własnego panowania możliwość uszczuplając... Czyż nie możnaby streszczać historii polskiej w ten sposób? „Romantyzm“ bardzo stary, a bez końca!

Chcieliśmy zawsze czegoś ponad współczesność, a czyż dziś nie jest tak samo? Chcieliśmy zawsze nie tylko mieć korzyści, ale też być pożytecznymi. Nie pojmowaliśmy zaś pożytku nigdy poza uczciwością. I oto, co tkwi na dnie polskiego historyzmu: p o s z u k i w a n i e etycznego ustroju życia zbiorowego. Nie nasze pokolenie to wymyśliło, ale stare to dziedzictwo; im zaś starsze, im więcej pokoleń tęsknoty nas obarczają, tem cięższe nasze obawy i tem większa przykrość, żeśmy dalecy od celu. Historyzm nasz źródłem naszego obecnego przygnębienia.

Postulat etyczności życia zbiorowego stanowi cechę istotną polskości, tj. taką, bez której polskość się nie obędzie, boby przestała być sobą. Jak wszystko, co ludzkie, ma też i ta zaleta, tak wysoka, swe strony słabe, pociągając za sobą nieraz następstwa niepożądane, zwłaszcza gdy się nie ma siły do zmuszania innych, by się również liczyli z etyką. I bywaliśmy tyle już razy „mądrzy po szkodzie“, a jednak „romantyzm polityczny“, zażegnany w jednym kącie spraw polskich, wyłania się gdzieś w drugim i opanowywa umysły. Teraz np. zamiast, żeby ogół powiedział sobie, że niechby sobie państwo polskie było jak najgorsze, byle było, i oddawać się bezwzględnej radości z tego, że ono jest — my smucimy się nad ujemnymi stronami naszej państwowości, przekonani, że państwo polskie jest od tego, żeby być lepszym od innych. Teraz, skoro mamy własne państwo polskie, wszystkie polskie ideały muszą się urzeczywistnić — tak rozumuje przeciętny inteligentny Polak.

Różnica kapitalna od tylu innych narodów! Niechże kto wyliczy Ideały, przyświecające rozmaitym państwom europejskim — i potem sięgnie w polską umysłowość, a znajdzie się w jednej chwili jakby w innym świecie.

Odmienność ta stanowiła często szkopuł dla badaczy sprawy polskiej. Wszak zaczęto się zabierać z największą powagą do zmienienia charakteru narodowego, żeby wypełnić ów „romantyzm polityczny“. Kazano płakać nad historją polską, że nie było w niej Fryderyków, Mikołajów i Bismarków... Czy słusność mieli, nie mając Bismarkowi nic innego do zarzucenia, jak tylko to, że nie Polakiem był, czy też bładzili zasadniczo, próżno się o to spierać; mnie chodzi o to, jako doświadczenie uczy, że niema takiej siły, któraby nas mogła oduczyć łączenia z polityką etyki. Skoro nas tego nie oduczono w niewoli, tem mniej obecnie.

Zamiast doktrynerskich zabiegów o przystosowanie charakteru narodowego do jakiejś zgóry powziętej formuły (a zaczerpniętej ze studjów nad historją niepolską), lepiej będzie zastanawiać się nad tem, jak z charakteru polskiego wykrzesać walory polityczne.

Nasza polska metoda polityczna może się okazać wcale niegorsza od innych, jeżeli się ją należycie urobi, ukształci, ażeby mogła być nie tylko ogólnikowym wyrazem pewnego kierunku, ale narzędziem politycznym. Polskie poglądy na życie zbiorowe rozwijały się poza państwem, w okresie porozbiorowym, w wieku XIX, kiedy powstawały i wyrabiały się właśnie nauki socjologiczne w Europie. Byliśmy, jakoby fizycy lub chemicy, oddani z zapałem badaniom naukowym, lecz pozbawieni własnego laboratorium. Stąd niedomagania. Wiedzieliśmy, do czego zmierzamy, lecz poza ogólnem wskazaniem kierunku daleko nam było (i jest) do ścisłego określenia dróg; znaliśmy cel, lecz w doborze środków szwankowaliśmy, szliśmy zawsze na niepewne, padaliśmy (i padamy) ofiarą pomyłek. Mylnym atoli jest wnio-

sek, jakoby wina spoczywała w samej zasadzie polskiej; zło tkwi w niedostatecznym jeszcze opracowaniu metody. Jeszcześmy dyletanci! Historycy, statyści, prawnicy, uczeni nasi powołani zaś są nie do tego, by kontynuować próby przerobienia nas na jakiś dziwny naród myślący nie po swojemu, żebyśmy porzucili polskie poglądy, lecz do tego, by polską metodę myślenia uzupełnić odpowiednią metodą działania. Ogólnikowe rzuty myśli trzeba wykształcić w ściśle ujęty system, a luźne porywy zamienić na szczegółowo obliczony mechanizm wykonawczy.

My pragniemy być współtwórcami nowego okresu dziejów, żywymi członkami społeczności narodów cywilizowanych, spragnieni pozyskać sobie zasługi około postępu cywilizacji wogóle, a cywilizacji życia zbiorowego zwłaszcza. Niepodległość stanowi dla nas środek do tego właśnie celu. Żadną miarą nie zdołalibyśmy poprzestać na roli biernych przetwórców cudzych dzieł do własnego użytku; my chcemy sami być twórcami, a z dzieł cudzych korzystać drogą wzajemności, mając też własne do rozpowszechniania na cudzy pożytek. Powszechność czynna, europejskość myśli i pracy twórczej — to nasz żywioł. Z zasług naszej cywilizacji około ogółu narodów pragniemy wysnuć swe znaczenie. Nam bowiem potrzebne jest wewnętrzne przeświadczenie, żeśmy warci niepodległości, że wznowienie państwa polskiego potrzebne jest dla ogółu narodów miłujących wolność i dla zupełności pracy cywilizacyjnej.

Takie ujęcie ambicji narodowej, tkwiące głęboko w duszy polskiej, nie jest częścią frazeologią „romantyczno-polityczną“, gdyż wiedzie ono do zadania sobie pytania, czyśmy przygotowani należycie do spełnienia tak wielkiego obowiązku. Polak nigdy a nigdy nie ograniczał się do wywodów swych praw w Europie, lecz zawsze poczuwał się do obowiązków wobec Europy i myślał o tem, jak je spełni, gdy nabędzie do tego możliwości. Są tego ślady nader liczne a wymowne w piśmiennictwie

polkiem, w filozofji polskiej, w poezji niemniej. Wiedzie nas to do pewnej surowości względem samych siebie, do coraz większych wymagań od siebie samych, do ciągłego doskonalenia siebie. W ten sposób to, co wielu wydaje się z pozoru niebezpieczną pretensjonalnością, może stać się najlepszą rękojmią skromności, szkołą nieustannej wytężonej pracy nad sobą, połączonej z ciągłym badaniem własnej indywidualności, z nieustanną autokrytyką. Pogląd na sprawę własną, związany w myśli polskiej ze sprawą powszechną, prowadzić musi przez prostą konsekwencję z jednej strony do studjów obejmujących coraz szersze horyzonty świata — z drugiej zaś strony wymagać będzie badania siebie samych, roztrząsania naszego bilansu duchowego, moralnego. Tego rodzaju pojmowanie własnej narodowości wiedzie nieuchronnie do wniosku, że należy wpieryw spełniać obowiązki, zanimby się można było odwoływać do praw, należnych nam od ogółu narodów.

Im mocniej pożądamy europejskiego dla polskości miejsca, tem mocniej kołatać muszą w nas pytania, czy zdołamy, czy podołamy, czy się nie łudzimy, czy nie ulegniemy nadmiarowi związanych z naszym bytem spraw i zadań, czy nie przypisujemy Polsce wartości nadmiernej? Czy Europa traciła co istotnie na tem, że nie było w niej przez półtora niemal wieku państwa polskiego, i co zyskuje na przywróceniu go? Czy słuszność tylko, czy też także interes Europy wymaga, żeby popierano nasze interesy w pewnym kierunku i w pewnej mierze? Czy Polska posiada wartość dla innych i jaką? czy da się to określić ściśle, nie po literacku, lecz naukowo? A z tego dociekania konsekwentne dalsze: Czy stosunek nasz do Europy da się oprzeć na tem, do czego jesteśmy zdolni, tj. na naszej pożyteczności? A czyż to kwestja tylko dzisiejsza? Jakim był stosunek nasz do Europy pod względem politycznym i kulturalnym? czy byliśmy biernym tylko uczestnikiem kultury europejskiej, czy też umieliśmy sami jej przymnażać i doskonalić ją? Czy

stanowimy tedy część istotną Europy — i jakież nasze dla niej znaczenie?

Wątpliwości, nurtujące obecnie duszę polską, niechaj się zamieniają na badania i roztrząsania naukowe, poświęcone nauce o państwie.

Zgóry można powiedzieć, czem nauka ta będzie się odznaczać w Polsce. Sam zakres jej będzie odmienny, niż u innych narodów, a godzi się przypuścić, że zczasem rozpowszechni się polska metoda traktowania tej nauki.

I w powstaniach XIX. wieku i obecnie w wojnie tej powszechnej my dobijaliśmy się czegoś więcej, niż niepodległości, która nigdy nie była dla nas celem ostatecznym, lecz środkiem do celów jeszcze dalszych. Chcieliśmy i chcemy zająć na nowo nasz posterunek historyczny pośród narodów Europy, ażeby pracować około rozwoju nowego okresu dziejowego. My nie potrafimy być biernymi, my musimy działać na tle europejskiem; bez tego niema dla nas życia, bo dla nas życiem tylko pełnia życia. W tym najwyższy i najczulszy szczebel ambicji narodowej polskiej.

Jak wszystko ludzkie, ma i to strony ujemne, można też ponieść z tego niejedną szkodę. Grozi to wrywananiem się, zapędzeniem, rozmachem, kiedy rozsądek powiada, że im więcej ruchów, tem więcej sposobności do guza... Rozsądek stanowi część rozumu poważną, ale bądź co bądź część tylko.

Patrzmy na najrealniejszą rzeczywistość, przemawiającą faktami z sytuacji międzynarodowej, jaka wytworzyła się niemal natychmiast po upadku państw rozbiorowych. Czyżby to było wykonalnem, żeby zamknąć Polskę ściśle w granicach piastowskich? Tylu wrogów stara się o to z całych sił, zabiega o to największa międzynarodowa potęga (żydostwo), nie brak w Londynie chęci do jak największego uszczuplenia granic polskich¹⁾.

¹⁾ Pisano w pierwszej połowie sierpnia 1920.

lecz choćbyśmy mieli przejść przez piekło za życia, ostatecznie uszczuplenie Polski okaże się, niewykonalnym. Względy i potrzeby międzynarodowe prą do tego, by Polska była mocarstwem.

Siły znaczniejsze i wyższe nad siły jednego narodu, stosunki ogólnoeuropejskie nadają sprawie polskiej znaczenie europejskie i stanowi to... europejską konieczność. Działa tu siła dziejowa, potężniejsza ponad wszelki opór, jakibyśmy jej stawić mogli. Gdybyśmy chcieli być państwem biernym, neutralnym, którego celem jedynym zapewnienie sobie bezpiecznego istnienia, gdybyśmy sami usuwali się na drugi plan w polityce powszechnej, przestalibyśmy istnieć wogóle po niedługim czasie. Próbowaliśmy już raz skromnego wycofania się na stanowisko państwa drugorzędowego, usunęliśmy się za czasów saskich do zacisznego kąta — i doczekaliśmy się rozbiorów. Utrata ponowna niepodległości czekałaby nas niewątpliwie, gdybyśmy zdecydowali się prowadzić politykę niemocarstwową. Kto nie spełnia swego powołania, podrywa sam korzenie swego bytu. Zresztą, ponieważ w tym miejscu, gdzie znajduje się Polska, potrzebne jest ze względów geografii politycznej, a więc ze względów od woli naszej nawet niezależnych, mocarstwo potężne, a więc ono tu być musi; jeżeli nie chciałaby być niem Polska, musiałoby stać się niem jakieś inne państwo na miejscu Polski, a zatem: państwo Polskę zagarniające i pozbawiające ją niepodległości. Na to niema sposobu. Miejmyż otuchę, że wystarczy nam lekcja jednorazowej utraty niepodległości, i że nie narazimy się na to powtórnie. Kurczenie wszelkie polityki polskiej prowadzi i prowadzić musi do tego niebezpieczeństwa, ponieważ położenie Polski w Europie jest tego rodzaju. Zachodzi tu
v i s m a i o r.

Musimy zmierzać na nowo do pozyskania mocy, jaką posiadaliśmy niegdyś. Musimy przyszłość naszą nawiązywać do przeszłości i trwać przy historyzmie. Choćbyśmy sami byli mu nieradzi, najrealniejsze stosun-

ki popchnęłyby nas na tę drogę. Ponieważ sprawy nasze nie dadzą się żadną miarą oddzielić od spraw narodów ościennych, więc najoczywistsza rzeczywistość dookoła nas wywiera tu wpływ tego rodzaju, iż gdybyśmy wyrzekli się historyzmu, zeszlibyśmy na stanowisko podrzędne, staczając się po równi pochyłej do rzędu igraszki politycznej w ręku ościennych, którzy musieliby naśladować nasz historyzm choćby przeciwko nam, naśladowując go bodaj tylko zewnątrz (boć do istotnego naśladowania trzebaby przygotowania długich pokoleń). Gdyby Polacy zaniechali praktycznego stosowania swego historyzmu, wymyśliliby je ościenni.

Historyzm polski, toć federacja. W jakiej formie? Będzie o tem mowa niżej, że niekoniecznie w formach roku 1569 (unja lubelska) musi się mieścić historyczna myśl polska. Nie można po doktrynersku chwycić się w imię historyzmu pewnej formy z przeszłości, gdy chodzi o wznowienie dawnej myśli w nowych okolicznościach — i gdy samaż myśl wymaga uzupełnień. Czyż ideje mają być pozbawione postępu? czyż skamieniałość ma stanowić kryterjum doskonałości w zakresie idei historycznych? Nie! one także muszą rozwijać się.

Nie należy też rozumieć historyzmu polskiego, jako nawrotu nieodmiennego do granic z r. 1772. Historyzm, to coś bardziej skomplikowanego, niż taka formułka graniczna, mająca być raz na zawsze, i od wszystkiego. To tylko symbol, którego interpretacja zależy od czasu i okoliczności; ktoby rozumiał hasło „granic roku 1772“ literalnie, byłby doktrynerem, nie umiejącym zastosować w praktyce danej ogólnikowej formuły. Chodzi o to, ażeby na równinie sarmackiej było jak najmniej granic państwowych, i żeby wykluczoną była możliwość wojny pomiędzy państwami tej równiny, z zachowaniem jednak wolności wszystkich. Oto historyzm polski, a nie pewna linijka na mapie! A nużby w danych okolicznościach lepiej było inaczej wytyczać granic mocarstwa polskiego? Nużby się okazać miało, że np. lepsze pól

Śląska, niż dwie Ukrainy¹⁾? Nużby wypadło użyć energii narodowej w kierunku południowym aż na Bałkan?

Nie piszę broszury politycznej, wskazuję tylko po akademicku możliwość dążenia do celu niekoniecznie zapomocą linii roku 1772. Ostrzegam przed doktrynerstwem w historyzmie, bo doktryneryzm oddala od celu, a nie zbliża do niego; to nie latarnia, oświecająca drogę, lecz błędny ogień. Tem bardziej zaś należy tępić ślepe doktrynerstwo, im bardziej pewnikiem jest, że albo podaliśmy zadaniom naszym historycznym, albo zejdziemy znowu z mapy politycznej... Wypadło nam być albo mocarstwem, albo w najlepszym razie tolerowanym trabantem którego z państw sąsiednich, z niezawisłością tytułarną, z łaski, aż do odwołania. Taką jest sytuacja Polski zasadnicza, nie dająca się odmienić.

Zamiast tedy odwozić rodaków od wielkich szlaków polityki powszechnej, lepiej starać się o to, by rozszerzone były w Polsce wiadomości i rozmnożone talenty, potrzebne do prowadzenia takiej polityki w sposób roztropny. Błędy popełnione przy robocie nie uprawniają do wniosku, żeby przestać pracować!

Często spotkać się można z zarzutem, czy nie za wiele w nas historyzmu? i z obawami, że skutkiem zbytnej jego przewagi nie zdołamy być społeczeństwem nowożytnem, zdatnem do politycznej i ekonomicznej walki o byt w nowoczesnem współzawodnictwie państw i narodów.

Jeżeli historyzmu nazbyt, toć przez konsekwencję musiałoby być w Polsce niewiele podkładu ludowego. Przyjrzyjmy się z kolei tej sprawie.

¹⁾ Wyrażenia tego użyłem po raz pierwszy przed laty dwudziestu. Dla uniknięcia nieporozumienia dodaję, że Wileńszczyznę zaliczam do Polski etnograficznie (wiadomo każdemu geografowi, jako granice etnograficzne są zmienne).

2. Podkład ludowy.

„My wszyscy z chłopa“ — słyszy się na każdym kroku, jako spopularyzowany „pewnik“ historyczno-socjologiczny. Doktryna o rzekomem wspólnem pochodzeniu wszystkich stanów od ludu wiejskiego wytworzyła się, niby jakieś wynagrodzenie ludowi za to, że bywał tak długo zaniebdywany w społeczeństwie; przesadne ocenianie znaczenia ludu w narodzie ma niejako stanowić zwrot, chociaż spóźniony, należnych mu zaległości. Doprowadziło się do tego, że na sto osób z inteligencji dziewięćdziesiąt dziewięć gotowo przysięga, że na początku byli sami chłopi, a wszystkie inne warstwy społeczne powstały z ludu przez następne dopiero różniczkowanie. Ów wiek złoty, aurea prima aetas, to jakiś okres chłopski.

Dawniejszy przesąd o pochodzeniu szlachcica od Jafeta, a włościanina od Chama, nie był rozpowszechniony tak ogólnie, ni zakorzeniony tak głęboko, jak dzisiejszy przesąd, że nie byłoby narodu, gdyby nie było ludu wiejskiego; przesąd, jakoby lud wiejski stanowił źródłisko narodu.

W takim razie ludność Stanów Zjednoczonych albo znajduje się ciągle jeszcze w jakimś okresie przedwstępnym chyba do przedhistorycznego, albo popadła w stan niedorozwoju społecznego — boć tam niema ludu wiejskiego. Chłopa tam niema, ani też nigdy nie było — a gdy przybyły z Europy włościanin osiedli się tam na stałe, „chłopen“ być przestaje. Stany najwybitniej nawet rolnicze nie posiadają ludu wiejskiego. Podobnie mają się rzeczy w rolniczej Australji. Fakty nam współczesne stwierdzają, że kraje rolnicze mogą się doskonale obchodzić bez „chłopa“ — a zatem nie jest to prawda, jakoby chłop był pra-warstwą wszelkiego społeczeństwa.

Geneza społeczeństw bywa rozmaita. Geneza społeczeństwa polskiego jest szlachecka. W Polsce szlach-

cie stanowi warstwę najstarszą, pierwotną, bezwarunkowo starszą od ludu wiejskiego.

Niemieccy osadnicy nazwali staroniemieckim wyrazem „slahta“ ludność rodzimą polską, której cechą była organizacja rodowa; wyraz „slahta“ znaczy bowiem dosłownie to samo, co „rodowcy“. Przybysze, zorganizowani li tylko na podstawie sąsiedztwa w „gminy“, dostrzegli w organizacji rodowej zasadniczą różnicę tużemców od siebie samych. Ponieważ organizacja rodowa sięga czasów przedhistorycznych, ród zaś uzupełniał się tylko przez urodzenie (adopcja herbowa lub familijna, to sprawy znacznie późniejsze), należy przyjąć, że wszyscy rodowcy okresu piastowskiego są potomkami autochtonów z czasów przedhistorycznych¹⁾. A czyż autochtonowie mogą popaść gromadnie²⁾ we własnym kraju w stan ograniczenia wolności osobistej lub rzeczowej? Musiałby wydarzyć się jakiś szczególny fakt historyczny, któryby można było wskazać wyraźnie, jako przyczynę takiego dziwu, a którego w polskich dziejach nie było.

Tylko obcy stają się niewolnymi. Nigdzie niewolny nie bywa jednego pochodzenia etnograficznego ze swym panem; dopiero w dalszym pokoleniu może się zasymilować.

Pierwotnie jedynym źródłem niewoli była w Polsce niewola jeńców wojennych, osiedlanych w osobnych osadach pod grodami, z zajęciem przymusowem na rzecz grodu, czyli t. zw. narokiem. Narocznicy należeli do organizacji państwowej (grodowej) jako niewolnicy książy, lecz nie należeli do społecznej. To też gdy runęło państwo po katastrofie Mieszka II., a w społeczeństwie nie było dla nich miejsca, musieli je zdobywać sobie

¹⁾ „Wszyscy“ w znaczeniu reguły, której nie obalają wyjątki, które są zresztą stosunkowo zbyt nieliczne, by o nich mówić w pracy, nie poświęconej specjalnie temu przedmiotowi.

²⁾ Wypadki indywidualne nie należą tu do przedmiotu; chodzi tu wyłącznie o gromadność, stanowłość.

gwałtem; — ale skoro tylko przywrócono władzę państwową (Kazimierz Odnowiciel), nastął spokój.

Kiedy w XII. w. rozprzegła się ekonomiczna forma organizacji rodowej, t. zw. wspólnota rodowa, a rozwinęła się własność indywidualna, osobista, nastąpiła potrzeba niewolnika prywatnego jako siły roboczej. Kupowano go u Żydów. Niewolnicy prywatni nie byli jednak parobkami, pracującymi według wskazówek i planu gospodarskiego właściciela. Wszak nie znano jeszcze gospodarstwa folwarcznego. Pan wydzielał niewolnemu kawał ziemi, żeby na niej gospodarował (łowami, rybołóstwem, bartnictwem, rolnictwem), a pozostały po wyżywieniu rodziny niewolnej plon przypadał właścicielowi. Zczasem określano dokładniej ilość należnych każdej stronie plonów, oznaczano ściślej, coraz ściślej, wzajemne prawa i obowiązki. Nigdy nie istniała w Polsce niewola w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, tj. stan nie dopuszczający zasadniczo posiadania praw żadnych.

Rzecz prosta, że Żyd nie mógł w danym kraju handlować tuziemcami, lecz tylko sprowadzanymi cudzoziemcami (w olbrzymiej większości ze wschodniej Słowiańszczyzny). Ci polszczyli się po pewnym czasie i w ten sposób powstały u nas dwie warstwy rolnicze, pracujące własnymi rękoma na roli: reszta pozostała w rodowych wspólnotach ludności wolnej, „rodowej“, gospodarująca na rachunek własny, i ludność niewolna, gospodarująca na rachunek cudzy. Właściciele własności indywidualnej wyjątkowo tylko pracowali ręką własną.

Po pewnym czasie nastąpiło spolszczenie potomstwa kupionego niewolnika, a należało ono do organizacji społecznej (w przeciwieństwie do dawnych naroczników), z państwową nie mając natomiast żadnego związku.

Kupno niewolnika ustało pod wpływem Kościoła, i wtenczas zaczęto sprowadzać osadnika wolnego (od r. 1175), od którego pobierano zrazu tylko czynsze. Po najęździe tatarskim niemieckie wsi czynszowe stały się

zjawiskiem pospolitem. Skutkiem wyludnienia kraju przybyło mnóstwo ziemi niczyjej, a książę czynił nadania chętnie, nie pytając o pochodzenie, przyznając prawo własności ziemskiej chętnie wyzwoleńcom narówni z „rodowymi“, czego mamy w źródłach szereg dowodów. Pod koniec XIII. w. spotykamy się z nadawaniem ziemi na wieczystą własność nawet potomkom naroczników. Co dla rodzimej „słahty“ było już staroświeczyzną, zaczyna się odradzać wśród wyzwoleńców: i tak skutkiem najazdów tatarskich odradza się i przedłuża wspólnota rodowa.

O pozyskanie własności było łatwo, ale niekażdy chciał podjąć się trudu nowego gospodarstwa. Kto nie chciał się mozolić, lub komu nie udało się osiągnąć własności, szedł na osadnika. Właściciele prześcigali się w podawaniu osadnikom jak najlepszych warunków, dostarczali inwentarza i środków wszelakich chętnie, przyjemniej więc i snadniej było pójść na osadnika, niż gospodarować na własnym w niefortunnych warunkach, gdy się nie posiadało niczego prócz pary rąk własnych. Mnoży się tedy warstwa gospodarujących na cudzem, lecz wolnych, zwanych w źródłach „cmethones“.

Według naszych pojęć prawniczych kmieć był dzierżawcą; był bowiem wolnym, a właścicielowi opłacał pewne należności, umówione zgóry. W warstwę tę wsiąknęła większość potomstwa naroczników i niewolników prywatnych, tudzież część „szlachty“, jaka nie utrzymała się po przewrocie, wywołanym najazdami mongolskimi, przy własności osobistej. Ta warstwa dzierżawców — oto przodkowie polskiego ludu wiejskiego, którego geneza nie sięga tedy poza wiek XIII.

Reformy Kazimierza W., wynikłe z troski o powiększenie siły zbrojnej państwa, zmusiły do służby wojennej każdego właściciela ziemi, przez co zniknęła różnica między szlachtą rycerską a nierycerską. Przedtem powoływany był do wojska ten tylko, kto posiadał własność indywidualną z nadania książęcego, odtąd zaś ka-

żdy, kto z jakiegokolwiek tytułu posiadał ziemię na własność. Obok żołnierza starej daty „rodowców“, staje kmięć, który dorobiwszy się, nabył własność, i staje sołtys (miles e cmethone, miles e sculteto). Wyraźne postanowienie ustawodawstwa wiślicko-piotrkowskiego Kazimierza W., notujące „żołnierzy z kmięcia“, a więc właścicieli ziemskich, wyszłych z kmięcego stanu, świadczy o najzupełniejszej tego stanu wolności osobowej i rzeczowej.

Dzierżawa kmięcia była dziedziczna na czas nieograniczony, a wyrobiło się prawo zwyczajowe, że jest ona wieczystą. Rugować kmięcia nie wolno, chyba że byłby jawnym szkodnikiem na gospodarstwie; wolność zaś przenoszenia się ograniczona jest u kmięci temi tylko względami, jakich wymagała słusność i prosty rozsądek (wszak i dziś dzierżawca, odchodząc, musi zostawić gospodarstwo w porządku).

Za Kazimierza W. nie było ludu wiejskiego, prócz kmięci. Warstwy zagrodników i komorników powstały później, zrazu również zupełnie wolne. Za Kazimierza W. nie było całkiem ludu niewolnego, i niema mowy o jakimkolwiek poddaństwie.

W okresie piastowskim i za Władysława Jagielly ziemia miała wartość stosunkowo niewielką; w sam raz taką, iż można się było z niej utrzymać. Kto posiadał ziemi więcej, niż na własną potrzebę, rad był, gdy mógł ją wdzierżawiać innym za skromnym czynszem. Nikt nie dzierżawił więcej, niż znów tyle tylko, ile trzeba było na utrzymanie wygodne rodziny. Nikt z kmięci nie dzierżawił nigdy więcej, niż jeden łan, tj. około 30 morgów, z czego 10 morgów stało zawsze ugorem. A nie bywało w XIV w. w jednej wsi więcej, jak 7—10 gospodarstw kmięcych; sam właściciel zachowywał dla siebie jeden albo co najwyżej dwa łany. Jakkolwiek za Kazimierza W. wraz z rozkwitem miast podniosła się też produkcja zboża, znajdującego zwiększony zbyt w zamożnych miastach, jednakże i za tego króla opiekun

składał rachunki z opieki tylko z trzód, ze stadnin i z czynszów; dochód ze zboża był tedy, jeszcze bez znaczenia, z reguły nie było go całkiem.

Zaczyna się to zmieniać w XV wieku, kiedy pojawia się handel zbożowy, nastaje wywóz polskiego ziarna do Gdańska i do czarnomorskich przystani. Uprawa roli poczyną być intratną, przygotowują się zwolna gospodarstwo folwarczne. Okres przejściowy trwał przeszło sto lat; dopiero około roku 1550 można stwierdzić na pewno w każdej niemal wsi polskiej folwark i to, co początkowo nazywać gospodarstwem dworskiem. Najstarsza jednak wiadomość o założeniu folwarku pochodzi z r. 1404, a mianowicie ze wsi Świątnik pod Krakowem, własności biskupstwa krakowskiego. Co się działo przy tej przemianie gospodarstwa w Świątnikach, jest tak wymowne, że na tym przykładzie wyjaśnić można... całą dalszą historję stosunku dwóch warstw rolniczych w Polsce: szlachty i kmieci.

Otóż kiedy w roku 1404 zakładano w Świątnikach folwark, powinność uprawy gruntów folwarcznych nałożono na kmieci-dzierżawców, policzając im tę robociznę sprawiedliwie za część należytości czynszowej. Folwark był nieduży, ludność zaś wsi tak starej jak Świątniki (powstałej jeszcze z naroczników), liczna, a więc wypadło na każdego tej robocizny tak minimalnie, iż nikt nie uważał tego za pogorszenie warunków dzierżawy... A jednak z tego-to miała powstać kiedyś niewola ludu wiejskiego. Wytworzyła się bowiem tylko przez ciągłe pogarszanie warunków dzierżawy, przez nieustanne zwłaszcza przyczynianie robocizny, a zepchnięcie czynszu dzierżawnego na plan coraz dalszy. Kmieć, biorąc rzeczy ściśle formalnie — aż do końca Rzpltej nie przestał nigdy być dzierżawcą, i to dziedzicznym na wieczystej dzierżawie, jak jego przodek za Kazimierza W., a jednak istota rzeczy jakżeż się odmieniła!

Wartość ziemi w Polsce, zacząwszy podnosić się z końcem rządów Kazimierza W., rosła i rosła bez końca;

coraz więc gorzej musiało być tym, którzy się na cudzej ziemi żywili. Gdyby wartość ziemi była spadała, byłoby przeciwnie: coraz lepiej dla kmieci, a coraz gorzej dla właścicieli i także nie byłby nikt na to poradził.

Administrację publiczną wsi sprawował sołtys, posiadający cztery łany zazwyczaj, monopol karczmy i młyna, tudzież grzywny z sądownictwa pierwszej instancji. Ażeby mieć więcej gruntów do uprawy na własny rachunek, wykupywała szlachta sołectwa we wsiach, zyskując na tem około 120 morgów ziemi najlepiej uprawnej, boć gospodarstwa sołeckie bywały najlepsze. Ale pociągało to za sobą następstwa nie tylko ekonomiczne: przez wykupno takie przechodziła w ręce właściciela władza administracyjna i sądowa na wsi — i w tem geneza poddaństwa ludu polskiego. Wiejski „dziedzic“ nie dlatego stał się władcą nad chłopem, iż był szlachcicem, ale przez to, iż stał się jego sołtysem. Po pewnym czasie dokonano skupu sołectw tak dokładnie, że nie tylko zagięła dawna warstwa społeczna sołtysów, ale nawet zatarła się tradycja, jakim to sposobem szlachcic stał się samowładcą swojej wioski. Odkąd połączyły się w jednym ręku przewaga ekonomiczna z władzą administracyjną i sądową (i przynależnem prawem nakładania kar); odkąd kmieć stał się podwładnym tego samego, od kogo zawisłym był ekonomicznie — od-tąd zmiana stosunku dzierżawczego w poddaństwo mogła nastąpić samą siłą faktów, skoroby tylko nastąpiły niekorzystne dla potomków kmieci warunki osadnicze.

Sam kmieć nie upatrywał zrazu nic złego w tem, co później miało stanowić najciemniejszą stronę poddaństwa: w pańszczyźnie, która była prostym tylko ekwiwalentem czynszów. Sam kmieć nakładał pańszczyznę na warstwy wiejskie od siebie zawisłe: na komorników. Robocizna nie była bowiem zrazu oznaką poddaństwa, a tylko sposobem uiszczania się z należytości dzierżawczej. Była to dzierżawa na odrobek.

Dalszy rozwój stosunków wsi polskiej do rozrządów naszych tu nie należy — a zresztą rzecz ta jest powszechnie znana. Tylko pierwsza część tematu tego, geneza naszych wiejskich stosunków społecznych, pomowana przez ogół całkiem fałszywie, wymagała tu omówienia, ażeby zwrócić uwagę, że naszą prawarstwą społeczną nie jest wcale lud wiejski i że geneza tego ludu da się dokładnie określić historycznie, że nie tylko nie pochodzi on z czasów przedhistorycznych, ale wytworzył się w czasach stosunkowo późnych.

Pojęcia inteligencji o ludzie wiejskim mają w Polsce ciekawą historję. W XV. w. lud był wcale bliskim szlachty, przechodził często do jej szeregów, nieraz bił się dobrowolnie z nią i za nią, jak np. w bitwie pod Nakłem r. 1431 podczas najstraszniejszego najazdu krzyżackiego. W wieku dopiero XVI szlachectwo poczyna przybierać cechy kastowości, ale obie warstwy rolnicze są sobie jeszcze naprawdę bliskie. W poezji polskiej „złotego okresu“ nie brak dowodów, jak dobrze lud znany był naszym pisarzom, co wypada uważać za wskazówkę, że obie warstwy rolnicze pozostawały z sobą w stosunkach kulturalnych. Nie mówiąc o Reju, pełno aluzyj do ludu wiejskiego u Jana Kochanowskiego; u Szymonowicza zaś pod klasycznym przybraniem sielanek przeziara chłop ruski, a nieraz polski. Ileż zaś wzmianek o kmieciach i kmiołównach w całej literaturze podręcznej XVI wieku, w wierszykach ulotnych i w tem piśmiennictwie, które stanowiło ówczesne „książki do czytania“! Gdyby do ludowości wystarczało samo zajmowanie się ludem, nasza literatura „złota“ byłaby doprawdy wielce ludową, a ludowość polska zaczynałaby się już od wieku XVI.

Od drugiej połowy XVII. w. zmienia się sprawa. Wzmianek o ludzie ubywa w dziełach literackich, poezja przestaje czerpać natchnienie z tematów ludowych. Pod koniec wieku poczynają przeważać wzmianki lekceważą-

ce, coraz bardziej satyryczno-pogardliwe, a zjawiają się i czysto wzgardliwe; jeszcze tylko kiedy niekiedy w kazaniach zdarzy się, że duchowny autor pomówi serjo o wieśniakach.

W XVIII. w. nastąpiła pewna sztuczność kultury. Ginał zmysł historyczny, zanikał historyzm i jakoś równocześnie (toć fakt!) zmysł polityczny z jednej strony, a z drugiej zmysł teoretycznego orientowania się w bezpośrednim otoczeniu. Z ustaniem zajęcia dla studjów przeszłości nastąpił szczególny brak zrozumienia terażniejszości. Można obserwować nieraz w toku historii powszechniej objaw ten w różnych krajach; gdy bowiem zabraknie zmysłu historycznego, otaczające nas stosunki poczynają się wydawać czemś apriorycznym, danem zgóry, stałym, niewzruszonym. Zmysł historyczny stanowi rękojmię postępu, bo pomaga zrozumieć potrzebę zmian, a nawet konieczność samej zmienności. Tak jest! historyzm może służyć za najlepszy fundament postępu.

Sztuczność kultury trwała w Polsce krócej, niż na Zachodzie. Pokolenie z drugiej połowy panowania Stanisława Augusta jęło się naprawdę życia praktycznego, i w szeregu wybitnych osób tego czasu znać to, co nazywać możnaby miłością rzeczywistości, ukochaniem warsztatu życia. Wtargnął np. także w polskie piśmiennictwo wieśniak kosmopolityczny, stylizowany, pełen cnót i urody, jak gdyby jakie wcielenie pierwszych wierszy Metamorfoz Owidjusza. Naśladowano u nas te utwory pseudo-ludowe, ale nie przejmowano się tą sztucznością. Bo też inną była wieś francuska, a inną zgoła polska. Szlachcic francuski nie mieszkał wśród swych poddanych, podczas gdy polski siedział pośród nich na roli. To też doszliśmy w krótkim czasie do pomysłu oczynszowania, a niebawem nawet zupełnego uwłaszczenia włościan.

Niesposób oprzeć się myśli, że w krótkim stosunkowo czasie stosunki rolniczych warstw społecznych w Polsce stałyby się były zupełnie normalne, gdyby społeczeń-

stwu i państwu danem było przez jedno choćby jeszcze pokolenie rozwijać się naturalnym trybem. To atoli zostało wstrzymane.

Tem załamaniem toku polskiego rozwoju skutkiem utraty niepodległości tłumaczy się przedłużenie sztuczności w pojmowaniu ludu wiejskiego. Jeszcze „Wiesław“ Brodzińskiego jest dziwną mieszaniną owego fikcyjnego wieśniaka stylizowanego, kosmopolitycznego, z pewnem zacięciem narodowem; nie jest on jednakże wcale krakowskim chłopem, ale tylko dowodem, że poczynała rozbudzać się ochota, by odkryć polskiego chłopca dla piśmiennictwa. Miało jednak upłynąć dużo wody, zanim to nastąpiło.

Z początkiem wieku XIX; rozniłowano się tak nagle w chłopie dlatego, że uważano duszę jego za „tabulę rasą“, na której można pisać, co się komu pisać uda. Ponieważ czasy owe obfitowały w przeróżnych reformatorów, z których ani jeden nie byłby zdołał urządzić porządnie jednej gminy, ale każdy reformował zato odrazu „ludzkość całą“, więc potrzebne im było jakieś pole doświadczenia. Takim polem wydał im się „kmiotek“, jako „niezepsuty cywilizacją“ materiał, dający się urobić według życzeń reformatorów. Trwało to długo, nim się spostrzeżono, że chłop ma swój własny świat; spostrzeżono się, że chłopska głowa nie jest zupełnie pusta, że coś w niej siedzi, ale coś takiego, co reformatorom z reguły zawadza... W taki dopiero sposób doszło się do stwierdzenia osobnej chłopskiej kultury.

Tak jest; w kulturze narodowej istnieje poddział kultury ludowej wiejskiej. Składa się ona z pojęć religijnych, etycznych, prawnych, społecznych, z pojęć o życiu rodzinnem, o wzajemnym stosunku płci, z pojęcia godności osobistej, z zapatrywań na pracę fizyczną a umysłową i z zasobu wyobrażeń przyrodniczych, obejmuje też nie tylko odrębny zwyczaj i obyczaj, ale odrębne wobec współczesnego rozwoju estetycznego obawy sztuki i poezji.

Przyjęło się uważać kulturę ludową za oryginalną, za swoisty wytwór ludu; a skoro lud uchodzi za praprawstwą, całkiem tedy logicznie wysnuto wniosek o przedhistorycznej genezie pojęć i zwyczajów ludowych.

W rzeczywistości rzecz ma się atoli zgoła inaczej. Sprawa ta ma również swoją historję. Zwyczaje i pojęcia ludowe są ludowemi dziś, ale czy były niemi zawsze? Prawie na każdym kroku nabiera się wątpliwości co do tego, gdy się przedmiot podda naukowemu badaniu; często zaś ma się zupełną pewność, że nie.

Znaczną większość zwyczajów ludowych można odnieść do pewnego ściśle oznaczonego czasu, częstokroć do niebardzo dawnego okresu historycznego. Obrzędy weselne ludowe nie są po większej części niczem innym jak kopją zwyczajów szlacheckich, powszechnych po wiejskich dworach i dworkach jeszcze w XVIII. w. Mnóstwo szczegółów wieśniaczego ceremonjału towarzyskiego znajdujemy w starych podręcznikach *savoir-vivre* z wieku XVII. Zachowanie się przy stole dzisiejszego kmiecia jest też przestarzałą formą elegancji; niegdyś kasztelanki jadały tak, jak dzisiaj czynią to Maryśki.

Ledwie cząstka tego, co tkwi w kulturze ludu, jest oryginalnym jego wytworem. Lud żyje po większej części przeżytkami. Jego sztuka i literatura da się oznaczyć chronologicznie z kroniki kultury szlacheckiej; ludowem jest obecnie po większej części to, co niegdyś było szlacheckiem. Kultura ludowa powstaje przez opóźnione naśladownictwo kultury warstw bardziej ukształconych. Naśladownictwo opóźnia się czasem tak niepomniernie, iż ledwie przeżytki dostają się z dworu i z miasta pod strzechę. Skutkiem zaś rozbiorów nastąpiła taka stagnacja w rozwoju duchowym naszego ludu wiejskiego, trwająca mniej więcej do połowy wieku XIX, iż w kulturze jego od czasów kościuszkowskich aż poza „wiosnę ludów“ (1848) niewiele się zmieniło; to też dziś jeszcze

w wielu okolicach widzieć można w życiu ludu żywe muzea z połowy, a nawet z początku wieku XVIII.

Jeżeli lud wiejski, jako taki, posiada moc twórczą, artystyczną czy społeczną, czemuż nie okazuje jej dziś, będąc bardziej (i to bez porównania bardziej) oświeconym? Czemuż w naszych czasach nie powstają ludowe nowości w budownictwie ludowym, lub choćby w zdobnictwie? czemuż nie wytwarzają się na wsi nowe tańce, melodje, rodzaje poezji? Czyżby twórczość ludowa związana była z ludową ciemnotą, jako z warunkiem swym nieodzownym? Ależ to absurd.

Zadajmyż sobie pytanie, czemuż to nie wymyślił lud nic a nic w tej dziedzinie, której oddaje się w całości, wyłącznie, mianowicie w zakresie... rolnictwa? Wiemyć wszyscy, że rolnictwo ludowe, to rolnictwo złe, zacofane, pogrążone w przeżytkach; chłop najgorszym jest rolnikiem, a poprawia się w tem o tyle, o ile naśladuje rolnictwo dworu (szkoły rolnicze, zakłady dla ludu, świecą jeszcze pustkami). Czy słyszał kto kiedy o jakim najmniejszym udoskonaleniu rolnictwa, któreby wyszło od ludu? Jakżeż tedy? czyż lud zdatny jest do wszystkiego prócz rolnictwa?

Włóżmy więc między bajki popularne wyobrażenia o mocy twórczej ludu, właściwej tej warstwie w sposób szczególniejszy. Zdatność twórcza podlega u chłopu takim samym prawidłom, co u niechłopa; będzie ona wszędzie jednakową caeteris paribus. Gdyby zaś kto twierdzić zechciał, że twórczość słabnie w miarę postępu oświaty i dlatego występuje u ludu tylko w zamierzonych czasach najgrubszej ciemnoty, niechże będzie konsekwentny i pozamyka szkoły. Bo jakżeż można pozabawiać twórczości najliczniejszą warstwę narodu?

Do fałszywych pojęć inteligencji o ludzie wiejskim zaliczyć przeto należy mniemanie o starożytności objawów jego kultury. Uśmiechnijmy się pobłaźliwie, jeżeli zdarzy nam się jeszcze słyszeć, jakoby „wierzenia ludowe“, a nawet niektóre jego zwyczaje odnieść należało

do czasów pogańskich!! Odtwarzanie „mitologii słowiańskiej“ na podstawie guseł i zabobonów ludowych, toć bańki mydlane, bo owe „wierzenia“ pochodzą z wieku XVII i z początku XVIII, (które-to czasy odznaczały się wytwarzaniem zabobonów).

Należy więc znaczenie wyrazu „ludowy“ określić w ten sposób, że ludowem jest nie to, co lud wytwarza, lecz to, co w danej chwili zgodnem jest ze współczesnymi pojęciami ludowemi.

Ponieważ pojęcia te dla samej przestarzałości są odmiennie od pojęć wytwarzanych równocześnie przez inteligencję, posiadają pozory oryginalności, i to tem bardziej, im bardziej są przeżytkami. Jeżeli są to przeżytki pojęć, których tradycja nawet zaginęła pośród warstw ukształconych wyżej, natenczas posiadają one dla inteligencji znaczenie i wartość... odkrycia. Tem tłumaczy się ogromne pretjum affectionis, przywiązane do wszystkiego, co „ludowe“; spodziewamy się bowiem zawsze jakichś odkryć, mających „wzbogacać kulturę narodową“.

A jednak istnieje dziedzina, w której może nastąpić istotnie wzbogacenie przez „ludowość“, a mianowicie przez przyswojenie sobie form ludowych: dziedzina sztuki. Nic niema w dziejach pojęć zmienniejszego nad pojęcia literackie, i (na drugim zaraz miejscu) z zakresu piękna plastycznego; w tych tedy działach umysłowości następuje zastarzałość szybciej niż w innych, a skutkiem tego zachowane w ludowości przeżytki wydają się tem archaiczniejszemi, i nabierają w danym razie tem bardziej znaczenia odkryć. Tworzą się u ludu zapasy niejako archaiczne, z których poeci i artyści mogą czerpać w czasach nieurodzaju, odświeżając literaturę i sztukę bardzo skutecznie, jak uczy historia literatury, a najbardziej literatury polskiej. Oparcie poezji artystycznej na ludowej, tj. na takiej, jaka w danym czasie kursuje wśród ludu, jest faktem, znanym powszechnie. Oczywiście, muszą zachodzić inne jeszcze kategorie literackie, bo ze sa-

mą ludowością nie zaszłoby się daleko, ale bądź co bądź poezja i sztuka mogą opierać się wyraźnie na podkładzie ludowym.

Utarło się taką właśnie sztukę i poezję uważać za najbardziej narodową. Jest w tem prawdy wiele. Nie ulega bowiem wątpliwości, że co wśród ludu przyjęło się samorzutnie, to jest już naprawdę polskiem. Choćby to bowiem było pierwotnie czemś najbardziej egzotycznym, zanim doszło do ludu, musiało zostać przetrawionem, skoro on przyjął to za swoje. Lud nie przyjmuje niczego niemal w naśladownictwie ślepe, lecz asymilując, przystosowując (czasem przekręcając przez brak zrozumienia rzeczy) do siebie, a w ten sposób polszczy bądź co bądź wszystko, czego się tknie. I oto jest moc twórcza ludu wiejskiego.

Cokolwiekby tedy orzekła teoria folkloru, praktyka artystyczna zawsze może opierać się na ludowych wzorach, boć tedy prowadzi artystę częstokroć najkrótsza droga do celu. Ale nie wynika z tego bynajmniej, by pojęcia lub formy ludowe uważać za prapolskie, lub uznawać je wyłącznie polskimi.

Zwrócić należy jeszcze uwagę na inną okoliczność: podczas gdy kultura polskiego ludu wiejskiego zaznacza się wyraźnie, kultura ludu miejskiego w Polsce jest lotna i tak ciasna, że aż jednostronna. Czyż nie pozostaje to w związku z tem, że tamta korzystała z takiego oparcia, jakiego dostarczała kultura szlachecka w Polsce, kultura tak wybitna i wykończona, a także wiejska, odznaczająca się nadzwyczajną wielostronnością, tworząca świat własny, sam sobie wystarczający, gdy tymczasem mieszczachństwo nie mogło służyć ludowi miejskiemu za takie oparcie, boć samo nie zdobyło się na wytworzenie u siebie odrębnego podziału kultury narodowej. Przyczyny tej odmienności nasuną się same każdemu, obeznanemu choć zgrubsza z historją polską.

Równem prawem jak o nadmiar historyzmu mogłyby nasuwać się wątpliwości, czy nie za wiele ludowości w umysłowości współczesnego Polaka? Rola historyczna ludu wcale nie... przedhistoryczna i nie taka znaczna, jak się przesadnie o tem sądziło, a jednak wpływ ludowości tak silny, taki potężny, czy nie za wiele?

Zestawmyż teraz historyzm a ludowość polską.

3. Historyzm a ludowość.

Przez „ludowość“ rozumiemy zgodność z pojęciami, powszechnymi wśród ludu, a zakorzenionymi wśród niego drogą naturalną, nie zaś narzuconymi drogą propagandy sztucznej. Ponieważ lud wszedł w życie publiczne stosunkowo niedawno i posiada najmniej tradycji historycznej, zawiera przeto w sobie także najmniej historyzmu.

Lud skłonny jest wprawdzie krępować się w postępowaniu swem przeszłością, ale nie z historyzmu to bierze początek, lecz z konserwatyzmu, którego źródłem częścią ubóstwo, częścią ciemnota. Kto trzyma się pewnych dróg i form dlatego, że tak bywało u ojców i tylko dlatego, ten popadł w ślepe naśladownictwo przodków, podczas gdy historyzm polega na wyrozumowanym, celowym wyborze pośród form przeszłości. Niema też konserwatyzm ślepy nic wspólnego z tradycją czynną, pohudzającą do czynów, a na niej zasadza się historyzm. Krępowanie terażniejszości przeszłością nie pochodzi u ludu z celowego rozmysłu, nie dzieje się w imię pewnego hasła, nie stanowi też pewnego rodzaju intelektualizmu, lecz pochodzi właśnie z zaniedbania go. W miarę rozwoju oświaty lud nie tylko coraz mniej krępuje się przeszłością, ale nawet skłonny bywa w pewnej fazie swego rozwoju odrzucać zasadniczo wszystko, co za ojców bywało, mniemając, że postęp polega na przeciwstawianiu się przeszłości.

O konserwatyzmie chłopskim powiedzieć można, że nie pochodzi on z wyrozumowania, lecz narzucony jest ludowi okolicznościami od niego niezależnymi, a takimi, których więzy on chętnie z siebie strząsa, gdy nastają pomyślnie do tego okoliczności. Z natury lud wcale nie jest tak bardzo konserwatywnym, jak się mniema powszechnie. Nic mylniejszego jak identyfikowanie konserwatyizmu z włościąństwem, jako takim, jako czegoś nieodłącznego od ludu wiejskiego, jakoby jego cechy istotnej. Trzeba obserwować tę kwestję w okresach takich, kiedy lud wiejski ma sposobność zaniechać konserwatyizmu, kiedy może mieć wybór pomiędzy dawnym a nasuwającym się nowym kształtem życia. Nadto zaś mieć należy na uwadze, że konserwatyizm ślepy, bezmyślny, może pozostawać długo nienaruszonym, niepoprawnym w jednej dziedzinie życia, gdy tymczasem w innych mogą przejawiać się już prądy nowe. Konserwatyizm nie posiada nigdy niemal równego napięcia we wszystkich swych działach.

Któryż dział życia uważać za najelastyczniejszy, jeżeli nie ekonomiczny? Na nim odbija się najszybciej i najgłębiej wszelka zmiana, choćby nawet krótkotrwała, w układzie stosunków życia zbiorowego; możnaby o warunkach ekonomicznych powiedzieć, że ulegają każdemu podmuchowi wiatru. Z drugiej atoli strony, gdy ekonomiczne sprawy ustalą się, wywierają one wzajemnie wpływ na wszelkie inne dziedziny życia i to wpływ ogromny. Wielka zawilóść ekonomicznych spraw polega właśnie na tej ich dwoistości, że są najelastyczniejsze, a zarazem jednak najbardziej trzymają człowieka na uwięzi.

Rozwój należyty zawisł od rozmaitych wpływów, a nie najmniej od ekonomicznych. Walka o byt nie jest wprawdzie najważniejszym zadaniem człowieka, ale bądź co bądź najnaglejsem, którego nigdy nie można odkładać, którem z konieczności musi się każdy zająć i ciągle mieć z tem do czynienia.

Ilekroć nastanie zmiana stosunków ekonomicznych, społeczeństwo musi się do niej przystosować, nie chcąc być narażonem na zastój, a w danym razie nawet na śmierć. Zdolności pewnego społeczeństwa poznać najłatwiej w okresach przesileni ekonomicznych; wtenczas występuje najsilniej poradność, czy też bezradność i nieporadność.

Wspaniałym jest dla historyka ustęp z dziejów polskich po najeździe mongolskim. Podziwiamy rozwagę i twórczość owego pokolenia, jego potęgę prawdziwą w dziedzinie kultury czynu, gdy na zgliszczach tworzą nową organizację społeczną. Podobnie trzeba podziwiać, jak w drugiej połowie XIV w. umiano wlot wyzyskać nadarzący się handel lewantyński; jak potem w drugiej połowie XVI w. umiano jeszcze odeprzeć straszne przesilenie, grożące wschodniej Europie z powodu odkrycia Ameryki i zmiany dróg handlowych ogólnego handlu, a mianowicie skutkiem zamiany karawanowych dróg lądowych na oceaniczne.

Potem niestety zdolność ta zniknęła. Chłop polski okazał się jednak materiałem w tej dziedzinie jak najlepszym. Nie było tak złej konstelacji, w którejby nie umiał sobie poradzić i wywańczyć dla siebie poprawy warunków ekonomicznych. Emigracja polska zaczyna się już w XIII wieku; już wtenczas brzegi Bzury i Wieprza zarunęły się pszenicą pod polskim pługiem. Wiadomo, że nasz chłop kolonizował nawet smoleńskie województwo. Pomysłowość jego obchodziła zresztą wszelkie ustawy, knute przeciwko niemu na sejmach; wtenczas, kiedy na papierze był już przypisany do gleby, w rzeczywistości przesiedlał się jeszcze z prowincji do prowincji. Wydawał z pośród siebie regularnie warstwę niższego mieszczaństwa i polszczył niemieckie miasta w Polsce. Wchodził chłop do miasta, jako wyrobnik lub partacz rzemieślniczy, a po kilku pokoleniach polszczył to miasto i sprawiał, że patrycjuszowskie rody zaczęły się uczyć jego ję-

zyka. Nie one jego asymilowały ale on, chłop je asymilował.

Kiedy z końcem XV w. zaczyna się gospodarstwo latyfundiów, powstaje wlot nowa warstwa społeczna, t. zw. „ludzie luźni“ (homines vagi), godzący się do robót polnych; ale tylko na ograniczony termin, przeważnie do żniw, i przebiegają kraj gromadami po kilkaset nieraz osób. Za granicę państwa polskiego chadzał wieśniak już w XVI w. (na Śląsk przeważnie, na Łużyce, do wschodnich okolic Brandenburgji). Wszak istnieją konstytucje sejmowe przeciw takiej czasowej emigracji robotnika rolnego. Jest to zupełnie to samo, co owa wędrownka, znana do ostatniego roku przed wojną powszechną pod nazwą „na Saksy“. Stajemy tedy wobec bardzo starego problemu polskiego życia ekonomicznego. Nie rozwiązał go wiek XVI. W drugiej połowie XVI w. miasta zaczęły podupadać, a zatem dostarczały coraz mniej zarobków ludności włościańskiej. Ile wtenczas ludu polskiego utonęło we wschodnich prowincjach niemieckich, któż dziś to obliczy?

W czasach najnowszych lud wiejski urządził systematyczną emigrację do Ameryki, a za naszych już czasów urządził eksport swych rąk roboczych na Zachód, do Szwajcarii i Francji i Danji; wszak o emigracji zarobkowej czasowej duńskiej nie wiedziała długo inteligencja polska, co dostarcza dowodu stanowczego, aż jaskrawego, jak lud nasz umie sobie sam radzić.

Czyż przedsiębiorczość mogłaby istnieć obok konserwatyzmu ślepego, gdyby ten stanowił cechę ludu istotną, gdyby był związany z ludem nierozzerwalnie? Jest więc ta przywara ludu cechą jego tylko znamienneą, jakkolwiek najbardziej znamienneą ze wszystkich. Dzielnosc, okazywana w przystosowywaniu się do przewrotów ekonomicznych, wskazuje, że zdolność rozwojowa mieści się w ludzie na pewno, i to w stopniu niepoślednim.

Przytłumioną była jednakże zdolność ta i objawiała się tylko jakby z konieczności, w pewnych okoliczno-

ściach i w zakresie ograniczonym, bo wyłącznie w formach walki o byt. Dobro społeczne wymaga, by wszelka zdolność rozwojowa posiadała wolne przed sobą pole, bo życie zbiorowe powinno być w danym społeczeństwie syntezą możliwości rozwoju wszystkich społeczeństwa części. Te dążenia do rozwoju części mogą się krzyżować i zazwyczaj tak bywa; a więc partykularne owe siły rozwojowe wywierają na się wpływ wzajemnie. Ciągłe wzajemne oddziaływanie, i to jak najwzzechstronniejsze, wywołuje ruch i stanowi rękojmię pomyślnego rozwoju całości.

Zdrowie społeczne wymaga, by w narodzie krążyły równocześnie dwa prądy: oddziaływanie z góry w dół i z dołu do góry. W wiekach XIII—XVI znać nieraz w dziejach naszych wpływ z dołu, pochodzący od warstw mniej uposażonych na bardziej uposażone, w górę. Np. ziemiaństwo narzuca dynastji swój program narodowy i wynosi tę gałąź Piastów, która podjęła się wykonać go; Władysław Niezłomny (Łokietek) był właśnie wykonawcą dążeń stronnictwa narodowego. Za Kazimierza Jagiellończyka szlachta złamała przewagę możnowładztwa, za Zygmunta umiała wykonywać władzę. Cały humanizm składa się z mnogich objawów oddziaływania niezamożnej i społecznie niewysoko ustawionej inteligencji na warstwy kierownicze; w Polsce wpływ uczonych na kierunek państwa i społeczeństwa zaczyna się atoli wcześniej, bo już z początkiem XV wieku (o czem niżej rzecz będzie). Unja lubelska była dziełem demokracji szlacheckiej, narzuconem wielmożom. Ale od wieku XVII przestały warstwy społeczne niższe oddziaływać na wyższe i odtąd rozwój społeczny dokonywał się aż do Sejmu Wielkiego wyłącznie przez wpływy z góry w dół. Trzeciego Maja zatriumfował prąd z dołu, idący na nowo, lecz tylko na krótko. Rozbiory nadały nadzwyczajną, a niezdrową przewagę najbogatszym, aż dopiero około roku 1870 prąd demokratyczny przynajmniej w polityce mierzy się z arystokratycznym. Przed-

tem zapisać można ledwie nieudale próby prądu z dołu w górę oddziałać pragnącego.

Za naszych czasów postąpiła jednak demokracja nadzwyczaj szybko, z chyżością niesłychanie przyspieszoną. Lud miejski i wiejski wpisał się do obywatelstwa nie tylko pretensjami praw, ale też czynami zgodnemi z obowiązkiem. Do jakiego atoli stopnia społeczeństwo polskie nawykło ulegać wpływowi wyłącznie z góry, znać stąd, że pomimo ogromnego w ostatniem pokoleniu wzmożenia żywiołu miejskiego nie zanosi się wcale na wytworzenie się jakiejś osobnej kultury mieszczańskiej, lecz życie miejskie w Polsce jest ciągle jeszcze po większej części naśladownictwem szlacheckiego wiejsko-dworkowego trybu życia. Arystokratomanja wraz z życiem nad stan wyrwała też niemało sił wszystkim naszym warstwom społecznym. A czyż lud wiejski dzisiejszy nie odznacza się niesłychanie dokładnem odtwarzaniem w sobie wszystkich dawnych przywar szlacheckich?

Bądź co bądź w politycznej dziedzinie społeczeństwo demokracjuje się tak szybko, iż może demokracja ta nazbyt wyprzedza mniej rychły proces demokracji społecznej. Inteligencja, jakby to wyczuwając, stara się wytworzyć demokrację społeczną w sposób sztuczny, intelektualnie, próbując, czy pojęcia ludowe nie dadzą się zaszcześcić w narodzie zapomocą sztuki i literatury. Dziwnem zjawiskiem dziejów warstwa wyższa sama zajęła się w tym wypadku propagowaniem oddziaływania z dołu w górę, podczas gdy warstwa ludowa sama od siebie aniby się tem zajęła była, ani też przeprowadzić tego nie zdołałaby żadną miarą. Sztuczne propagowanie pojęć ludowych dokonywało się nie tylko w Polsce, lecz i w innych narodach — w przybliżeniu nawet nie tak usilnie jak u nas. Usilność ta miała zaś świetne powodzenie.

Pozostaje to w związku z nadmiernem znaczeniem literatury w ekonomice naszego życia porozbiorowego,

boć my literaturze zawdzięczamy głównie szczęśliwe tego okresu przetrwanie; wobec tego wszystko, co propagowane było drogą piśmiennictwa (a zwłaszcza poezji), nabierało doniosłości społecznej, a nawet politycznej. W taki to sposób ludowość wysunęła się na miejsce naczelne pośród haseł nowoczesnego polskiego życia zbiorowego. W porównaniu z Francją, Włochami czy Niemcami ludowość polska jest zaiste przesadną; ale tłumaczy się to całym szeregiem okoliczności tak dokładnie, że przesada owa staje się u nas czemś zupełnie naturalnem.

Dzięki przesadnej ludowości, tj. propagowaniu ludowych pojęć i tendencji, żeby inne warstwy przejmowały się owemi pojęciami, nastąpiło w Polsce zjawisko szczególnego rodzaju, a mianowicie ogromne wyprzedzanie demokratyzacji praktycznej przez teoretyczną. Polak jest też w rzeczywistości bez porównania mniej demokratycznym, niż nim być pragnie. Demokratyzacja ludowości, wyrozumowana, aprioryczna w znacznej części, robi skoki, gdy tymczasem demokratyzacja faktyczna rozwija się ewolucyjnie, jakkolwiek ewolucją przyspieszoną. Dlatego panuje w tem dość często niezgodność polskiej myśli z czynem, i skutkiem tego następują zbyt często zaburzenia w naszym rozwoju.

Szczerłość ludowości polskiej, pełna wiary w zbawczość tego środka, pełna najszlachetniejszego zapału, jest tem widoczniejsza, skoro stosunki nasze były tego rodzaju, że rozwojowi ludowości wcale nie sprzyjały. Nie przyszła ta ludowość z zewnątrz, lecz wyszła z wnętrza samegoż społeczeństwa polskiego.

Przesadna ludowość w Polsce, jako rezultat wewnętrznych naszych dziejów XIX wieku, zastanawia tem bardziej i tem mocniej przekonywa o swej szczerości, że wpływ rządów państw zaborczych niósł społeczeństwu polskiemu falę politycznego i społecznego wstęcznictwa. Wszystko, co w Polsce było ujemnego, co konstytucją Trzeciego Maja skazane już było na zagładę,

przedłużyło się dzięki rządowi rosyjskim, austriackim, pruskim. Co postanowiono w r. 1791, stanowiło dopiero początek tego, do czego zdążano w kierunku równoprawnienia stanów i demokratyzacji życia publicznego, ale początek ten zrobiony był z całą stanowczością, a przepis o przymusowej rewizji konstytucji co lat 25, zawierał wyraźną zapowiedź dalszego ciągu reform. Pomyślmyż, czy nie byłoby doszło w Polsce do urzędowego uznania zrównania stanów, do zupełnej emancypacji ludu wiejskiego i t. d. wcześniej, niż gdziekolwiek w Europie, skoro dochodziłoby się do tego na tle ustroju konstytucyjnego obowiązującego i z jego pomocą, podczas gdy inne narody musiały dopiero staczać walki o sam konstytucjonalizm; czyż nie rozwijałyby się u nas reformy demokratyczne szybciej a głębiej, gdyby były doszły do skutku bodaj dwie rewizje konstytucji Trzeciego Maja, po latach 25 i 50?

Rządy zaborcze utrwały w społeczeństwie polskim szlachecczość. Najmniej wstecznego pierwiastka niosły pod tym względem Prusy, gdzie „oświecony absolutyzm“ sam nastrojał się na ton demokratyczny, ilekroć wymagał tego interes skarbu państwa. Ale i pod pruskim rządem „junkierstwo“ posiadało i zachowało do ostatka ogromne wpływy, i do samego końca nie wygasły w państwie pruskim przywileje szlachecczości w administracji i służbie wojskowej.

Bez porównania więcej jeszcze pierwiastka arystokratycznego zawierały w sobie rządy austriackie. Sławne galicyjskie „sejmy stanowe“ stanowiły wobec polskiego systemu reprezentacyjnego cofnięcie się gdzieś poza wiek XV-y. Poza swem wstecznictwem politycznym wносиły owe sejmy w życie prowincji jaskrawe uprzywilejowanie szlachty, wobec której miasta miały na swych posiedzeniach ledwie prawo przysłuchiwania się, co panowie radzą, a chłop nie był zgoła brany w rachubę. Podczas gdy Trzeciego Maja sankcjonowano zgóry wszelkie prywatne umowy o czynsze, stawały się

umowy takie niemożliwemi pod rządem austriackim; to też prąd ten ustał niebawem. Konstytucja Trzeciego maja przewidywała reformę agrarną po latach 25, boć nie mogła ona nie mieścić się w rewizji konstytucji, gdy tymczasem rządy austriackie nie zamierzały bynajmniej zmieniać zasady ustroju społecznego; a więc żywiły wsteczne doznawały opieki rządowej, a postępowe stawały się politycznie podejrzanemi. Pod rządem austriackim nabierał „kierunek wsteczny, arystokratyczny, na nowo przewagi nad demokratycznym, snutym z tradycji Sejmu Wielkiego. Ależ bo z Wiednia narzucono nam nado nową „arystokrację“, wytwarzaną zapomocą biurokratycznych dyplomów: były to szeregi t. zw. „hrabiów galicyjskich“. Rząd wiedeński zabierał się do tego całkiem poważnie; tworzył sporo dostojęństw, dostępnych tylko „magnatom“ (tak zwano ich urzędowo), ustanawiał nawet urzędy dworskie galicyjskie, np. był między innymi „strażnik sreber koronnych królestwa Galicji i Lodomerji“ i t. p. W rozmaity sposób wytwarzał rząd austriacki w Galicji tę warstwę „magnacką“, zmuszoną następnie oprzeć się o Wiedeń, o ileby chciała utrzymać się przy swem „magnactwie“. Czyż polskie rządy niosłyby z sobą takie dążności wsteczne?

A cóż dopiero w zaborze rosyjskim! Aż do ostatniej chwili obowiązywał tam przymus stanowy; każdy obywatel imperjum rosyjskiego musiał być urzędowo szlachcicem, mieszczaninem, kupcem lub chłopem, a stan to był dziedziczny, bez względu na zajęcie. W świadectwie szkolnem, w wyroku sądowym, w pasporcie miało się wypisać na czele, do jakiego należy się stanu. Przywileje stanowe szlacheckie, uznawane i przez rząd troskliwie pielęgnowane, zwiększały zwartość i wyłączość stanową. Żywiły, które pod rządami polskimi z końca istnienia Rzplitej gotowe już były kapitulować, podniosły na nowo głowę dzięki wpływowi Moskwy — i zaczyna się w najlepsze nowy pochód wstecznictwa. Wstrzymanie demokratyzacji społeczeństwa równało się

w XIX w. wstrzymaniu rozwoju społeczeństwa. W jakież to wstecznicze wiry dostaliśmy się, skoro dopuszczenie w pewnym czasie szlacheckiej organizacji samorządnej (jakkolwiek z nader ograniczoną kompetencją) z instytucją szlacheckich marszałków gubernjalnych, wypadło uważać za postępek wobec „samodierzawia“ rosyjskiego... nam, Polakom, przywykłym do samorządu od XV stulecia? Wszakżeż aż do samego końca rosyjskich w Polsce rządów ani nawet większe miasta nie posiadały samorządu.

Pomimo wszystko dokonywała się demokratyzacja umysłów w Polsce, czego świadectwem historia uwłaszczenia włościanstwa. Kiedy nareszcie wolno było o tem mówić publicznie bez obawy zesłania na Sybir, poświadczyla nam to sama władza rosyjska, żeśmy tego pragnęli oddawna, nie mając jednak mocy wprowadzić rzeczy w wykonanie.

Generał-gubernator wileński Nazimow powiedział do przedstawicieli szlachty polskiej, zebranych na uroczystem otwarciu komitetu gubernjalnego wileńskiego d. 2. marca 1858 r.: „Z godnością i światłą wiedzą odgadując potrzeby rodzinnego kraju i stosując się do ducha czasu, Wy, panowie, pierwsi w całym państwie rosyjskiem oświadczyliście się za szlachetną dążnością ku polepszeniu bytu zostających pod waszą opieką włościan“. — Zresztą nie będę tu wyłuszczał bliżej rzeczy powszechnie wiadomej i po wielekroć już opisanej, od Stasićowej spółki hrubieszowskiej aż do rezolucyj warszawskiego Towarzystwa Rolniczego.

Mniej wiadome powszechności są zabiegi o szerzenie demokratyczne oświaty w ciągu historii porozbiorowej. W okresie stanisławowskim, w pokoleniu Trzeciego Maja zaczynał się podnosić stan umysłowy kmiecia, ale w okresie porozbiorowym nastąpił ponowny i to znaczny, upadek. Ale nie odpowiadamy tak dalece za to, co się działo w tej dziedzinie po rozbiorach. Zwróć tu

uwagę na kilka przykładów z ciekawych dziejów tej sprawy:

W diecezji przemyskiej za Franciszka II (1792—1835) uczęszczało do wiejskich szkół dziatwy w wieku szkolnym 13.702, a nie pobierało nauki 88.158 dzieci w wieku szkolnym, na 1.493.874 ogółu ludności — gdy tymczasem w ubożuchnej rzeczpospolitej krakowskiej na 106.000 ludności uczęszczało do szkół wiejskich 3.136 dzieci, a zatem stosunek frekwencji szkolnej był w „Wolnem Mieście z okręgiem“ przeszło trzy razy większy.

Rozpowszechniło się mniemanie, jakoby rządy pruskie w dziedzinie szkolnictwa posiadały wartość wyjątkowo dobrą. Rozporządzamy cyframi z ziemi wieluńskiej, która dopiero po trzecim rozbiorze przeszła pod rządy pruskie; cyfry nadające się przeto do porównania czynności Komisji Edukacyjnej z pruską. W r. 1790 było w ziemi wieluńskiej na 43 gminy szkół... również 43, z 1368 uczniami na 40.000 ludności. Gdzież w całej ówczesnej Europie wypadła jedna szkoła na niespełna tysiąc ludności? Ogólna zaś wizytacja, przedsiębrana w r. 1800 w rozległym całym zaborze pruskim wykazała zaledwie $\frac{1}{3}$ gmin bez szkoły. Dopiero rząd pruski przerwał tworzenie sieci szkół wiejskich, bo nowe zakładało tylko w osadach niemieckich, lub po miasteczkach z ludnością mieszaną, a zawsze tylko z niemieckim językiem wykładowym.

Tylko tam, gdzie choć napół istniały rządy polskie, stan szkolnictwa po wsiach podnosił się stopniowo. Na sejmie roku 1821 uważali niektórzy za stosowne wytknąć przesadę w tem, że w budowlach szkolnych wprowadzano „przepych“. Tegoż roku pojawiła się petycja, żeby szkółka założoną była w każdej wsi, a skoro zachodziły wątpliwości, czy budżet krajowy wytrzyma takie obciążenie, zjawia się propozycja radykalna, żeby koszt przerzucić na dziedziców. A we dwa lata potem... wystarał się Nowosilcow o wstrzymanie zakładania nowych szkół wiejskich. Po roku 1831 zaczyna się niebawem

formacja szkoły deprawującej ludność wiejską, aż wreszcie w r. 1851 wyszło rozporządzenie, cofające cały dorobek poprzednich pokoleń, bo zakazujące wszelkiego przymusu co do utrzymywania szkół po wsiach, a nawet co do obowiązku posyłania dzieci do szkoły. Odtąd liczba szkół poczęła się zmniejszać. Obywatel pragnący przeciwdziałać zanikowi szkoły, bywał dopóty szykanowany przez policję, aż przestał się sprawą szkolną zajmować. Wszak rząd rosyjski karał wszelkie zbliżanie się do ludu wogóle, sam zaś zaszczeplił waśń społeczną. Ci, którzy pracowali pomimo wszystko dla podniesienia włościaństwa, zapelniali więzienia.

Nie tylko o szkole wiejskiej na ziemiach polskich — o szkole pruskiej i rosyjskiej, tudzież o austriackiej aż do r. 1867, można wogóle powiedzieć, że była zaistnieniem swego stulecia. To też rosło z roku na rok spustoszenie intelektualne wśród mas szerokich. Weźmy pod uwagę cyfry z czasów ostatniego pokolenia, z naszych czasów.

W r. 1882 przypadał w Kongresówce jeden uczeń w szkole ludowej na 35 mieszkańców, a w 15 lat później już tylko na 38, a zatem liczba dziatwy wiejskiej uczącej się spadła o 8%. W r. 1882 przypadała jedna szkoła na 1925 mieszkańców, a w r. 1894 na 2150. W r. 1908 jedna szkoła na 2552 mieszkańców, gdy tymczasem przeciętna tycząca całego państwa rosyjskiego wynosiła 1967. Wydatki skarbu publicznego wynosiły w r. 1906 na jedno dziecko w wieku szkolnym (8—11 lat) na głowę 1 rb. 70 kop. przeciętnie w całym państwie rosyjskim, ale w Kongresówce tylko mniejszą część tego, bo zaledwie 69 kopiejek. Bo też w r. 1905, było w Kongresówce szkół mniej, niż w r. 1832, a $\frac{2}{3}$ ludności nie umiało czytać ni pisać.

Ogólnie wiadomo, jak starano się wbrew rządowi państw zaborczych podnosić poziom umysłowy ludu wiejskiego; z jakim poświęceniem zakładano pod panowaniem rosyjskiem rozmaite „Oświaty“, tropione przez policję carską bez porównania czujniej od najgrubszych

pospolitych zbrodni; jak władze pruskie i rosyjskie specjalizowały się do tępienia „zbrodni tajnego nauczania“. Żyją ludzie, którzy byli pracownikami ofiarnymi tej roboty narodowej (zwłaszcza dzielnymi obywatelkami okazały się w tem Polki); pamiętamy dokładnie jeszcze ich procesy i... nie dającą się niczem odstraszyć działalność ich aż do ostatniej chwili szczęśliwego za łaską Bożą odzyskania niepodległości.

Jakby na szczególne utwierdzenie: prawidła, że wszystko, co ludzkie, miewa w sobie błędy, popełniali ci pełni zasług obywatele błąd niemały, przypuszczając, jakoby istniała odrębna dla ludu „oświata ludowa“.

Sam wyraz „oświata“ stanowi w naszych umysłach z reguły pomost dla asocjacji idei do pojęcia „lud“; przez oświatę rozumie się w naszych czasach zazwyczaj oświatę „ludową“. Jest to błąd. Demokratyzacja, jak każda sprawa ludzka, musi mieć swoje pomyłki, a należy do nich wymyślenie owej specyficznej „oświaty ludowej“. Nie istnieje ona bynajmniej! Jest to czczy wymysł, ale wymysł przyjął się tak dalece, iż lwia część wysiłków oświatowych w Polsce zmierza do wytworzenia w sposób sztuczny a mozolny owej oświaty ludowej, a więc czegoś, co nie istnieje i istnieć nawet nie może. Trzeba zerwać z tym zabobonem, żeby nie marnować nadal sił oświatowych.

Oświata jest i może być tylko jedna, a nie osobna, oddzielna dla miasta a wsi, dla szlachcica a chłopca, dla księdza a kupczyka i t. p. Oświata polega na spopularyzowaniu Prawdy (religijnej, naukowej, artystycznej), a ponieważ Prawda ta sama jest dla prostaczka czy dla wielmoży, dla mędrca i dla początkującego ucznia, a zatem i oświata może być tylko jedna. Są rozmaite stopnie oświaty, ale nie różne rodzaje. Jakiemżesz zaś prawem mamy ludowi wiejskiemu wyznaczać zasadniczo niższy oświaty stopień? Przez oświatę ludową rozumie się bowiem zawsze stopień jej najniższy, oświaty minimum, „dobre dla chłopca“. Niedaleko zaszedłby chłop

polski przy takim „obroku duchowym“. Pojęcia takie, fałszywe do gruntu rzeczy, mogły ujść od biedy, dopóki wieś polska żadnej nie posiadała oświaty, póki chodziło rzeczywiście o zaszczepienie elementarnych bodaj załączków oświatowych; odkąd atoli wyszliśmy z tego pierwotnego stadium, mylne zapatrywania na oświatę wśród ludu, jakoby miała być specyficznie ludową, wiodą na manowce i opóźniają niemało dzieło napojenia oświatą wsi naszej. Zabobon „oświaty ludowej“ jest straszliwym hamulcem oświaty na wsi.

Sam lud rozumie tę sprawę najlepiej, to też nigdzie „oświata ludowa“ nie jest mu miłą; pragnie natomiast gorąco oświaty wogóle, bez owej przymieszki jakiejś ludowości i za oświatą „bezprzymiotnikową“ przepada. Zrobiono już nieraz spostrzeżenie, że lud wiejski nie lubi czytać dziełek „ludowych“, pisanych, jakby dla jakich dużych dzieci, w przekonaniu, jakoby umysł chłopski miał w sobie coś dziecinnego. Lud nudzi się nad książką „ludową“, czasem gorszy się nią, a nieraz czuje się urażonym. Kto umie przedstawić rzecz popularnie, ten trafi do ludu niezawodnie, skoro tylko oświata wśród niego osiągnie poziom odpowiedni; ale trafi zarazem do każdego czytelnika! Niema zgola żadnej osobnej metody pisarskiej „dla ludu“.

Każdy księgarz opowie, jakto książeczki, wydawane „dla ludu“, okazują się być stosownymi w sam raz dla „inteligencji“, rozkupującej je gorliwie, jeżeli tylko pisane są zajmująco. Tak jest, ta sama książka dobrą i odpowiednią jest dla wszystkich stanów jednako, jednako szerząc pośród nich oświatę. Bo oświaty nie da się nawet szerzyć w jednym jakimś stanie; ona jednakowo szerzy się lub upada we wszystkich stanach, w całym społeczeństwie równocześnie i równomiernie. Ciemny lud wiejski miewa nad sobą niebardzo oświeconych plebanów i dziedziców, ale gdy poziom oświaty podniesie się u jednego z nich, wnet podniesie się u wszystkich, przez prostą konsekwencję.

Nie możliwym jest postęp jednej tylko warstwy społecznej. Rozwój, jeżeli ma być trwałym i skutecznym, ogarniać musi równocześnie wszystkie bez wyjątku warstwy społeczeństwa.

Skutkiem tego, że nie mogła się rozwijać równocześnie kultura mieszczańska i chłopska, nastąpił wśród szlachty taki zastój kultury (czasy saskie!) że wobec tego niczem jeszcze jest zastój, na który wyrzekać można było do niedawna wśród ludu. Cokolwiek dzieje się wśród jednej warstwy społecznej, oddziaływać musi na inne; oddalmy tylko jedną z nich od pożywania owoców cywilizacji, a wkrótce same te owoce poczną gnić. Z postępu muszą korzystać wszyscy; zamknijmy wrota dla jednych tylko, a niebawem runie cały ten gmach jakoby złudzenie.

Z tego wniosek, że wszelka praca społeczna jest pracą dla wszystkich. Pracuje np. niewątpliwie dla dobra ludu wiejskiego, kto dba np. o podniesienie inteligencji duchowieństwa parafjalnego, kto organizuje mieszczaństwo do walk handlowych, kto pracuje w zakresie twórczości artystycznej — słowem, każdy a każdy pracownik przyczynia się pośrednio zarazem do tego, by ułatwić rozwój kulturalny ludu.

Przesadna skłonność do ludowości wytworzyła w polskim życiu zbiorowem metodę, polegającą na uprzywilejowaniu ludu wiejskiego ponad wszystkie inne warstwy społeczne. Takie przenoszenie dawnej szlacheckizny na lud nazwijmy ludowcością.

Ludowcość nie z ludu pochodzi, lecz propagowana wśród niego, chwyta go się równie łatwo, jak niegdyś szlacheckizna chwytała się głów szlacheckich, skoro go stawia na piedestale przywileju. Spory odłam inteligencji popiera zresztą ludowcość w najlepszej wierze, jako najgruntowniejszą rękojmię rozwoju społeczeństwa z pomocą tej warstwy, która obdarzona ma

być największą siłą twórczą, uważana nadto za prarostwą.

W zgiełkliwej gromadzie dyletantów politycznych są tacy, którzy pragnęliby, by tylko lud wiejski posiadał wpływ stanowczy w państwie, a nawet, by naród stał się wyłącznie chłopskim, żeby inne warstwy przestały istnieć, a przynajmniej żeby zeszyły na daleki plan wobec chłopa. Takie rzeczy bywały już w historii. Serbja i Czechy, tudzież Norwegja dostarczyły przykładów społeczeństw wyłącznie chłopskich. A czyż Czesi nie wyprzedzili nas pod tym względami?

Historyk musi się jednak zastrzec, że Czesi nie dlatego czynili tak dziwnie szybkie postępy w XIX w., ponieważ stali się narodem wyłącznie chłopskim, ale... pomimo tego. Gdyby bowiem byli pozostali społeczeństwem normalnem, tj. wielowarstwowem w okresie 1620—1820, nie byłiby dopuścili do germanizacji, byłiby decydowali o polityce Habsburgów i nie byłoby dziś Niemców w Chebie, ani też nie byłoby okresu pruskiego panowania we Wrocławiu, ni w Poznaniu. Z walnej bitwy na Białej Górze (1620), z walnej przegranej sprawy słusznej, zrodziło się jak zawsze w takim wypadku wiele przekleństw dla ludzkości. Czy Europa popadłaby w grzęzawisko militarizmu, gdyby w samym jej środku utrzymał się był naród czeski przy jakich takich wpływach politycznych? Ale społeczeństwo wyłącznie chłopskie wpływów nie posiadało żadnych — i nie posiadało ich, aż około połowy XIX w. zaczęło się w Czechach znowu różniczkowanie społeczne.

Jeżeli społeczność, dopuszczająca do przerostu jednej warstwy ponad inne, przestaje być społeczeństwem (normalnem), jakżeż możnaby uznać za społeczeństwo społeczność jednowarstwową? Żadną miarą. Społeczeństwo jest to społeczność różniczkowana.

W zróżniczkowanym społeczeństwie muszą być z natury rzeczy rozmaite interesy cząstkowe, opierające

się na różnicy pojęć w danym zakresie (nie mówiąc o egoizmach stanowych). Jeżeli tedy pewna warstwa staje się uprzywilejowaną i posiada przewagę polityczną nad innemi, narzuca tem samem całości swoje pojęcia.

Jeżeli narzucenie takie uda się, nastać musi stagnacja rozwoju umysłowości w danem społeczeństwie, boć i ten rozwój dokonywa się także przy pomocy różniczkowania; skoro tego braknie, obumierają całe działy życia zbiorowego, aż wreszcie społeczeństwo znajdzie się na drodze wstecznej, stając się społecznością coraz mniej złożoną. Bywają społeczności defektowne; np. polskie od „potopu“ do Trzeciego Maja skutkiem wyłączności szlacheckiej, a czeskie od bitwy na Białej Górze aż do odrodzenia w połowie wieku XIX skutkiem wyłączności ludu wiejskiego, jakkolwiek powody tej a tamtej wyłączności całkiem inne, bo tu tkwiące w sprawach zewnętrznych, a tam w wewnętrznych, skutki jednakowe: zastój. W razie narzucenia ogółowi pojęć pewnej warstwy dodać trzeba jeszcze jedną ujemną ewentualność, mianowicie pogłębienie niechęci stanowej, a w dalszem następstwie zanik zdatności do skutecznego przedsięwzięcia czynów ogólnonarodowych: upadek zbiorowej kultury czynu.

Jeżeli nie uda się narzucenie ogółowi pojęć cząstkowych, a dojdzie pomimo to do hegemonii politycznej jednej warstwy, rozstrój społeczny wstrząśnie podstawami państwa.

Najgorsza jednak zająć może ewentualność natenczas, gdy ogół inteligencji zmuszony jest stanąć w opozycji przeciw pojęciom warstwy, posiadającej hegemonję polityczną, lub choćby tylko stanowisko przewodnie. Rozbieżność pomiędzy warstwą kierującą rozwojem umysłowym, a kierującą rozwojem politycznym wychodzi w takim razie na rozbieżność twórczości umysłowej a politycznej w narodzie, z czego musi powstać po niedługim czasie rozbieżność kulturalna i to tak straszliwa, iż gdyby stan taki potrwał przez czas dłuższy, musia-

łaby rozprzęgnąć się sama więź narodowa i zagrożony byłby sam byt narodu, jako takiego, boć powstawałyby w takiej społeczności niejako dwa narody jednego języka, wzajemnie się nienawidzące i zwalczające z całych sił (w dzisiejszej Rosji dużo objawów tem się wyjaśnia).

Gdyby przeto wraz ze wznaganiem się społecznego i politycznego ludu w narodzie nastąpiło ustalenie się dzisiejszych pojęć ludowych na dłuższą przyszłość, to znaczy, gdyby lud wiejski, dochodząc do hegemonji, nie zmieniał pojęć swych, tych, jakie tkwiły w nim przed dojściem do hegemonji, natenczas nieuniknioną byłaby w narodzie rozbieżność kulturalna, gdyż pojęcia owe byłyby aż nazbyt niezgodne z tem, co inteligencja uważałaby za prawdziwe lub właściwe.

Szczęściem pojęcia ludowe są zmienne, a w Polsce okazuje lud bardzo wyraźną tendencję do asymilacji umysłowej z innymi warstwami.

Pojęcia ludowe zmieniają się ze wzrostem oświaty wśród ludu w ten sposób, iż stają się podobniejsze do pojęć panujących wśród inteligencji. Po niedługim czasie znać pewien kompromis dwóch kategorii pojęć, a stan ten, w zasadzie przejściowy, mieści w sobie, niestety, więcej stron ujemnych, niż dodatnich. Żle się dzieje, gdy stan ten przedłuża się; nieszczęściem zaś ciężkiem może być, a raczej musi, ustalenie się takiego stanu, który przez brak stanowczego określenia wyobrażeń i pojęć jest nijakością kulturalną i może się łatwo wyrodzić w akulturalność. Fatalną tedy wyrządzają szkodę narodowi ci, którzy stan przejściowy przedłużają; którzy powstrzymują lud od wyzbywania się pojęć niezgodnych z pojęciami inteligencji. Jeszcze gorzej przysługują się tacy, którzy pojęcia ludowe czynią punktem wyjścia swych doktryn. Obydwa rodzaje szkodników tych tem są niebezpieczniejsze, im więcej pośród nich dobrej woli.

Życie zbiorowe bez porównania bowiem więcej ponosi szkód od ludzi dobrej woli, lecz nieroztropnych, niż od ludzi złej woli, przed którymi ogółowi zawsze łatwiej się obronić.

Lud sam zmierza ku temu, by porzucić odrębne swe pojęcia, a zatem (choć brzmi to paradoksalnie) lud oświecający się niszczy ludowość. Jeżeli tedy lud posiada wyższy stopień oświaty zawczasu, zanim ulegnie propagandzie ludowcowości, w takim razie kulturze narodowej przynajmniej nie grozi niebezpieczeństwo. Gdyby jednak władztwo ludu dokonywało się przy zachowaniu ciemnoty ludowej, byłoby to najstraszliwszą pod każdym względem katastrofą.

Dażność ludowa do asymilacji umysłowej z warstwami nieludowymi musi w Polsce doprowadzić do wprowadzenia historyzmu pomiędzy lud wiejski. Zbyt jesteśmy przejęci historyzmem, żeby się miał nie udzielić ludowi, skoro ten lud wchodzi na drogę świadomości narodowej. Czyż nie słyszymy coraz częściej argumentów historycznych w przemówieniach zawodowych mówców „wiecowych“? Charakterystyczny to objaw.

A jest drugi, niemniej charakterystyczny. Spostrzeżono słusznie, że lud okazuje coraz wyraźniej na arenie politycznej wszystkie dawne przywary szlacheckie z XVIII wieku. Tłumaczyć to można tem, że mimowoli, ulegając pewnym siłom, wchodzi lud w kolej przeżytków szlacheckich również w dziedzinie życia publicznego, ponieważ zaś chyżość postępu wśród ludu staje się bądź co bądź coraz większą, miejmyż otuchę, że znajdujemy się już w przededniu dalszego szlachty naśladowania, mianowicie patryotyzmu jej z wieku XIX, kiedy ołbrzymia większość szlachty w imię historyzmu gotową była każdej chwili na ofiarę mienia i życia, składając w każdym pokoleniu istne hekatombys na ołtarzu miłości Ojczyzny, zapominając zupełnie o samolubnych własnych interesach. Tak jest. Widocznym jest rozpęd w tym kierunku, od szlachetczyzny do szlacheckości i szlachetności

życia zbiorowego; tradycja kościuszkowska, wspólna tej i tamtej warstwie przeprowadzi włościanina poprzez rozstaje na prawą drogę. Nie rozpaczajmyż z tego powodu, że obecnie stare wady szlachecczyzny aż rażą w ludzie wiejskim, w jego zachowaniu się wobec Ojczyzny. Naśladowanie zaczynać się zwykło od rzeczy zewnętrznych i od cech ujemnych, jako od łatwiejszych; ale to stan przejściowy.

Pilnujmy, żeby kulturę polską utrzymać na wysokim poziomie, a chłop polski wzniesie się także wyżej. Byle nauka polska, sztuka, organizacja życia zbiorowego czyniły postępy, a sprawa ludowa załatwioną będzie przez prostą konsekwencję układu sił narodowych, które samym ruchem swym lud wciągną w prąd główny życia narodowego. Niechby inteligencja mniej czasu traciła na politykowanie, a spełniała zato dokładniej pierwszy swój obowiązek, jakim jest pogłębianie wykształcenia naukowego w społeczeństwie, a i polityka potoczyłaby się lepszym torem. Troszczyń się o to, by lud, gdy dojdzie do pojęcia nie tylko praw, ale też obowiązków względem Ojczyzny, znalazł w polskości nie tylko historyzm, lecz dostateczny zasób wyrozumowanych należyście kontynuacyj polskich pojęć na nowoczesną modłę. A tego nie da społeczeństwu wykształcenie broszurkowe, do tego trzeba nauki.

W Polsce nietrudno wejść ludowi na tory historyzmu. Ułatwienie znajdzie w owej przesadzie ludowości, o której wyżej była mowa, a która będzie miała wielką praktyczną doniosłość, a nader korzystną dla ogólnej ekonomiki życia narodowego. Teoretyczne pomyłki bywały nieraz punktem zaczepienia dla praktycznych dorobków. Dowodów na to mnóstwo w historii, począwszy od odkrycia Ameryki, dokonanego dzięki myłce w obliczeniach geograficznych, aż do współczesnych niektórych odkryć chemicznych. Byle celu nie spuszczać z uwagi, byle dobra wola kierowała myślą, dochodzi się do celu i poprzez pomyłki.

Przesada ludowości nadaje taki szeroki podkład ludowy Polsce, iż ludowi musi ona być swojską. Pomyłka okaże się dobroczynną. Lud, zsolidaryzowany z polskością, nie odrzuci historyzmu, a dopomoże pozbyć się przesady w tamtej znów dziedzinie. I tak historyzm a ludowość mogą doprowadzić polskość do wspaniałej syntezy nowoczesnego życia. Jedno i drugie spełni swą rolę przygotowawczą, w czem... nie przeszkadzajmy!

Zaczęliśmy roztrząsania nasze od rozważania zarzutu, czy nie za dużo u nas historyzmu, a wypada nam z obliczeń, że raczej ludowości za dużo w ostatnich czasach, ale że może nam to wyjść na dobre, jeżeli historyzm wszczepiony będzie w ludowość.

Nie z tej tedy dziedziny mogłyby wyrastać wątpliwości, czy Polska zdoła być państwem nowoczesnem: nie stąd przeszkody do naszego celu.

Nie ulega wątpliwości, że znaczenie narodu w nowoczesnym porządku rzeczy zawisło w znacznej mierze od jego ludowości, boć bez niej naród nie zdołałby utrzymać się na powierzchni życia europejskiego, ale bez historyzmu suwałby się ledwie po powierzchni, nie zapuszczając korzeni. Możemy być najlepszej otuchy, skoro zanoszą się u nas na to, że historyzm a ludowość będą się wzajemnie uzupełniały. Nowoczesność polska, łącząc się z tradycją, na niej się opierając, wytworzy nowoczesną kulturę, a nie tylko frazeologję; postęp kultury polskiej będzie polegał na pogłębieniu jej, a nie na rozproszeniu jej pierwiastków. Dzięki historyzmowi można się wybić z pod władzy frazesu, uniknąć płytkości i czczości ludowcowości, dzięki zaś ludowości można wyrabiać na nowo kulturę czynu.

Podkład ludowy mieści w sobie nieocenione skarby Ethosu, jak wogóle wszelkie oddziaływanie z dołu w górę zawiera wiele rozmachu, dużo wzmożenia woli. Do

zdrowia społecznego trzeba jednakże, jak wiemy, drugiego jeszcze prądu: oddziaływania z góry w dół, a to mieści się w historyzmie, w pielęgnowaniu tradycji.

Stosunek myśli do czynu stanowi o zdatności osiągnięcia celu. O ile ludowość niesie z sobą pochopność do czynu, o tyle historyzm winien stanowić czynnik myśli, i przez tradycję nawiązywać do myśli poprzednich pokoleń, a wzmacniając myśl dnia dzisiejszego ciągłością myśli narodowej, wzmacniać zarazem kulturę czynu, dostarczając działalności dzisiejszej podstawy ze syntezy czynów przeszłości. W tem znaczeniu, w takim ideowym zastosowaniu staje się historyzm niepoślednią częścią Logosu polskiego.

Co historyzm rozważy, niechaj to ludowość wykona. Historyzm posiada łatwość myślenia celowego, bo tylko celowością wznosi się ku przyszłości; wszak historyzm nie jest niczem innym, jak celowym zwracaniem się ku przeszłości, ażeby sobie ułatwić osiągnięcie pewnych celów w przyszłości. Dlatego historyzm nadaje się wielce na pomost od rozumu do woli, na łącznik Logosu z Ethosem. Historyzm nie jest bowiem kategorią jakąś samego tylko intelektualizmu, gdyż zawierając w sobie wyniki doświadczenia dziejowego, zbliżony jest również do empiryzmu.

Kłóci się jeszcze kiedy niekiedy historyzm z ludowością. Logos z Ethosem w Polsce, myśl niezgodna z czynem, rozumowanie niezgodne z rzeczywistością, ale takich zaburzeń coraz mniej w dziedzinie ducha narodu. Odzyskanie niepodległości wyprowadziło wszelkie objawy tego ducha na większą i widoczniejszą arenę, a że strony ujemne krzykliwsze bywają, więcej też zwrócą na siebie uwagi, więc wydaje się, jakoby były liczniejsze i mocniejsze. Stąd pomyłki. Ale i w tym wypadku zwróćmy uwagę na coś niezmiernie prostego, choć nieraz przykre-go, a mianowicie, że trzeba nam przecierpieć kurs nauki o tarcu...

Niemaló zaburzenia w życie zbiorowe wznowionego państwa wprowadzić musi pełna wyteżenia walka o byt, gdy tymczasem chciałoby się tworzyć wartości historyczne ponad współczesnością i z poza walki o byt. Odczuwa się kulę u nogi. Nie można pracować, jakby należało i jakby się pragnęło, około wyższych celów, nie mając zapewnionego samego bytu. To samo prawidło obowiązuje pod tym względem tak życie jednostki, jako też najszerze zbiorowe: *primum vivere, deinde philosophari*. W tej kategorii tarcie trwa jednak zawsze, nigdy nie ustające; chodzi tylko o to, by nie było zbyt ostre, by społeczeństwa nie absorbowowało całkowicie przez czas zbyt długi. Na manowce zeszedłby atoli, kłoby chciał tarcie to ignorować, lub samemu odeń się usuwać.

Cel z poza walki o byt da się osiągnąć o tyle, o ile sama owa walka o byt toczona jest zwycięsko; o tem, by jej nie toczyć, rozsądny człowiek nie może ani nawet na chwilę pomyśleć, bo to absurd. Dlatego to walka o byt stanowi nawet obowiązek pierwszy, bo bez pomyślnego jej toku nie można się zabrać do spełniania żadnego a żadnego obowiązku wogóle. Ethos ulega wypaczeniu, a Logos pierzcha, gdzie nie wypełniono obowiązku pierwszego. Ethos wymaga dla siebie fundamentów; na obowiązku pierwszym wznosi się drugi i dalsze, a gdzie tak nie jest, tam owe dalsze przechodzą we frazes czyzy, nigdy nie mogąc być w czyn wcielane.

Przebiegłszy tedy w krótkości granice możliwości życia zbiorowego w dwóch zasadniczych jego kategoriach: historyzmu i ludowości, zacznijmy rozpatrywanie polskiej kultury umysłowej od sfery najbliższej walce o byt. Faktem jest, że o powodzeniu państwa rozstrzygają te same pierwiastki walki o byt, co w życiu prywatnem. Gdybyśmy byli narodem bogatym, o kwitnącym handlu i przemyśle, iluż kłopotów politycznych nie bylibyśmy całkiem zaznali!!

Trzeba przeto przyjrzeć się krytycznie naszej zdolności do walki o byt, chcąc sobie wyrobić zdanie o tem, czy nadajemy się na twórców nowoczesnej państwowości, czy możemy zająć w nowoczesnym świecie stanowisko podobne do zajmowanego zaszczytnie niegdyś w przeszłych wiekach, czy i teraz posiadamy warunki, żeby być pożytecznymi ogólnemu pochodowi cywilizacji. Czy zda się na co polskie *philosophari*, zależy od tego, czy potrafimy o własnych siłach *vivere*.

Całe nasze znaczenie zawisłe od tego, następnie i to jeszcze, czy cel nasz może posiadać wartość realną, czy też być mrzonką.

Zaczynamy dla tych przyczyn przegląd polskiej kultury umysłowej od pytania, czy umiemy wieść walkę o byt; a że walka ta toczy się przedewszystkiem około darów przyrody, ku nim tedy najpierw skierujemy swe kroki.

Może te wywody, ku którym teraz zmierzamy, wydadzą się czasem suchemi; trudno tego uniknąć, ale obawa suchości nie zwolni od roztrząśnienia kwestyj, bez których nasz przedmiot nie może się obejść żadną miarą.

Rozdział II.

Dary przyrody.

Ażeby zorientować się w żywotności pewnego narodu, nie trzeba sadzić się na dalekie czy wysokie abstrakty. Wystarczy przyjrzeć się przyrodzie kraju i badać, jak urządzone tam jest życie w najprostszych, powszednich objawach, wystarczy rozejrzeć się w sposobach jego walki o byt, boć ona zawiązką wszystkiego dobrego i złego w stosunkach ludzkich. Chodzi o to, czy uszlachetnia się czynności, wypływające z prostej walki o byt, wciągając je w zakres wyższy, bo w dziedzinę życia umysłowego. Czy doszło się np. w danym kraju do tego szczebla kultury, żeby uprawiać gospodarstwo na podłożu naukowym?

Polska jest krajem rolniczym, zapisanym w bilansie europejskim już od połowy XV w. jako „spichlerz Europy“; słusznie zaś zwrócono uwagę, że była dla niej także „spizarnią“¹⁾. Już pod koniec XIV w. przyплы-

¹⁾ Korzystam tu i w następnych rozdziałach do VI włącznie, w ustępach 4 i 6 rozdziału IX i w ustępie 5 rozdziału X, w znacznej części z materiału, nagromadzonego w dwutomowym dziele: „Polska w kulturze powszechnej“. Dzieło zbiorowe pod redakcją Feliksa Konecznego. Część I, ogólna, str. XXIII, 419; część II, szczegółowa, str. XXV, 649. Kraków 1918, staraniem i nakładem polskich Spółek oszczędności i pożyczek, pozostających pod patronatem galicyjskiego Wydziału Krajowego. — Odnaleźć właściwe miejsce bardzo łatwo wobec systematycznego układu dzieła, szczegółowego streszczenia każdego artykułu z podaniem stronicy poszczególnych ustępów, tudzież dokładnego indeksu. Sądy, czerpane od współpracowników tego dzieła, podawane są w cudzysłowach.

wało do Gdańska przeszło 300 okrętów cudzoziemskich po zboże polskie, a ruch ten wzrastał z każdym stuleciem. Olbrzymi był też zawsze eksport bydła. W wiekach XVI i XVII wywożono co najmniej 80.000 sztuk rocznie na Zachód; w czasie pierwszego rozbioru wartość wywozu za same woły wynosiła 8 milionów złp., nie licząc cieląt i wywozu solonego mięsa. Około r. 1885 sama Galicja wywoziła corocznie na zachodnie targi austriackie 85.000 sztuk wołów, 165.000 cieląt, 335.000 świń i 372.000 owięd; jaj zaś i drobiu wartości około 40 milionów koron, a Galicja przedstawiała zaledwie szóstą część zasobów polskich. Nadto stwierdzono już z początkiem XVIII w., jako „zdaje się, że niema na świecie ziemi bardziej obfitującej w konie“.

A bogactwa kopalne? Oprócz niezgłębionych zapasów Śląska Górnego, samo zagłębie węglowe Dąbrowskie liczy (w obliczeniu najbardziej pesymistycznym) 440 klm z zapasami węgla, nadającego się do wydobywania, około dwóch miliardów tonn. W pięciu kompleksach Kongresówki zalega ruda żelazna, czyniąc około 300 milionów tonn; nadto w Galicji znajdują się sferosyderyty na całej przestrzeni od Białej po Kutry, trafiają się też rudy brunatne i darniowe. Okrąg krakowski zawiera w części zachodniej cenne rudy ołowiane i najcenniejsze ze wszystkich rud krajowych rudy cynkowe. Jest w kraju ołów, jest siarka (i to obficie), jest galman, nie mówiąc o marmurach polskich, o torfowiskach i t. d. A ponad tem wszystkim królują: sól i nafta. Wosk ziemny znajduje się tylko u nas, pod względem zaś wydajności gazu ziemnego zajmuje Polska drugie miejsce na kuli ziemskiej.

Aleć dary przyrody nie stanowią jeszcze żadnego tytułu kulturalnego. Chodzi o to, jak się z nimi postępuje, czy się umie gospodarować nimi kulturalnie?

Dzieje polskiego żupnictwa sięgają wstecz bez przerw do XI stulecia; kopalnie ołowiu wykazują się przywilejami królewskimi od r. 1415 (w Trzebini), z czar-

nego marmuru w Czerny pod Krzeszowicami jest wnętrze wiedeńskiego tumu ś-go Szczepana. Gubią się w pomroku dziejów zawiązki naszych warzelni soli, tudzież wielkich salin bocheńskich i wielickich. Od wieków też towarzyszyło im podłoże naukowe. Jan Brożek wykonywał tam w XVI w. niejednokrotnie pomiary podziemne.¹⁾ Francja XV w. czerpała wzory z organizacji górnictwa polskiego (w edykcie Ludwika XI z r. 1471). Górnictwo rudy cynkowej w Krakowskim trwa od początku XVIII w. Najstarsza kopalnia węgla kamiennego (w Jaworzniu) założona jest w r. 1805, a więc wcale niepóźno w stosunku do poczynającej się ledwie wówczas „ery węglowej“ w Europie. Najnowszy zaś z produktów kopalnych, naftę, sami odkryliśmy również na naszej ziemi, i to nie mając znikąd z Europy żadnego przykładu. W r. 1853 Ignacy Łukasiewicz, prowizor apteczny we Lwowie, wydestylował z ropy właściwą naftę; pierwsza lampa naftowa oświetliła szpital powszechny we Lwowie, skonstruowana przez lwowskiego blacharza, Bratkowskiego. Pierwsza spółka do wydobywania ropy i pierwsza destylarnia 1856 r. były czysto polskie. Od r. 1859 wypiera nafta t. zw. hydrokarbid, materiał świetlny, otrzymywany z pewnego rodzaju łupku, przywożonego jako balast okrętowy ze Szkocji do Hamburga. Pierwsza ankieta celem ułożenia prawodawstwa naftowego odbyła się u nas w r. 1868. W Galicji powstały pierwsze produkty przemysłu rafineryjnego: olej solarowy i olej maszynowy (wyrabiany w Ameryce dopiero po r. 1870, a w Rosji po 1880). Starem przeto jest polskie górnictwo, a wciąż przybywało mu nowych gałęzi, od XI do XIX wieku.

Hodowla zwierząt jest też starej daty, skoro już w XVI w. panowała w rozmaitych ziemiach polskich wielka różnaitość ras, zróżnicowanych stosownie do te-

¹⁾ Do pomiarów podziemnych zbudował w r. 1795 Jan Konarzewski nowy grafometr, który zyskał w r. 1803 uznanie paryskiej Akademji Nauk.

rytorjalnych warunków przyrodzonych i gospodarskich w liczne swoiste odmiany i zawody. Różdzime bydło „czerwone“ zwraca na się coraz bardziej uwagę znawców zagranicznych, stanowiąc prawdziwą chlubę naszych zabiegów hodowlanych. O krótkouche świnie nasze dopytywano się jeszcze przed niewiele laty celem wywozu na materiał rozplodowy do Anglii. Są polskie rasy kóz, są też królików, a wśród drobiu słyną nasze „zielononóżki“, jako najbardziej jajonośne. Cóż mówić o koniu? Wszak język nasz posiada 74 nazw na konia, wśak w polskiej sztuce (Kossak) odtworzony on z największym zamiłowaniem. Mnogość stadnin zadziwiała zdawien cudzoziemców, a polski koń bojowy był naszą specjalnością...

Uczestnictwo polskie w nauce zootechnicznej zaczyna się od r. 1570. Dzieło Adama Micińskiego „O ograch i świerzopach“ wyprzedziło o ośm lat pierwszą niemiecką książkę o koniach. W r. 1608 drukuje się „Hippika“ Dorohostajskiego i odtąd dział ten uprawiany bywa bez przerwy aż do naszych czasów. „O psiech gończych“ publikuje w r. 1608 Jan Ostroróg. Ichtjologia polska poczyna się również w XVI jeszcze wieku (Strumieński). Biblijografia polska odznacza się tu pewną ciągłością aż do czasu, kiedy oparto się na ścisłej metodzie naukowej, o czem będzie słówko niżej.

Polskie piśmiennictwo rolnicze zaczyna się od r. 1549, a więc bardzo wczesnie. W najgorszym okresie dziejów polskich, w wieku XVIII., wyszło 146 dzieł polskich treści rolniczo-technologicznej. Szkolne nauczanie rolnictwa zaczęło się u nas w r. 1774. Wiekopomna Komisja Edukacyjna, owo pierwsze w Europie ministerstwo oświaty, kazała nauczać rolnictwa i ogrodnictwa praktycznie w szkołach elementarnych, a w wydziałowych także w formie wywodów wykładowych po dwie godziny tygodniowo, począwszy od klasy trzeciej. Wyprzedziła tem Polska inne organizacje nauczania publicznego w ca-

łej Europie. Naogół sprawy rolnicze nie stały u nas ni gorzej, ni niżej, niż we Francji lub w Niemczech; zresztą kiedy r. 1783 ustalono ostatecznie program wykładów rolniczych, wciągnięto do prac tych także współpracowników obcych, specjalistów Borelli'ego z Berlina i Francuza Dupont de Nemours.

Dopiero od początku XIX wieku zaczynają się w Europie studia rolnicze teoretyczne, istotnie naukowe. Nie spóźniła się w tem Polska, a jeżeli w czemś wyprzedzono nas o lat kilka lub kilkanaście, wyda się stosunek ten raczej pospieszmem zrównywaniem kroku, skoro zważymy, że Polska właśnie przestała być państwem niepodległym, a Napoleon niepodległości prawdziwej bynajmniej nie przywrócił. Księstwo Warszawskie było przez cały czas istnienia (1806—1814) tylko obozowiskiem napoleońskiem, a „Królestwo“, utworzone (z mniejszej połowy Księstwa) na kongresie wiedeńskim 1815 roku, stanowiło doczepek tylko do imperjum rosyjskiego, zależne od Petersburga nie tylko politycznie i ekonomicznie, ale w znacznym stopniu nawet pod względem administracyjnym.

Już tedy w r. 1810 zabiera się warszawskie Towarzystwo Gospodarczo-rolnicze do „ameljoracji gospodarstwa krajowego przez pisma“, a w Łomnej na Podlasiu miano założyć instytut rolniczy doświadczalny. Dalsze wojny napoleońskie i przewroty polityczne przerwały wykonywanie projektu. Jedna z pierwszych w Europie powstała jednak w Wilnie katedra gospodarstwa wiejskiego, skoro tylko udało się odzyskać uniwersytet wileński dla kultury narodowej. We dwa lata potem urządziło Królestwo Kongresowe Instytut agronomiczny w Marymoncie pod Warszawą, zaopatrzony w obszerne pola doświadczalne.

Pozbawionemi natomiast wiedzy rolniczej miały pozostać zabory austriacki i pruski. Napróżno upominał się galicyjski „sejm stanowy“ 1823/24 r. o założenie szkół rolniczej, leśnej i weterynarskiej. Wkrótce zamknięto

uniwersytet wileński za to, że Litwa stała w powstaniu 1831 roku za jedno z Polską. Główny wileński profesor rolnictwa Oczapowski przenosi się natenczas z Wilna do Marymontu, gromadząc koło siebie grono wyborowe pracowników naukowych. Niebawem zaczynają wychodzić słynne „Roczniki Gospodarstwa Krajowego“ (od r. 1824), a w r. 1858 uzyskano nareszcie po długoletnich staraniach u rządu rosyjskiego pozwolenie na założenie Towarzystwa Rolniczego. Jak wielką i zaszczytną rolę spełniło ono w dziejach narodowych, wiadomo każdemu Polakowi. Wiadomo i to, że danemu było istnieć zaledwie trzy lata, a jednak starczył mu ten czas krótki, by poprawiać dolę ludu, organizować ziemian i szerzyć wiedzę zawodową. Rozwiązanie Towarzystwa w r. 1861 stało się wstępem do najsmutniejszego okresu dziejów porozbiorowych, i odtąd aż do r. 1890 nie było w Kongresówce żadnego towarzystwa rolniczego, bo rząd nie dopuszczał żadnego stowarzyszenia się.

W r. 1862, jeszcze tedy przed wybuchem powstania styczniowego, zawieszono „Roczniki“, a zakład marymoncki przeniesiono dalej od Warszawy, reorganizując go w „Instytut Rolniczo-Leśny“ w Puławach. Powstanie przerwało atoli te prace, a gdy rząd rosyjski podjął je na nowo w r. 1869, powstał z tego rosyjski „Instytut Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa“. Narazie pozostawiono przynajmniej polskich profesorów, a ci, chociaż zmuszeni do wykładania i prowadzenia administracji po rosyjsku, stanowili bądź co bądź jakiś punkt oparcia dla polskiej pracy naukowej rolniczej. Usuwano ich jednak stopniowo, przysyłając na ich miejsce Rosjan, aż w r. 1889 został się jeden tylko Polak obok 14 profesorów rosyjskich. Ci nie znali zgoła kraju, nie mieli pojęcia o naszych warunkach gospodarczych, to też „Instytut“ stracił wszelkie znaczenie dla polskiego rolnictwa; liczył też w ostatnich latach ledwie 20 (dwudziestu) uczniów.

Podczas gdy wszędzie w Europie rząd stawał na czele postępu w gospodarstwie, popierając z całych sił

rozwój wiedzy rolniczej, w Polsce jedyny rządowy zakład tego rodzaju był... antypolskim.

Spółczeństwo byłoby chętnie zakładało i utrzymywało środkami prywatnymi niejedyn taki zakład, ale długo rządy zaborcze nie dopuszczały tego. Wszak nie dopuszczano ani nawet towarzystw kredytowych rolniczych! Od r. 1822 kołatać trzeba było w Wiedniu przez 19 lat, zanim zezwolono w r. 1841 na założenie galicyjskiego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego we Lwowie. Na Towarzystwo Gospodarskie uzyskało się zezwolenie dopiero w r. 1845; ale tegoż jeszcze roku odmówiono pozwolenia na towarzystwo akcyjne budowy spichrzy zbożowych!

Po wielu zachodach udało się wreszcie galicyjskiemu Centralnemu Towarzystwu Gospodarskiemu we Lwowie założyć w r. 1856 wyższą szkołę rolniczą w Dublanach pod Lwowem. Podobnemuż Towarzystwu w Wielkiem Księstwie Poznańskim powiodło się aż dopiero w r. 1870 otrzymać zezwolenie na wyższą szkołę rolniczą, którą ziemianie wielkopolscy wyposażyli z prywatnych swych funduszków i założyli w Żabikowie pod Poznaniem.

Pomimo ciężkich warunków rozwijała się jednak polska wiedza rolnicza, czynna zawsze w naukowym ruchu europejskim. Dowodem, że również inżynierja polska wyrabiała w swym zakresie specjalny dział rolniczy, choćby dwutomowa „Hydraulika agronomiczna“ Józefa Spornego (1860—1861).

Po Marymoncie zostało wspomnienie „marymonckiej maki“, która weszła w przysłowie na świadectwo uprawiania selekcji ziarna w tym zakładzie. Metodyczna taka selekcja zaczyna się w Anglii w r. 1819, we Francji w r. 1825, podczas gdy Niemcy są w tym przedmiocie bardzo spóźnione, gdyż ich hodowle pszenicy poczynają się rozwijać na dobre dopiero około r. 1860. W Polsce kwitnęła za dawnych jeszcze czasów hodowla sadownicza i zbożowa. Wytworzyły się u nas trzy główne rasy

pszenicy ozimej, a z nich dalsze odmiany. Dochowały się następnie ciekawe wiadomości o postępowaniu co do doboru nasion pszenicy „kujawskiej“ (z r. 1859), w Płockiem „sarnowskiej“, a potem i „puławskiej“, niewiele zaś później rozwinęły się hodowle w Wysokiem Litewskiem (koło Brześcia Litewskiego) i w Dańkowie w powiecie grójeckim, ta ostatnia sięga już doby nowszej, gdyż powstała w r. 1880.

Świetna praktyka hodowlana szerzyła się i bez opieki rządu po całej Polsce, a towarzyszyła temu teoria uczona. W Żabikowie było skrajne skrzydło opozycji przeciw panującej powszechnie teorii Liebiga, nie uwzględniającej roli azotu, a głoszącej prawo bezwzględnego zwrotu pokarmów roślinnych, zabranych glebie. Gdy w r. 1869 akademja rolnicza w Bonn-Poppelsdorf na ogłoszonym przez się konkursie przyznała nagrodę pewnej pracy, miażdżącej wprost teorię „mineralną“ Liebiga ze stanowiska nowej szkoły „ekonomicznej“, okazało się, że autorem jej jest polski „ekonomista rolniczy“, Dr. Juliusz Au. Jego też powołano na dyrektora do Żabikowa, gdzie atoli ledwie ośm lat pracował, gdyż rząd pruski, niechętny rozwojowi rolnictwa wśród swych polskich poddanych, zamknął nam tę szkołę w r. 1878. Jak niegdyś Oczapowski przenosił się z Wilna do Marymontu, podobnież peregrynował teraz Au z Żabikowa do Dublan.

Odtąd aż do r. 1890 były „Dublany“ jedyną wyższą uczelnią rolniczą w Polsce. Od r. 1878 zamienioną na Akademię, przeszła na etat publiczny, krajowy (nie państwowy). Celowała doborowem gronem profesorskiem. Obok dyrektora Aua odznaczał się najbardziej profesor Emil Godlewski, którego imię stać się miało sztandarem polskiej wiedzy rolniczej.

W r. 1870 rozpoczął Godlewski, wspólnie z Dobrskim swe prace nad absorbcyjnymi właściwościami ziemi ornej. I on szedł przeciw Liebigowi, a zarazem wykazał mylność mniemania Briosi'ego, jakoby tłuszcz był pierwszym produktem przyswajania: wykazał, że jest

nim skrobia. W następnych latach (1872—73) odkrył, że rośliny mogą sobie przyswajać kwasu węglowego kilkadziesiąt razy więcej, niż go znajduje się normalnie w powietrzu. Stwierdziły też późniejsze badania nasuwający się z tego wniosek, że w dawniejszych okresach geologicznych było w powietrzu daleko więcej bezwodnika węglowego. Wszystkim studjom Godlewskiego towarzyszą cenne, doniosłe dla nauki odkrycia. Badając biologię t. zw. wyflonienia, obmyślił przy tem własną metodę eksperymentalną przez co wprowadził tę część fizjologii roślin na nowe tory. Epokowe wprost znaczenie mają jego badania nad wzrostem roślin i nad oddychaniem roślinnym, a wyniki tych studjów weszły już we wszystkie podręczniki fizjologii. Wielkie ożywienie wśród fizjologów wywołał ogłoszoną r. 1884 własną teorią ruchu wody w roślinie, która rozbiła świat naukowy na dwa obozy. Ale to wszystko — częścią dopiero jego zasługi naukowej. Studjami nad rozkładem białka zdobył sobie miejsce pierwszorzędne w nauce europejskiej, tak dalece, iż bez niego niepodobna wyobrazić sobie chemii rozwoju białka; cały ten dział nauki związany jest najściślej z imieniem polskiego uczonego. Podobnie odznaczył się przy badaniach drobnoustrojów zamieniających amonjak na azotyny. Wyniki jego dociekań nad nitrifikacją przyjęły się powszechnie. Żeby tu dotknąć po słówku najważniejszych tylko działów czynności naukowej Godlewskiego, wspomnijmy jeszcze, jak sprostował błędne mniemanie szkoły wiedeńskiej co do żużli w rolnictwie. W r. 1900 wykazał mianowicie „dowolność i bezpodstawność wiedeńskich badaczy Meissla i Reitmeira, gdy ci każą rolnikom płacić za całą ilość kwasu fosforowego w żużlach bez względu na jego rozpuszczalność (w płynie cytrynianowym)“. Czerpało się po wielekroć wskazania praktyczne ze studjów Godlewskiego.

Odkrycia jego, posiadające trwałe znaczenie dla nauki, dokonane były niemal wyłącznie (gdyż prócz niedługich tylko pobytów w Jenie i Wuerzburgu) w polskich

laboratorjach (Warszawa, Kraków, Lwów politechnika i Dublany), co nieobojętne dla polskiej kultury naukowej.

W r. 1890 powstaje przy uniwersytecie Jagiellońskim Studium rolnicze, a Godlewski obejmuje jego kierunek. Pod jego przewodem rozwija się Studium świetnie. Szereg nowych katedr i pracowni zezwala na szybsze tempo rozwoju polskich badań naukowych, a z laboratorjów coraz obfitsze wychodzą plony.

Tegoż roku 1890 dozwolono w Kongresówce przynajmniej na okręgowe towarzystwa rolnicze, a w 7 lat potem uzyskano wreszcie możność utworzenia organizacji na wielką skalę, Centralnego Towarzystwa Rolniczego. Poczynają się w Kongresówce mnożyć stacje doświadczalne, a wszystkie kosztem prywatnym. Rozszerza się znakomicie prąd polskiej wiedzy rolniczej.

Istnieje cała szkoła Godlewskiego, zaczynająca się od Jentysa i Polzeniusa, współpracowników nad oddechaniem śródrobinowem, a wydająca wciąż nowe imiona ku zaszczytowi nauki polskiej. Jentysa gruntowne badania nad skrobią odbiegły od powszechnych do niedawna, a mylnych o tym przedmiocie wyobrażeń; on też był pierwszym, który wykazał, jak ogromna zachodzi różnica w przyswajalności azotu moczu i kału zwierzęcego i on wykrył szkodliwy wpływ większej ilości kału na vegetację. Obok Jentysa zaznaczył się wybitnie badaniami nad źródłami azotu Rogoyski, sprostował błędy nauki niemieckiej i dał pierwszy całkowite bilanse azotu. W dziedzinie nitryfikacji ważne są spostrzeżenia Niklewskiego (który wykazał korzystny wpływ próchnicy na nitryfikację) i Karpińskiego.

Tak pod najlepszymi auspicjami rozwinęła się szkoła Godlewskiego, rozkwitająca w naszych oczach coraz wspanialej.

Obok Godlewskiego stoi odmienna całkiem indywidualność Adama Prażmowskiego. Tamten wyłącznie uczony, pośrednio tylko odnoszący się do praktyki, o ile

nauka jego stawała się „stosowaną“, ten zaś wrywa się z laboratorium na świat szeroki, żeby organizować polski handel i organizacje rolników, i rozszerza tę swoją bezpośrednio praktyczną działalność w ten sposób, iż osobą swoją stanowi rozdział w historii handlu polskiego. Przez 20 lat zagląda do pracowni naukowej tylko chwilkami, jakby dla wypoczynku po ruchliwości życia czynnego i publikuje niewiele, ale same rzeczy pierwszorzędne. Jedyńy w Polsce człowiek, łączący aż tak teorię i praktykę, a w obu kierunkach wybitny i twórczy.

Wielkie są zasługi Prażmowskiego na polu bakterjologii wogóle, a rolniczej w szczególności. On „dał podwaliny pod systematykę bakteryj przez to, że pierwszy wykazał, że i u tych tak prostej budowy istot dadzą się wykazać pewne morfologiczne cechy, odróżniające od siebie niektóre gatunki bakteryj równie stanowczo, jak morfologiczne cechy odróżniają od siebie różne gatunki roślin wyższych“. Szczególną doniosłość posiadają badania Prażmowskiego nad bakterjami brodawkowemi roślin motylkowatych. W r. 1886 odkrył Hellrigel, że rośliny groszkowe mogą korzystać z wolnego azotu powietrza, ale „dopiero Prażmowskiemu przypada zasługa udowodnienia w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości, że to właśnie owe bakterje brodawkowe uzdolniają rośliny groszkowe do wiązania wolnego azotu, a tem samem że one też decydują o użyźniającem glebę działaniu roślin groszkowych“.

Zasadnicze odkrycia swe przeprowadził Prażmowski, bywszy profesorem średniej szkoły rolniczej w Czernichowie pod Krakowem, na wsi oddalonej wówczas 30 km. od najbliższej stacji kolejowej. Szkoła owa, utrzymywana kosztem kraju (nie państwa!), nie posiadała wówczas jeszcze żadnej pracowni. Sposób, w jaki Prażmowski urządził sobie coś nakształt laboratorium, przypomina zaiste Robinsona na odludnej wyspie; ale pomimo całej swej wynalazczości musiał się i tak obchodzić

bez gazu. Czy to będzie zrozumiałem dla uczonych zachodniej Europy?

Polskim uczonym przypada też „lwia część zasług“ w zbadaniu odkrytego przez Beijerincka azotobakteru. W polskich pracowniach badano skutecznie warunki, w jakich dokonywa azotobakter wiązania azotu, tej czynności pierwszorzędnej dla ogólnej ekonomii. Decydujące słowo w tym przedmiocie przypadło pracy Krzemieniewskiego; niemiecki botanik Behrens wyraził się o niej, że „stanowi dobroczynną oazę na pustyni bakterjologii gleby“. Z licznych rezultatów jego badań najdonioślejszem jest odkrycie, że próchnica nie służy wcale za pokarm azotobakterowi, nie stanowiąc dlań źródła ani węgla, ani azotu. To też Krzemieniewski rzucił poniekąd nowe światło na rolę próchnicy w glebie. W tym kierunku pracowali też inni badacze polscy; po Niklewskim Dzierzbicki i dalsi. „I znowu tym, który największy postęp uczynił w tych badaniach, był Prażmowski“. Wyśledził cały cykl rozwoju azotobakteru i przyczynił się znakomicie do wyświeatlenia roli próchnicy w jego życiu.

Wymienić tu można tylko najwybitniejszych; ale jak wielce możnaby tu wydłużyć szereg zasłużonych imion, pouczyć może najpobieżniejszy przegląd założonych przez E. Godlewskiego, redagowanych następnie przez Stefana Surzyckiego „Roczników Nauk Rolniczych“.

Rozwojowi wiedzy towarzyszy coraz większe zajęcie inteligentnego ziemiaństwa ze wszystkich trzech zaborów, czego świadectwem coraz liczniejsze hodowle, prowadzone wzorowo, tudzież mnożące się stacje doświadczalne. Wszystko to kosztem prywatnym, czasem z zapisu testamentowego (np. Sobieszyn z zapisu Kieckiego), czasem ze składek obywatelstwa (np. Chojnów w ciechanowskim 1899 r.). Instytucji tego rodzaju, utrzymywanej ze skarbu publicznego, nie było ani jednej. Dopiero w r. 1902 wprowadzono hodowlę roślin w Du-

blanach dzięki profesorowi Miczyńskiemu. Wyniki były świetne, a dokonano też wielu spostrzeżeń związanych pośrednio z selekcją zbóż. Tak np. w Dublanach odkryto, od czego zawisała tęgość słomy, jak zmienia się ościstość owsa zależnie od czynników zewnętrznych i t. d.

Typowym przykładem, jak polska usilność hodowlana ograniczoną bywała niemal zawsze i wyłącznie do środków prywatnych, jest słynna nie tylko w Polsce hodowla ziemniaka Dołkowskiego na dzierzawionej przez niego małej wioszczynie Nowej Wsi pod Kętami. Wyhodowane przez niego odmiany odniosły rekord plenności i procentu skrobi w konkurencji z mnóstwem odmian niemieckich i innych, co stwierdziły zresztą sameż zakłady specjalne niemieckie w Berlinie i Hammersleben (w prowincji saskiej). Przeprowadzono też u Dołkowskiego skutecznie walkę z zarazą ziemniaczaną, a doniosłości tej zasługi nie trzeba osobno tłumaczyć. Otóż folwark Dołkowskiego, zastępujący znakomicie rządową stację doświadczalną, jaką rząd austriacki powinienby był założyć, otrzymywał wszystkiego razem z austriackiego ministerstwa rolnictwa subwencji rocznej 2.000 (wyrażnie: dwa tysiące koron).

W szeregu wyborych naszych hodowli prywatnych wybił się na pierwsze miejsce zakład nasion, utrzymywany na większą skalę przez Buszczyńskiego w Niemierczu na Podolu (rozkwitnął pod kierunkiem Edmunda Załęskiego), z filją w Górcie Narodowej pod Krakowem. Tamże doprowadzono do wysokiej jakości hodowlę buraka cukrowego, którego polskie odmiany, hodowane w wielu stronach kraju, nie ustępują już żadnym innym.

W wielu okolicach rozwijało się znakomicie sadownictwo, lecz skutkiem szykan państw zaborczych nie zdołało przekroczyć pewnego punktu rozwoju. W Galicji np. taryfa na wywóz owoców do Niemiec obmyślona była w ten sposób, żeby zachęcać wprost do dyskwalifikowania owoców tej prowincji przez przesyłanie ich bez

cia, ale też bez opakowania, gdyż od owoców opakowanych wynosiło cło 400 do 600 K. od wagonu...

Jako zysk z poprzedniej rewolucji rosyjskiej, powstały w r. 1906 w Warszawie wyższe kursy rolnicze, których rząd przedtem nie dopuszczał, a które podczas wojny przeobrażono następnie w „Szkołę Główną Gospodarstwa Wiejskiego“. Nastąpiło też zreorganizowanie Puław: od r. 1917 tworzy się tam „Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego“, organizując stopniowo zamierzonych 19 jego działów. W Morałach pod Warszawą powstała poważna stacja genetyczna. Tak doczekała się nareszcie Kongresówka polskich rządowych zakładów rolniczych.

W Galicji prócz uniwersyteckiego Studium rolniczego w Krakowie nie było zresztą ani jednej wyższej, średniej, ni niższej szkoły rolniczej, utrzymywanej przez rząd austriacki.

W pruskim zaborze nie dopuszczono ani nawet prywatnego polskiego zakładu rolniczego. Skazywano nas z całym wyrachowaniem na niższość rolniczą. A jednak polskie rolnictwo rozwinęło się tam tak, że w najgorszym razie, pesymistycznie obliczając, stanęło narówni z niemieckiem. Nasi rolnicy uczyli się wiedzy zawodowej pomimo szykan, jeździli po nią do Dublan, do Krakowa potem, a zawsze do... wszystkich szkół i akademij w rozlicznych państwach Rzeszy Niemieckiej.

Z natury rzeczy hodowla zwierząt domowych znajdowała się w warunkach jeszcze trudniejszych, wymagając znacznie większych nakładów i opieki tem większej, a skazana na prywatną wyłącznie zapobiegliwość obywateli, prześladowanych o to następnie przez rządy zaborcze.

Tradycje były bardzo dobre, pod niejednym względem wprost świetne. Nie tylko hodowla bydła rogatego wykazać się może w Polsce XVII i XVIII wieku licznymi „holenderniami“, które „były chlubą wielkich gospodarstw kluczowych, ale kwitnęły także hodowle inne,

np. owiec. Posiadamy świadectwo z połowy wieku XVII, jako po hiszpańskiej i angielskiej welnie nasza trzyma pierwsze miejsce w fabrykach względem dobroci“. Cóż dopiero mówić o polskim koniu! W drugiej połowie XVI. wieku świadczy Włoch Graciani, jako „niema kraju, któryby tak dzielne konie wydawał jak Polska. Konie te, acz nie rosłe, prędsze są od tureckich i zwinniejsze od niemieckich“. Karol V. wjeżdżał na polskim koniu do Madrytu i Turenniusz polskiego dosiadał rumaka. W naj-słynniejszych stadninach całej Europy starano się mieć konie polskie. Wiele pułków jazdy pruskiej zaopatrywało się od Fryderyka II. czasów wyłącznie w polskie konie. Popyt na nie zagranicą był zawsze ogromny. „To też je zagranicą od najdawniejszych do najnowszych czasów corocznie tysiącami od nas wykupywała; a to przedewszystkiem jako konie wojskowe do Austrii, Bawarii, Saksonji, do Prus, a nawet do Szwajcarii, Francji, Anglii i Holandji, wysyłając swoich agentów i liwerantów na cenniejsze jarmarki końskie“.

Nawet nasze włościańskie „koniki“ stanowią rasę pierwszorzędną, której atoli omal nie spotkał smutny los pod austriackim rządem. Końmi rząd interesował się ze względów na potrzeby wojska. Mądrość biurokratyczna, owa słynna mądrość austriacka, uznała „koniki“ jako „viel zu klein“ i próbowała wprost zniszczyć chów tych koni. Podobnież radby był c. k. zarząd armji zniszczyć konie huculskie, jeszcze mniejsze od mazurskich „koników“. Dopiero lwowskie Towarzystwo Gospodarskie na własną rękę założyło w latach 1906—1908 cztery stadniny huculków i ocaliło hodowlę, która popadła już na bezdroża. Rząd zarzucił Galicję siecią stacyj importowanych rozmaitych ras dużych i grubych, lekceważąc fakty, przemawiające za koniem krajowym, między innymi i ten fakt, że w wojskowości rosyjskiej remonty polskie pobijały stale wszelkie najlepsze remonty rosyjskie. Kiedy w r. 1893 urządzano słynny wyścig dystansowy między Wiedniem a Berlinem, na odległość 580

klm., „jedną z pierwszych była tam siwa kobyła chłopskiego chowu z pod Rzeszowa“, obok kilku koni z polskich stad magnackich. („Anglik“, który wówczas przybył pierwszy, zdechł nazajutrz z wycieńczenia). Wojna obecna stanowi wielki triumf „konika“, bo dawno już wyzdychały wielkie i ciężkie konie rozmaitej provenjencji, które armia posprowadzała, a zostały na placu nasze „hetki“ przetrzymując wszelkie mitręgi tej wojny nad wojnami. Pokazało się, że „hetka“ warta zapobiegliwej hodowli, godna uszlachetnienia, lecz właśnie przez czystą hodowlę.

Szczęściem hodowla bydła dostała się wcześniej pod opiekę czynników krajowych polskich, bo już w r. 1882 wzięły tę sprawę w swe ręce obydwa Towarzystwa rolnicze, krakowskie i lwowskie. To też na wiedeńskiej wystawie 1910 r. najwyższą nagrodę zbiorową otrzymało polskie bydło czerwone. „Księgi rodowodowe“ tego bydła (i drugiego rodzaju, t. zw. „nizinnego“) wydano we Lwowie w latach 1905—1912. W zakresie nierogacizny Dublanom przypada zasługa, że założono chlewnię świń krajowych polskich.

Niema takiego działu zwierząt domowych, w którym nie byłoby ras polskich. Dla krótkości zaznaczmy, że hodowla nasza nie opuszcza nawet drobniejszych swych dziedzin. Polskie umiejętnie wodnictwo rolne poczyna się w r. 1573 od książki Olbrychta Strumieńskiego o stawach i przekopach i o rybieniu stawów, która jest „najlepszym traktatem o urządzeniu stawów w piśmiennictwie europejskim XVI wieku“. Kwitnęła też ichtjologia u nas od XVI w. aż do XIX, który wydał ichtjologa europejskiej powagi, Maksymiljana Nowickiego, a obecnie „roi się u nas od pisarzy rybackich“. Twórcą nowoczesnego intensywnego gospodarstwa stawowego“, polegającego na przemiennem wyzyskaniu stawisk kulturalnymi rolnemi“, jest Polak śląski Dubisz.

Bartnicze piśmiennictwo polskie datuje od r. 1614, trwa od tego czasu bez przerwy — a w nowszym czasie

„możemy się poszczycić znakomitością europejskiego rozgłosu i to o nazwisku tak polskiem, że żaden Niemiec za nic w świecie wymówić go nie zdoła, a więc i zaanektować: szkoda, że nasz Kopernik — Dzierżonem się nie nazywał“.

Zootechnika u nas nie o wiele jest młodszą od angielskiej, datującej z początku XIX wieku, niemieckich zaś pionierów zootechnicznych uprzedził nasz Oczapowski. Polskie podręczniki dla hodowców zaczynają się od r. 1838 książką I. G. Wyżyckiego „Nauka hodowli zwierząt domowych“, poczem we dwa lata wystąpił Michał Oczapowski z wielotomowem swem „Gospodarstwem Wiejskiem“ uwzględniającem również hodowlę, podczas gdy pierwsza książka niemiecka o hodowli pochodzi dopiero z r. 1848 (Weckherlin). W szeregu polskich uczonych najwybitniejsze miejsce w tej dziedzinie zajął dublański profesor K. Malsburg, w pokrewnym zaś dziale bydłoznawstwa członek krakowskiego Studium, Walerjan Klecki.

Zakwitnęła paleontologia zwierząt domowych, a nie na ostatniem miejscu hipologiczna; wyniki polskiej nauki stanowią pod niejednym względem fundament dla naukowego roztrząsania sprawy pochodzenia europejskiego bydła domowego. Zagadnienie to zaczęto roztrząsać w wileńskim uniwersytecie (L. H. Bojanus: De urostrate, 1825) i dochowała się do naszych czasów jakby szczególna jakaś przynależność tej kwestji do nauki polskiej. Wspomnimy tu tylko o odkryciach krakowskiego profesora Leopolda Adametza (*Bos europeus* Ad.), K. Malsburga (*Bos urus minutus*), stwierdzające małą dziką formę bydła krótkorogiego i małych dzikich turowców.

Podobniez rozwija się dobrze nauka żywienia zwierząt. Ilościowo skromniej przedstawia się dział biologicznych badań hodowlanych, ale jakościowo dopisuje najzupełniej, skoro prace np. A. Trawińskiego, K. Malsburga (który wystąpił z oryginalną koncepcją teorii historyjologicznej) używają wielkiej wziętości w Niem-

czech, a wyniki ich bywają uwzględniane w tamtejszych najnowszych podręcznikach naukowych. Uprawia się w Polsce pomyślnie również najmłodszą latorośl nauk przyrodniczych, genetykę. Dodać warto, że posiadamy około półsetki czasopism treści rolniczo-hodowlanej lub hodowlanej wyłącznie.

Powyższy rzut oka poucza, że Polacy umieją doskonale zarządzać „spichrzem i spiżarnią Europy“ i wydobyc z niej dla siebie i dla Europy odpowiednią darom przyrody korzyść materialną i kulturalną, pomimo to, że rządy zaborcze stały na przeszkodzie. Wszak w Wielkopolsce zbiór jednego hektara nie jest bynajmniej mniejszy od przeciętnego zbioru w Niemczech, plon zaś z ziemniaków i buraków jest na hektarze obfitszy od niemieckiego. Jakże wysoko stałoby rolnictwo polskie, gdyby mu nie były zawadzały utrudnienia rządów zaborczych przez cały wiek z okładem!

Zawadzanie to występuje jeszcze jaskrawiej w trzećiej dziedzinie darów przyrody, w g ó r n i c t w i e, jako z natury rzeczy najbardziej zawisłem od dobrej lub złej woli, od inteligencji lub głupoty administracji państwowej.

Po nieuchronnym zastoju w okresie upadku państwa polskiego odradza się górnictwo w r. 1816, natychmiast, skoro tylko ułożyły się jako tako stosunki publiczne. Rząd Królestwa Kongresowego ustanawia Główną Dyрекję Górniczą z siedzibą w Kielcach, stawiając na czele człowieka tej miary co Stanisław Staszic. Następnie w r. 1825 przeszedł zarząd spraw górniczych w ręce Komisji rządowej Przychodów i Skarbu, której przewodził słynny Ksawery Lubecki, organizator ekonomicznego życia polskiego. Z pomocą górnictwu ruszył Bank Polski, założony 1828 r. dla popierania handlu i przemysłu polskiego; od r. 1833 prowadził Bank górnictwo krajowe na własną rękę, lecz zaledwie przez lat 10, gdyż zostało mu odebrane przez rząd petersburski w r. 1843. „Niedługo kazały na siebie czekać wyniki gospodarki rządo-

wej“, aż upadające kopalnie rząd rosyjski posprzedawał cudzoziemskim firmom. W ręku prywatnem zakwitnęły kopalnie na nowo, ale kapitał obcy niezawsze zachowywał się życzliwie wobec kraju, z którego czerpał zyski. Tak rozszarpano i przefrymarczono spuściznę po Banku Polskim.

Niedość na tem. Wroga krajowi polityka komunikacyjna i taryfowa nie pozwalała często korzystać jako tako z płodów kopalnych. Cóż powiedzieć o takim fakcie, że w kraju tak przebogatym co do węgla, blisko czwarta część kraju zgoła go nie używa, a to dla braku nie tylko kolei żelaznych, ale nawet odpowiedniej sieci dróg zwykłych. Oto przykład katastrofalnej wprost gospodarki rządu rosyjskiego w Polsce.

A dużo byłoby mówić o tem, który z rządów zaborczych był kiedy gorszy, a kiedy mniej zły.

Rząd austriacki urządził w ten sposób podległą sobie część wielkiego polskiego Zagłębia węglowego, iż wydane ono było na łaskę i niełaskę... Prusaków, którzy zalegli wszystkie niemal kuksy, a to dzięki oryginalnej metodzie postępowania biurokratycznego w sprawach górniczych, zezwalającej na wszelkie „widzimisię“ tej słynnej biurokracji austriackiej, której głównem zadaniem była zawsze i wszędzie praca dla króla pruskiego. Przez długie czasy była wręcz niemożliwą jakakolwiek obrona przeciw temu najazdowi. Na chwałę polskiej gospodarki zapisać trzeba, że skoro tylko stało się to możliwem, władza autonomiczna galicyjska myślała o tem, jakby tę część Zagłębia ocalić z drapieżnych rąk cudzych, w czem Wydział Krajowy nie spoczął, aż ostatecznie w r. 1917 wykupiono i nabyto na rzecz kraju rozległy teren, pokryty 2.726 wyłącznościami górniczymi. „Cała przestrzeń, pokryta wyłącznościami, wynosi około 770 klm., a rozciąga się od zachodniej granicy Galicji pod Białą i Oświęcimem we wschodnim kierunku do Wielkich Dróg pod Skawiną i sięga na północy po Chrzanów, na południe do Wadowic“. Prawdziwie wiekopomny ten czyn.

słuszny tytuł do wdzięczności potomnych, świadczy, jak gospodarowalibyśmy darami przyrody własnego kraju, gdybyśmy byli mieli w nim wolne ręce.

Ciekawy przykład austriackiej „opieki“ mamy na solach potasowych galicyjskich, a zwłaszcza na odkrytym w Kałuszu olbrzymim pokładzie kainitu. Mógłby on być zaopatrywać w sól potasową rolnictwo nie tylko całej Austrii, ale i krajów sąsiednich. Ażeby jednak nie dopuścić do konkurencji niemieckim fabrykatom stasfurtskim, które posiadały zyskowny monopol wobec rolników, nie pozwalano przez lat kilkadziesiąt całkiem na eksploatację skarbu kałuskiego, aż dopiero po wielu zachodach i kłopotach udało się zdjąć rządową klątwę nad Kałuszem. Zaraz też założono krajowe towarzystwo udziałowe dla eksploatacji kainitu tego na cele nawozowe. Faktem pozostanie, że gdy się udało nareszcie przełamać opór rządu wiedeńskiego w tej sprawie, uważano to niemal za triumf polityczny Lwowa nad Wiedniem.

Kopalnie i warzelnie soli stanowiły w Austrii monopol rządowy. To też ze 134 znanych w Galicji żup i źródeł solnych znajdowało się w ruchu r. 1914 zaledwie 11 (jedenaście), a reszta... zagwożdżona. Soli produkowało się coraz... mniej! W r. 1875 produkowano o 54% więcej, niż w r. 1910; na początku XX w. mniej „niż przed r. 1772, przed pierwszym rozbiorem Polski, który wydał „Galicję“ na łup bezwstydną gospodarki austriackiej. W Wieliczce i okolicy są warunki na założenie solankowego miejsca leczniczego, które byłoby największym na całą Europę, a prawdopodobnie na cały świat: przestrzeń od Krakowa do Wieliczki mogłaby być pokrytą obszarem wil i ogrodów, obszarem wielkiej zamożności. Otóż o to właśnie chodziło, aby tak nie było, bo byłaby konkurencja dla jakiego niemieckiego „badu“ (Bad Hall i i.), a więc solankę wypuszczano się bez użytku, marnując ją publicznie, byle tylko Polak z niej nie korzystał. Wiadomo też, że w najlepiej od przyrody upo-

sażonych salinach wielickich zaczęto ledwie dopiero w ostatnich latach wytwarzać lepsze, przedniejsze rodzaje soli stołowej — pozostawiając niemal aż do wybuchu wojny monopol warzelniom niemieckim (Salzkamergut).

W górnictwie naftowym nie obeszło się bez przywołania kapitału obcego, dzięki absolutnej bierności rządu wobec tych skarbów Galicji. Jak tu gospodarował Wiedeń, widać z tego, że nafta galicyjska bywała w Galicji droższą od kaukaskiej i amerykańskiej. Tak ciskano nam kamienie pod nogi, gdzie tylko się dało. Ale nafta nie jest przynajmniej monopolem, możliwość szkodzenia była przeto w tej dziedzinie ograniczoną. To też górnictwo polskie święciło w nafciarstwie niejednym triumfem. Nasze szyby stały się pierwszorzędnymi pod względem urządzeń technicznych (celuje Peczeniżyn), a w zaprowadzonym już 1884 r. kanadyjskim systemie wiercenia wprowadzono niejedno polskie ulepszenie, tworząc nowy, własny system wiertniczy. Swoisty całkowicie jest inny system, t. zw. płóćkowy, który dał pomyślne wyniki; z pośród zaś wynalazków pierwsze miejsce zajął t. zw. taran wodny inż. Wolskiego.

Pierwsze doświadczenia nad biegiem w rurach nafty i ropy wykonał Henryk Merczyng (wynik ogłosił w r. 1910).

„W technice wiertniczej zdobyliśmy rekord światowy przez wywiercenie głębokich kilometrowych szybów borysławskich i tustanowickich. Wiertacz polski zdobył rozgłosną sławę w świecie. Nasze Maćki i Bartki cieszą się ogromnym popytem zagranicą (Indje, Sumatra, Kaukaz, Pensylwanja). Przemysłowcy naftowi ocenili należycie mistrzowską rękę wyszkolonego wiertacza, od którego nieraz zawisł wyłącznie los milionowego szybu“.

„Nafta z ropy galicyjskiej, smary i parafina z niej wyrobione, znane są dzisiaj nie tylko w całej Europie, lecz nawet w Azji, Turcji azjatyckiej i Persji; w Afryce, Algierze, a także w Ameryce południowej walczą nasze

produkty naftowe z produktami amerykańskimi. Źródła nasze naftowe, położone w ośrodku Europy, więcej się nadają do wytwarzania materiału świetlnego dla całej Europy, niż oddalone źródła naftowe kaukaskie i amerykańskie“.

Ale przemysł rafineryjny galicyjski zniszczyły protegowane przez rząd kartele austriackie; w r. 1917 już 70% nafty naszej rafinowało się poza Galicją. Nie można było przewozić ropy do Kongresówki, bo cło przenosiło 100% ceny targowej. Z tamtej strony Wisły musiano sprowadzać sobie naftę kaukaską. Przemysł rafineryjny nie powstał tedy ani w Kongresówce, nie mogąc przerabiać ropy galicyjskiej, podczas gdy czyszczenie kaukaskiej nie opłacało się z powodu drogiego przewozu.

Rzućmy okiem na naukowe podłoże górnictwa polskiego. Najbardziej typowem jest i w tym zakresie naftciarstwo.

Rozwiązaniu problemów związanych z geologią naftową, poświęcił całe życie profesor lwowski, Rudolf Zuber. Opracowawszy geologię Karpat wschodnich, bada następnie przez lat sześć (1886—1892) pod względem geologiczno-górnictwem Pampasy argentyńskie i Kordyljery boliwijsko-czilijskie, i „zdobywa sobie sławę światowego eksperta w sprawach naftowych. Bawi następnie i wydaje opinie na Kaukazie, w Rumunji, w Hiszpanji, w Meksyku, w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie, w Wenezueli, na wybrzeżach Gwinei zachodnio-afrykańskiej, a wkońcu wyprawia się do gór Solnych Indyj Wschodnich (1912). Wzbogacony doświadczeniem i analogjami, zdobytemi na niemal wszystkich polach naftonośnych świata, dochodzi ostatecznie do syntezy powstawania nafty, której daje wyraz w rozlicznych drobnych publikacjach, ogłaszanych w ciągu długoletniej pracy w językach polskim, niemieckim, angielskim i hiszpańskim, a której ostatnie słowo wypowiada w swem dziele „Flisz i nafta“ (Lwów 1917)“.

„Obok Zuberera zdobyło jeszcze wielu innych polskich geologów światową sławę jako eksperci w sprawach górniczych, a w szczególności w sprawach naftowych. Zwłaszcza pola naftowe Kaukazu i gór bałkańskich roily się i roją od polskich geologów“. Słyną podróże pełne rezultatów Józefa Grzybowskiego do Ekwadoru, i do Mezopotamji, Władysława Szajnochy do Turkiestanu, Emila Dunikowskiego kilkakrotnie do Stanów Zjednoczonych, Algieru i do nadmorskich krain Syberji wschodniej. Wawrzyniec Teisseyre „pracuje od lat 20 nad tektoniką i górnictwem naftowych i solnych obszarów Karpat mołdawskich i wołoskich“. Zygmunt Bośniacki, pracując przez lat kilkadziesiąt we Włoszech północnych, zbiera wciąż materiały do paleontologii formacyj „fliśzowych“, ujęty zagadką powstawania nafty. Jego zbiory, umieszczone w San Giuliano w Toskanji, „należą do najbogatszych i najświetniejszych w tym rodzaju“. Jako syntezę swej pracy naukowej całego życia, wygłasza w r. 1911 odczyt w lwowskim Towarzystwie Przyrodników im. Kopernika, zjechawszy umyślnie do kraju, i drukuje go następnie w lwowskim „Kosmosie“ („Fliśz europejski“), a zarazem składa przyrzeczenie, że sławne jego zbiory będą przeniesione do Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie.

Podwaliną polskiej nauki geologicznej jest nieśmiertelne dzieło Staszica z roku 1815 „O ziemięrodtwie Karpatów i innych gór i równin Polski“ wraz z czteroarkuszową mapą geologiczną. Uniwersytet wileński stał się w najbliższym czasie ostoją studjów geologicznych i nie brak tam prac samodzielnych. Drugą ważną datą jest rok 1841, rok pojawienia się dzieła Łabęckiego „Górnictwo w Polsce“, a potem 1856 rok wydania polskiego podręcznika geologii Ludwika Zejsznera. Tymczasem wydawano już mapy geognostyczne od r. 1845, w roku zaś 1856 wychodzi pierwsza taka mapa naszego Zagłębia węglowego (Hempla Jana). Odrębna katedra geologii utworzoną została w uniwersytecie Jagiellońskim w r.

1885 z osobnym instytutem. Niebawem (1887) zaczął wychodzić „Atlas geologiczny Galicji“, wielkie dzieło pracy zbiorowej, prawdziwy pomnik polskiej pracy geologicznej. Z pracowni geologicznej krakowskiej, powstałej r. 1886 pod kierunkiem prof. Władysława Szajnochy, wychodzą liczne prace. Drugie ognisko powstaje we Lwowie r. 1873 przy katedrze w politechnice lwowskiej (Juljusz Niedźwiedzki); trzecia powstała w uniwersytecie lwowskim w r. 1896 obok dawniejszych już katedr mineralogji. Kongresówka dostarczała głównie inżynierów górniczych. Kiedy w r. 1906 wolno było znowu wznowić w Warszawie Towarzystwo Przyjaciół Nauk (rozwiązane przez rząd rosyjski 1832), zorganizowano pracownie do celów ściśle naukowych.

„Gdzie mamy własne szkoły wyższe i własne towarzystwa naukowe ze stałymi publikacjami, pisał w tej materji prof. Szajnocha w r. 1917, tam kwitnie nauka i umiejętność każda, a więc i geologja; gdzie ich niema, tam rzadka tylko pojawiają się rodzime prace, tam obca nauka orze, zasiewa i zbiera plony. Tam cierpi nie tylko postęp wiedzy, ale i przemysł, i górnictwo, i dobrobyt kraju“. A jakżeż niewiele zależało to przeszło przez wiek cały od naszej woli.

Ograniczani wciąż na własnej ziemi, pracowaliśmy i nieśli polską wiedzę geologiczną zagranicę. Nasi uczeni, nie mając dla prześladowań z reguły miejsca w Polsce, dokonywali prac naukowych geologicznych w różnych krajach europejskich, w Azji od Syberji do Indyj, w Afryce, w Ameryce północnej i południowej i w Australji. Długą jest lista nazwisk tych geologów polskich. Księciem ich niejako Ignacy Domeyko, który 60-letnią pracą w Chile (gdzie był profesorem i długoletnim też rektorem uniwersytetu w San Jago) przynosił tam chlubę narodowi swemu. I wszyscy nasi uczeni szli pod tym względem za jego przykładem i wszyscy postępowaniem swem i pracą jednali wśród ludów świata przyjaciół imieniu polskiemu.

Do ostatniej chwili dawał się ciągle we znaki polskim geologom brak własnego zakładu geologicznego; ale też zaraz w pierwszym kwartale po ustąpieniu Niemców z Warszawy przystąpiono do organizacji takiego zakładu.

Geologów polskich jest niemało, a są bardzo produktywni: w berlińskim „Geologisches Centralblatt“ referowano w latach 1900—1917 przeszło 740 prac polskich geologów. Sporządzony w r. 1918 spis przyrodników polskich, pracujących w dziedzinach geologicznych od początku XIX wieku, wykazuje 302 nazwiska. Same te cyfry są wielce wymowne.

Gdyby nie polityczna niewola, mielibyśmy oddawna tyle uniwersytetów, katedr, laboratoriów, ile tylko wytworzyć ich zdoła polski talent i zamiłowanie wiedzy, a o rozmiary tych przymiotów nie potrzebujemy obawiać się. Gdybyśmy byli mieli wolną rękę we własnym kraju, moglibyśmy dostarczać Europie dwa razy, a może trzy razy więcej wyborowego ziarna, buraków, ziemniaków najlepszych na kontynencie i innych płodów rolniczych; dostarczalibyśmy na szeroki świat mnóstwa szlachetnych owoców, sporo ryb słodkowodnych i największą bodaj na świecie ilość miodu i wosku, tudzież soli; dodajmy, że solami potasowemi, od których zawisł rozwój produkcji rolnej, moglibyśmy obdzielać pół Europy. Nasza nafta mogłaby stać się bezpośrednio i pośrednio (smary) kilkakroć wydatniejszą. Obok tego dostarczalibyśmy pierwszorzędnego materiału hodowlanego wszelkich zwierząt domowych i to niektórych w rodzajach naszym ziemiom tylko właściwych, a które byłyby wszędzie przydatne.

Słowem: niewola gospodarcza Polski sprowadziła zubożenie gospodarstwa europejskiego na rzecz tych wyzyskiwaczy, którzy prawem rozboju przywłaszczyli sobie rządy w Polsce. Niestety, wojna powszechna potoczyła się w taki sposób, iż Polskę doreszty zrujnowano; pokój zaś wersalski układano pod wielu względami

w taki sposób, jak gdyby nagłym jakimś obrotem rzeczy aljanci zachodni sprzymierzyli się z Niemcami przeciw Polsce... Długo więc trzeba będzie czekać, zanim zdołamy dojść do równowagi po tych ciosach ekonomicznych.

Fakt atoli taki, jak np. że kłos polski wyprzedził w Wielkopolsce wydajność kłosa niemieckiego, upoważnia do wniosku, że skoro dowiedzieliśmy wielu rzeczy pod najcięższym uciskiem, nie będzie nam trudniej wydobyć się pod rządem własnym z najgorszych opresyj gospodarczych. Wyzyskiwanie darów przyrody, przemienianie ich na walory kulturalne, należy z dawnych wieków do naszych właściwości. Nie ustępujemy żadnemu z narodów zachodnich co do zrozumienia tych spraw, ani w ochocie do nich; ustępujemy im w stopniu wykonania, ale z powodu okoliczności od nas niezależnych. Dopiero gdy powiedzie się nam zlikwidować skutki wojny i wydobyć się z pod ogólnej ruiny ekonomicznej (obyśmy w tem nie doznawali przeszkód od żadnego z państw sprzymierzonych), wtedy dopiero będziemy mogli mierzyć tempo wykonawcze w działalności naszej górniczej, rolniczej i wogóle gospodarczej. Miara 'kultury czynu w tej dziedzinie musi być znaczną, nader znaczną, jeżeli mamy utrzymać się jako tako na poziomie niezbędnym do zachowania stanowiska europejskiego polskiego państwa. Stopień użycia darów przyrody m u s i s z y b k o w z r a s t a ć.

Posuniemy się nieco dalej we wnioskowaniu na końcu następnego rozdziału, gdy rozejrzemy się w ogólnym zarysie spraw tyczących handlu i przemysłu.

Rozdział III.

Handel i przemysł.

Sprawy ekonomiczne są jak eter: wnikają wszędzie. Niema takiej cząsteczki życia kulturalnego, któraby nie pozostawała w związku z jakąś stroną bytu gospodarczego. Sprawy ekonomiczne są skutkiem tego niezmiernie informujące, tak dalece, iż nadają się na wykładnik kultury, mogąc okazać wszelką kulturę w przekroju. Wystarczy poznać zapatrywania na sposoby bogacenia się, na stosunek dóbr do potrzeb, potrzeb zaś do ilości pracy i na jej rozkład; a z drugiej strony poznać rodzaj i stopień zdatności do zbiorowej pracy gospodarczej, stopień oszczędności i jej celowość, nadto czynność lub bierność społeczną majątków, a da się określić rodzaj i stopień kultury, łatwiej może nawet, niż na podstawie jakichkolwiek cech innych.

W handlu powszechnym bywaliśmy czynnikiem pierwszorzędym. Polska leżała na stronie od pierwotnych wielkich dróg handlowych; następnie jednak, od wieku XIV, wiodła przez Polskę główna droga śródziemnego handlu wschodniego, t. zw. lewentyńskiego, przez Lwów, stąd zaś do Krakowa i Lublina na dwie strony. Z drugiej strony Hanza utrzymywała kantory we wszystkich znaczniejszych miastach polskich, tak, iż na polskiej ziemi podawały sobie ręce handel wschodni i zachodni. Obok lewentyńskiego było pole dla handlu sławnego, Wisłą i jej dopływami, ale dolny bieg Wisły zajęty był od drugiej połowy XIII w. przez Krzyżaków i Polska odcięta była od morza. Rozumiano doskonale doniosłość sprawy o Bałtyk, lecz okoliczności nie dopuszczały od-

zyskać Pomorza polskiego, aż dopiero w r. 1466. · Od-
tąd handel rozwija się na tem większą skalę, a towarzy-
szy mu przez wieki XIV—XVI rozwój rękodziel, czyn-
nych w sposób przemysłowy na eksport na wschód (np.
sukno aż do Nowogrodu Wielkiego).

W wyborze dróg ekonomicznych błędzono nieraz
w Polsce, lecz raz tylko jeden zblądzono z tego powodu,
iż zdarzyło się pozostać w tyle poza pochodem Europy —
w pierwszej połowie XVIII wieku — zresztą zaś błędzo-
no razem z innymi, dlatego właśnie, że się kroczyło kro-
kiem równym z Europą, utartym powszechnym szlakiem,
który później miał się i nam i wszystkim innym narodom
okazać błędnym. Często atoli kroczyła Polska własnymi
drogami, a zdarzało się nam iść przed Europą w niejed-
nej materji, wyprzedzając inne narody i państwa.

Pojęciem wolności handlu wyprzedziliśmy innych.
Wolność handlu ustalono w Polsce już w pierwszej po-
łowie XV wieku. Wywóz zboża nie podlegał też żad-
nym ograniczeniom, podczas gdy w Anglii zaprowadzono
tę wolność dopiero w r. 1463, w innych krajach znacznie
później, w niektórych zaś nigdy. Wyprzedziła Polska
również całą Europę przez to, że już 1447 r. ogłoszono
zupelną wolność handlu na rzekach spławnych, głów-
nych ówczesnych arterjach komunikacyjnych. Zniesio-
no od jednego razu wszelkie cła prywatne, pozostawiając
publiczne („królewskie“) tylko na drogach lądowych,
podczas gdy zagranicą było cel prywatnych kilkakroć
więcej, niż publicznych. Obowiązywała bowiem poza
Polską powszechnie zasada, że wolno każdemu dozwalać
lub zakazywać przejazdu przez swe terytorjum, przez
cały jeszcze wiek XVI, a w niejednej stronie Europy na-
wet jeszcze w wieku XVII; mógł tedy każdy ustawiać
rogatkę na swej posiadłości i nakładać na przejeżdżają-
cych kupców dowolne warunki.

Wyprzedziła też Polska cały kontynent europejski
jednością monety. Już w statucie Kazimierza W. (1347)
znajdujemy wśród postanowień zasadniczych i to także.

żeby była w całym państwie jedną moneta. Czemś podobnem mogła się poszczycić tylko Anglja... a poza tem różnorodność monety stanowiła plagę ówczesnych stosunków ekonomicznych. W Niemczech zwłaszcza były co kilka mil inne pieniądze, bo tam było około 600 mienic. Kiedy królewicz Zygmunt (późniejszy Stary) został mianowany przez swego brata, Władysława czesko-węgierskiego, namiestnikiem Śląska, stał się kraju dobrodziejem, iż zastosował w nim polskie gospodarstwo. W r. 1505 skłonił książąt i miasta śląskie, że zobowiązali się wycofać z kraju obiegającą monetę lichą, a bić natomiast porządną a jednolitą. I to bowiem należało do specjalności polskich, żeby nie urządzać w imię państwa fałszowania pieniądza, co praktykowało się zresztą wszędzie. W porozumieniu z tymże Zygmuntem Starym (już królem polskim) pisze w r. 1526 rozprawę „De monetae cadendae ratione“ Mikołaj Kopernik, ten sam, który „wstrzymał słońce a poruszył ziemię“ — przeciw złemu pieniądzwowi w Prusiech Królewskich (nie podlegających jeszcze wówczas ustawodawstwu sejmów polskich).

Również polski system skarbowy mógł poszczycić się niejednym pomysłem postępowym. W Polsce oddzielono skarb królewski nadworny od publicznego państwowego już w r. 1505. Projekt podatku dochodowego zjawia się u nas w r. 1510. Znano też „progresyjność“; tak np. w r. 1520 płacił prymas pogłównego 30 dukatów, a kmięć dwa grosze, pomiędzy nimi zaś był ustanowiony liczny szereg klas podatkowych, określonych zgóry dokładnie.

Od początku XV w. przestrzegało się w Polsce nakładanego powszechnie na rządy obowiązku, żeby mieć pieczę o taniść. Posiadamy najkompletniejszy z całej Europy zbiór taks na towary, sięgający od roku 1425 aż głęboko w wiek XVII. Ale ekonomiści polscy wcześniej wzniesli się wyżej. Jan Abrahamowicz już w r. 1595 podaje wcale inne sposoby na drożyznę, mianowicie ulepszenie komunikacyj i wolną konkurencyę (w rozprawie:

„Zdanie Litwina o kupczy tanio zboża a drogiej sprzedaży“). Nasz Wojciech Gostkowski był zaś bodaj czy nie pierwszym w Europie, który nie tylko się spostrzegł — w r. 1622, w książce, którą Stanisław Głąbiński wcielił szczęśliwie do historii nauki polskiej z jedyne go egzemplarza w lwowskiej bibliotece Ossolińskich — że taksy nie zdadzą się na nic, ale też poznał się na istocie tanioci i drożyzny, jako zależą one przedewszystkiem od wartości monety.

Skutkowały taksy u nas nie więcej oczywiście, niż gdziekolwiek indziej ale były przynajmniej z reguły nieszkodliwe. Natomiast system ekonomiczny, zwany merkantylizmem, wtargnąwszy do Polski w połowie XVI wieku, wyrządził u nas szkód więcej niż na Zachodzie.

Merkantylizm pojawił się u nas w fatalnych właśnie czasach, gdy Polsce dawała się srodze we znaki zmiana szlaków handlowych. Geograficzne odkrycia portugalskie i hiszpańskie wysunęły na pierwszy plan handel oceaniczny, a na handlu śródlądowym coraz mniej zależało zachodniej Europie. Dobrobyt miast polskich mógł ostać się w takim tylko razie, gdyby Polska zdążyła opanować należycie wybrzeża morskie i przyłączyć się w ten sposób do oceanicznego handlu powszechnego. Dążono też do wybrzeża czarnomorskiego, ale bez trwałego wyniku, bo nie dopisała ni razu europejska liga antyturecka. Zdawało się, że Bałtyk zostanie morzem polskiem, zwłaszcza po triumfach Batorego, ale zanim jeszcze wiek XVI dobiegł do końca, trzeba było mocować się o wschodnie i południowe wybrzeża bałtyckie ze Szwecją. I zaczęły się ciężkie czasy, aż nastał „potop“.

W tem przesileniu ekonomicznem, jednym z najcięższych, jakie zna historia, merkantylizm pogarszał zło jeszcze bardziej. Według tej doktryny dobrobyt zawisł od ilości posiadanej złota; należało tedy podporządkować wszelkie względy staraniom o sprowadzenie złota z zewnątrz w jak największej ilości. We Francji starał się rząd dopomóc podupadłym miastom w ten sposób, że:

zakazywano kupcom wywozić towary z miasta poza pewien oznaczony okrąg, licząc na to, że skutkiem tego zjeżdżać tam będą obcy kupcy, a więc napłynię obcy kapitał i zwiększy się tam przez to zasób złota. Chwycono się i u nas tego sposobu, jako (że użyjemy dzisiejszego wyrażenia) „ostatniego wyrazu wiedzy ekonomicznej“ owych czasów. W konsekwencji doktryny merkantylnej zakazał sejm roku 1565 kupcom polskim handlować bezpośrednio z zagranicą, ażeby zmusić niejako kupiectwo obce osiedlać się w polskich miastach i pozwozić tu swoje złoto. Stanisław Cikowski wylicza długi szereg spodziewanych z tych zarządzeń korzyści dla gospodarstwa krajowego (w dziełku: „W sprawach celnych“..., Kraków 1602). Wiadome są fatalne skutki tego „kroczenia równo z Europą“...

Oryginalnem polskiem było dążenie do jednakowych miar i wag (Starowolski). Znamienny to też fakt, że osiedlony w Polsce Włoch, Burattini, wydał swe dziełko „Misura universale“ w Wilnie 1675 r. pod wpływem uczonego księdza Stanisława Pudłowskiego¹⁾.

Miasta polskie podpadły strasznie w wieku XVII. Te miasta, które aż do połowy XVI w. chłoneły cały nadmiar ludności wiejskiej rodzimej i jeszcze przygarniały licznych w każdym pokoleniu przybyszów, trzymały się jeszcze dość długo siłą bezwładności na wcale wysokim poziomie, ale około r. 1620 poczęło im ubywać ludności. A kwitnęły w Polsce miejskie rzemiosła budowlane od wieku XIII; w XIV w. pełno po naszych miastach brukarzy, pod koniec wieku są już i wodociągi po większych miastach, a z początkiem XVI już i po drugorzędnych (Sambor, Opoczno, Korczyn i t. d.). W Krakowie podejmowało mieszczaństwo takie roboty, jak sprowadzenie rzeki Rudawy do miasta (dzieło Mikołaja Gerlaka

¹⁾ Miara, proponowana przez Burattiniego, miała być równa długości wahadła sekundowego; Pudłowski pozostawał zaś w korespondencji z Galileuszem.

w XIV w.). Tak bujny rozkwit, podcięty stosunkowo nagle, stanowił klęskę ogólną.

Z losem miast łączył się los ludu wiejskiego, bo nadmiar ludności wiejskiej nie miał gdzie się podziewać od czasu zubożenia miast¹⁾ i nastąpiła jednostronność gospodarcza. Zaznaczmyż atoli, że doktryna, jakoby rolnictwo natenczas tylko mogło rozkwitnąć, jeżeli na roli osiadłe są dwie warstwy społeczne, panująca i służebna (szlachta i poddani), nie w Polsce powstała, lecz we Francji.

Zubożona straszliwemi wojnami i dwoma przesileniami piętężnemi, poczyna się Polska zagospodarowywać na nowo około r. 1700, po odzyskaniu Podola od Turków. Zrazu następuje odrodzenie tylko rolnicze, stopniowo i handlowe, wkońcu przemysłowe. Ku końcowi XVIII w. przestały istnieć „stany“ w życiu ekonomicznem narodu, gdyż konstytucja Trzeciego Maja złamała ekonomiczne szranki stanowe. Demonstracyjnie wpisywała się wówczas szlachta do ksiąg miejskich, a zato wybrano burmistrzem Warszawy szlachcica (Zakrzewskiego).

Na ówczesne „komisje skarbowe“ nałożono obowiązek popierania handlu i przemysłu. Sejm polecał im troszczyć się o podniesienie dobrobytu w kraju, żeby obywatelom dostarczać sposobności i otwierać im nowe drogi do wydatniejszego zarobkowania. Podatkowości nie rozumiano bynajmniej w tym sensie, żeby skarb napełniać jakkolwiek bądź, byle go napełnić (jak to zdarzało się niektórym państwom jeszcze z początkiem XX stulecia!). Polskiej skarbowości obcy był fiskalizm. Zdawało sobie sprawę, że ze wzrostem ogólnym dobrobytu podatki same od siebie będą wzrastały najlepiej, ciężąc coraz mniej obywatelowi coraz zamożniejszemu.

Profesor krakowski Antoni Popławski powiada w swym „Zbiorze niektórych materyj politycznych“

¹⁾ Obszerniej o tem w ustępie 3 rozdziału XII.

(Warszawa 1774): „Wolność zatańować i przez zatańowanie chcieć większych sum pieniężnych do kraju nagarnąć i sprowadzić, jest to jedno zaiste, co dla przyczynienia wody w kanale zatkać strumień do niego wpływający“.

Nadzwyczajna postępowość we wszelkich materjach, gdzie teoria wiąże się z praktyką życia, bije w oczy na każdym kroku w owych latach reform, istotnie polskich, choć obmyślanych i przedsiębranych bez niczyjej jeszcze „opieki“. Na sejmie 1774 r. polecono np. powołać do rządowych komisji skarbowych po dwóch kupców — postanowienie, które odtąd nie pojawiło się nigdzie w żadnym państwie, aż dopiero podczas wojny powszechnej w Niemczech w r. 1916, jako sensacyjna dla całego świata nowość.

W Polsce projekt powszechnego ubezpieczenia od pożaru pochodzi z r. 1774. Spółki handlowe zawiązują się u nas wówczas w formie będącej w użyciu tylko u Holendrów i Anglików, mianowicie spółki akcyjne. Regularnych stosunków handlowych międzynarodowych dowodem ustawa wekslowa, uchwalona na sejmie 1774 r.

Cieszyła się też najlepszą opinią u cudzoziemców poczta polska. Mamy na to szereg świadectw rosyjskich, niemieckich, francuskich i angielskich, jako nasze urządzenia pocztowe były „tak dobre, iż lepszych żądać niepodobna“, przyczem cudzoziemcy ci nie mogli wydziwić się bezpieczeństwu podróżowania przez Polskę.

Panującą wówczas w Europie doktryną ekonomiczną był fizjokratyzm; w Polsce znany dobrze, ale, choć w kraju tak wybitnie rolniczym, nie przyjęty. Polscy ekonomiści doby stanisławowskiej i pierwszej ćwierci XIX w. liczą się tylko z fizjokratyzmem, ale się nim nie przejmują, tworząc obok niego (czasem czerpiąc nawet z niego pewne przesłanki) swoisty polski system ekonomji politycznej.

Anonimowy autor książki „O związkach i przystosowaniu wzajemnem rolnictwa, rękodziel i handlu“ (War-

szawa 1786) uznaje wprawdzie, że rolnicy są „klasą zasadniczą“, lecz twierdzi, że wszystkie warstwy społeczne powiększają bogactwo krajowe. Wywodząc, jak kupiec nadaje wartość towarowi, przewożonemu przez niego. tem właśnie przewożeniem, wyprzedzał współczesnych ekonomistów Zachodu. Podobnie Ferdynand Nax w swym „Wykładzie prawideł początkowych ekonomji politycznej“ (Warszawa 1790) zwraca uwagę, jak przemysł tworzy wartości nawet tam, gdzie ich zgoła nie daje przyroda.

Koŕłataj uznawał pracę za źródło bogactw. I gdzież tu fizjokratyzm?

Nie czuję się kompetentnym orzekać, czy i o ile zachodzi tu wpływ Adama Smitha, którego klasyczne dzieło pojawiło się jeszcze w r. 1776; aczkolwiek dopiero w r. 1811 Jan Znosko podał w polskim języku samo tylko streszczenie tego systemu (w Wilnie). Być może, że swoistość polskich pomysłów ekonomicznych polegała na tem, że dawano pewnego rodzaju syntezę fizjokratyzmu i industrializmu, do czego dołączono następnie uwzględnianie indywidualizmów narodowych (u Skarbka).

Bądź co bądź wbrew fizjokratyzmowi cechą życia ekonomicznego Polski pod koniec XVIII wieku jest dążenie do uprzemysłowienia. Wyniki były świetne; pokryły się fabrykami wszystkie prowincje...

Nagle ulega wszystko gwałtownemu przewrotowi. Następują rozbiory Polski: państwo rozdarte, dorzecze Wisły — ta naturalna podstawa gospodarczego organizmu Polski — przecięte na trzy części, i życie ekonomiczne całe zmuszone dostosowywać się do obcych organizmów.

Na rozerwaniu Wisły najgorzej wyszedł zabór austriacki. Zachwiało się całe gospodarstwo Galicji, odkąd produktów rolniczych ni leśnych nie można było spławiać Wisłą do Gdańska; wywóz drogą kołową do zachodnich krajów austriackich nie mógł się opłacać z powodu nieproporcjonalnie wysokich kosztów przewozu —

i jedynym sposobem użycia ziarna stało się przerabianie żyta na spirytus i pędzenie wódki dla chłopów na podstawie prawa propinacyjnego. Pogarsza się też fatalnie położenie ludności wiejskiej, zwłaszcza gdy ilość podatków austriackich doszła już w r. 1822 do nieprawdopodobnego „rozwoju“, bo aż do 52 rodzajów.

Starał się rząd austriacki z całych sił o to, żeby Galicja podupadła jak najbardziej. Jakież to znamienne, że za Józefa II. było w Galicji kupców mniej niż w r. 1772!

Rozwój przemysłu, hodowanego tak starannie przez rząd polski, podcięto w Austrii odrazu, bo wyznaczono Galicję na teren ekspansji dla austriackiego handlu i przemysłu. Hut żelaznych było przedtem do 400, a już w r. 1810 pozostało ich pod rządami austriackimi zaledwie 14. Jak rząd przeszkadzał przemysłowi w Galicji, poczytać mogą trzy przykłady z różnych czasów pierwszej połowy XIX wieku, przykłady, z których każdy staje za tysiączne wypadki.

Józef II. wprowadził stemplowanie wyrobów przemysłowych w Austrii, żeby utrudnić przez to przemyślanie wyrobów zagranicznych. Środek posiadający tedy znaczenie protekcyjne, obrócono w Galicji w środek tępienia przemysłu w sposób stanowiący jedno z arcydzieł pomysłowości biurokratycznej: Oto fabryce tkanin bawełnianych w Nawsiu pod Jasłem kazano posyłać wyroby do ostemplowania do Wiednia, właśnie dlatego, że przewóz (kołami!) tam i z powrotem kosztowałby o wiele więcej, niż wartość towaru. Trwało to długo, nim po takiej lekcji ośmielił się kto zakładać fabrykę — a gdy wreszcie znalazł się śmiałek, zakładający fabrykę sukna w Załóżcach w Galicji wschodniej, udzielono mu naucezki, co się zowie, każąc zapłacić 20.000 złr. podatku jeszcze przed wprawieniem w ruch fabryki. Kiedy zaś w r. 1847 wysyłał rząd grupę przemysłowców z Austrii i z Czech do Belgii dla studjowania tam uprawy i obróbki lnu i konopi, odmówiono wręcz prośbie o przyjęcie do tej wyprawy kogoś z Galicji. Skazano Galicję na to, żeby

pozostała krajem wyłącznie rolniczym, a zatem i rolnictwo skazywano na niedorozwój, boć wyższy rozkwit rolnictwa możliwy jest tylko przy równoczesnym rozwoju przemysłu.

Fryderyk II. pruski przygotował zaś zupełny upadek przemysłu polskiego w Wielkopolsce zapomocą celowo do tego obmyślanych taryf celnych. Na skutki nie trzeba było długo czekać: jeszcze przed r. 1820 zginął prawie doszczętnie przemysł płócienniczy i sukienniczy. Zabór pruski stawał się obszarem czysto rolniczym, zupełnie tak samo jak Galicja.

Pielęgnowały też obydwie rządy sztuczne osadnictwo niemieckie na ziemiach polskich, i protegowały Żydów. Po r. 1830 (za rządów osławionego Flotwella) nie było po miastach wielkopolskich żadnego przemysłu, tylko elementarne niezbędne rzemiosła, handel zaś pozostał wyłącznie w ręku Żydów, protegowanych za ich... patryjotyzm niemiecki.

Centrum ziem polskich cieszyło się rządami własnymi, narodowymi, przynajmniej w latach 1807—1830, w Księstwie Warszawskim (do 1814) i w wykrojonej z jego resztek, a szumnie królestwem zatytułowanej „Kongresówce“ (1815—1831).

Ledwie umilknął szcęk wojen napoleońskich, rozwija się dalej polska nauka ekonomiczna. Następują tłumaczenia Dawida Ricardo (1826), Maxa Cullocha (1828) a Sasa zaczęto przyswajać już od r. 1815. Wkracza do Polski szkoła Smitha, zostaje przyswojoną, ale też przetrawioną, podobnie jak przedtem fizjokratyzm, służąc za osnowę do swoistych pomysłów. W warszawskim uniwersytecie powstaje katedra ekonomji politycznej, na której drugi z rzędu jej profesor, Fryderyk Skarbek (od r. 1818) rozsnuwa swe „Gospodarstwo narodowe“ (ogłoszone drukiem w latach 1820—21). Wprowadzając w swój system dwa nieuwzględniane dotychczas czynniki: właściwości narodowe i historyczne („ducha instytucyj dawnych i nowoczesnych z przemysłem narodo-

wym związek mających¹⁾), wyprzedził Skarbek o dwadzieścia lat Fryderyka Lista¹⁾.

Teorii towarzyszyła rażna praktyka. Rządy okrojonych małych polskich państwerek, Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, nie szczydziły wydatków na zaszczerpienie przemysłu. Wszak słynna Łódź („Manchester polski“) rozrosła się dzięki temu, że cała okolica stanowiła własność skarbu polskiego i rząd mógł tam swobodnie gospodarzyć. W r. 1828 założono Bank Polski, ów bank wiekopomny, „odbiegający od reguł wszelkiej cechowej bankowości“. Wielki ten opiekun rolnictwa, handlu i przemysłu nie poprzestawał na popieraniu wszystkich gałęzi gospodarstwa narodowego, lecz sam dawał inicjatywę, uwzględniając szczególnie górnictwo, tudzież komunikację.

Wiadomo, że dobre komunikacje stanowią połowę handlu, a także przemysłu. Z tego zdaje sobie nauka polska sprawę także teoretycznie już od r. 1595 (Jan Abrahamowicz). Polska posiada wyborne warunki przyrodzone, żeby wytworzyć sieć dróg wodnych. Lubowano się też w Polsce zawsze w inżynierji wodnej. Najstarszy w Polsce most łyżwowy powstał w XIV w. pod Czerwińskiem, zbudowany przez polskich majstrów Dobrogosta, Odrzywola i Jarosława. W r. 1508 wystawił Jan Basta z Żywca most na Dnieprze dla artylerji polskiej, ciągnącej pod Orszę. Za Zygmunta Augusta zbudował Erazm z Zakroczymia most drewniany na Wiśle pod Warszawą, podziwiany przez swoich i obcych. Ustawa z r. 1447, o której wspomniano wyżej, wymienia 14 rzek spławnych. Od połowy XVII w. przygotowywa się połączenie morza Bałtyckiego z Czarnem. Udoskonalając ciągle system dróg

¹⁾ „Das nationale System der politischen Oekonomie“, 1841. Skarbek ogłosił w roku 1829 po francusku „Théorie de richesses sociales“ (w Paryżu w dwu tomach), w którym to dziele stwierdza (wbrew ekonomji klasycznej) odmiennosc zasad dobrobytu publicznego a prywatnego, narodu a jednostki.

wodnych, doprowadziliśmy do tego, że pod koniec okresu niepodległości, za Stanisława Augusta można było żeglować poprzez system kanałów z Pińszczyzny aż do Gdańska. Powstało niemało kanałów i w innych stronach Polski. Ekonomista Nax (1790) nawoływał do planowego połączenia Bałtyku z Dniestrem i Dnieprem.

Tę tradycję pieczy o drogi wodne pielegnował rząd Kongresówki. W r. 1818 podjął regulację Wisły pod Warszawą; przed rokiem 1830 projektował Adam Idźkowski budowę tuneli pod Wisłą, w Warszawie. W r. 1823 rozpoczęto kanał Augustowski (budowy jego dokończył Bank Polski), żeby otworzyć eksportowi nowy dostęp do morza, do Windawy, gdzie robotami portowymi kierował Mieczysław Szystowski.

Miernictwo poczyna się w Polsce od końca XIV wieku traktatem „Practica geometria”; drugi podręcznik powstał około r. 1450 i odtąd nauka ta kwitnie już stale u nas, bez przerwy. Pierwsza książka techniczna w polskim języku wyszła w r. 1556: Stanisława Grzepskiego „Geometrya to jest miernicka nauka”. Pomiar kadastralny województwa krakowskiego robił 1563 r. geometra Filipowski. W wieku XVII słynął Maciej Głoskowski, autor dziełka: „Geometria peregrinando” (1645); nauczyciel geometrii księcia Wilhelma Orańskiego, a komornik graniczny województwa kaliskiego.

Znanych jest sporo planimetrów polskiego pomysłu. Zasłynęły bardziej w ciągu XIX wieku: planimetr Juljusza Kolberga, profesora na kursach dla inżynierji, połączonych od r. 1818 z uniwersytetem. Inny planimetr, wynaleziony przed r. 1834 przez geometrę Żelińskiego rozpowszechniony był długo we Francji pod nazwą „la fausse équerre de M. Gelinski”. Na wystawie wiedeńskiej 1873 r. odznaczono medalem złotym planimetr Juliana Majewskiego.

Rozwijała się w drobnem państewku polskiem, w Kongresówce, inżynierja dróg i mostów. W r. 1823 powstała

z inicjatywy wszechstronnego Staszica „Szkoła inżynierji cywilnej dróg i mostów“, wcielona następnie 1826 r. do szkoły przygotowawczej do Instytutu Politechnicznego. Obok tego w warszawskiej szkole wojskowej aplikacyjnej wykładał budowę dróg bitych słynny Feliks Pancer, twórca licznych słynących w swoim czasie mostów, wykonanych z pomysłowością niezwyklej rzutkości, a wykładał tak dobrze, iż wykład jego był przydatny jeszcze po 60 przeszło latach. Ogłosił go drukiem w r. 1895 inżynier Tomasz Przesmycki jako dobry podręcznik dla niższej służby drogowej, dopełniwszy go własnym wykładem konserwacji. Tenże Pancer wypracował w r. 1838 pierwszy projekt wodociągu dla Warszawy. „Najwspanialszym wszakże pomnikiem jego talentów i pracy jest Zjazd z Placu Zamkowego do mostu na Wiśle w Warszawie“ (wykonany w latach 1844—46).

Dowodem ruchu naukowego technicznego czasopiśmiennictwo techniczne: W latach 1820—28 wychodzi „Izys Polska“; w r. 1829 urządzi się osobny dział techniczny w „Pamiętniku umiejętności czystych i stosowanych“, a w r. 1830 wyszło 10 zeszytów czasopisma czysto technicznego „Pamiętnik umiejętności fizycznych, matematycznych i statystycznych z zastosowaniem do przemysłu“. Dalsze wydawnictwo przerwała wojna 1831 roku.

Dróg bitych zbudował rząd małej Kongresówki trzy razy tyle, co równocześnie cała olbrzymia Rosja; sani zaś Bank Polski około tysiąca kilometrów; jego dziełem wielki „trakt krakowski“ z Warszawy przez Radom, Kielce i Miechów.

Co się działo po upadku Kongresówki, tego prawym symbolem losy materiałów, leżących na brzegu Wisły w rozległych składach robót regulacyjnych pod Warszawą. Roboty przerwane nie zostały już nigdy podjęte na nowo, a materiały poszły na budowę... cytadeli warszawskiej. Odtąd nie bywało już w Kongresówce robót

budowlanych wodnych. Próżno opracowywał Józef Sporny projekt osuszenia błot rzeki Bzury i niziny kampinoskiej. Podejmował rząd austriacki roboty wodne w Galicji w czasach najnowszych, ale tak opieszale i niechętnie, iż było widocznem aż nazbyt, że robiło się to tylko dla „mýdlenia oczu“ Kołu Polskiemu w parlamencie wiedeńskim. Ostatecznie projekt wielkiego kanału, mającego łączyć Dunaj z Odrą, Wisłą, Dniestrem, kanału, któryby przecinał całą Galicję, z wielkim portem pod Krakowem, uchwalony w parlamencie, otrzymał nawet sankcję cesarską, ażeby... pozostać niewykónanym. Nie zawahano się przed wystawieniem na pośmiech słowa monarszego, jako nie mającego mieć w Austrii wartości... gdy chodzi o Polaków.

Po r. 1830 nastął okres dla kultury umysłowej polskiej najcięższy, zabójczy dla pracy gospodarczej. Nawet teoria chroniła się zagranicę. Główny przedstawiciel polskiej ekonomji tych lat, liberalista Ludwik Wołowski, pisuje po francusku i wydaje w Paryżu od r. 1834 „Revue de législation et de jurisprudence“. Wyszło ich tomów 45. Wołowski był specjalistą w kwestji banków i monety. Pisywał i był wogóle czynnym długo, zwłaszcza w latach 1864—1875; w kraju nie było dla niego miejsca. August Cieszkowski ogłasza po francusku w Paryżu r. 1839 swe doniosłe dzieło „Du crédit et de la circulation“ i przyczynia się wraz z Wołowskim do założenia najpoważniejszej instytucji francuskiej i jednej z najpoważniejszych całego świata: „Crédit Foncier“.

Pe r. 1830 nie było również na ziemiach polskich żadnej wyższej szkoły technicznej. Krakowski „Instytut“, założony przez Wolne Miasto, był szkołą średnią — nie stała zaś wyżej ani niemiecka „Akademja techniczna“ we Lwowie. Rządy zaborcze dbały wielce o to, żebyśmy stali jak najniżej w zawodach stanowiących o dobrobycie kraju: „Z dwojga złego“ wolano tam zawsze polską sztukę, niż polski handel i przemysł.

Od r. 1834 zamknięto towarom polskim wywóz przez Rosję do Azji, a zabrano się też energicznie do tamowania wywozu polskiego do Rosji. W r. 1840 eksport ten wynosił ledwie trzecią część wartości z roku 1829 (najbardziej ucierpiał wywóz wyrobów wełnianych). I byłby rozpadł się w gruzy cały przemysł Kongresówki, gdyby nie obywatelska działalność Banku Polskiego, będącego aż do r. 1870 jedynym zakładem kredytowym w całym kraju (gdyż nie dopuszczano zakładania nowych).

Doczekał się jeszcze Bank Polski, zanim go zamknięto, nowej ery komunikacyjnej: kolei żelaznych, a idąc zawsze z postępem czasu, udzielił poparcia kolei warszawsko-wiedeńskiej, której budową kierował Stanisław Wesołki. Finansował też Bank żeglugę parową na Wiśle. Działalność jego była zato oddawna solą w oku władz rosyjskich. To też od r. 1870 zaczyna się jego przymusowa likwidacja, aż zniesiono go całkowiec r. 1885.

Pomimo piętrzących się coraz większych trudności wychodziły w Kongresówce „Dziennik Politechniczny“ (1860—62) i „Przegląd Techniczny“, choć przez rok 1866—67, udało go się wznowić dopiero 1875 r., odkąd wychodzi bez przerwy, ale polscy technicy musieli coraz bardziej szukać sobie pola poza granicami Polski.

Zrazu zmierzały rządy zaborcze do tego, żeby w Polsce jak najmniej stawiać kolei żelaznych. Wszak w Wiedniu odmówiono koncesji na żeglugę parową na Wiśle i Dniestrze, a również na towarzystwo akcyjne budowy kolei żelaznych w Galicji. Kraków otrzymał też połączenie kolejowe ze Lwowem aż w r. 1861. Dopiero względy strategiczne skłoniły rząd wiedeński do budowy nowych linii kolejowych w Galicji. Kongresówka należy co do ilości kolei żelaznych do dnia dzisiejszego do najbardziej zaniedbanych krajów europejskich. W pruskim zaborze przedstawiał się ten stosunek znacznie lepiej (jakkolwiek daleki od zaspokajania potrzeb istotnych kraju), ale zato tam nie dopuszczano nigdy Polaków do służby kolejowej.

W Kongresówce po upaństwowieniu linii warszawsko-wiedeńskiej również usunięto Polaków całkowicie z kolejnictwa, sprowadziwszy na ich miejsce Rosjan (odtąd zaczęły się mnożyć wypadki kolejowe). W Galicji dopiero około r. 1870 dopuszczono Polaków do posad technicznych kolejowych, ale aż do dnia ostatniego rządów austriackich językiem urzędowym kolejarstwa (a także poczty) był w Galicji język niemiecki.

Pomimo tego stanu rzeczy nowoczesna ta dziedzina techniczna cieszyła się u Polaków dziwną wśród takich okoliczności wziętością; a co nadzwyczaj charakterystyczne, że możemy się pochlubić niepoślednimi wynikami.

O machinach parowych wogóle przedstawiono rozprawę doktorską w uniwersytecie warszawskim w roku 1823 (Stanisława Janickiego); w r. zaś 1829 ukazał się we Lwowie pierwszy tom obszernie zamierzonego o nich dzieła słynnego potem wodza, generała Józefa Bema. Słynny inżynier Stanisław Kierbedź, student uniwersytetu wileńskiego z czasów filareckich, brał udział w budowie kolei warszawsko-petersburskiej, a następnie zajmował w latach 1863—1891 wybitne stanowisko w ministerstwie komunikacyj w Petersburgu. On zbudował pierwszy most stały na Newie w Petersburgu (rozpoczęty 1842 r.); później w r. 1860, rozpoczęto budowę mostu według jego projektu w Warszawie; most ten nosi jego nazwisko. Kolej żelazną między Donem a Wołgą projektował Tadeusz Chrzanowski, następnie od r. 1865 dyrektor budowy kolei terespolskiej.

A któż budował głównie kolej syberyjską, jak nie polscy inżynierowie?

Inni szukali miejsca dla swego talentu na Zachodzie. Adam Idźkowski podał już w r. 1857 w Paryżu dobrze obmyślony projekt kolei jednoszynowej, z wagonami zawieszonymi po bokach. Teofil Żebrawski badał przyczyny wykolejania się pociągów (1850). Słynny Hoene-Wroński propagował już w r. 1837 we Francji szyny ruchome

i rozmaite reformy dróg żelaznych. Karol Chobrzyński inżynier kolei Północnej we Francji, wprowadził na tej linii palenisko lokomotyw, noszące jego imię. Stanisław Janicki (syn) założył roku 1870 z inżynierami Cotardem i Champouillonem spółkę „Entreprise générale de chemins de fer et de travaux publics“. Tenże powołany był przez konsorcjum francuskie (Borel, Lavalley et Co.) do współdziałania przy budowie kanału Sueskiego, opracował projekt kanału morskiego dla Petersburga, wodociągów dla Odessy, i kierował samodzielnie wielkimi robotami portowymi w Rjece (Fiume). Aleksander Martynowski obliczał dla francuskiej kolei Północnej zbiorniki wody i t. d. Całemi stronicami możnaby przytaczać podobne przykłady na dowód, jak postęp techniki komunikacyjnej nęcił Polaków i że w najtrudniejszych warunkach, chociaż nie mogli pracować we własnym kraju, zdobywali dla polskiej wiedzy technicznej zaszczytne miejsce w rozwoju powszechnym kolejnictwa.

Góruje ponad wszystkimi Ernest Malinowski, prawdziwy bohater kolejnictwa. Licząc lat przeszło 60 zabrał się do budowy najwyższej na świecie kolei żelaznej, poprzez Andy w Peruwji, z 62 tunelami i 30 mostami różnych systemów, przebiwszy tunel długości 1,200 m. na wysokości 4768 m. nad powierzchnią morza. Przeprowadził tę kolej wspaniale przez wąwóz rzekę Rimac. „który najśmielsi inżynierowie amerykańscy uznawali za niedostępny dla linii kolejowej“. Dwa razy wojny południowo-amerykańskie przerywały roboty; raz musiał Malinowski uchodzić z Peruwji na wygnanie, a jednak nie tracił zapału, energii, i po r. 1880 doprowadził szczęśliwie do końca jeden z nowoczesnych cudów świata.

Ileż energii polskiej musiało z konieczności szukać sobie ujścia po całym świecie, ileż talentu polskiego działało czynnie, twórczo, wśród obcych, podczas gdy we własnym kraju właściwe im pole działania leżało odłogiem, psute umyślnie przez zaborców.

Skoro tylko powstała we Lwowie polska politechnika (w r. 1877, z niemieckiej akademii technicznej), zaraz wybiło się tam kolejnictwo. Już w pierwszym roku wykładów zainaugurował Roman Gostkowski wykład mechaniki ruchu kolejowego, wyprzedzwszy tem wszystkie politechniki austriackie. Tenże wydał w r. 1883 „Teorię ruchu kolejowego, zastosowanego do praktyki”. Tamże Karol Skibiński wykładał budowę dróg, kolei żelaznych i tunelów i ogłosił „Obrachowanie połączeń torów”. W ostatnich latach objął całokształt kolejnictwa Aleksander Wasutyński w swym dziele „Drogi żelazne” (1910), odznaczwszy się przedtem w latach 1896—99 badaniami nad zachowaniem się szyn w torach i nad ich odkształcaniem się sprężystem pod obciążaniem (opis badań ogłoszony był po polsku, rosyjsku, francusku (1898 r. w Brukseli) i niemiecku).

Ale koleje żelazne, stanowiące wszędzie takie dobrodziejstwo dla kraju, miały się stać dla Polski w ręku zaborców nowym środkiem do zwalczania polskiego rolnictwa i przemysłu. Czego nie zdołała dokazać taryfa cłowa, tego miały dopełnić taryfy przewozowe. Powiedziano prawdziwie, że przemysł polski opłacał koszt przewozu przemysłowi rosyjskiemu. W austriackich zaś taryfach uprzywilejowana była zawsze produkcja zagraniczna, nawet poza-austriacka, ze szkodą galicyjskiej.

W zaborze rosyjskim zaczęło grozić tem większe niebezpieczeństwo przemysłowi polskiemu, kiedy od roku 1850 zaprowadzono (wbrew postanowieniom kongresu wiedeńskiego) jednolitą taryfę cłową dla całego państwa rosyjskiego wraz z ziemiami polskimi. Podrożała skutkiem tego wielce produkcja, a więc obniżyła się siła konkurencyjna.

Wytworzyły się stosunki tego rodzaju, że musiało się nabywać bawełnę rosyjską z Turkestanu, bo amerykańska — znacznie tańsza — była dla nas niedostępna. Podobnież rudę żelazną musiano z południowej Rosji spro-

wadzać i to kolejną, bo dowóz morski był niemożliwy skutkiem zaniedbania dróg wodnych w kraju i zaprzestania wszelkich robót nad regulacją Wisły. Była też ruda w Kongresówce dwa razy droższa, niż w Rosji.

- Albo inny przykład: z węgla polskiego nadaje się na koks tylko górnośląski (zwany „pruskim“), a ten oddzielony był od Kongresówki kordonem prusko-rosyjskim; ustanowiono zaś nań cło tak wysokie, iż przetapianie rudy koksem musiało zdrożać w Kongresówce tak dalece, iż rosyjski przemysł metalurgiczny ubezpieczony był przed konkurencją polskiego. Swoją drogą na dyrektora Dnieprowskiego Towarzystwa metalurgicznego szukano inżyniera w Polsce. Został nim Ignacy Jasiukowicz, który dzięki swemu talentowi organizacyjnemu i wiedzy technicznej zrobił z tych zakładów jedno z największych przedsiębiorstw całego świata, podczas gdy we własnym kraju nie miał żadnego pola dla swych zdolności. Czyż może być drastyczniejszy przykład, co znaczy brak niepodległości i jak zaboreza polityka ekonomiczna wykręca drogi naturalne gospodarze?

W wyrafinowany sposób upośledzono również przedziałnictwo polskie. Przemysł chemiczny ubito wprost drożyzną soli. Największe saliny świata, wielickie, są tuż obok, ale oddzielała od nich granica rozbiorowa rosyjsko-austrjacka; ustanowiono tedy na tę sól „zagraniczną“ cło wynoszące 375—500% jej ceny — skutkiem czego Kongresówka musiała sprowadzać sól z odległości 1200 km. z kopalni południowo-rosyjskich. Ależ bo nawet mąka rosyjska bywała w Kongresówce tańsza od własnej, którą należałoby przewieźć o kilkanaście mil choćby. Takie wyprawiała Rosja na nas cudy ekonomiczne swemi taryfami kolejowemi!

A były jeszcze inne trudności i zawady:

• Na ziemiach polskich więcej było podatków i świadczeń na rzecz państwa (na Litwie „kontrybucja“ na majątkach polskich przez lat niemal 50), niż w Rosji właści-

wej, i nadto jeszcze wyższa stopa podatkowa. Wroga polityka kredytowa wyciągała z kraju dziesiątki milionów rocznie (np. przymus lokowania w papierach państwowych lub wprost w banku państwa, stosowany w wielu dziedzinach życia ekonomicznego) i wywołała podrożenie kredytu. Kilkakrotne obniżanie kursu pieniędzy papierowych rosyjskich przyprawiło kraj o nieobliczalne wprost straty. Na dobitkę utrudnianie zrzeszeń ekonomicznych doszło do tego stopnia, że w czasie, kiedy przemysł Kongresówki koncentrował się najbardziej (1880—1895), nie było w kraju spółek akcyjnych (dopuszczano je dopiero później).

Dodajmyż, że na każdym kroku musiało dawać się ciężko we znaki przymusowe połączenie z organizmem gospodarczym tak zacofanym jak rosyjski. Ostateczny wynik tego połączenia taki oto: „Kraj pozostał mimo znacznego rozwoju przemysłu zawsze jeszcze przeważnie rolniczym... ale wydajność rolnictwa była tak niska, że od niespełna 20 lat niezbędny był przywóz środków żywności z Rosji“.

Nielepiej działo się w Galicji. Gdy w Kongresówce zakwitnął pomimo wszelkich trudności przemysł tkacki, zaraz postarano się w Austrii o to, żeby tym polskim wyrobom tkackim wysokim cłem uniemożliwić zbyt w drugiej części Polski, w Galicji, zachowując ją na rynek dla produkcji austriacko-niemieckiej. Inny przykład przewrotnej chytrłości rządu wiedeńskiego: w ostatnim traktacie słowym z Niemcami zaprowadzono cło od wyrobów tartacznych sześć razy wyższe od cła na drzewo „okrągłe“, a żeby Galicję zmusić do wywozu belek zamiast desek; a te belki różnęło się w deski tuż za kordonem i w ten sposób zniszczono przemysł tartaczny w Galicji, a wywołano go i to w stopniu świetnym po stronie niemieckiej tuż nad granicą galicyjską.

Dzięki panowaniu austriackiemu zanikło cukrownictwo, zapowiadające się w Galicji zrazu bardzo pięknie—przemysł płócienny ostał się ledwie w resztkach — zam-

knięto większą część hut szklanych i fabryk świec. Produkcja żelaza i wyrobów żelaznych topniała w Galicji w dalszym ciągu w przeraźliwym tempie pod opieką rządu wiedeńskiego: około r. 1870 zostało ich jeszcze... dzieścięć, ale w r. 1905 zamknięto ostatnie piecysko (w Węgierskiej Górcie w Żywieckiem).

Ubijany też był przemysł polski przez kartele przemysłu austriackiego: kartel zapalkowy zamknął drobne galicyjskie fabryki — podobnież dały się we znaki kartele żelazny i cukrowniczy — a ostatni kartel rafinerij spirytusu dążył do tego samego, co już osiągnął kartel rafinerij nafty; żeby przemysł ten całkiem przesunąć poza granice Galicji, aczkolwiek Galicja produkowała w tym wypadku 60% surowca całej Austrii.

Dostawy publiczne — te „rezerwy“ rozwijającego się przemysłu, dla Polaków nie istniały, gdyż rządy zaborcze wykluczały od tego polskich przemysłowców. Od rządu pruskiego nie zarobił grosza Polak, od rosyjskiego rzadko który, udział zaś Galicji w dostawach rządowych austriackich obliczono na 3%. Ale udział przymusowy w dostawach przymusowych wynosił zato podczas wojny w stosunku do niemieckich prowincyj bez przesady 3,000%.

Na 85 szkół przemysłowych (zawodowych) niższych w Cislitawji utrzymywał rząd w Galicji zaledwie sześć; na 1055 żeńskich szkół przemysłowych, w Galicji tylko 11; z 27 wyższych szkół przemysłowych znajdowała się w Galicji zaledwie jedna; na 73 zaś szkół handlowych (niższych i średnich), utrzymywanych kosztem państwa, przypadało na Galicję cztery. I tu sprawdza się, że woła „z dwojga złego“ polską sztukę, od polskiego handlu lub przemysłu!

A „dobre stosunki“ austriacko-polskie?

Wiadomo, że Austria była pod rządami Metternicha najbardziej wsteczniczem państwem w Europie, a Metternich nie ze wszystkiem umarł: duch jego żył w wysokiej biurokracji wiedeńskiej, która prowadziła wprawdzie państwo do ruiny, ale tymczasem dawała się we znaki

wszystkim Słowianom... Austrija ta, wyrzucona przez Prusy z Niemiec, a przez Prusy i Francję z Włoch, szukać zaczęła „odszkodowania“ na Bałkanie. Wprowadziło ją to w antagonizm z Rosją, dzięki temu zdecydowano się na budowę strategicznych kolei żelaznych w Galicji i na „ugodę“ z narodem polskim. Ale fakt ciekawy: oto właśnie po przyznaniu Galicji pewnej autonomji nastąpił najcięższy upadek ekonomiczny kraju i jak najbardziej zależność od przemysłu zachodnio-austriackiego. Podnieść też warto jeden szczególny fakt: oto od r. 1849 nie zbudowano w Galicji ani jednego kilometra gościńca rządowego, chociaż nie przestano budować dróg na koszt państwa w innych „krajach koronnych“. Galicja jednakże, jeżeli chciała mieć drogi, musiała je sobie budować wyłącznie za swoje własne pieniądze.

W zaborze pruskim wzrosła w latach 1875—1907 ilość przedsiębiorstw przemysłowych w Poznańskim o 350%, a w Prusiech Królewskich o 290% — ale niewiele w tem polskich. Wielki skoncentrowany przemysł Górnego Śląska jest zupełnie w ręku niemieckim. Ale w Poznańskim zmalała jednak ilość przedsiębiorstw przemysłowych niemieckich o 21%, wzrosła zaś polskich o 11,5%. A więc...“ jednak się ruszały pomimo tak zaciekłych prześladowań narodu polskiego.

Wiadomo, że wyższy rozwój rolnictwa możliwy jest tylko przy równoczesnym rozwoju przemysłu¹⁾, a więc obliczyć łatwo, ile na tem przeszkadzaniu przez trzy wielkie państwa przemysłowi polskiemu — ucierpiało również rolnictwo.

Z przemysłem łączy się najbardziej inżynierja. Jak wszędzie, podobnież w Polsce starsza jest inżynierja wojskowa od cywilnej. Na cztery języki przekładano Kazimierza Siemienowicza dzieło „Ars magna artilleriae“.

¹⁾ Z naciskiem podnosił to Józef Supiński w „Szkole polskiej gospodarstwa społecznego“, 1862.

wydane w Amsterdamie 1650 r., od którego ciągnie się długi szereg prac tego rodzaju aż do Kościuszki dzieła o manewrach artylerji konnej, wydanego w Bostonie 1808 r. „Architektura wojenna“ poczyna się od Krzysztofa Mieroszewskiego, sekretarza króla Jana III Sobieskiego. Nauki wojskowe kwitnęły w Polsce stale — nawet wtenczas, kiedy zostaliśmy pozbawieni własnego państwa i własnej armji. Nie mamy zamiaru rozwodzić się nad tym tematem — zwrócimy tylko uwagę, że u wielu Polaków uważanem to było za obowiązek, żeby się kształcić w sztuce wojennej, ze względu na obowiązek wyzyskiwania wszelkiej sposobności do walki z państwami zaborczemi.

O mostach i wodociągach najstarszych była już mowa. Do tych zawiązków inżynierji cywilnej przyłączała się wcześniej wszelaka mechanika. Słynął w XVII w. uczony jezuita Adam Kochański, znakomity matematyk, korespondent Leibniza, który zajmował się też mechaniką zegarową, podał kilka ustrojów zegarowych własnego pomysłu, pracował nad zastąpieniem używanych wówczas w zegarkach szczecinek sprężyną regulującą i sporządził zegarek z wahadłem magnetycznem. Zasłynął z budowy młynów, wiatraków; wind i innych urządzeń Stanisław Solski, autor „Architekta polskiego“ (1690). Za Stanisława Augusta istniała godność „dyrektora budowli mechanicznych Jego Królewskiej Mości“, którą sprawował Jan Gotfryd Schneider, autor książki „Poprawne y pomnożone młynobudownictwo“ (Warszawa, 1794), na której końcu dodano coś bardzo dziś cennego dla rozmaitych studjów, bo „Słownik, służący do słów mniej znajomych, z niemieckiego i łacińskiego wyłożony“.

Mechanika interesowała Polaków wszechstronnie; w teoretycznej zajmują uczeni polscy (jak to zobaczymy na innym miejscu) niemało miejsca — praktyce zaś oddawano się zawsze z powodzeniem, nawet w rodzajach najzawilszych. Tak np. wynalazcą maszyn rachunkowych jest Stern (od r. 1812), który zbudował także młockarnię, tartak i żniwiarkę własnego pomysłu, wkońcu jeszcze

wózek topograficzny do mierzenia długości przebieganej drogi. Ów Stern był chłopakiem u zegarmistrza w Hrubieszowie, a zajął się nim i ułatwił wyższe wykształcenie Staszic.

W ostatnich czasach zakwitnął przemysł mechaniczny w kilku miastach Kongresówki, w Poznaniu i w Krakowie w fabrykach pierwszorzędnych, cieszących się i poza Polską dobrą marką (np. Zieleniewski w Krakowie, Cegielski w Poznaniu, Lilpop w Warszawie).

Zamiłowanie ciągle do wodnej inżynierji znać w samej już ilości dzieł i dziełek z tego zakresu w bibliografji polskiej. Podczas umysłowego odrodzenia Polski za Stanisława Augusta roi się od rozmaitych projektów połączeń rzek w różnych stronach kraju, a pozostało z tego ruchu znaczne zajęcie dla problemów hydrodynamiki. Ogłosił o niej książkę generał Michał Sokolnicki w Paryżu 1811 roku po francusku.

Aż do najnowszych czasów przetrwało to zamiłowanie. Władysław Witkowski wyprowadził własne wzory, i na podstawie własnych doświadczeń, na prędkość wody w zależności od głębokości, wykonawszy w r. 1862 doświadczenia na Wiśle. Łukasz Bodaszewski wydał w r. 1902 „Teorię ruchu wody“ (Lwów). Maksymiljan Matakiewicz wywiódł wzór na średnią chyżość wody w rzekach, przytaczany wszędzie w najnowszych podręcznikach hydrauliki. Henryk Merczyng sprawdzał doświadczalnie wzory hydraulików francuskich na bieg wody w rurach, o czem wydał broszurę po francusku w Paryżu 1907 r.

Odznaczyli się szczególnie dwaj inżynierowie polscy w tym kierunku. Romuald Irzkowski zorganizował austriacką służbę hydrograficzną, podczas gdy w samej Galicji państwowej takiej służby wcale nie było (1904)¹⁾.

Stanisław Janicki zastąpił od Rosji do Francji, tak jako praktyk-wykonawca, jako też w teorii. W r. 1876 objął kierownictwo robót przy kanalizowaniu rzeki Mo-

¹⁾ Tenże zmienił system utrzymywania dróg bitych w Austrii.

skwy, przyczem robił doświadczenia, które doprowadziły go do sceptycznego zapatrywania się na niemieckie wywody o warunkach żeglowności rzek. Rutyna hydraulików niemieckich obstawała przy tem, jakoby ścieśnienie koryta rzeki powiększało jej splawność, pogłębiając koryto. Zaprzeczył temu Janicki w r. 1879. Wnet przyłączył się do niego i uwzględnił jego zasady inżynier Pasqueau w projekcie skanalizowania Rodanu, poparł je zaś rachunkiem analitycznym inż. Okołów. Janicki pierwszy uwzględnił należyte naturę gruntu dna rzeki, co zdaniem jego winno decydować o systemie robót rzecznych. Polemizował długo o to niemiecki professor Schlichting, ale wreszcie spostrzeżono się i w Niemczech, że uszlawnienie rzek niezawsze da się osiągnąć regulacją, i zaczęto się coraz częściej zwracać do francuskiego systemu kanalizowania rzek. Janicki zaś przyczynił się waleńie do rozwoju hydrauliczki nowoczesnej.

Kierunek Janickiego w hydrauliczce jest znamieny, bo ma w sobie coś zasadniczo polskiego. Z jednej strony niemiecka „reguła“, nie uwzględniająca natury gruntu, aplikująca swój rutyniczny szablon, narzucany wszędzie zgóry, — z drugiej strony zasada, że główną regułą właściwie jest uwzględnianie natury gruntu.

Jak ceni się w Polsce wiedzę techniczną, ów fundament przemysłu, dowód wyraźny w tem, że podczas wojny, gdy cała groza wojennych stosunków dawała się krajowi we znaki, zaraz jednak w r. 1915, skoro tylko ustąpili Moskale, przystąpiono do założenia równocześnie z uniwersytetem polskiej politechniki w Warszawie. Albo drugi fakt znamieny: wśród najfatalniejszych stosunków wojny powszechnej powstaje w Krakowie w r. 1917 „Towarzystwo Żegluzi Polskiej“, którego duszą był w trudnych początkach pułkownik Roja. Łączył się w Polsce zawsze miecz z pługiem, a oto zjawilo się dobre omen, że będzie on się łączył i z łokciem i z kwartą, będzie stał na straży polskiego przemysłu i handlu. Co za wróżba dobra, że obok należytego oceniania wiedzy technicznej zrozu-

miano u nas od początku samego niepodległości, kiedy brzask zorzy ledwie ją zapowiadał, odrazu doniosłość drugiego fundamentalnego warunku rozwoju handlu i przemysłu: doniosłość sprawy morskiej.

Naród polski rozpoczynał życie dziejowe pod wybornemi co do tego auspicjami. Od Mieszka I utrzymywaliśmy stosunki nadmorskie i zamorskie, a w r. 1109 zajął Krzywousty Pomorze aż po dolną Odrę. Niestety, skutkiem wojen między potomstwem Krzywoustego, trzeba się było cofnąć znacznie, a gdy porzucono niebawem Połabian i oddano ich na łup Niemcom, skurczyła się przez to samo morską sferą Polski, boć niesposób było utrzymać Pomorze zachodnie, zarzucawszy związek polityczny z głębszym lądem na zachodzie. W r. 1226 zrobiono początek końca i co do wschodniej połaci morza polskiego... sprowadzeniem Krzyżaków. Grzechy zaniedbania odrobiono ledwie w r. 1466 i to połowicznie tylko. Nie wyzyskano też należycie posiadania wybrzeża bałtyckiego; wszak dopiero za Władysława IV myślało się o własnej flocie państwowej! A tymczasem pod koniec XV w. zaszła potrzeba dotarcia do wybrzeża czarnomorskiego (po zajęciu ujść Dunaju i Dniestru przez Turków 1484 r.). Nie można zarzucić ówczesnemu pokoleniu, żeby nie było rozumiało doniosłości dostępu do morza; wszak to za Kazimierza Jagiellończyka powstało hasło „Polski od morza do morza“. Za Jana Olbrachta powtarzają się wyprawy, skierowane ku ustaleniu się nad morzem Czarnem. Niestety, nie doprowadziły one do pożądanego wyniku, a potem polityka polska przestała być w tej sprawie konsekwentną.

Za zygmontowskich czasów pochłaniała całą uwagę i energję społeczeństwą na nowo sprawa bałtycka. Zygmunt Stary przeszkodził, żeby Bałtyk nie stał się dziedziną potęgi brandeburskiej. Kiedy Albrecht brandeburski wprowadził na arcybiskupstwo ryskie brata swego, Wilhelma, również zlutrzonego, a marzył zarazem o przyłączeniu Kurlandji do swego pruskiego księstwa,

nie dopuścił tego Zygmunt Stary stanowczym wystąpieniem, a Zygmunt August pilnował tej sprawy z całą troskliwością i w nadarzonych okolicznościach umiał przeprowadzić w Inflancjach interes polski. Stefan Batory porwał powtórnie za oręż w sprawie bałtyckiej. I była Polska potężnym mocarstwem, dopóki choć jako tako panowała nad brzegiem morskim. Upadek ekonomiczny i wynikający z tego nieuchronnie polityczny łączy się ściśle z datami coraz dalszego odsuwania nas od morza. Turcja odepchnęła nas daleko w głąb lądu, przez dłuższy czas aż do środka Podola, Szwed przywłaszczył sobie władzę nad Bałtykiem, a zwierzchnictwo faktyczne Rosji nad Polską zaczyna się od sprawy kurlandzkiej...

Miejmyż otuchę, że obecnie uda się spopularyzować znaczenie morza na tyle, ile trzeba, żeby żaden inteligentny Polak nie stał zdaleka od zabiegów w sprawie morskiej!

Zawiniły w tej sprawie dzieje polskie. Rozumieliśmy, o co chodzi, posiadaliśmy poznanie sprawy, ale szwankowało wykonanie. Logos bez Ethosu sam wreszcie zachwiać się musiał; te bowiem dwie dziedziny ducha nawzajem wspierają się i uzupełniają. Z Ethosu czerpie Logos nieraz nowy wątek dla siebie; gdy zaś nie ma sposobności wcielać się w Ethosie, wyczerpany wątleje. Temu prawu, ogarniającemu wszelkie stosunki ludzkie, ulegliśmy: skoro przez dłuższy czas zaniedbaliśmy czynności celowych, potrzebnych do władania wybrzeżem morskim, po pewnym czasie przestaliśmy sprawę tę rozumieć, a wreszcie przestała ona nas zajmować i znalazła się poza polskim horyzontem myśli. Z tej przyczyny zaczęła się ułamkowość, a w dalszym następstwie ułomność polskiej myśli politycznej.

Dziś zaczynamy rozumieć na nowo; dbajmyż, by czyny szły rzędem odpowiednim naszej myśli... a gdy nastąpi to choć w jednej dziedzinie życia państwowego, pociągnie to konsekwencje w innych. Logos musi być

pierwszy, a nawet zachować pewną przewagę nad Ethosem, choćby dlatego, że winien go wyprzedzać, a nigdy nie być przez Ethos wyprzedzany (z tego bowiem najcięższe nieszczęścia człowieka i ludzkości), ale Logos musi poprzez myślenie celowe wieść do Ethosu, inaczej niema kultury czynu, a bez niej niema życia.

Nie dojdzie społeczeństwo żadne do znaczenia, ani celu swego nie spełni, jeżeli Ethosowi swemu nie zapewni siły. Czerpmyż ją z rolnictwa naszego, z górnictwa, z przemysłu i handlu. Cele, im idealniejsze, tem łatwiej przechodzą w dziedzinę utopij, jeżeli nie mają do swego rozporządzenia siły odpowiedniej materialnej.

Z tego jasno wynikają obowiązki nasze. Całe celowe myślenie nasze musi być obrócone na pozyskiwanie siły, której źródło w naszych zasobach materialnych i w zdolności wykrzesania z nich mocy dla państwa.

Znaczenie Polski jest i będzie proporcjonalne do stopnia rozumnego wyzyskiwania darów przyrody i wprowadzania ich w polski przemysł i polski handel. O celu Polski można w tem miejscu powiedzieć tyle, że, jakkolwiek wytknęlibyśmy sobie, żadnego nie osiągniemy, póki nie spełnimy powyższego warunku. Dlatego też należało zastanowić się najpierw nad kwestją naszych warunków materialnych, jako nad kwestją wstępną, bez której wszelkie dalsze rozważania zawisłyby w powietrzu.

Wyzyskanie darów przyrody aż do stopnia odpowiedniego szczebla przemysłu i handlu wymaga nieodzownie wysokiego stopnia oświaty: w tę dziedzinę zwrócimy tedy z kolei nasze roztrząsania, posługując się metodą indukcyjną: od szczegółów do stopniowego uogólniania.

Rozdział IV.

Oświata.

W całej historycznej Europie uniwersytet starszy jest od szkoły ludowej, oświata zaś powszechna nie jest niczem innym, jak ostatecznym i najszerszym spopularyzowaniem uczoneści. Najstarszemi jednak placówkami oświaty były księgozbiory. Było ich w Polsce wieków średnich kilkadziesiąt. Spis rękopisów kapituły katedry krakowskiej z r. 1110 zawiera dzieła teologiczne, a obok nich Boetiusa, Sallustiusa, Terentiusa, Ovidiusa, Persiusa i t. p. Zwożono cenne rękopisy do Polski z Włoch, z Flandrii, a niemal nic z Niemiec; lecz powstawały księgozbiory także pracą krajowych przepisowaczy, których nie brakło przy żadnem większem ognisku organizacji kościelnej. Drugi znany katalog tejże biblioteki kapituły krakowskiej z r. 1300 wykazuje już znaczne zasoby rękopisów, a podobnie bywało przy wszystkich kapitułach i we wszystkich klasztorach.

Powiększają się księgozbiory z wprowadzeniem sztuki drukarskiej. Najstarszy znany druk polski pochodzi z roku 1473 (w Krakowie: *Explanatio in psalterium Jana z Torquemady*), a wnet wyrabia się w Krakowie poważne nowego rękodziela ognisko, z którego towarzysze roznoszą drukarstwo daleko po świecie. Wszak w Neapolu drukuje pod koniec XV w. Adam z Polski, a w tymże czasie występują w Hiszpanii dwaj drukarze: Władysław i Stanisław, Polacy. Około r. 1510 posiadał Kraków trzy drukarnie, po r. 1540 pięć, a koło 1570 r. siedm, Wilno równocześnie trzy, prowincja zaś około 20. Rozpowszechnienia sztuki drukarskiej dowodem takj np. zna-

mienny szczegół, że hetman Zamoyski odbijał manifest z wypowiedzeniem wojny Karolowi Sudermańskiemu szwedzkiemu, wydany w kilku językach, w drukarni obozowej (pod Kohenhużą w Inflanciech), którą woził z sobą. Handel księgarski, ustalony w Krakowie od r. 1517, rozwijał się tak szybko, że za zygmuntowskich czasów (1506—1572) bywało równocześnie po 5—7 księgarzy. Od połowy XVII wieku upada sztuka drukarska (a także ruch księgarski) wszędzie, i w Polsce nie było lepiej; jednak Stanisław August (1764) zastaje drukarń w Polsce i Litwie 33, a pod koniec jego panowania (do 1795) było w samej Warszawie drukarń 9 (pod koniec XIX w. przeszło 60) i każde niemal miasto powiatowe posiadało swoją „oficynę“.

Mnożą się więc i księgozbiory, do czego dwór królewski zawsze dawał dobry przykład. Sławne są wspomniałe oprawy ksiązek z biblioteki Zygmunta Augusta; doborową bibliotekę posiadał Jan III Sobieski. Od XVI w. powstają biblioteki prywatne wielmożów, z których najstarsza Jana Zamoyskiego i syna jego Tomasza, tudzież (w XVII wieku) Jana Fryderyka Sapiehy w Kodniu, licząca wówczas przeszło 5.000 tomów. Zawiązkim pierwszej w środkowej Europie biblioteki publicznej była fundacja profesora Obiedzińskiego z r. 1503 w Krakowie „pro libraria artistarum“ (skąd nazwa najstarszej sali w Bibliotece Jagiellońskiej), wzbogacana za tym przykładem licznymi następnie zapisami. Pierwszą na północy Alp biblioteką publiczną poza uniwersytetami była wielka biblioteka braci Załuskich założona w r. 1745, подарowana przez nich następnie rządowi polskiemu, a licząca przeszło 300.000 tomów, obok wspaniałych zbiorów rękopisów i rycin.

Głównem ogniskiem kultury umysłowej polskiej był przez całe wieki Kraków, nie dlatego, że był stolicą państwa (aż do r. 1595), ale dla swego uniwersytetu, „Jagiellońskim“ zwanego, chociaż powstał jeszcze na 22 lat przed powołaniem dynastji Jagiellońskiej. Jest to po pra-

skim (1348) drugi ze starszeństwa uniwersytet środkowej Europy, starszy o rok (1364, 1365) od najstarszego niemieckiego (wiedeńskiego). Miał on, jak wszystkie uniwersytety, czasy lepsze i gorsze, chwały i upadku. Wiek XV, i pierwsza połowa XVI, to okres promieniowania na ościenne kraje, od Niemiec do Wołoszczyzny, kiedy posiadał dla swoich scholarów różnojęzyczne „bursy“. Album studiosorum tych czasów zawiera niejedno nazwisko, głośne następnie zagranicą. Opiewano sławę „akademii krakowskiej“ nie tylko u sąsiadów. Hiszpan Piotr Roysius († 1571) poświęcił jej zaszczytne ustępy w swym poemacie „Chiliastichon“. Anglik Jan Coxe ogłosił drukiem mowę pochwalną „De laudibus celeberrimae Cracoviensis Academiae“ (1518). Nie z samych też Polaków składało się najdawniejsze na północy Alp stowarzyszenie literackie „Sodalitas Vistulana“ (przed 1490; norymberskie 1495).

Krakowski uniwersytet nie był jedynym. Drugim z rzędu był wileński, genezy jezuickiej, ustanowiony przez króla Stefana Batorego 1578 roku. Trzeci powstał w r. 1595 z fundacji Jana Zamoyskiego, kanclerza i hetmana, w Zamościu. Czwarty, najmłodszy, genezy również jezuickiej, powołał do życia przywilej króla Jana Kazimierza w r. 1661 we Lwowie.

Niewdzięczne to już były czasy dla rozwoju uniwersytetów. W połowie XVII wieku nastaje powszechny ich upadek na całym kontynencie europejskim; a nie wszystkie odradzały się potem tak gruntownie i wszechstronnie jak krakowski i wileński dzięki reformom, przeprowadzonym z ramienia państwa około r. 1780.

Reformy te nie tyczyły Zamościa i Lwowa, bo miasta te przeszły zaraz po pierwszym rozbiorze (1772) pod Austrię. Austria zamknęła natychmiast uniwersytet w Zamościu, podczas gdy skutkiem kasaty jezuitów (1773) ostały się we Lwowie tylko nieliczne, a luźne, wolne wykłady, z których cesarz Józef II. skleił w r. 1782 w imię germanizacji uniwersytet niemiecki, który w r.

1805 zdegradowano na liceum, aż znów w r. 1817 przywrócono mu tożę akademicką). Chodziło tu tylko o niemiecką fabrykę urzędników germanizatorów, a nie o rozwój wiedzy. Nie było wydziału medycznego; petycja galicyjskich Stanów o to spotkała się ze stanowczą odmową.

Dostawszy po trzecim rozbiórze w swą moc i Kraków, chcieli Austriacy zaraz zamykać stary uniwersytet Jagielloński. Udało się ocalić samo istnienie, ale przepadły odrazu wszystkie reformy polskie, a zato nastąpiła bezwzględna germanizacja. Dzięki wojnom napoleońskim odzyskał uniwersytet mowę polską, przynależąc w r. 1809—1814 do Księstwa Warszawskiego, potem zaś do drobnej rzeczypospolitej „Wolnego Miasta Krakowa z okręgiem“, które to państewko, ubożuchne, niewiele mogło zdziałać dla jego rozwoju. Skoro tylko w r. 1846 Austriacy weszli ponownie do Krakowa, znów miano ochotę zamknąć uniwersytet krakowski i powtórnie trzeba było okupić istnienie germanizacją. Tym razem rządy austriackie obniżyły poziom uniwersytetu tak dalece, iż starożytne ognisko wiedzy i kultury zeszło w tej niemieckiej szacie na karykaturę uniwersytetu i dopiero po r. 1867, po odzyskaniu wszechnicy dla polszczyzny weszło na nowo na europejskie tory.

Wileńskiemu uniwersytetowi danem było zbiegiem, szczęśliwych okoliczności rozwijać się, i to świetnie, do r. 1832. Za udział Litwy w powstaniu 1831 r. „przeniesiono“ go w r. 1833 do Kijowa, zamieniając na rosyjski, czyli że uniwersytet polski zniesiono, a kosztem jego zbiorów i instytucyj założono w Kijowie nowy rosyjski.

Szkoły średnie — katedralne i parafjalne — posiadały aż do XVI-o wieku w całej Europie urządzenia takie same, z temi samemi podręcznikami szkolnemi, z tem samem trivium i quadrivium. Była jednak różnica. Podczas gdy wszędzie indziej nauczycielem mógł być każdy cudzoziemiec (boć nauka odbywała się wyłącznie po łacinie), w Polsce synod łęczycki 1285 roku wykluczył cu-

dzoiemców, stanowiąc, by każdy z nauczycieli władał dokładnie językiem polskim. Uchwała ta, zwrócona przeciw osadnikom niemieckim, jest najdawniejszem w Europie uznaniem potrzeby, żeby szkolnictwo opierało się o pierwiastki narodowe.

Pedagogiczna literatura polska zaczyna się w r. 1432 dziełem Ślązaka Byczyny „*Labirinthus vitae conjugalis*“ i odtąd ciągnie się bez przerwy a obficie, zwłaszcza, że należało to (i należy dotąd) do cech polskiej kultury, iż wszyscy wybitni mężowie wszelkich zawodów zajmują się sprawami wychowania. W przeglądzie niniejszym zwrócimy uwagę tylko na zasadnicze cechy tego piśmiennictwa i na momenty, mogące mieć ogólniejsze znaczenie w stosunku do europejskich dziejów wychowania, świadczące o polskiej twórczości pedagogicznej.

Pedagogika polska stale dawała pierwszeństwo wychowaniu publicznemu przed domowem. Znajdujemy to już w pierwszej w polskim języku wydanej książce pedagogicznej (Erazma Glicznera Skrzetuskiego: *Ksyąszki o wychowaniu dzyeći*) w r. 1558. Zasadniczym celem szkolnictwa: kształcenie dobrych obywateli. To też Jan Zamoyski, „Wielkim“ zwany, pragnie, by w jego Zamościu założona była ośmioklasowa szkoła średnia jako „*schola civilis*“. Plany jej, wypracowane przez samego Zamoyskiego (około r. 1598) są nadzwyczaj postępowe, a rodzime polskie. Wzorów nie było nawet skąd czerpać, boć Komensky był nieledwie niemowlęciem natenczas, a szkoły podług pomysłów Ratichiusa zaczęły powstawać dopiero w drugim dziesiątku lat XVII wieku. Wbrew szkolnictwu wszystkich narodów ma się w Zamościu dawać pierwszeństwo językowi ojczystemu i na nim oprócz dopiero nauczanie języków klasycznych, zaraz od pierwszej klasy. W klasie piątej „nauczyciel wymowy zawsze materje, ściągające się do Rzplitej, dawać swoim uczniom powinien, a w dziejopiśmie przyczyny główniejszych w rządzie odmian, i one przyrównywać do kraju starać się będzie. W szóstej klasie nauczyciele moralnej nauki

uczyć będą obowiązków człowieka i powinności obywatela. W siódmej tłumaczone będą prawa w powszechności, w ósmej prawa ojczyste, statuty, konstytucje, kancelarii prawnomierności, sądów gatunek i sądenia sposób“. Oto polska szkoła obywatelska.

Tem chętniej garnięto się do roztrząsania kwestyj pedagogicznych, że wierzono mocno w cudowną moc wychowania szkolnego. U Sebastjana Petrycego (1554 do 1626) spotykamy najpierw „zasadę, znacznie później przez Łocke'a (1632—1704) do pedagogji zastosowaną, to jest, że dusza dziecka jest tablicą, na której można pisać, co kto zechce; człowiek jest takim, jakim go wychowanie uczyni“. Petrycy „okazuje wielką dbałość o wychowanie fizyczne, większy też kładzie nacisk na wychowanie moralne i kształcenie charakteru, aniżeli na samą naukę“.

Pojmowano szkołę coraz bardziej jako czynnik życia narodowego. Niedarmo ten, który najlepiej zasadę tę sformułował, na niej (na języku ojczystym) oparł nowożytną dydaktykę, Jan Amos Komensky, wygnańcem będąc z ojczystej ziemi, znalazł przytułek w Polsce, a dzieła swe epokowe opracowywał w Lesznie w Wielkopolsce, gdzie był rektorem polskiej szkoły różnowierczej (1628—1640). Działalność jego, rozwinięta na polskiej ziemi, przyczyniała się tem bardziej do wzmożenia polskiego ruchu pedagogicznego.

Společno-obywatelskie cele wychowania podkreśla z naciskiem również najważniejszy pisarz pedagogiczny XVII wieku, Aleksander Olizarowski, w dziele, którego sam tytuł wymowny: „De politica hominum societate“. Wychowanie stanowi jeden z rozdziałów tego tematu, omawia je zaś od siódmego roku życia i przechodzi wszystkie nauki szkolne, podając tedy całokształt wychowania publicznego.

Wielki reformator szkolnictwa w XVIII w., pijar Stanisław Konarski, patrzył na szkołę również, jako na część naprawy Rzplitej. Jego „collegium nobilem“, naśla-

dowane niebawem ogólnie, stało się nowym typem szkoły średniej, opartej przeważnie o t. zw. realia. A zasługi pedagogiczne Konarskiego tyczą się wszystkich katolickich krajów Europy, bo we wszystkich odegrali w dziejach szkolnictwa wybitną rolę pijarzy, zreformowani przez Konarskiego; on to bowiem dopiero zrobił z nich zakon szkolny, on był sprawcą zmiany ich reguły zakonnej, gdyż z jego inicjatywy dodali sobie do zwykłych trzech ślubów zakonnych jeszcze czwarty: „nauczania aż do śmierci“.

Na tle powszechnego przekonania, że szkoła ma służyć celom publicznym, wyłoniło się zapatrywanie, że szkolnictwem winno zająć się państwo. To też już w r. 1551 żądał tego Szymon Marycki. Jest to pierwszy w Europie głos w tym kierunku, a hasło to, jak w Polsce powstało, tak też w Polsce miało się najpierw spełnić. Sposobności dostarczyła kasata zakonu jezuitów, który podobnie jak wszędzie w katolickich państwach, utrzymywał i w Polsce liczne szkoły średnie. Ażeby ocalić olbrzymie dobra jezuitów dla szkolnictwa, przeniesiono je na ustanowioną w r. 1773 Komisję Edukacyjną. Było to pierwsze w Europie ministerstwo oświaty.

Komisja Edukacyjna używająca w Polsce zasłużonego przydomku „Wiekopomnej“ — urządziła pierwszy w Europie „jednolicie zorganizowany system szkolnictwa państwowego, ogarniający wszystkie warstwy społeczne i wszystkie szkół rodzaje od najniższych do najwyższych. Na taki system żaden inny nie zdobył się wówczas naród. Chwała Polski nie ma na tem polu współzawodników“. Bo też „Ustawy Komisji Edukacyjnej“ stanowią teraz jeszcze istną kopalnię postępowych pomysłów pedagogicznych i dydaktycznych.

Ustanowienie Komisji Edukacyjnej wywołało obfitą literaturę pedagogiczną. Wśród setek pism występuje na pierwszy plan Antoniego Popławskiego „O rozporządzeniu i wydoskonaleniu edukacji obywatelskiej“ (1775), podane jako projekt dla Komisji. „Wywody jego, dotyczące

edukacji fizycznej, są tego rodzaju, iż dopiero w najnowszym czasie zyskały uznanie i rozgłos, ale... jako pomysły z Anglii pochodzące". Projektów podawano Komisji mnóstwo, a niemało szczęśliwych. Do najszcześniejszych należał projekt Adolfa Kamińskiego, skwapliwie przyjęty a wspaniale wykonany, mianowicie rzucił on pierwszy myśl założenia głośnego następnie „Towarzystwa do ksiąg elementarnych“, pierwszej w Europie stałej organizacji publicznej, na którą państwo zdało pieczę o podręczniki szkolne.

Ażebym stwierdzić nadzwyczajną . postępowość ówczesnych szkół polskich, nie trzeba bynajmniej szukać dowodów w słynnym jakim zakładzie; dostarczy ich każda szkoła, choćby na zapadłej prowincji, chociażby nawet nie rządowa, nie pozostająca przeto pod władzą bezpośrednią Komisji, ale tylko pośrednio dotknięta jej wpływami. Nie znosiła bowiem Komisja szkół prywatnych klasztornych, pijarskich, dominikańskich, bazylijskich i t. p., zakładając obok nich własne, państwowe, jako dyrektury publicznego nauczania, którego nie uczyniono jednak bynajmniej monopolem państwowym.

W takiej drugorzędnej szkole pijarskiej, w zapadłym kącie Polesia (owej najbardziej ustronnej i zacofanej prowincji), w mieścinie, będącej właściwie dużą wsią, w Lubieszowie, kształcił się bohater narodu, Tadeusz Kościuszko — i stąd znamy bliżej jej urządzenia, dzięki szperaniom biografów Naczelnika. Takich szkół, położonych w zaciszu prowincji, a połączonych z internatami, było tyle, iż stanowiły one większość polskiego szkolnictwa średniego na wiek przeszło wcześniej, zanim pedagogika europejska zaczęła głosić, że tak być powinno. Opis zakładu lubieszowskiego czyta się dziś, jakby jakiej szkoły angielskiej z początku XX wieku. Niemieckie szkoły nie zdobyły się dotychczas na nauczanie geometrii jako miernictwa, w polu, a tymczasem tam w Lubieszowie około r. 1755 „w maju zdarzało się większe ożywienie z powodu praktyki mierniczej, na którą z „nauczycielem geometrii

kilka razy wychodzili za miasto uczniowie klas IV, V, i VI., robili pomiar okolicy i rysowali plany“. Znamiennym jest fakt, że sama szkoła była jednopiętrowa, ale dwupiętrowy był budynek ze zbiorami narzędzi do nauki fizyki, chemji, matematyki, tudzież z biblioteką szkolną. Szkoła miała swój ogród botaniczny z oranżerjami, cieplarnią, a dalej nad rzeką ogród owocowy, zwany Wenecją, bo „cały w kanałach zarybionych“; jeden z nich wychodził bezpośrednio na rzekę, stanowiąc tam przystań, w której były utrzymywane czółna. W zakładzie były: stolarnia, tokarnia, kuźnia, młyn, deptak, łaźnia, i t. d. Trzymano się widać słów Staszica, „by w wszystkich umiejętnościach teorie z doświadczeniem były łączone; aby wszystkie prawdy naukowe przedstawiano w łączności z życiem praktycznym“.

Znamienną cechą społeczeństwa polskiego stanowiła i stanowi dbałość o wyższe wykształcenie żeńskiej także młodzieży; celowała i celuje tem Polska, bo to dawna nasza tradycja, wszak pierwszy głos w tej sprawie, Jędrzeja Glabera z Kobyłina, pochodzi jeszcze z XVI wieku. Klasztory żeńskie poczęły urządzać szkoły średnie pod koniec XVIII wieku; a zatem i w niewieścim wychowaniu torowała sobie drogę zasada, dająca pierwszeństwo wychowaniu publicznemu, tj. szkolnemu, przed domowym.

W połowie XVIII w. zaczyna się w Polsce piecza o powszechną szkołę elementarną, o szkołę ludową. Pierwszy z pisarzy zajął się nią Stefan Garczyński (1695—1755), który już wówczas pragnął widzieć w każdej wsi ochronkę¹⁾ i szkołę elementarną. Dzieło jego poświęcone reformom wogóle i traktujące sprawę szkoły

¹⁾ „Ochronka“ to polska poprzedniczka „freblówek“ czyli t. zw. ogródków dziecięcych Fröbela (1782—1852); to też w Polsce przejęto potem z jego metody zasadnicze rysy, nie naśladowując niewolniczo, owszem rozwijając ją dalej samodzielnie.

ludowej na tle ogólnem poprawy Rzplitej, „Anatomia Rzplitej polskiej“, wyszło w r. 1751. W następnem pokoleniu Komisja Edukacyjna zajęła się tem gorliwie i „pierwsza w dziejach wychowania organizuje na szerokich podstawach szkolnictwo ludowe“. Jeden z najczynniejszych członków Komisji, sekretarz Towarzystwa do ksiąg elementarnych, znakomity pedagog Grzegorz Piramowicz, wśród licznych swych pism wydaje też dwa zasadnicze dla szkolnictwa ludowego: „Nauka obyczajów dla ludu“ i „Powinności nauczyciela, mianowicie w szkołach parafialnych i sposoby ich dopełniania“, dzieło wydane w r. 1787, a „do dnia dzisiejszego nieocenioną posiadającą wartość“.

Jakaż nagła odmiana na gorsze pod rządami państw rozbiorowych!

Pod rządem pruskim zmniejszyła się zaraz ilość tych szkół, a jakość pogorszyła się wielce, jak posiadamy na to świadectwa Niemców współczesnych¹⁾. Pod koniec 1799 r. wystąpił rząd pruski z własnym planem szkolnictwa, którego jedynym celem była germanizacja. Radował się zarządca polskiej prowincji von Schroetter, że język polski zniknie po kilku pokoleniach, jeżeli się germanizację rozpocznie od szkoły ludowej, a zrećnie...

Nastał równocześnie cały system szkolnictwa austriackiego, ogromnie skomplikowany, jak zawsze wszystko, co austriackie, chociaż z celem nader ograniczonym: żeby młodzież wyuczyć języka niemieckiego i... niczego więcej. Straszliwe zaniedbanie w dziedzinie szkolnej ilustruje dosadnie taki fakt, że w r. 1793 były we Lwowie cztery szkoły żydowskie, a rządowych austriackich tylko dwie.²⁾ Na całą Galicję urządzono tylko

¹⁾ Anton Karbowski: *Zwei Kaempfe fuer die Wahrheit. Eine Flugschrift gegen einen berliner Schulgeschichtsschreiber*. Krakau 1914.

²⁾ Leon Kulczyński: *Szkoły (z powodu wystawy lwowskiej 1894 roku)*, Przegląd Polski, październik 1894.

30 szkół elementarnych „normalnych“, w których uczono czegoś więcej, niż niemczyzny, ale bezskutecznie, boć nikt nauki tej nie rozumiał, skoro była udzielaną w języku niemieckim. Do wszelakiego zresztą typu szkół ludowych nie było zawodowo wykształconych nauczycieli i nie życzono ich sobie z pośród ludności krajowej.

Ażeby scharakteryzować wpływ rosyjskich rządów na system szkolny wystarczy zacytować jeden ustęp z pisma księdza Stroynowskiego do księcia Adama Jerzego Czartoryskiego: „Od owego czasu, jak rząd gubernski zawiadywał szkołami w gubernji mińskiej, nikt nie otrzymał miejsca nauczyciela bez pieniędzy, to jest bez przekupienia i opłacenia się władzom“. Nieszczęśliwe przeto żywioty dostawały się na posady nauczycielskie, ale prześladowania szkolnictwa dla jego polskości jeszcze w zaborze rosyjskim nie było. Pomimo to groził szkolnictwu narodowemu zanik przez wewnętrzne osłabianie go, demoralizację szerzoną z góry, od urzędów i przez urzędy i skutkiem braku jakiegokolwiek opieki życzliwej a kompetentnej władzy.

Polskiej kulturze umysłowej groziło tem poważniejsze niebezpieczeństwo, że nastął rabunek polskich zbiorów, muzeów, bibliotek. Wojska rosyjskie spustoszyły po powstaniu Kościuszkowskiem gruntownie Puławy, gdzie Adam Kazimierz Czartoryski (1734—1823) zgromadził wielkie zbiory, jedno z najstarszych i najwspanialszych zarazem muzeów środkowej Europy tak znaczne, że nawet po rabunku wielkiem być nie przestało. Dla bezpieczeństwa przeniesiono je następnie do Paryża, bo w całej Polsce nie widziano nigdzie dla tych zbiorów bezpieczeństwa. Wszak wielką bibliotekę Załuskich wywieziono z Warszawy w r. 1795 do Petersburga. Pomimo znacznego rozproszenia zbiorów skutkiem niedbaństwa i prostych kradzieży w drodze, dowieziono jednak nad Nową jeszcze 262.640 tomów, 24.573 rycin i 11.000 rękopisów — i ten to rabunek stanowi zawiązek „Cesarskiej publicznej Biblioteki“ w Petersburgu.

W zaborze austriackim pragnął Józef Maksymilian Ossoliński (1748—1826) zastąpić zgaszone przez zaborcę ognisko wiedzy w Zamościu biblioteką publiczną własnej fundacji, i wystarał się o pozwolenie na to (sic! na założenie biblioteki trzeba było zezwolenia Wiednia!) w r. 1804 u cesarza Franciszka I., korzystając z osobistego swego stanowiska na dworze (jako reprezentant „magnatów galicyjskich“). Wojny napoleońskie nie ułatwiały takiego dzieła pokojowego, a gdy się skończyły, Zamość nie należał już do zaboru austriackiego; przeniósł więc Ossoliński swą fundację do Lwowa. W r. 1817 dopiero poczyna się urzeczywistniać zamiar Ossolińskiego, którego zamysł zaczęto szykanować, pomimo to, że on sam był od r. 1809 prefektem nadwornej biblioteki wiedeńskiej w Wiedniu. W r. 1823 połączyło się z „Zakładem Narodowym Imienia Ossolińskich“ w jednym gmachu „Muzeum imienia Lubomirskich“ (utworzone przez Henryka Lubomirskiego), i odtąd wspólnie opierało się niechęci rządu austriackiego. Jeszcze w r. 1837 musiano katalogi biblioteczne przedstawiać policji¹⁾. Przetrwano jednak szczęśliwie te czasy i Zakład kwitnie obecnie, a Biblioteka jego jest wzorem, nienaśladowanym niestety przez biblioteki rządowe.

Pruski zabór otrzymał podobną placówkę kulturalną z fundacji Edwarda Raczyńskiego w r. 1829; skoro biblioteka rozwinęła się, zagarnęli ją Niemcy wraz z funduszami, a polska fundacja stała się w Poznaniu instytucją niemiecką, germanizacyjną. Pozostała tam jedynie biblioteka Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Muzeum Mielżyńskich, które zachowało tę ostrożność, że się nigdy nie ogłosiło publicznie i w ten sposób ochroniło się od ingerencji władz pruskich. W podobny sposób ocalały bogate zbiory Działyńskich i Zamoyskich w Kórniku pod Poznaniem, muzeum połączone z fundacjami wyda-

¹⁾ Wojciech Kętrzyński: Zakład narodowy im. Ossolińskich, Lwów 1894.

wnictw naukowych. Podobna kombinacja istnieje też przy wielkiej bibliotece Świdzińskich w Sulgostowie, przeniesiona następnie na Bibliotekę Krasińskich w Warszawie. W Warszawie również znajdują się biblioteki ordynacji Zamoyskich (pierwszorządna), Przeździeckich i inne. Dla przykładu tylko przytaczamy tu tych kilka bibliotek z pomiędzy kilkudziesięciu powstałych w tym okresie, zaznaczając, że musiały pozostawać prywatnymi, i w znacznej części pozostały na wsi, w dobrach prywatnych swych fundatorów i właścicieli, ażeby nie kłóć w oczy tych, którzy każdej chwili mogli je wywieźć, lub wziąć w swój zarząd i odebrać je polskiej kulturze. Wspomniemy jeszcze tylko znakomitą doborową bibliotekę Tadeusza Czackiego w Porycku, która ocalała dzięki temu, że ją potem zakupili Czartoryscy i wywieźli do Paryża.

Dzięki pomyślnemu zbiegowi okoliczności został Adam Jerzy Czartoryski (1770—1861), syn Adama Kazimierza, w r. 1803 rosyjskim ministrem spraw zewnętrznych (chodziło o pozyskanie Polaków przeciwko Napoleonowi) i kuratorem wileńskiego okręgu naukowego. Było to prawdziwem wybawieniem od ruiny, jaka groziła tradycjom Komisji Edukacyjnej. Praca kulturalna polska popisała się wlot. W r. 1820 posiadał okrąg wileński zakładów naukowych 430, nauczycieli 983, uczniów 21.174, podczas gdy najbardziej postępowy z rosyjskich okręgów, charkowski, doszedł zaledwie do liczby 249 zakładów, a uczniów 11.716. Zakwitnęło w Krzemieńcu arcydzieło szkolnictwa średniego, wzór do dziś dnia niedościgniony, nie zrównane dzieło Tadeusza Czackiego: gimnazjum wołyńskie, przemianowane następnie na „liceum krzemienieckie“, a obok tego kilka jeszcze gimnazjów w Krajach Zabrzanych, utrzymywanych również prywatną hojnością, ze składek obywatelstwa.

W tym czasie, dzięki kuratorji Czartoryskiego, zakwitnął uniwersytet wileński i stał się ogniskiem prawdziwie europejskiej kultury umysłowej, a że równocze-

śnie rząd utworzonego na kongresie wiedeńskim Królestwa Polskiego (Kongresówki) przystąpił do założenia w Warszawie uniwersytetu, były więc od r. 1817 dwa polskie uniwersytety. Jakaś otaczano je pieczę, znać ze samego stanu bibliotek, wszak warszawska uniwersytecka liczyła niebawem do 300.000 tomów (ustawiał ją Lelewel), a wileńska niewiele jej ustępowała. Obok uniwersytetu, jakby jego emanacje, powstawały rozmaite zakłady naukowe. Tak np. w Wilnie słynne Muzeum Archeologiczne, wywiezione następnie też do Petersburga, po którym została jednak biblioteka, licząca niemal 100.000 tomów.

Czartoryskiemu zaczęto niedługo rzucać w Petersburgu kamienie pod nogi. Uniwersytet wileński uległ prześladowaniom, student stawał się dla rządu rosyjskiego rodzajem przestępcy politycznego; z pełnego wzniosłości związku młodzieży „filaretów“ ukuto sprawę polityczną i więzienia wypełniono młodzieżą. Nie zawahano się wprowadzić systemu policyjnego także do szkół średnich, nawet do klas niższych; wszak szczegóły przechowane są w „Dziadach“ Mickiewicza...

W Kongresówce stan szkolnictwa podnosił się zrazu stale, bo sejmy polskie uchwalały jak największe budżety oświatowe. Mamy świadectwo z r. 1821, jako w budo-
włach szkolnych wprowadzano „przepych“. Tegoż roku wniesiono do sejmu petycję, żeby w każdej wsi była szkołka i to na koszt dziedziców. Starania o oświatę ludową nabierają w tych latach pewnej systematyczności; pojawiają się książki dla ludu i od r. 1817 wychodzi „Gazeta Wiejska“.

Ale w r. 1823 przyszedł nakaz z Petersburga, żeby wstrzymać zakładanie nowych szkół wiejskich. Wnet nastął osławiony „system mikołajewski“ (Mikołaj I. 1825—1855). System ten charakteryzuje dosadnie fakt następujący: budżet oświatowy obcięto do 368.000 rubli, a z tego wydawano znaczną część na utrzymanie... komitetu cenzury.

Po powstaniu 1831 r. zamknięto obydwie uniwersyte-ty, a Kongresowce kazano z uszczuplanego coraz bardziej budżetu oświatowego opłacać urzędników nowej biurokracji rosyjskiej, mającej czuwać nad poskramianiem wzrostu oświaty, iłożyć na koszt dozoru policyjnego nad drukarniami, wreszcie na popieranie handlu... książkami rosyjskimi! Do szkół ludowych wprowadzono najgorszą hałastrę z pośród niższego czynownictwa rosyjskiego, nakładając na nich obowiązek nie nauczania czegokolwiek, bynajmniej, ale rusyfikowania, a przytem poróżniania dworu z chatą i siania waśni społecznej. Cały czas marnowało się nato, żeby dziatwę wieśniaczą wyuczyć orientalnego abecadła rosyjskiego, „graždanki“ i garści wokabuł rosyjskich. Dzieci się tego i tak nie nauczyły, chłop się pomimo wszelkich zabiegów nie rusyfikował, ale widząc, że dzieci w szkole nic nie korzystają, wziął rozbrat ze szkołą wogóle i nauczył się obywać bez niej. Rząd wcale nie dbał o frekwencję, a wkońcu w r. 1851 zakazał wręcz wszelkiego przymusu co do utrzymywania szkół po wsiach, a także co do obowiązku posyłania dzieci do szkoły. Cofano poziom oświaty z całą świadomością, aby dogłubić Polskę do poziomu rosyjskiego.

Obniżano też poziom szkół średnich, wprowadzając plan szkolny rosyjski i napełniając, a raczej przepelniając szkołę językiem rosyjskim. Nie kształcenie było zadaniem wszelkiego szkolnictwa, lecz. rusyfikacja.

Po roku 1831 tępi się i niszczy polski dorobek szkolny, a trwało to we wszystkich trzech zaborach aż do r. 1867, a jednak „nie istnieje chyba ani jedna dziedzina zagadnień wychowawczych, któraby w literaturze pedagogicznej polskiej tego okresu nie była poruszana i opracowana, przeważnie z punktu widzenia interesów narodowych“. W tym okresie powstał wielki system pedagogiczny Bronisława Trentowskiego („Chowanna czyli system pedagogiki narodowej“ 1842).

Pedagogika polska odznacza się nadal pomysłami postępowemi. W r. 1846 występuje Aleksander Dybow-

ski w broszurze „Myśli o wychowaniu narodowem“ z zapatrywaniem, że „zakładami wychowania narodowego powinny być wielkie zakłady rolnicze, w których niema przymusu, a nauka łączy się ściśle z pracą twórczą i zajęciami praktycznemi“. Gani szkoły, że uczą w nich mnóstwa rzeczy niepotrzebnych, a potrzebnych nie uczą. „Gdyby nie data wydania, możnaby broszurę Dybrowskiego zaliczyć do najświeższej doby prac pedagogicznych. W żądaniach swych wyprzedził on o lat 60 dzisiejszych reformatorów szkolnictwa. Zaleca zakładanie szkół na wsi, oddzielne traktowanie każdego ucznia z osobna, zamianę nauki biernej na czynną, wreszcie samokształcenie i zaprawianie wychowanka do samodzielności w myśleniu i badaniu“.

Zasadnicze znaczenie posiada dziełko Józefa Meyznera „Kilka myśli o wychowaniu i nauczaniu“ (wydane po francusku r. 1835). Zrywając z dotychczasową podstawą pedagogiki, z utylitaryzmem publicznym, przechodzi na stanowisko pedagogji czystej i „oświadcza, że celem wychowania musi być człowiek sam, człowiek szanowny zarówno ze względu na swoje cnoty i nieugiętość charakteru, jak i dla swoich wiadomości“.

W tym też okresie Klementyna z Tańskich Hoffmana, stanąwszy na czele żeńskiego ruchu wychowawczego, sprawiła swemi pismami i wpływami, że poziom inteligencji Polek przewyższał odtąd, i to znacznie, przeciętne ukształcenie umysłu kobiecego u wszystkich innych narodów kontynentu, i jedynie z angielskiem zestawiać można polskie wykształcenie niewieście.

W tym okresie ucisku powszechnego przedstawia się pokaźnie dział popularnej literatury wychowawczej, pojawia się też pierwszy polski organ zawodowy stanu nauczycielskiego: Ewarysta Estkowskiego „Szkoła Polska“, w Poznaniu od r. 1849, i odtąd wydawnictwa periodyczne tego rodzaju mnożą się stale. Od r. 1849 zaczynają się też wydawnictwa z zakresu historii wycho-

wania i szkół w Polsce (Łukaszewicza Józefa: Historia szkół w Koronie i W. Ks. Litewskim.¹⁾

Poprawiać zaczęły się stosunki w zaborze rosyjskim po wojnie krymskiej. W r. 1857 założono w Warszawie akademię medyko-chirurgiczną. Było to bądź co bądź postępowaniem w porównaniu z zaborem austriackim, gdzie za wielką to poczytywano łaskę, kiedy zezwolono w uniwersytecie lwowskim na ustanowienie dla języka polskiego... lektora. W Kongresówce nastąpiła niebawem „era Wielopolskiego“: polonizacja urzędów, założenie r. 1862 w Warszawie świątyni uniwersytetu pod skromną nazwą „Szkoły Głównej“. Niespodzianie roztwierają się wrota wszelkiej pracy narodowej, lecz na krótko, gdyż rok 1863 przekreśla wszystko.

Zrazu był ucisk tylko polityczny, a od roku 1867 zaczął się na nowo narodowy i kulturalny. Zniesiono całą organizację szkolną Wielopolskiego, wprowadza się do Kongresówki ogólnorosyjską ustawę szkolną, rosyjski język wykładowy i rosyjskich nauczycieli, indywidualna wyspecjalizowane do szpiegostwa, łapówek i demoralizacji wszelkiej, a lubujące się w policyjnym ucisku młodzieży. Ze 60 profesorów warszawskiej Szkoły Głównej pozostawiono ledwie dwóch, a docentom polskim zatomowano całkiem dostęp do zakładu, który przerobiono w całość na uniwersytet rosyjski. Odtąd nie było też dozwolone żadne stowarzyszenie naukowe.

Zrusyfikowany od r. 1869 uniwersytet pustoszał z roku na rok, więc otwarto do niego przystęp uczniom rosyjskich seminarjów duchownych, których nie przyjmowano na żaden rosyjski uniwersytet w Rosji właściwej, jako nie posiadających wykształcenia średniego; obniżono dla nich poziom uniwersytetu warszawskiego,

¹⁾ Z naszych czasów opracowywał ten temat na nowo Antoni Karbowski (dwa tomy, sięgające treścią do r. 1904). Tegoż przygotowana jest do druku wyczerpująca bibliografia pedagogiki polskiej, której rękopis nabyło ministerstwo oświaty.

byle utrzymać w Warszawie placówkę rusyfikacyjną w formie uniwersytetu. Pomimo to atoli liczba uczniów malała wciąż; przed wojną było ich niespełna 600. Równocześnie tysiące polskiej młodzieży szukało wiedzy w uniwersytetach nie tylko polskich w Galicji, nie tylko w niemieckich i francuskich, ale nawet w rosyjskich Rosji prawdziwej, unikając obmierzłego rusyfikacyjnego uniwersytetu w Warszawie. Unikać go trzeba było tem bardziej, że wśród jego profesorów przeważali zawsze nieucy, kompromitujący tylko naukę rosyjską, i do tego wyjątkowo tylko zdarzali się między nimi ludzie uczciwi. Jeżeli czasem zdarzył się tam profesor naprawdę uczony i z charakterem, sam starał się wydostać jak najprędzej ze zgniłej atmosfery zakładu czynowniczo-policyjnego, podszywającego się pod płaszczyk nauki.

Szkolnictwo średnie karłało również w szponach czynownictwa. Stosunek poziomu naukowego do polskich gimnazjów w Galicji był taki, że uczeń przechodzący z rosyjskiego gimnazjum w Kongresówce do polskiego po drugiej stronie kordonu, szedł o rok niżej, często o dwa lata. Właściwie były te szkoły kaźniami policyjnymi dla młodzieży. Znamiennem zaś jest, że nawet ilość ich pomniejszała się. W r. 1814 posiadała Kongresówka szkół średnich 48, w roku 1838 tylko 33, a roku 1889 nawet tylko 31,¹⁾ chociaż i ludność wzrastała ciągle, i to znacznie, i dobrobyt powiększał się bądź co bądź, a poczucie potrzeby wyższego wykształcenia szerzyło się bardzo, jak to z innych oznak wiemy dowodnie. Ale kogo tylko jako stać było na to, posyłał synów do Galicji, albo kształcił ich w domu prywatnie, mimo całej niechęci Polaków do prywatnego wychowania.

W całym zaborze rosyjskim pozamykano wszystkie a wszystkie szkoły klasztorne. W Krajach Zabrzanych tj. w prowincjach litewskich i ruskich dawnego państwa

¹⁾ Włodzimierz Wukar: „Oświata publiczna w Królestwie Polskiem 1905—1915, Warszawa 1915.

polskiego zamknęli Rosjanie szkół średnich polskich, klasztornych i świeckich, męskich i żeńskich, 589 (wyraźnie: pięćset osmdziesiąt dziewięć) — liczba, która starczy na świadectwo mocy kultury polskiej w tamtych ziemiach, antykulturalności zaś rządu rosyjskiego.

W szkole ludowej zaboru rosyjskiego uczono ostatnie pokolenie obok sztuki czytania grażdanką... śpiewu pieśni rosyjskich, cerkiewnych (prawosławnych tedy) i... żołnierskich. To też rząd osiągał swój cel: spustoszenie intelektualne wśród ludu rosło z roku na rok. Dogłębnił rząd wreszcie Polskę do poziomu rosyjskiego: w roku 1905 było w Kongresówce szkół mniej, niż w r. 1832, a $\frac{2}{3}$ ludności nie umiało czytać ni pisać. W r. 1906 wynosiły wydatki skarbu publicznego na jedno dziecko w wieku szkolnym (lat 8—11) na głowę przeciętnie w całym państwie rosyjskiem 1 rb. 70 kop., ale w Kongresówce tylko 69 kop. W r. 1908 przypadała w Kongresówce jedna szkoła wiejska na 2552 mieszkańców, podczas gdy przeciętna całego państwa opierała na mieszkańców 1967. A jednak napróżno zapowiadał osławiony kurator warszawskiego okręgu naukowego, Apuchtin (około r. 1890), że dzięki jego rządcom szkolnym „matka Polka zawodzić będzie nad kołyską dziecka rosyjską piosenkę“...

Państwo karało surowo grzywną do 300 rubli i 3 miesięcy więzienia za bezpłatne nauczanie biednych dzieci w języku polskim. Z ochron warszawskich wyrzucono kilka tysięcy dzieci dlatego, że je tam uczono czytać po polsku; wyrzucono je na bruk uliczny, na głód i poniewierkę wielkowiejskiej ulicy. Lepiej niech wyrosną na dziczki moralne, niż żeby miały... umieć czytać po polsku!

W całym świecie uważa się za zasługę tępienie analfabetyzmu, ale Polak miał według postanowień rządów pruskiego i rosyjskiego obowiązek utrzymywania ciemnoty we własnym kraju; jeżeli uczył kogo sztuki czytania i pisania w języku swoim własnym, polskim, na swojej własnej polskiej ziemi, bywał za to aż do ostatniej chwili

panowania tych obmierzłych państw, karany dotkliwie. Wymyślono „zbrodnię tajnego nauczania“ ale jawnie nauczać też nie było wolno! Całe legjony osób uległy prześladowaniu za szerzenie abecadła, przyczem w Prusiech ze szczególną jakąś predylekcją zamykano do więzienia kobiety. U władz pruskich wytworzyli się specjaliści do tropienia „zbrodniarek“.

Istny huragan prześladowania polskości zerwał się w Prusiech po wojnie francusko-niemieckiej 1871 r. Szło to w tempie tak szybkim, iż już 1873 r. ograniczono język polski w szkołach tylko do wykładu religii „na najniższym stopniu szkół elementarnych“ i to tylko „za zezwoleniem“, którego odmawiano coraz częściej. Doszło do tego, że nie dopuszczano, żeby dzieci polskie przygotowywane były w ojczystym języku do pierwszej Komunii świętej. Zasłynęły też szkoły pruskie z bicia dziatwy polskiej, o cokolwiek, prawie zawsze np. za przyniesienie do szkoły polskiego katechizmu, a często o to, jeżeli dziecko nie chciało w szkole lżyć swej własnej narodowości. Głośną była w swoim czasie sprawa we Wrześni, którą zainteresowała się cała cywilizowana Europa.

W zaborze austriackim nastąpiła ulga od r. 1867. Austrija wyrzucona z Niemiec i z Włoch, pobita na głowę, szuka ctdąd „odszkodowania“ na Bałkanie, co pociągało za sobą narażanie się na starcie z Rosją, przewidywane od początku; z tego powodu chciano w Wiedniu mieć Polaków po swej stronie i postanowiono zjednywać ich „ustępstwami“. W Galicji wprowadzono język polski niemal do wszystkich urzędów, do sądów i szkolnictwa. Dzięki pewnej autonomji można było tę względną wolność wyzyskać, a najenergiczniej zabrano się do sprawy oświatowej.

Odżyły dla polskiej kultury uniwersytety krakowski i lwowski, a po niedługim czasie stanęły do współpracy nad nauką europejską (o czem w rozdziale „Nauki“). Szkolnictwa nie można było urządzać w Galicji po polsku, według tradycji narodowej i wymogów ducha polskiego; było to szkolnictwo typu niemiecko-austriac-

kiego z polskim językiem wykładowym, ale szkoły zaczęły być po niedługim czasie dobre pod względem dydaktycznym, kształcąc umysły na podstawie pewnych metod pedagogicznych. Pokrył się kraj siecią szkół, których niedostatki wynagradzał patriotyzm nauczycieli i nauczycielek. Powstało Towarzystwo Pedagogiczne, Towarzystwo Nauczycieli Szkół wyższych (z miesięcznikiem „Muzeum”) i inne specjalne zrzeszenia osób stanu nauczycielskiego. Przybywało szkół ludowych z roku na rok, i w ostatnim przed wojną roku nie było już w Galicji gminy, któraby była pozbawioną możliwości posyłania dzieci do szkoły. To też wyrosło nowe pokolenie wieśniacze, całkiem niepodobne do poprzednich.

Dawna postępowość pedagogiki polskiej okazała się w całej pełni wprowadzaniem wielu ulepszeń nowoczesnych, przystosowywanych do potrzeb kraju własną pomysłowością. Tak np. w r. 1885 z inicjatywy Siedmiograja, nauczyciela szkoły wydziałowej w Sokalu, wprowadzono do szkół ludowych szwedzki „sloejd“ (naukę zręczności).¹⁾ Do ochronek, znanych u nas oddawien, wprowadzono metodę froeblovską, wielce w Polsce wydoskonaloną. Korpusów wakacyjnych, kolonij i półkolonij pełno. Gry na wolnem powietrzu łączą się z pomysłem oryginalnym, pełnym nieocenionych walorów, t.zw. „jordanówek“.

Są to parki obszerne, oddawane młodzieży do dyspozycji na gry ruchowe, zwane tak od fundatora pierwszego takiego parku w Krakowie, lekarza d-ra Henryka Jordana (1888).²⁾ Jest w Galicji od r. 1909 i skautyzm, a nawiązał stosunki wprost z Anglią i z samym „the chief-scout“, sir Robertem Baden-Powellem.³⁾ A na tle skau-

¹⁾ Leon Kulczyński, j. w. — Do dawnej i nowszej pedagogiki kopalnią wiadomości jest warszawska „Encyklopedia wychowawcza“ (od r. 1881).

²⁾ Eugenjusz Piasecki: Parki Jordanowskie, Lwów 1907.

³⁾ Andrzej Mąkowski: Scouting in Poland (bez miejsca i roku wydania). Ożywiony ruch skautowski nastąpił od r. 1911. Inicjatorem był Edmund Naganowski, który spędził znaczną część życia w Anglii.

tyzmu wyrósł neo-filaretyzm wśród naszej młodzieży szkół średnich, niezrównana szkoła charakterów, a czysto polska, zdobycza lat ostatnich. Zasada ich: czynić dobrze, choć nikt o tem nie będzie wiedział, bez nadziei odznaczeń, ani nawet odznaczeń czysto moralnej natury. Można by scharakteryzować ich krótko, że propagują obowiązek cichego bohaterstwa, że wprowadzają bohaterstwo w życie powszednie. Podnieść należy, że organizacja ta wyszła samorzutnie z łona młodzieży; na dobrej drodze toczyła się widać pedagogia polska, skoro, pomimo najtrudniejszych warunków rozwoju wydała kwiat tak wspaniały.

Neo-filaretyzm może być wszędzie, bo może być tajny; ale korpusy wakacyjne, skautingi, organizacje gier ruchowych i t. p. nie dały się urządzać tajnie, to też zabory rosyjski i pruski były pozbawione tych nowoczesnych środków pedagogicznych, gdyż ani pruski rząd, ani rosyjski nie dopuszczały tego rodzaju organizacji u polskiej młodzieży.

W r. 1905 doznawało się przez krótki czas złudzenia, jakoby w Rosji może być uznanie praw ludzkich. Skoro tylko rewolucja oczyściła choć trochę czynowniczą atmosferę, założono zaraz w Warszawie „Macierz Szkolną“, jako najpilniejszą i najdonioślejszą potrzebę społeczeństwa. Nie było mowy o tem, żeby rząd miał utrzymywać szkoły polskie z podatków opłacanych przez Polaków! O tem nikt nie marzył przy najsilniejszym choćby wezbraniu „rewolucji“; chodziło tylko o to, żeby można było zakładać szkoły z darów prywatnych, ze składek. Półtora roku tylko dozwolono istnieć „Macierzy“, ale wystarczył czas tak krótki, żeby żywotność narodu polskiego, postępowość jego ducha, okazały się w całej pełni: „Macierz“ zorganizowała przeszło 400 szkół ludowych, 211 ochronek, 3 seminarja nauczycielskie i kilka gimnazjów, sporo kursów dla dorosłych analfabetów, rozległy „uniwersytet ludowy“, kilkanaście „domów ludowych“ z czytelniami, teatrami amatorskie-

mi i t. p. Przestała istnieć w grudniu 1907, zamknięta, jako „niebezpieczna dla idei państwowej rosyjskiej“. Składkę zebrała „Macierz“ przeszło 800.000 rubli, nie licząc fundacyj rozmaitych. Wszystko to musiało się zlikwidować.

Ale to tylko cząstka działalności społecznej polskiej w owym krótkotrwałym „półwiośniu“ rosyjskiego państwa. Wyliczyć możemy tu tylko najważniejsze tej działalności objawy.

W Warszawie Towarzystwo Uniwersytetu dla Wszystkich, Uniwersytet Ludowy ziemi radomskiej, Stowarzyszenie Kursów dla Analfabetów, Towarzystwo Wpisów Szkolnych (zbierające składki na opłaty szkolne dla niezamożnej młodzieży); w Kijowie „Oświata“ z szeregiem całym podwładnych jej instytucyj oświatowych specjalnych; podobnaż działalność na Litwie i t. d. Niektórym z tych instytucyj danem było trwać nieco dłużej, ale żadna nie przeżyła roku 1910. Kiedy w owym roku wniesiono podanie o założenie jeszcze jednego „uniwersytetu ludowego“ na prowincji, otrzymano odpowiedź odmowną, bo działanie takiej instytucji jest „niebezpieczne dla spokoju publicznego“. Na tym punkcie stanęły stosunki polsko-rosyjskie przed wojną powszechną. Komentarz zbyteczny.

Z powyższej sumarycznej wzmianki widać, że powiewu względnej swobody użyto w Kongresówce przede wszystkim dla szerzenia oświaty. Na tym punkcie współzawodniczyły z sobą zawsze wszystkie trzy zabory. Nie odstraszały żadne zakazy, ni prześladowania, bo uważano to za najdonioślejszy ze wszystkich obowiązków patriotycznych. W tajemnicy robiło się dużo, bardzo dużo; w zaborze pruskim, powiatowemi organizacjami; w Kongresówce istniał długie lata formalny spisek specjalnie do tego, a na tysiące liczyć wypada ilość osób, więzionych za „Oświatę“. W Galicji od r. 1867 można było działać jawnie, a co ważniejsza, z poparciem władz autonomicznych krajowych, pod egidą sejmu. Powstało też

kilka „towarzystw oświaty ludowej“, zakładających czytelnie wiejskie w swych okręgach, uniwersytety ludowe, specjalne stowarzyszenia wydawnicze, organizacje teatrów włościańskich i t. p. Nad wszystkimi towarzystwami stało górą Towarzystwo Szkoły Ludowej (T. S. L.), którego cele tłumaczy nazwa, a które stało się prawdziwie „benjaminkiem“ całego społeczeństwa, wszystkich warstw i wszelkich stronnictw.

Koroną ruchu oświatowego polskiego jest warszawski „Poradnik dla Samouków“ (od r. 1900), publikacja, jakiej w takim zakresie i z takim rozmachem, a skutecznym, przeprowadzonej, nie posiada żadne inne społeczeństwo. Różne serje i stopnie tego wydawnictwa ułożone są w ten sposób, że mogą służyć za przewodnika człowiekowi nie posiadającemu wykształcenia wyższego niż elementarne, a mogą doprowadzić go do stopnia uczoneści nawet. „Poradnik“ stanowi też prawdziwą szkołę uzupełniającą dla inteligencji: gdy kto zechce poduczyć się jakiegokolwiek przedmiotu, w którym nie jest specjalistą, więcej niż wyniósł wiedzy z gimnazjum; gdy chce przypomnieć sobie i dokładniej przerobić, czego się uczył w szkołach; gdy odczuwa potrzebę dowiedzieć się, jak od jego szkolnych czasów pewna nauka postąpiła, lub co głosi nauka nowa, której za czasów jego młodości jeszcze nie było, a przynajmniej nie mówiono o niej w szkole średniej — każdy znajdzie w „Poradniku“ przewodnika, na którym można polegać najzupełniej. Ale pożytek jego sięga dalej. Z jednej strony wabi na „naukowe rozrywki“ coraz liczniejsze zastępy rolników, kupców, rękodzielników, robotników, poprzestających na skorzystaniu z jego „stopnia pierwszego“, a który daje więcej (i porządniej), niż umieć musi przeciętny „maturzysta“; z drugiej strony, snując swój „stopień ‘trzeci’“ aż do szczytów wiedzy, wyrabia grona osób, nie należących do oficjalnego cechu uczoneści, nie zamierzających ciągnąć z nauki praktycznych korzyści, a jednak istotnie uczonych w danej specjalności, przygotowanych najzu-

pełniej do pracy twórczej, jeżeli im dane są do tego zdolności. Opierając się przez czas dłuższy tylko na samym „Poradniku“, można wyjść na uczonego. I dzieje się tak. Przybywa społeczeństwu miłośników wiedzy najzupełniej bezinteresownych, a to skarb bezcenny. Do charakterystyki polskiego społeczeństwa posłużyć może fakt, że najwięcej takich adeptów posiadała... matematyka; wiedza czysta, wiedza dla wiedzy, nie dbająca o „stosowanie“, najwięcej przywabia sobie u nas samouków. A rzecz godna uwagi, że matematyka od wieków cieszyła się szczególniejszem upodobaniem w Polsce.

Redaktor główny „Poradnika“, Stanisław Michalski, to prawdziwy minister oświaty, obdarzony niepospolitym przytem darem organizacyjnym; a dalszym szczeblem „Poradnika“ jest właśnie organizacja osób przez niego wykształconych — pomysł swoisty, a wielce obiecujący. Może się z tego wyłonić nowa jaka forma organizacji nauki i oświaty publicznej.

Najkrótszy chociażby przegląd środków oświatowych nie może pominąć dziennikarstwa; wszak ono więcej wywiera wpływu na stan oświaty niż wszystkie stowarzyszenia oświatowe.

Jak wszędzie, podobnie w Polsce zawiązkami czapopiśmiennictwa były rozmaite Relacje, Nowiny, Awizy, Listy i t. p., wydawane przygodnie od drugiej połowy XVI wieku. Pierwszem polskim pismem prawdziwie perjodycznym był „Merkuryusz Polski“ z roku 1661, wydawany przez Jana Gorczyńskiego, zrazu w Krakowie, lecz zaraz przeniesiony do Warszawy. Regularny rozwój dziennikarstwa datuje w Polsce od r. 1700. Przy wstąpieniu na tron Stanisława Augusta, w r. 1764, wychodziło czasopism 45, przed trzecim rozbiorem 88. Potem liczba ta spadła, ale już w r. 1806 powstało 6 nowych czasopism, w r. 1822 przybyło ich 15, i odtąd rozwój nie ustaje pomimo prześladowań. Statystyka kar więzionych, nakładanych na polskich redaktorów we wszystkich trzech zaborach (w austriackim do r. 1867) wyda-

łaby liczby wprost horendalne. Niewiele pism było takich, któreby nie musiały przerywać wydawnictwa, wychodzić pod zmienionym tytułem (czasem zmieniano je po kilka razy), płacić istne kontrybucje i t. p. A jednak pomimo całej fatalności polskich warunków kulturalnych okresu porozbiorowego wynosiła w r. 1903 liczba czasopism 570.¹⁾

Zbieraliśmy znowu fakty, wchodząc nieraz w szczegóły, a trzymając się zdaleka od samegoż trzonu naszego tematu. Pomimo to zbliżaliśmy się do rozwiązania zagadnień, o które nam chodzi, a raczej zbliżaliśmy się właśnie dlatego, żeśmy zbierali fakt do faktu, a zbliżaliśmy się jedyną drogą bezpieczną: w nauce Historji obowiązuje bowiem indukcja zupełnie tak samo, jak w fizyce lub chemji: najpierw stwierdzenie faktów, potem rozumowanie.

Z przeglądu dorobku oświatowego możemy być zadowoleni, skoro piśmiennictwo nasze w tej dziedzinie sięga jeszcze czasów scholastyki XV wieku, a nie ustępujemy nikomu wartością naszych urządzeń szkolnych, w czem legitymujemy się dostatecznie reformą pijarską i Komisją Edukacyjną. Dawanie pierwszeństwa wychowaniu publicznemu przed prywatnem, uważanie szkolnictwa za część życia narodowego, łączenie zaś w szkole teorji z praktyką — oto specjalności polskiej myśli oświatowej, świadczące zaszczytnie o naszej twórczości na tem polu. Uniwersytet krakowski starszy jest od wszystkich niemieckich, a również starszemi są od niemieckich polskie pomysły szkoły powszechnej, ludowej. W Polsce też powstała najdawniejsza na północy Alp biblioteka publiczna, oddana na własność państwu.

¹⁾ St. J. Czarnowski: Dziennikarstwo słowiańskie i polskie, Kraków 1895; Korneli Heck: Spis perjodycznych pism polskich, Kraków 1904.

Był więc kierunek polski w tej dziedzinie wybitny, swoisty, a dodatni jak najbardziej, i zachodzą wszelkie podstawy do twierdzenia, że znaczenie polskiego uczestnictwa w europejskiej pracy oświatowej XIX w. byłoby niepoślednie, gdybyśmy byli zachowali możność wolnego rozwoju; do twierdzenia takiego upoważniają też wszystkie fakty z lat, w których ucisk zelżał.

Posiadamy zdolność nie tylko przyjmowania oświaty, ale zarazem szerzenia jej i wytwarzania własnej w tej dziedzinie metody; oświata polska może nie być zależną od ogólnej europejskiej więcej, niż nałożone to jest przez powszechność historii europejskiej, w której i my się mieścimy. Można zaś stwierdzić tu to samo, co stwierdziliśmy w ustępie o darach przyrody, że nie ustępujemy żadnemu z narodów zachodnich również co do zrozumienia spraw tyczących oświaty, ani w ochocie do nich. I tu chodzi jednak o stopień wykonania. Skutkiem okoliczności okresu rozbiorowego cofaliśmy się (a, raczej cofano nas) w ciągu XIX wieku tak często a dotkliwie, iż obecnie znaleźliśmy się wobec znacznych istotnie zaległości oświatowych. Trzeba doganiać...

Znaczenie Polski zawisło oczywiście niemało od stopnia oświaty, a cel jakikolwiek ogólnonarodowy osiągnąć można natenczas tylko, jeżeli solidaryzuje się z danym dążeniem i rozumie je odpowiednia ilość obywateli. do czego znów trzeba oświaty. Im większa ilość obywateli pragnie czegoś, tem większe prawdopodobieństwo osiągnięcia rzeczy — i odwrotnie. Poniżej pewnego minimum oświaty nie można mieć żadnego znaczenia i nie można wykreślać narodowi żadnego celu. Znaczenie Polski zależne od osiągalności jej celu — a zatem zależnem jest wielce od tego, czy uda się nam dogonić innych w dziedzinie oświaty, odrobić zaległości doby rozbiorowej.

Nasze tempo wykonawcze w sprawach oświaty musi tedy stać się nader szybkim, inaczej bowiem nie zdołamy wyzyskać należycie odzyskanej niepodległości, nie zdobędziemy znaczenia, nie osiągniemy celów naszych.

Jak w sprawie użycia darów przyrody, podobnież tutaj miara kultury czynu musi być znaczną, jeżeli mamy utrzymać się jako tako na poziomie niezbędnym do zachowania polskiemu państwu stanowiska europejskiego. Oświata narodowa musi wykrzesać z naszych zasobów materialnych potrzebną dla państwa siłę, boć tylko oświecone należyte zabiegi życia ekonomicznego zdaniem będą do celowego działania w łączności z całością życia narodowego.

Oświata a dobrobyt — oto dwa bieguny osi tego życia! Odzwierciedla się w nich w stopniu znacznym narodowy Logos i Ethos. Jak Logos bez Ethosu chwiejnym się staje, podobnież oświata przy ubóstwie pocnie wreszcie szwankować, choćby największy towarzyszył jej zapal; stałe zubożenie musi pociągać za sobą upadek oświaty (przyczem stadjum przejściowe stanowi oświaty jałowość, nieprzydatność praktyczna). Z dobrobytu czerpie nieraz oświata nowy wątek dla siebie i wytwarza nowe dla siebie pola, a bez towarzystwa dobrobytu wątleje zawsze. Oświata winna do pewnego stopnia wyprzedzać dobrobyt, ale źle się dzieje, gdy stopień ten nazbyt znaczny; przy zbytnej różnicy stopnia oświaty a dobrobytu może się zdarzyć, że to i tamto upadnie; zbytne bowiem takie oddalenie napięcia oświaty a dobrobytu jest czemś nienaturalnem i nie może trwać długo.

Dobrobyt, wyprzedzający oświatę, może stać się niebezpiecznym. Majątek niekierowany rozumem wychodzi nieraz na złe właścicielowi samemuż. Nie powinien nikt posiadać majątku więcej, niż oświaty, bo dobrobyt u głupca nie staje się środkiem doskonalenia. Czyż dużo korzyści dla społeczeństwa z tych ogromnych bogactw, jakie wojna przelała we wszystkich krajach europejskich na ludzi mniej kulturalnych, mniej oświeconych? Czy z bogacenie się tych głupców i niepionów pomnaża majątek n a r o d o w y? Majątek u głupca, to jak nóż w ręku dziecka.

Nasze położenie, niestety, nie daje pola do sporów o to, co pilniejsze, czy wyższy stopień dobrobytu, czy oświaty... Brak nam i tego i owego! Z przyspieszoną chyżością musimy dorabiać luki arcydotkliwe w tem i w tamtem! Pocieszamy się tem, że rozważenie faktów z całej naszej przeszłości upoważnia nas do otuchy, że podołamy koniecznemu wysiłkowi. My mamy w sobie to, czego potrzeba nam na zewnątrz; chodzi tylko o to, by z siebie to wydobyć i móc władać tem, jako narzędziem, dowolnie na zewnątrz.

Przebiegliśmy w krótkości wszystkie sześć kategorii kultury umysłowej nowoczesnego społeczeństwa: historyzm, ludowość, pracę umysłową około darów przyrody bezpośrednią i pośrednią, handel, przemysł, wreszcie oświatę. Niema kultury umysłowej tam, gdzie niedostawałoby choć jednej z tych kategorii; może jednak kultura umysłowa stać wysoko, nie mając w sobie nic a nic ponad owe sześć kategorii. Może np. społeczeństwo jakieś celować kulturą umysłową, nie posiadając zgoła naukowego własnego dorobku, nie pielęgnując całkiem nauki, ani nie uprawiając oryginalnie sztuk pięknych; bo to i tamto można mieć od obcych, nie dodając nic własnego, i przy braku zupełnym oryginalnej twórczości można obcą naukę i cudzą sztukę spopularyzować tak znacznie, iż społeczeństwo stanie się wykształconem artystycznie i naukowo; może nawet osiągnąć wyższy stopień w tem wykształceniu od niejednego społeczeństwa uczonego i artystycznego, lecz mniej popularyzującego te kategorie umysłowości wśród swego ogółu.

Sprawy kultury umysłowej nie dadzą się oczywiście oddzielić ściśle od twórczości (któremu to zagadnieniu poświęconą jest część następna książki); wszelki też podział ma znaczenie bardziej utylitarne, pomocnicze do orientowania się w przedmiocie. Niejeden objaw praw-

dziwej twórczości wypadło omówić już w części pierwszej, i o naukach niektórych była tam mowa; ani też nie mam na myśli, jakoby twórczość do kultury umysłowej nie należała. Chodziło tylko o zaznaczenie, że może być kultura umysłowa bez twórczości — i dlatego traktuję twórczość oddzielnie.

Pewne wnioski trzeba było wysnuwać odrazu, bezpośrednio po rozpatrzeniu się w danym ułamku przedmiotu. Staralem się atoli ograniczać w tem do niezbędnego minimum. Podobnież będę postępował w następnych rozdziałach, ale z natury rzeczy w miarę przybytku przerobionego materiału będzie też przybywać wnioskowania. Ogólne jednak wnioski zachowamy sobie wraz z rekapitulacją aż na sam koniec książki.



CZĘŚĆ II.

TWÓRCZOŚĆ POLSKA.

Rozdział V.

Zdatność artystyczna.

1. Sztuka plastyczna.

Twórczość jest kategorią pozytywną i syntetyczną, a jednak geneza jej — w sceptycyzmie i krytyce, w niezadowoleniu, wiodącym do poszukiwania dróg nowych. Zakończyliśmy część pierwszą naszych roztrząsań stwierdzeniem, że można osiągnąć wysoki stopień kultury umysłowej bez zdolności twórczej, przez samo tylko przyswajanie sobie dorobków cudzych i przez naśladowanie. Droga taka jest jak najnaturalniejszą, jako droga po linii słabszego oporu, mniejszego wyężenia. Trzeba wysiłku, żeby się wyrzec drogi wygodniejszej dla jakichś dalszych widoków, dla celów wyższych, a na wysiłek taki zdobędzie się społeczeństwo natenczas tylko, gdy spostrzeże, że to, co może wygodnie czerpać od obcych, nie jest dla niego wystarczającym, lub wprost jest niestosownem do jego wymogów. Musi nastać niezadowolenie z wyników osiągniętych przyswajaniem sobie dorobków pracy obcej, musi nastąpić stwierdzenie w nich braków, a zatem musi się obudzić wpieryw krytycyzm.

Gdyby wystarczało społeczeństwom przyswajanie sobie cudzych dorobków cywilizacyjnych, byłaby od początku świata cywilizacja tylko jedna, przenoszona z kraju do kraju; ludzkość utknęłaby tedy w jakiejś cy-

wilizacji Irokezów czy też pierwotnej turańskiej, doprowadzonej do ostatecznych konsekwencji. Ale Irańczycy byli niezadowoleni z cywilizacji turańskiej, Hellenowie z kultury egipskiej (choć ją wyzyskali gruntownie) i t. p. Osiągnąwszy pewien stopień cywilizacyjny naśladownictwem, popada dane społeczeństwo w niezadowolenie, wytwarza krytycyzm, chce czegoś nowego i poczyni samo, tworzyć, jeżeli posiada zdolność twórczą. Sceptycyzm w ocenianiu stosunku biernego do kultury obcej wiedzy do twórczości, której celem uwolnienie się od przewagi obcej, niedogodnej kultury.

Porzucenie stosunku naśladowniczego względem obcych może tedy nastąpić w pewnym społeczeństwie tylko celowo. Niema twórczości bez wytkniętego celu! Im wyżej sięgnie, im bardziej się pogłębi twórczość, tem wyraziściej uwypukla się cel pracy zbiorowej, cel całego życia zbiorowego. Nie rozbudzi się jednakże twórczość, dopóki społeczeństwo nie wytknie sobie jakiegoś, choćby nikłego celu, dopóki nie zacznie się rozważać życia zbiorowego pod kategorią celowości, gdyż póki to nie nastąpi, choćby w najmniejszym stopniu, dopóty nie może nastąpić odczucie braków przeszczepianej kultury obcej; dostrzega się bowiem braki o tyle, o ile utrudnione jest z ich przyczyny osiągnięcie jakiegoś celu. Inaczej-nigdyby nie było powodu do niezadowolenia. Społeczeństwa tedy, nie zakreślające sobie celu, pozostają kulturalnie biernymi, t. j. że choć mogą stanąć wysoko samą kulturą umysłową, same niczego dla kultury nie wytworzą. Bierność cywilizacyjna łączy się nieuchronnie z brakiem celowości, a brak celowości łączy się z brakiem twórczości.

Ethos popycha do wytknięcia celu, który obmyślić musi Logos; w taki sposób twórczość powstaje ze związku Logosu z Ethosem. W każdej dziedzinie twórczości musi być przedewszystkiem odpowiedni podkład Logosu; inaczej może być wiele ruchu, działania, sporo czynów, ale czynność ta nie będzie twórczą. Ethos jest dąż-

nością twórczą, ale materiału dostarczyć może tylko Logos. Bez Ethosu niema kultury czynu, ale bez Logosu niema czynu kulturalnego.

Są trzy wielkie dziedziny twórczości: polityczna, naukowa, artystyczna. W Polsce zaczęło się od politycznej. Utworzyliśmy i obronili państwo o stanowisku mocarstwowem, nie posiadając literatury! Nadawaliśmy nowe formy stosunkom międzynarodowym, a myśl polska polityczna panowała nad najrozleglejszemi w Europie przestrzeniami, zanim zdobyliśmy się na piśmiennictwo nadobne! Jakżeż zmiennym jest charakter narodowy w ciągu wieków! Umysłowość polska, o której możnaby za naszych czasów powiedzieć z niewielką przesadą, że składa się z samej niemal literatury i lubi wszystko inne przerabiać na literaturę — bywała wcale inną. Od początków naszego życia państwowego (około r. 850) do pierwszego poety polskiego, którego utwory spisywano, błog. Władysława z Gielniowa, mijają 650 lat. Starszą od literatury jest w Polsce nauka; wszak uczonością celuje Kadłubek, a Witelo należy do wybitniejszych uczonych europejskich, w XV zaś wieku istniał znaczny ruch naukowy pośród inteligencji polskiej, były już wyrobione pewne tradycje świata naukowego, podczas gdy literatura poczęła się rozwijać dopiero koło r. 1540. Jest więc artystyczna twórczość w Polsce młodszą od innych rodzajów twórczości, i to tak znacznie młodszą, jak w żadnym innym społeczeństwie cywilizacji zachodnio-europejskiej.

Sprawa dziwna zaiste, dotychczas niewyjaśniona. Opóźnia się zaś poezja artystyczna najbardziej ze wszystkich działów artyzmu, podczas gdy z reguły zwykła wybijać się naprzód wcześniej i zajmować szybko dominujące stanowisko. Od czasu epokowych odkryć Bronisława Piłsudskiego co do związków poezji wiemy, że poezja jest wszędzie i zawsze, że opromienia najniższe fazy rozwoju cywilizacyjnego; ona istnieje już tam, gdzie zdaje się nie istnieć jeszcze człowieczeństwo. Jest jakby

wrodzoną człowiekowi, skoro daje się stwierdzić na najniższym szczeblu człowieka. To też niema w tem nic dziwnego, jeżeli poezja rozwinie się w spisywaną, artystyczną, przed architekturą, a tem bardziej przed nauką, cóż dopiero przed polityką — ale odwrotnie jak u nas?

Zwraca uwagę objaw drugi, a mianowicie, że o ile artyzm opóźniał się u nas, o tyle jednak krótko trwało bierne czerpanie z cudzego dorobku; twórczość występuje stosunkowo szybko — a zatem nie można opóźniania się pierwszych objawów przypisywać brakowi zdatności artystycznej.

Sztukę wprowadził do Polski Kościół, jak wogóle z Kościoła wywodzi się cała cywilizacja u nas, i nie tylko u nas. W budowie świątyń krzyżowały się prądy wschodnie a zachodnie. Po romańsko-bizantyńskich pierwocinach nastaje doba gotycka, obfitująca już w zabytki budownictwa świeckiego. Style architektoniczne przechodziły do Polski z wielkiem opóźnieniem, gotyk aż za Kazimierza W. Znać w budowlach polskich wpływy francuskie, niemieckie i trochę włoskich, znać też bizantyńskie, niekoniecznie z pierwszej ręki, boć bizantyńskie wpływy są w romańskim stylu w najdalszych zachodnich stronach Europy; mogły przeto z Zachodu przedostawać się do nas. Zachowujemy się wobec tych wpływów całkiem biernie, lecz porusza twórczość polską nagle gotyk.

„Budowniczo wie krakowscy wprowadzili połączenie materiałów, gdzie indziej nieznanie, a przynajmniej tak zasadniczo nieprzeprowadzone: z cegły zrąb ścian i pola wypełniające sklepienia, z ciosu wapiennego filary, słupki, żebra sklepień oraz ważniejsze technicznie i ozdobięjsze inne części, jak obramienia drzwi i okien, łaski okienne, zakończenia szkarp, gzymsy, kapniki. Używa się też dużych ciosów jako wiązarów w narożnikach ścian, w pewnych punktach szkarp, wymagających silniejszego zespolenia ceglanych murów. Dzięki temu po-

łączeniu materiałów, nasze kościoły ceglano-ciosowe rozwinęły się w budowlę obszerne, wysokie i okazałe... Tak powstały nasze ceglane gmachy bazylikowe, t. j. wielkie trójnawowe kościoły, o nawie głównej znacznie — czasem dwa razy i więcej — wyższej od bocznych. I tu występuje odrębność odcienia gotycyzmu krakowskiego". Podczas gdy na Zachodzie radzono sobie „zawilym systemem łuków przeskakujących", co w cegle wykonać się nie dawało, skutkiem czego w budowlach ceglanych trzymano się systemu trzech naw jednakowej wysokości, a wogóle niebardzo wysokich, lub też umożliwiano wyższe wzniesienie nawy środkowej sklepieniami udawanymi z drzewa — budowniczowie krakowscy wprowadzili szkarpy pionowe „w dolnej części do wnętrza kościoła, jako prostokątne naddatki do słupów dzielących nawy... Użycie kamienia ciosowego pozwoliło rzut poziomy samych słupów i tych naddatków sprowadzić do najmniejszych wymiarów, a nadto obciąć skośnie wszystkie narożniki. Tak powstało to, co nazywamy odcieniem, albo odłamem krakowskim gotyckich kościołów bazylikowych... Jest on poniekąd przeciwieństwem systemu bazylikowego zachodniego".

Nie tylko u nas, ale wszędzie nowości architektoniczne powstały głównie przez nowość materiału. Dążność przystosowania nowego materiału do przyjętych form i wynikające stąd następstwa, zrazu nieprzewidywane, potem ujęte w nowy styl, lub odcień stylu, dają pole twórczości. Gdzie brak twórczości, tam w razie braku zwykłego materiału nie zrobi się nic, bo się nie potrafi owego materiału zastąpić, a formy zmodyfikować odpowiednio do materiału nowego. Skorośmy potrafili rozwiązać doskonale trudności, wynikające z zastąpienia kamienia cegłą, już to stanowi dowód twórczości w architekturze. Tem wyższym stopień tej twórczości, skoro pomimo ubóstwa materiału i ornamentacji, kościoły odcienia krakowskiego mogą pod względem artystycznym „śmia-

ło stanąć obok słynnych i bogatszych katedr zagranicznych“.

Twórczość, jest to pomysłowość podniesiona do systemu. Budowniczowie krakowscy robili próby, czy z cegły nie dałyby się robić „łuki odporne“; gdyby to było wykonalnem, poprzestałoby zapewne nadal na bierności artystycznej, na prostem naśladownictwie form czerpanych z zewnątrz! — ale próby, „których ślady zachowały się do dziś dnia na kościołach katedralnym i N. P. Marji w Krakowie“, wypadły niefortunnie; gdyby nie posiadali zdolności twórczej, nie zrobiliby niczego wybitniejszego z cegły, ale posiadając siłę twórczą, pokonali trudność, gdy zdobyli się na pomysł owych szkarp, od których prosta konsekwencja budownicza wiodła już do odrębności stylowej.

Gdy nastał renesans — wcale już niespóźniony na polskich ziemiach — odrębność miała już swoją tradycję: Dziedziniec zamkowy na Wawelu stawiany jest w sposób taki, że „czegoś podobnego przecie nie przewidział żaden z teoretyków architektury Odrodzenia“. Stosunek piątr, galerja z dachem wspartym na słupach dwukolumnowych“, z których jedna stoi na drugiej, a których przedłużenie tworzy jeszcze niski balas, ustawiony na kapitulu“ — to wszystko w zestawieniu z nadzwyczajną wyższością piętra drugiego nad pierwszym jest tego rodzaju, iż „zdawałoby się, że taka kombinacja wyda wynik nieszczęśliwy, może karykaturalny... Tymczasem od połowy XVI w. do dnia dzisiejszego powszechna panuje zgoda, że cortile krakowskie jest nie tylko unikatem w swoim rodzaju, lecz utworem wykwiintnego, wysokiego smaku. Podziwiają je swoi, może więcej jeszcze obcy; zagraniczni profesorowie budownictwa i historii sztuki przywożą do Krakowa swoich uczniów i prowadzą ich na dziedziniec zamkowy, gdy chcą im pokazać coś wyjątkowo zajmującego i pięknego“.

Potem Gabriel Słoński, budowniczy krakowski, „wycisnął na swoich dziełach jawne piętno polskiego ich po-

chodzenia, wyrażające się w odmiennych od włoskich proporcjach portaliów, w oryginalnych, aż ludową niemal naiwnością tchnących motywach zdobniczych“. Coraz bardziej „renesans włoski polszczył się“, bo nawet włoscy budowniczowie „pod działaniem wpływów, wymagań i potrzeb miejscowych oddalili się od pierwowzorów, a nawet tradycji i zasad, panujących w ojczyźnie renesansu“.

Obok swoistych motywów zdobnictwa architektonicznego „pojawiła się u nas i stała się dość powszechną w czasach Odrodzenia inna właściwość polska: wysokie attyki, szczególnie ratuszów, pałaców i miejskich kamienic” — tudzież inny jeszcze szczegół, a mianowicie t. zw. podcienia, które w Polsce „pojawiły się wcześniej, zanim zwyczaje budownictwa włoskiego mogły się przyjąć“, i zostały. „Pierwowzorów trzeba szukać na miejscu, w starym budownictwie drewnianem, w tradycjach polskiej ciesiołki“.

Nasze budownictwo drewniane posiada odrębną wartość artystyczną i „nie skostniało w zabytkach przeszłości, ale w niektórych okolicach żyje jeszcze pełnym życiem“ — co świadczy o żywej ciągle sile twórczej w tej dziedzinie. Ta odrębna wartość artystyczna „uznana została przez obcych, całkiem bezstronnych, którzy od kilku lat dziesiątków coraz więcej się nią zajmują, podnoszą jej zalety, zbierają i ogłaszają jej wzory“.

W baroku cudowny barok wileński nie znalazł niestety dotychczas swego naukowego interpretatora. I tu zachodzi coś wręcz przeciwnego, zdawałoby się, samej zasadzie stylu. Wszak baroku cechą pewną przysadkowość, w porównaniu z czystym Odrodzeniem pewna ociężałość — gdy tymczasem wileński barok pod względem strzelistości nie ustępuje nieraz gotykowi.

W wieku XVIII „typ pałaców (warszawskich) co do postaci i rozkładu jest cokolwiek odmienny od pańskich siedzib innych krajów, jest polski, wywołany miejscowymi zwyczajami i potrzebami, lecz co do cech stylowych nie

różni się od współczesnych budynków Zachodu. Samodzielnością najbardziej celował Jakób Kubicki za Stanisława Augusta, twórca warszawskiego Belwederu i szeregu dworów wiejskich.

Potem nastaje zbyt długi okres bierności artystycznej w architekturze, aż do czasu Piotra Talowskiego, za naszych już dni czynnego w Krakowie i Lwowie. „Hołdował on zasadzie malowniczości w architekturze. Utwory jego wydawać się mogą dziwaczne, są jednak pełne świeżego poletu, brzmi w nich nuta poezji, jakaś niezwykła śmiałość, do zuchwalstwa niemal posunięta. Wszystko, co wyszło z pod ręki Talowskiego, jest uderzające, inne jak rzeczy znane, sprzeczne z dotychczasowymi zapatrywaniami. Są między tem rzeczy istotnie piękne“.

Tak przedstawia się rejestr polskiej oryginalności w architekturze; gdyby chodziło o piękno i wartość architektury w Polsce, bez względu na oryginalność wobec innych narodów, nietrudno byłoby wypisać rejestr bardzo długi budowli bardzo pięknych, i powołać się na szereg imion bardzo dźwięcznych w historii tej sztuki pięknej.

W dziedzinie rzeźby podobne objawy: opóźnienie zrazu, obok szybkiego następnie rozkwitu oryginalności. „Nagle w drugiej połowie XV w. objawia się u nas potężny rozwój rzeźby, która jakościowo, a poniekąd i ilościowo, staje na wysokości całkiem światowej... rzeźba, przez którą odezwał się po raz ostatni duch gotycyzmu“: Wit Stwosz, stanowiący sam dla siebie epokę.

„Wiemy na pewno, że przez długie lata mieszkał i pracował w Krakowie, że tu miał warsztat i pomocników, tu najliczniejsze i największe dzieła tak z drzewa jak z kamienia wykonane zostawił, że on i jego synowie i następcy wytworzyli szkołę, może nawet więcej środowisk, z których przez kilka dziesiątków lat rozchodziły się twory rzeźbiarskie po Polsce, Śląsku, północnych Węgrzech. Dzieła Stwosza znajdują się też w południo-

wych Niemczech, gdzie na dwa zawody przebywał i pracował. Był to artysta z Bożej łaski, zdolność wyjątkowa i wszechstronna: razem rzeźbiarz, malarz, sztycharz, może też architekt i inżynier“.

Zatrzymajmy się przy tej wszechstronności, zaiste renesansowej. Bo też Stwosz, „zamlodu wychowany w pojęciach gotycyzmu i w duchu jego tworzący, pod koniec zawodu pod wpływem sztuki renesansu zmienił kierunek artystyczny, przechylił się ku nowemu prądowi“. Ale znać zawsze na jego dziełach, nawet najpóźniejszych, gotycką genezę jego sztuki; był tedy... renesansowym kontynuatorem gotycyzmu. Paradoks, gra słów? O gotyku można powiedzieć, że nie umarł śmiercią naturalną, lecz został zabity przez styl odrodzenia. Nie wy dobył gotyk z siebie wszystkiego, nie wysnuł wszystkich pomysłów artystycznych, nie zanosiło się bynajmniej na wyczerpanie gotyku, gdy nagle zarzucono go. Początki renesansu nie mają żadnego związku z końcem gotyku; ani związku linii ni rozkładu płaszczyzn, ni zdobnictwa; nie wiążą się niczem a niczem z dniem wczorajszym sztuki, lecz zaczynają wszystko z innych zgoła motywów artystycznych. Zdarzają się jednak wyjątki od tej reguły, a mianowicie w Polsce — i takim właśnie wyjątkiem jest sztuka Wita Stwosza.

Jest to jeden z rzadkich, arcyrzadkich przykładów łączności końca gotyku z początkami renesansu. Stwosz kontynuuje gotyk, przybierając do niego nowe zdobycze artystyczne, wzbogacając go, rozszerzając jego motywy, a zatem rozwijając go dalej. Nie jest on epigonem sztuki przebrzmiałej, lecz twórcą nowego rozdziału sztuki. Z renesansowym rozmachem, z wielostronnością, i z nowymi pojęciami umiaru artystycznego, z nowym sądem o stosunku artysty do życia i społeczeństwa, wznosi Stwosz nowe piętro na budowie gotyku. Gdyby Stwosz nie był wyjątkiem, gdyby ogólnie tak postępowano, wyłaniałby się nowy styl na podłożu gotyku, przez rozwój stylu dawnego, który zamieniałby się w nowy skutkiem

nagromadzenia pewnej sumy nowych szczegółów, pociągających w końcu za sobą zmiany umiaru i linii. Co to byłby za styl — dziwactwem byłoby zapuszczać się w te przypuszczenia dalej; chodzi tylko o to, żeby stwierdzić, jako Stwosz jest wyjątkową postacią, gotycystą ostatnim, a jednak nie epigonem, lecz przeciwnie, twórczym talentem pierwszorzędnym, od którego zaczynałby się nowy rozdział sztuki, gdyby o tem decydował tylko talent i sama siła twórcza. Nie był epigonem, a talentem swym i kierunkiem umysłowości powołany był na pomost pomiędzy przeszłością a przyszłością; powołany był na przeszłość e w o l u c j i; stanowi typ wybitnie ewolucyjny.

Dotknąłem „kwestji Stwoszowskiej“ ze strony nowej, a posiadającej dla książki niniejszej znaczenie zasadnicze; pokaże się bowiem, że całkiem analogiczne objawy zachodziły w kulturze polskiej równocześnie (na przełomie XV i XVI wieku) w dziedzinie filozofji, z czego na właściwem miejscu zrobimy użytek.

W okresie renesansu „obok Włochów wykształciła się w kraju pewna liczba rzeźbiarzy Polaków“ (Jan Michałowicz z Urzędowa, Gabrijel Słoński, zarazem architekt i inni), lecz stoją od Włochów niżej, zaznaczając swą polskość śmiałością jednak i siłą. Podobnież na płytach brązowych w Polsce można „na niektórych dopatrzeć się cech temperamentu i zacięcia polskiego“, ale na tem też koniec względnej tu wielce oryginalności, boć „niemal wszystkie nasze płyty brązowe, gdziekolwiek były robione, okazują wielkie pokrewieństwo ze sztuką niemiecką“. Tylko ołtarze snycerskiej roboty, pojawiające się aż do końca XVIII wieku, stalle, ławki, konfesjonały, ambony snycerskie utrzymują się na znacznej wyżynie. „Słusznie też znawcy i historycy sztuki, tak polscy jak obcy, coraz więcej im poświęcają uwagi i coraz częściej z naciskiem podnoszą ich zalety, uważając je za jedną z właściwości naszego kraju i narodu“. „I trudno zaprzeczyć, że w porównaniu do tych zabytków cofnęło się potem polskie rzeźbiarstwo i snycerstwo“. Za Stanisława

Augusta wprawdzie „pojawia się u nas pewna ilość talentów rzeźbiarskich rodzimych, nawet niepoślednich“, lecz „wielkich dzieł po sobie nie zostawili, szkoły i wybitnego kierunku nie wytworzyli. Ale bądź co bądź z XIX w. można by wyliczyć cały szereg poważnych nazwisk rzeźbiarzy polskich, a kilku z nich nie tylko zajęło poczesne stanowisko w kraju, ale i z korzystnej strony dało poznać polską sztukę zagranicą“. Znaczący to, że nie brak jednostek, równających się mniej więcej z Zachodem zdolnością, ale zaczynających i kończących swój zawód artystyczny na przeszczepianiu Zachodu do nas, nie pomnażając jakościowo dorobku artystycznej kultury europejskiej.

Malarstwo znane Polsce od epoki romańskiej, przeszczepiane od Zachodu i od Wschodu, posiada „piętno sztuki ogólnoeuropejskiej“. Obrazy cechowe XV i XVI wieku posiadają względną oryginalność. Ich „ogólny charakter... jest zbliżony do niemieckiego“, ale „tryptyki krakowsko-śląsko-spiskie różnią się od niemieckich większą prostotą pomysłu, rysunku i ornamentyki snycerskiej, a ich obrazy odznaczają się siłą kolorytu, może nieco jaskrawego i krzykliwego, tudzież typami i strojami, które często odtwarzają widocznie modele, brane z ludności miejscowej“. Niemcy, Niderlandczycy, Włosi działają u nas aż do końca Rzpltej, obniżając jednak u nas często poziom artystyczny; „po prostu czasami stają się rubaszni“. A potem, „malarstwo nasze XVIII w., choć wykazuje pewną ilość swojskich talentów, nosi piętno kosmopolityczne“.

Zwiasunem kierunku narodowego stał się „zjawiskiem dziwnym“ Francuz Norblin; po nim idą Vogel, Al. Kucharski, wreszcie Al. Orłowski i „syn jego ducha“ Piotr Michałowski. „Obaj oni wnoszą w malarstwo polskie nutę iście swojską, akcent dziarskości i fantazji, energii i siły, a przytem bystrą i samodzielną obserwację natury. W czasach, kiedy niepodzielnie w świecie sztuki panował naprzód klasycyzm, a potem berło próbowali mu wydrzeć epigonowie średniowiecza i renesansu włoskiego,

wystąpienie Orłowskiego i Michałowskiego było aktem niesłychanej samodzielności, niepodległości, rewolucyjnej odwagi. Wnieśli oni w sztukę prąd ożywczy, melodię nową, dotąd nieznaną. Głos ich słyszany był w całej Europie, wszakże jako rdzennie polski przede wszystkim oddziaływać musiał na sztukę w Polsce. Oddziałał jednak nie zaraz, ale dopiero po kilku dziesiątkach lat". „Pierwsza połowa XIX w. była czasem pewnego zastoju sztuki w Polsce“ t. j. sztuki plastycznej, podczas gdy poezja wybija się na plan pierwszy.

Tylko Piotr Michałowski „wypełnia lukę“, ten sam Michałowski, który zorganizował administrację w wolnem mieście Krakowie, zajmował się podniesieniem górnictwa, a przytem malował „sobie“, prac swoich ani nigdy nie wystawiając, ani nie sprzedając (był zamożnym). Poznano się na nim po śmierci, wpływ jego był wielki, bo sam Matejko i Kossak są „jego w prostej linii następcami“.

„Wśród dość jałowej dla sztuki w Polsce półwiekowej doby Orłowski i Michałowski byli zjawiskiem osobnionem, jakby dwa po sobie następujące monologi. Nagle ta sztuka odezwała się wspaniałą symfonią. Wstęp do niej stanowił potężny chór wielkich równocześnie żyjących poetów, przy akompaniamencie tonów Chopina. Gdy ci zeszli z pola lub zamilkli, zajęła ich miejsce plejada wybitnych malarzy, na których czele idą trzej wodzowie: Grottger, Matejko, Kossak“.

Rozpisywać się o tej trójcy tu nie trzeba, gdyż dzieła ich spopularyzowane są w reprodukcjach w każdym polskim domu. Wiadomo też każdemu, że należą oni do pierwszorzędných talentów sztuki nie tylko polskiej, lecz europejskiej wogóle. Od nich zaczyna się zainteresowanie się polskiego ogółu sztuką plastyczną; nastaje okres Szkół Sztuk pięknych, Towarzystw, wystaw i t. p., i „ten stan utrzymuje się do dnia dzisiejszego“, podczas gdy ilość malarzy poszła w setki.

„Wysoki kurs produkcji pędzla polskiego na artystycznej giełdzie światowej jest zupełnie zasłużony.

Wprawdzie dziś brak u nas wielkich genjuszów na miarę Grottgera lub Matejki, ale możemy pochwalić się zastępami talentów, które malarstwo polskie utrzymują na wysokim poziomie... Jest faktem nie od dziś uznanym, że wystawy polskie odróżniają się i odznaczają wśród wystaw obrazów, jakie widzieć można w Europie. A różnica nie jest na naszą niekorzyść... Malarstwo polskie, jako całość, stało się pojęciem o cechach wyraźnych, odrębnych, indywidualnych i tą swoją odrębnością zaważyło w ogólnym rozwoju malarstwa ostatniej doby, wnosząc w nie jako swój dorobek: pierwiastek uczuciowy, wysoce patriotyczny, a obok tego zdrowy realizm, bystrą obserwację natury, żywość kolorytu, młodocianą naiwność i fantazję, męską siłę i jędrność". „Wartością i rozgłosem malarstwo nasze nie schodzi z wysokiego poziomu, jaki osiągnąć umiało“.

Na zakończenie rozważań tych o malarstwie polskim warto stwierdzić szybkość jego rozwoju od Matejki na klasycznym przykładzie: wszak żyją jeszcze tacy, którzy w „Rachunkach“ Bolesławity (pseudonim J. I. Kraszewskiego) czytali, jako malarstwo nie może się w Polsce rozwinąć, nie mając do tego warunków przyrodzonych, a raczej mając je wszystkie przeciw sobie. Autor niniejszego dziełka pamięta dobrze powstawanie pierwszych większych płócien Matejki. A więc działo się to wszystko i stało w ciągu jednego niedługiego żywota ludzkiego. Za pierwszej młodości znałem i umiałem był napamięć z wszelką pewnością imiona wszystkich polskich malarzy; dziś lepsi ode mnie znawcy przedmiotu byłiby w nielada kłopotcie, gdyby mieli wyliczać długi, bardzo długi ich szereg. Posiadamy swój własny „świat artystyczny“. Pokonaliśmy tedy przeciwność niesprzyjających warunków przyrodzonych. Rozpęd woli dokonał istnego cudu; Ethos polskie dopomogło nowym formom polskiego Logosu do niebywałego w dziejach kultury triumfu.

2. M u z y k a.

Dwie sztuki nieplastyczne, muzyka i poezja, przysporzyły polskości zaszczytu jeszcze więcej od plastycznych. Od dłuższego też czasu zdołały się rozwinąć na polskich niwach. Polifoniczna sztuka wokalnie-instrumentalna istnieje w Polsce od początku XV wieku; pierwszym wiadomym kompozytorem jest Mikołaj Radomczyk (1426). W sąsiednich Niemczech występują wielogłosowe kompozycje dopiero w ostatniej ćwierci XV wieku. Polska zajęła też stanowisko przodujące w muzyce w tej części Europy, a muzycy niemieccy kształcili się w Krakowie. Później zaś „pomimo stałego wzrostu rodzimej produkcji muzycznej zasilają niemieccy wydawcy zbiorowych wydawnictw kompozycyjnych druki swoje utworami muzyków polskich, stawiając ich tam obok najgłośniejszych mistrzów XVI wieku“. Znanym był zagranicą Wacław Szamotulski (1554) i Marcin Lwowczyk; najznakomitszy lutnista polski, Jakób Polak, przyłgnał jednakże do Francji i utonął w niej na zawsze.

Cykle kompozycyjnych kościelnych zaczynają się około r. 1570. Offertoria i Communiones Zieleńskiego (1611) są najwspanialszym dziełem muzyki polskiej przed Chopinem, a „muzyczna Europa otrzymała w nich jeden z najbardziej monumentalnych darów, jakim historję muzyki kościelnej wzbogacili genjusz muzyczni wszystkich czasów“. Najdoskonalszym przykładem chromatycznego wyrazu w muzyce XVII w. jest kantata Pękiela (ok. 1640), której odpisy „rozsiane są po archiwach niemieckich“. Weszły również do muzyki niemieckiej i utrzymały się tam długo kompozycje Marcina Mielczewskiego z połowy XVII wieku.

„W ciągu czterech stuleci aż do politycznego upadku państwa produkowano więc w Polsce muzykę, która przyczyniała się do pokrycia zapotrzebowania artystycznego na tem polu obok włoskiej, francuskiej i niemieckiej i starczyła także na eksport stale utrzymujący się“.

Dla użytku samych Polaków pisane były Psalmi Gombóki (1580), dzieło niepospolite, tudzież długi szereg prac mniejszych kompozytorów XVII i XVIII wieku.

„W historii ewolucji form muzycznych nie zaznaczył się współdziałanie Polski żadnym przyczynkiem — dopiero Chopin (1810—1849) wniósł do muzyki nowoczesnej szereg nowych form i nowych środków wyrazu muzycznego“. Twórczość jego „łączy się najściślej z muzyką narodową w dwóch formach: poloneza i mazurka“. Tańce polskie odgrywają poważną rolę w muzyce europejskiej już od połowy XVI stulecia, ale Chopin, jak to spostrzegł już Cyprian Norwid, „podnosił w tym zaśpiewie (rytmu mazurkowego) na sztukę narodową ludowe natchnienia do potęgi przenikającej i ogarniającej ludzkość całą“. Stał się też Chopin zaiste „muzycznym sercem całej cywilizowanej ludzkości“. Nie będę się rozwodził nad nadmiarem piękna Preludjów, Nokturnów, Polonezów etc., ani nad wybitnym stanowiskiem Chopina w muzyce powszechnej, bo śmiesznym byłoby pouczać o tem kogoś, zwrócić chciałbym tylko uwagę, jak muzyka Chopinowska dowodzi, że formy polskie nie składają się z samej „egzotyczności“, lecz mają też w sobie pierwiastek ogólnoeuropejski (przesadnie mówi się: „ogólnoludzki“), skoro Chopin oceniany bywa jednak przez wszystkich Europejczyków; gdyby go nie rozumiano, przynajmniej do pewnego stopnia, nie umianoby go ocenić. Forma polska nie stoi przeto na zawadzie, by treść polska stała się powszechną. Wszak słusznie powiedziano, że „obok Kopernika jest Chopin najbardziej znanym na świecie Polakiem“.

„Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że bez jego wieczyście pięknej muzyki, zrodzonej na duchowej glebie polskiej, muzyka ostatnich lat ośmdziesięciu nie pod jednym może względem byłaby odmienną i uboższą, niż jest“. On „sankcjonowany kanon sonaty przekształcił wedle swojego uznania i potrzeby twórczej“. „Wszystkie inne, przejęte formy, podniósł do nieznanego znaczenia artystycznego,

np. etudy, preludja, lub wyindywidualizował odpowiednio do indywidualności własnego geniuszu". „Własną, przez Chopina po raz pierwszy używaną formą, była ballada". „W paradoksalny sposób odniósł się do scherza, które z części sonatowego cyklu doprowadził do zupełnej samodzielności". „Nowe światy techniki fortepianowej i wyrazu muzycznego otworzyły etudy i preludja Chopina".

Co do strony harmoniczej, „pomysły akordowe, łączenie akordów, modulacje, wszystko wogóle, co należy do zjawisk harmonji muzycznej w dziełach Chopina, stanowi nową epokę na tem polu".

„Od lat kilkudziesięciu należy twórczość Chopina do żelaznego kapitału kultury muzycznej na całym świecie". „Gdyby jednego tylko Chopina wydała muzyka polska, miałyby już zapewnione miejsce poczesne w historii muzyki powszechnej".

„Współcześnie z Chopinem przenikała muzyka polska także za pośrednictwem mniejszych od niego talentów na świat szerszy. Nie możemy zapomnieć, że na całym świecie miały słuchaczy pamiętne polonezy Ogińskiego, że Elsner i Kurpiński znajdowali w Niemczech i Francji nakładców dla swoich kompozycji, że utwory Dobrzyńskiego docierały do rąk najwybitniejszych kompozytorów niemieckich".

Stanisław Moniuszko (1820—1872) znany jest w historii muzyki tylko dla swych pieśni. Opery jego czekają dopiero na spopularyzowanie i poza Polską. Bardziej znane są zagranicą kompozycje instrumentalne Zygmunta Noskowskiego; niektóre z nich (głównie „Step") grały niechybnie wszystkie większe orkiestry symfoniczne na świecie". Noskowski bowiem „pierwszy z polskich kompozytorów orkiestrowych zdobył tę technikę instrumentacji, jaka wobec niezmiernego spotęgowania środków symfonicznych od czasów Berlioza, Liszta i Wagnera stała się koniecznym warunkiem do przemawiania ex cathedra nowoczesnej symfonji". Władysław Żeleński „wniósł na międzynarodowy rynek muzyczny ze swojej wszech-

stronnej twórczości przede wszystkim pieśni i dzieła muzyki kameralnej". Opery jego nie zdobyły scen europejskich. Ani opera Paderewskiego, który „w licznej rzeszy znakomitych wirtuozów jest prawdziwie wielką osobistością, autorytetem, równym chyba jednemu Lisztowi". Z pośród wirtuozów-kompozytorów zasłynął szeroko Henryk Wieniawski, skrzypek (1835—1880), którego niektóre utwory „należą do najcelniejszych utworów w programach najgłośniejszych skrzypeków". O wirtuozach nie komponujących lub zajmujących w kompozytorstwie podrzędniejsze stanowisko brak miejsca nie pozwala wspominać; dość powiedzieć, że wśród największej zażywających sławy wirtuozów nie brak nigdy Polaków.

Dzięki Janowi Gallowi i Stanisławowi Niewiadomskiemu „znalazła pieśń polska także doby pomoniuszkowskiej zainteresowanie dla siebie u zagranicy, osiągając tam niekiedy znaczną popularność".

„Z licznej falangi kompozytorów polskich młodszej generacji naczelne stanowisko zajęli w muzyce polskiej i najwybitniej reprezentują ją wobec zagranicy: Mieczysław Karłowicz (1876—1909), Ludomir Różycki (1883) i Karol Szymanowski (1882). „Potężna technika orkiestrowania i podniosły charakter jego muzyki wywoływały zawsze w stolicach muzycznego ruchu europejskiego poważne zdania o talencie Karłowicza". Głównym jego rodzajem poemat symfoniczny. Różycki uprawia rozmaite rodzaje, także operę. Szymanowski, to „najśmielszy i najbogatszy talent kompozytorski polski w dobie obecnej, nawiązuje licznymi dziełami i wartością ich do tradycji Chopina. Kompozycje jego symfoniczne, fortepianowe, pieśni i utwory komnatowe kroczą w pierwszym szeregu współczesnej muzyki europejskiej. Cechuje je królewska dostojność, najwyższa poetyczność nastrojów i nieporównane mistrzostwo techniki polifonicznej. Zawsze niezmiernie oryginalny, wyraża się Szymanowski w muzyce swojej pomimo kosmopolitycznego jej charakteru w sposób, świadczący o jego polskości, którą też wyczuwa z niej

każdy obcy słuchacz. Po kilku koncertach dzieł Szymanowskiego w Berlinie, w Wiedniu i Londynie stały się kompozycje jego własnością międzynarodową“.

Zakończmy ten skrócony do przesadnego z konieczności minimum przegląd stwierdzeniem faktu, że nazwy „koncert“ do utworów ściśle instrumentalnych użył pierwszy nasz Adam Jarzębski (przy swych koncertach, wydanych w liczbie 28 w roku 1627), przedtem bowiem „nazywano“ koncertem zespoły wokально-instrumentalne o znamionach koncertowego współzawodniczenia. Koncerty kompozytora polskiego mają zapewnione miejsce w historii pierwszego okresu muzyki orkiestralnej“.

Nie możemy się równać z Włochami ani Francuzami w zakresie muzyki, ale wydaliśmy geniusza Chopina, a „pracą, ciągnącą się od kilku stuleci, zdobyła sobie muzyka polska prawo obywatelstwa w muzyce ogólnej i wnosi do niej z pokolenia w pokolenie własne wartości“. Oceniając stosunek naszej muzyki do europejskiej, zważyć należy, żeć muzyka, to sztuka par excellence mieszczkańska, a Polska nie była i nie jest krajem miast... Co uwzględniwszy, wypadnie przyznać Polakom zdatność w tym kierunku wielką, skoro wbrew swej sielskości zajmują poczesne miejsce w muzyce. Zdatność ta nie może być należycie wyzyskana, jak tyle innych— o czem później.

3. Poezja — i uwagi ogólne.

Książka niniejsza urość musiałaby na gruby foljant, gdyby chcieć choć najbardziej sunarycznie podawać jakiś skrót dziejów polskiej poezji, a tem bardziej całej literatury nadobnej. Uwalnia mię od tego fakt, że czytelnicy moi posiadają właśnie literackiego wykształcenia najwięcej, co stanowi nawet cechę znamiennej społeczności polskiego; przez „wykształcenie ogólne“ rozumie się w Polsce nie co innego, jak wykształcenie literackie; a kto tego nie posiada, uchodzi w Polsce za człowieka niewykształconego. Miałoby to w sobie dużo stron

dobrych, gdyby nie fatalna pomyłka, jakoby od człowieka posiadającego ten rodzaj wykształcenia można było nie wymagać już niczego więcej. Płynie z tej myłki dużo, niezmiernie dużo złego na nasze życie zbiorowe.

Poezja uchodzi za najwyższą sztukę, jako niezależna od materiału zmysłowego. Muzyka operuje materiałem tylko niewymiarowym; czyż dlatego ma być wyższą od sztuk plastycznych, jako operujących materiałem uchwytym, wymiarowym? Poezja działa także przez zmysły na umysł, jakkolwiek w sposób zasadniczo różny, bo nie przez fakty zmysłowe, lecz tylko przez zmysłowe wyobrażenia. Np. dźwięk muzyczny jest czemś konkretnem, jest faktem (i pauza muzyczna jest również faktem) i to faktem zmysłowym; podobnież barwa, kształt w sztukach plastycznych stanowią fakty zmysłowe, dostrzeganiu zmysłowemu podlegające bezpośrednio. W poezji niema żadnego materiału zmysłowego, niczego nie dostrzegamy istotnie ni wzrokiem, ni słuchem, tylko wyobrażamy sobie, jakobyśmy widzieli i słyszeli. Np. odnosimy potężne wrażenie słuchowe przy opisie burzy w Panu Tadeuszu, a wzrokowe również; słuchowe samo przy muzyce Jankiela, wzrokowe przy opisie zachodu słońca. Słyszymy i widzimy z całą dokładnością, lecz łudząc się, jakobyśmy widzieli i słyszeli; do tego stopnia prawdziwy poeta umie zapomocą wyobrażeń zmysłowych wywołać efekty zmysłowe — i to stanowi jego kryterjum artystyczne.

Co jest wyższym objawem rozwoju umysłowości i wyższym stopniem zdatności artystycznej: czy operowanie faktami zmysłowymi, czy tylko wyobrażeniami? Dochodzenie tego byłoby jałową dialektyką, bo na jakimż oprzeć się kryterjum? Gdybyśmy zaczerpnęli skali do oceny ze świata pojęć i wyobrażeń umysłowych, nie doszlibyśmy także do żadnego wyniku, boć uczucie jakieś lub myśl pewną jednakowo dobrze i równo artystycznie wyrazić można w budowlę jak w rzeźbie, obrazie, symfonii czy poemacie.

Gdyby ktoś chciał wykazać niższość poezji, mógłby powołać się na to, że ona istnieje na najprymitywniejszych szczeblach kultury, gdy tymczasem plastyka udaje się tylko na wyższych; środek trzyma muzyka, z plastyki zaś pojawia się najwcześniej budownictwo i zdobnictwo. Fakty te stwierdzić może każdy historyk. Ale nie trzeba brać tej rzeczy jednostronnie! Prawda, że muzyka i poezja są sztukami najstarszej daty, ale wielka zachodzi w prymitywnym ich stanie odrazu różnica pomiędzy nimi, a mianowicie w wykonaniu. Muzyka plemion prymitywnych jest obrzydliwością dźwiękową, gdy tymczasem poezja nawet Ainosów jest poezją naprawdę! Wynikałoby z tego, że tem łatwiej o zdatność do sztuki, im mniej ona zależna jest od użycia faktów zmysłowych do swych celów, im bardziej ma uproszczone środki techniczne.

Ale i to jest jednostronne, i okazuje się mylnem przy wielostronniejszym ujęciu przedmiotu. Obserwując stany cywilizacyjne wyższe, t. j. bardziej skomplikowane, widzimy, że stosunek ten odwraca się na wręcz przeciwny. Ainosom łatwiej o poezję niż o muzykę, budownictwo zaś nie istnieje u nich. Pośród ludów jednakże cywilizowanych, lecz w zaraniu rozwoju cywilizacyjnego jeszcze pozostających, wybija się budownictwo na plan pierwszy. Tak było u prahellenów, tak u najstarszych Egipcjan. Rzeźba stała wysoko u starożytnych, malarstwo niżej. Możliwość przytoczyć niemało argumentów na stwierdzenie, że w miarę postępu cywilizacji rozwijają się kolejno sztuki piękne od najbardziej wymiarowych, trzech-wymiarowych, poprzez podające wyobrażenie bryłowości na złudzeniach płaszczyznowych malarstwo — do sztuk bezwymiarowych, i tu znów od muzyki do działającej samemi tylko wyobrażeniami poezji.

Poezja jest tedy prasztuką, sztuk macierzą, lecz sama, bez towarzystwa sztuk innych, zdolna jest tylko do ograniczonego rozwoju. Rozwój artystyczny odbywa się od udawania faktów zmysłowych, od p o p r z e s t a w a n i a

na wyobrażeniach zmysłowych. do operowania zmysłowymi faktami, a więc do wytwarzania innych sztuk pięknych, aż gdy one osiągną pewien stopień rozwoju, dokonuje się dalszy rozwój poezji, na ich tle, z ich pomocą, i w tem stadium kulturalnem staje się poezja koroną sztuk pięknych.

W bezzmysłowości swego materiału (choć oddziaływa na zmysły silnie) podobną jest poezja do matematyki, operującej również tylko wyobrażeniami, a nawet w wielu działach tylko pojęciami. Nie ulega również wątpliwości, że z pojęć abstrakcyjnych dostępne są najniższym szczeblom kultury pojęcia matematyczne, lecz w jak minimalnej ilości (pojęcia liczbowe niewszędzie do 20): matematyka, jako umiejętność, wymaga wysokiego stopnia kultury.

Była już mowa o tem, jak poezja polska artystyczna powstała późno, kiedy inne działy rozwoju umysłowego stały się już wysoko, mianowicie nauka i polityka. Oczywiście posiadaliśmy poezję, skoro ona jest zawsze i wszędzie, ale była to tylko owa prasztyka prymitywna. Nie sądzmy, jakoby to była „poezja ludowa”; nie ma owa prapoezja najmniejszego związku ze sprawą t. zw. poezji ludowej, która stanowi przeżytkowy odbłask przebytych okresów poezji artystycznej, i powstaje przez naśladowanie form artystycznych, schodzących kolejno „pomiędzy strzechy”.

Poezja nasza artystyczna powstała na przełomie XV i XVI wieku, mając za sobą wysoki stan architektury w Polsce, sztukę Wita Stwosza i początki muzyki polskiej. Wielka poezja polska XIX wieku wyrobiła się w okresie stagnacji plastyki polskiej, a więc opierając się na sztukach pięknych z kultur obcych. Dopiero po Chopinie, po Grottigerze i Matejce całe podłoże artystyczne poezji polskiej może być narodowe, swojskie. Nie było zaś w całej historii powszechnej przykładu poezji bardziej narodowej, niż polska pierwszej połowy XIX w., chociaż nie mogły jej towarzyszyć równorzędnie inne

sztuki piękne. Można tedy wznieść się do najwyższego stopnia w kierunku swojskim w jednej dziedzinie, czerpiąc siły z innych dziedzin poza rodzimym horyzontem. Nasi wielcy poeci, najbardziej narodowi ze wszystkich poetów świata całego, czerpali z dorobku artystycznego ogólnoeuropejskiego i stawali się narodowymi przez oparcie się o europejskość. Wiadomo zresztą z historii literatury, jak opierali się o wielkich poetów innych narodów. Nie wykrywamy przeto żadnego nowego faktu, tylko fakt skądinąd znany przedstawiamy we wszechstronniejszym oświeceniu: z dziejów naszej wielkiej poezji snując wniosek, a raczej stwierdzając fakt, że Polak tem głębiej jest polskim, im bardziej europejskim; polska swojskość nie polega zgoła na zaściankowości.

Ponieważ sztuka operuje cechami znamionem przedmiotów, łatwiej chwyta ich podobieństwo i zarys, niż nauka, trzymająca się cech istotnych, dla zmysłów częstokroć ukrytych. Opis artystyczny jest przystępniejszy, niż naukowy; widok fasady przemawia do każdego, rzut poziomy tylko do technika. Z tej samej przyczyny prawdziwy poeta lepiej umie wyrazić myśl, niż uczony. Poecie to łatwiej, i im większy poeta, tem mu łatwiej; wielka zaś poezja ma przywilej popularyzowania myśli, którychby naukowe wywody nigdy nie zdołały uprzyścić równie szerokim masom. Co więcej, poezja wielka działa silniej i głębiej, niż wywody etyczne, choćby najwyraziściej wyłuszczone. Myśl, wyrażona dobrze, poetycznie, i wogóle artystycznie, staje się wlot własnością ogółu i ma zapewnione panowanie nad umysłami. Chwila bowiem wystarczy, by przejąć czytelnika nawskróś daną myślą i przekonać go najzupełniej. Niema propagandy skuteczniejszej skutkiem tego nad propagandę uprawianą przez dobrych poetów; wielcy zaś poeci są wprost niezwalczonymi propagatorami myśli, jakie przyjęli za swoje.

Tem się tłumaczy, że wielka poezja, a zwłaszcza Mickiewicz, przeprowadził nas skutecznie przez pustynię

okresu porozbiorowego. Mickiewicz uczył nas patrijotyzmu i nauczył skutecznie; obok niego inni wielcy poeci, a każdy polski poeta dopomagał do utwierdzenia tej nauki. W Polsce jest wiele patrijotyzmu, bo sztuka nasza propagowała myśli patrijotyczne. Nie tylko wychowywaliśmy się na Dziadach, Przedświcie, Królu Duchu, lecz niemniej na obrazach Grottgera, Matejki i innych.

Poezja polska zajmowała się zawsze ogromnie sprawami publicznymi. Z cytat poetów możnaby ułożyć wcale szczegółową historję polską. Gdyby nazwać Kochanowskiego tubą literacką króla Stefana, nie popełniłoby się żadnej przesady (trzeba tylko dodać zaraz, że poeta był tem z własnej ochoty, z przekonania). Nie tylko Satyr i Proporzec, aleć sama nawet „Odprawa posłów greckich“ służyły sprawom politycznym. U Szarzyńskiego czytamy „Pieśni o Fridruszu“ (o Fryderyku Herburcie pod Ober-tynem). U Grochowskiego znajdujemy Łzy smutne po zejściu kanclerza i hetmana Zamoyskiego, wiersz gratulacyjny Marynie na ślub ze Samozwańcem; tudzież sporo wierszy osnutych około osoby Zygmunta III i jego rodziny. Kasper Miaskowski pisze sporo na ważne wydarzenia historyczne; między innymi Dialog o zjeździe Jędrzejowskim; staje po stronie królewskiej i układa Apologię na paszkwil przeciw Jego Królewskiej Mości. Andrzej Zbylitowski zostawia po sobie ciekawą historycznie „Drogę do Szwecji“. Piotr Zbylitowski, brat tamtego, bro- ni instytucyj prawa polskiego w swej „Rozmowie szlach- cica z cudzoziemcem“. Szymon Szymonowicz poświęca sprawie Zebrzydowskiego swą „Lufnię Rokoszańską“. Muza Samuela Twardowskiego jest jakby rymowaną kroniką o czasach Władysława IV. Andrzej Morstin był głową stronnictwa francuskiego w Polsce, wychwalał Marię Ludwikę. Wespazjan Kochowski zamieścił pełno politycznych wierszy w swem „Niepróżnującem próżnowaniu“, a potem był bardem Jana III. Jak Kochowski epiewa „Wiedeń wybawiony“, podobnież Wacław Potocki Wojnę Chocimską. Józef Bartłomiej Zimorowicz za-

mieszczą w „Sielankach“ wcale niesielankowe szczegóły z wojen kozackich.

Potem pauza; aż do Krasickiego poezja polska nie snuje kanwy pod swe natchnienie z życia publicznego, ale też pogrążona jest w upadku. U Krasickiego i w wierszach Naruszewicza, także u Trembeckiego dużo rymowanej polityki. Jest ta struna u Dionizego Książczaka, u Karpińskiego, przeważa u Niemcewicza, u Woronicza staje się niemal wyłącznym źródłem natchnienia; u Wężyka przy-ciszona odzywa się dyskretnie (ale jak mocno osadzona w jego lutni, znać choćby ze wspianego wiersza „Smutno mi, Panie“), podobnie u Kajetana Koźmiana; u Brodzińskiego wreszcie mniej już polityki, ale zdarza się.

Wymieniałem takich tylko, którzy „politykowali“ wierszem, a iluż opuściłem; są zaś nadto tacy poeci, którzy nie pisali wprawdzie utworów poetycznych na tematy polityczne, ale zato politykowali tem bardziej prozą; takich zebrałoby się sporo. Naogół poezja polska (z wyjątkiem okresu najgorszego upadku) bratała się wielce z polityką. O romantycznym okresie nie mówię; wszyscy znają jego poezję napamięć i każdy z czytelników sam przypomni sobie z własnej pamięci, jak wielka nasza poezja osnuta jest w olbrzymiej części na tematach ze spraw publicznych.

Trudno nie przyznać słuszności Goethemu, gdy mówi: „politisch Lied, ein garstig Lied“; taką jest niezawodnie reguła, ale poezja polska stanowi widoczny wyjątek! Nigdy „politykowanie“ nie obniżało stopnia artystycznego naszej poezji! Dziwny to fakt, a niezmiernie charakterystyczny dla polskiego Logosu, że którym podążało w tej kategorii umysłowości Ethos, pnąc się na wyżyny Parnasu, z reguły dla siebie niedostępne, i działając tam. Jest to objaw oryginalny; historycy literatury powszechnej ignorują go, a szkoda, bo bliższe zajęcie się tą sprawą wyjaśniłoby niejedną zagadkę z psychologii ludów.

Po Polsce spotyka się ten objaw jeszcze u Włochów, jakkolwiek w stopniu znacznie niższym. Aleć bądź co

być można Boską Komedję nazwać poematem politycznym; są nuty polityczne u Filicaji (choćby cudny sonet: *Italia, tu cui fece la sorte*), i snuje się ta nić politycznych refleksyj aż do Carducciego; w każdym okresie poezji włoskiej coś, najwięcej z łatwo zrozumiałych powodów w czasach Manzonięgo. Zachodzi też pewien związek między podobieństwem tego objawu, a faktem, że Polska czerpała kulturę obficie z Włoch.

Poezja włoska lubi również filozofować; granicznymi tego prądu tak samo Dante i Carducci. I w polskiej napotykamy tę samą cechę. Czyż nie filozofuje sobie stary Ręj, z którego dzieł możnaby ułożyć szlachecką filozofję życia (t. zw. etykę praktyczną) czasów Odrodzenia? Tęgo tonu sporo u następnych poetów, nieraz w wytwornej szacie poetyckiej. Jest to skłonność dydaktyczna, od której daleko jeszcze do filozofji. Poezja nasza rozwinęła się w sam raz w okresie upadku filozofji, po scholastyce podczas humanizmu, kiedy ani we włoskiej reminiscencyj filozoficznych niema! Ale niezależnie zupełnie od wpływów obcych wyczytujemy u Kochowskiego zdania, które możnaby uważać za jakieś zadatki polskiej myśli filozoficznej, jakkolwiek dalekiej jeszcze od wszelkiego systemu. Filozofują potem dorywczo Krasicki, Trembecki i inni; systemizuje swe pojęcia filozoficzne i przedstawia je wierszem w całokształcie Staszic (*Ród Ludzki*). Miejmy na uwadze, że to są już czasy Śniadeckich, kiedy filozofja zakwitnęła także w sposób właściwy, t. j. naukowo, w dziełach ściśle filozoficznych.

Następują czasy „mesjanizmu“. Nazwą tą posługiwał się pierwszy Hoene-Wroński, przypisujący zadanie mesjańskie swej „filozofji absolutnej“, w tem rozumieniu, że odkrycie prawdy bezwzględnej i zapanowanie jej nad ludzkością doprowadzi do panowania dobra bezwzględnego. „Jest więc mesjanizm Wrońskiego doktryną filozoficzną ściśle rozumową i nie ma z mistycyzmem nic wspólnego“, a z Polską związek zaledwie pośredni, o tyle, że sprawa polska miałaby być sprawiedliwie załatwioną,

gdy nastanie ów triumf Prawdy. Mesjanizm Wrońskiego jest ogólnym, a nie specyficznym polskim; jest natomiast specyficznym w tem, że odnosi się tylko do samej doktryny Wrońskiego czyli poprostu, że sam Wroński ma być filozoficznym mesjaszem świata, boć taka musi być jego poglądów konsekwencja. Mickiewicz nie dbał o to, nie liczył się całkiem z tem; można nawet wątpić, czy zdawał sobie sprawę z tego, że zaczerpnął wyrazu przez Wrońskiego już użytego; zaczerpnął go na pewno nie od Wrońskiego. Kiedy Wroński wyrzucał Mickiewiczowi, że wziął od niego nazwę, używając jej na oznaczenie czegoś całkiem innego, przeinaczywszy jego myśl, odparł Adam, że mesjanizm Wrońskiego jest fałszywy. Bo też Mickiewiczowski mesjanizm polega na uważaniu Polski za mesjaniczną przodownicę świata, mającą spełnić wobec świata posłannictwo wyzwalające; jest też ten polski mesjanizm związany z pierwiastkami mistycznymi, jako Polska ponosi ofiarę wyzwalającą za wszystkie narody.

„Preludja do takiego poglądu na rolę Polski spotyka się już u Czartoryskiego, u X. Morełowskiego, u Woronicy, u Bychowca, tłumacza historjograficznych rozpraw Kanta, wreszcie także u Gołuchowskiego, który tragiczności losów i cierpieniom przypisuje tak doniosłe wyzwalające znaczenie“. Najwybitniejszym atoli przedstawicielem mesjanizmu w filozofii polskiej był August Cieszkowski, który nie tylko określił go najściślej, ale też wsuwał w ramy rozwojowe historjozofji. Ale czyż mesjanizm byłby się tak przyjął, gdyby go reprezentowali tylko Gołuchowski i Cieszkowski? Mickiewicz wyraził go poetycznie, i zrozumiał go wlot cały naród! Mesjanizm stał się konfesją filozoficzno-patrjotyczną wielkiej poezji, i dzięki temu wszedł do kultury narodowej, jako zasadnicza jej cecha przez czas dłuższy.

Myśl filozoficzną czerpało społeczeństwo polskie nie od filozofów, lecz od poetów, od największych, którym przyznano stanowisko wieszczów. Żaden a żaden naród nie zna takiego powołania, takiego rodzaju talentu arty-

stycznego, związanego z pewnym rodzajem kapłaństwa; cudzoziemcowi niełatwo nawet wytłumaczyć, co znaczy wyraz „wieszcz“. To stanowi niezmierną oryginalność polską. Poezja polska ma obowiązki obywatelskie, na które patrzy sub specie aeternitatis, podnosząc przez to wysoko etykę życia publicznego. Tego kapłaństwa narodowego było niemało także w malarstwie polskim. Matejko był niem przejęty, Malczewski mówił o niem publicznie jeszcze niedawno, zagajając rok szkolny za swego rektoratu w krakowskiej Akademji; można również wykazać pewne ślady pojęć mesjanicznych w historii muzyki polskiej.

Artyzm polski nie ogranicza się do samego kultu Piękna, lecz łączy go z kultem Prawdy i Dobra. I nie jest to bynajmniej nowością z okresu romantyzmu. Oto, co powiada Łukasz Górnicki, bibliotekarz Zygmunta Augusta, książkę polskiej prozy czasów zygmunto-wskich:

„Z Boga piękność się rodzi, a jest nieoddzielona od dobroci, jako gorącość od ognia“.

Tak samo sądził o tem Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, tak samo myśli dotychczas każdy Polak, bo to należy do fundamentów polskiej kultury. Do jakiego zaś stopnia wielki artyzm potrafi wykrzesać poezję z tematu najbardziej „aktualnego“, dowodem Niedokończony Poemat i Nieboska Krasińskiego. Temat polityczny opracowany sub specie aeternitatis, ujęty filozoficznie, wprost metafizycznie, nie w imię Piękna, lecz w imię Prawdy i Dobra odziany w Piękno. Polskie Piękno jest służką Prawdy i Dobra, jest środkiem do celu.

Możnaby zarzucić polskiemu Pięknu brak samodzielności wobec takich związków, takiej tendencyjności z pozna artyzmu. Stary spór o dydaktyczny pierwiastek w sztuce a „sztukę dla sztuki“, nigdzie nie jest tak wielce na swoim miejscu, klasycznym doprawdy miejscu, jak w Polsce. Nigdzie niema tak mało owej „czystej“ sztuki — a jednak... sztuka nasza nie powstydzi się przy żadnej innej, a poezja bodaj czy nie jest pierwszą i najwyższą całą świata!

Znów zagadka! Patrząc na rzecz jednostronnie, tylko z punktu wyłącznie artystycznego, możnaby zarzucić społeczeństwu polskiemu wobec przewagi tendencji w sztuce, brak zrozumienia dla sztuki, a wysoki jej poziom wyjaśniać szczęśliwym trafem, że jednak miało się Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Chopina, Grotgera, Matejkę i t. d. Możliwość dojść do wniosku o społeczeństwie „niezasłużonym, ale szczęśliwym“. I nie brakło pośród samychże artystów polskich takich, którzy rozumując w powyższy sposób, jęli się uczyć rodaków, co to jest sztuka i jak ją uprawiać należy w „czystości“, bez względu na „cokolwiek“. Wywody ich były zupełnie logiczne, ale... niepotrzebne, gdyż cała walka „tendencji“ z „czystością“ polegała na nieporozumieniu, wynikiem stał się, iż przestano na zbyt szczupłym obszarze wnioskowania.

Sztuka należy do życia jeszcze bardziej od nauki, boć tylko z życia się łądzi. Sztuka abstrakcyjna — skazana jest z góry na bezpłodność, bo sztuka potrzebuje podnieci uchwytnych, podlegających zmysłom; metodą jej bowiem przemawianie do umysłu przez pośrednictwo zmysłów. Wszelkie rozumowanie o jednym z objawów życia w oderwaniu od wszelkich innych stron życia ma wartość tylko o tyle, o ile chodzi o jakiś szczegół, o to, co w nauce zowie się „przyczynkiem“; w tego rodzaju dociekaniach ucieka się każda nauka często do metody odrywania się umyślnego od całości, ale też rezultat takiego postępowania podlega rewizji przez uwzględnienie następnie całości, a gdy tej próby nie wytrzyma, zostaje odrzucony.

Opracowywanie szczegółu w bezwzględnym oderwaniu od całości stanowi bowiem tylko pewien środek pomocniczy, jako ułatwienie dla pracy umysłowej, uproszczenie pracy na pewien czas, do pewnego ściśle określonego celu, lecz nie stanowi zasady w metodzie. Uczony, któryby trzymał się zawsze tego środka pomocniczego, może zajmować pomocnicze w nauce stanowisko, ale musi się trzymać zdaleka od zagadnień zasadniczych, a na-

wet od wszelkich rozleglejszych problemów. Niestety, metoda niemiecka, apoteozując uczone zasklepienie się, doszła do tego, iż nie uznaje się za naukę tego, czego się nie ogarnia i nie rozumie. Z każdego kawałeczka nauki oddzielne generalizowanie, — a gdy to prowadzi do absurdu, więc... zarzucić generalizowanie wogóle. (Nie brak i takich uczonych). Brak talentu ratuje się wołaniem, że nie wolno robić tego, do czego potrzebny talent. Na takie kurczenie metody naukowej nie można przystać.

Sztuka ma swoje metody odrębne, boć samo myślenie artystyczne innem jest od naukowego; to polega na logice, na dedukcji lub indukcji, tamto na asocjacji. Ale badanie sztuki nie jest sztuką, lecz nauką; artyści deliberujący o sztuce muszą się poddać naukowej metodzie. Nie mają tedy słuszności, abstrahując przy roztrząsaniach zagadnień artystycznych od wszelkich innych stron życia; przeciwnie, czynią źle, wyświadczają społeczeństwu przysługę jak najgorszą, prowadzą myśl społeczną na manowce. Jeżeli chcą rozprawiać o stosunku sztuki do społeczeństwa, muszą mieć na uwadze całokształt życia.

Mogłaby nauka żyć sama sobie, lecz sztuka żadną miarą, bo zginęłaby na posuchę tematu; obmalowywanie zaś formuł matematycznych nie wyda Rafaela ni Matejki. Słusznem jest tylko to, że technika artystyczna nie liczy się z niczem innem, jak z mniejszą lub większą skutecznością wywołania wrażenia artystycznego, a kto nie oparuje techniki, może być tylko... kandydatem na artystę. A zatem dzieło sztukę tendencyjne, choćby o tendencji najgórniejszej, pozbawionem jest wszelkiej wartości, jeżeli jest źle wykonane. Sławna z czasów młodszych Witkiewicza „Kaśka, skrobiąca rzepe“, wykonana dobrze, więcej warta w sztuce od źle wykonanego „Grunwaldu“, ale nie od „Grunwaldu“ wogóle. Sam Witkiewicz uznał to zresztą potem najzupełniej. Walka cała była niepotrzebna, bo czyż kto twierdził kiedykolwiek, że wszelki obraz, przedstawiający Trójcę Przenajświętszą, jest przez to samo szczytem malarstwa?

Walka przeszła następnie w dziedzinę poezji, a chorążował jej Przybyszewski. Tu znów nieporozumienie. „Naga dusza“ okazała się sama nawskróś tendencyjną, a do tego nietolerancyjną sekciarką, zawziętą na wszystko, co w „kostjumie“. Koniec końców okazało się, że „nadzy“ (czy „młodzi“) niosą nowe środki techniczne poezji, ale też nic więcej. Te nowe środki przyjęło się do wiadomości, a dobroć ich lub niedobroć zależną będzie po wszystkie czasy niewolniczo od dwóch rzeczy: od tematu i od talentu. I tak było zawsze i będzie zawsze! Ponieważ w miarę dalszego różniczkowania się życia nowoczesnego i formalnego upraszczania go (czyli uduchowiania) przybywa tematów, musi tedy przybywać i form artystycznych. W tem sekret całego perijodycznego zawichrzania świata walkami rzekomo o pojmowanie sztuki, w istocie rzeczy zaś o przyznanie prawa obywatelstwa jakiej nowej formie. Ciekawe nieporozumienie tkwi w tem, że wojownicy nowej formy, której genezą dojrzewanie nowych tematów, sami nie zwykli sobie zdawać sprawy z tego, i lubią występować przeciwko... tematom, jako takim, zarzekając się kultu tematów. Mimowolna, z nieświadomości wynikająca niekonsekwencja przejawia się w tem, że oni właśnie zwykli pielęgnować pewne tylko tematy, i są właśnie przedstawicielami przesadnego jednostronnego kultu tematów. Walczy się o co innego, a wywalcza się co innego.

Nie można też wyjaśniać obecności w polskim społeczeństwie genialnych artystów jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności, skoro każdy z nich ma w Polsce swych „poprzedników“, a dzieło każdego z wieszczów, dzieło Chopina również lub Matejki wsiąknęło literalnie w ducha narodu; widocznie jest z narodem jednogatunkowe. Nie stoją oni wyodrębnieni, lecz stanowią kwiat polskiego drzewa życia. A że polski pogląd na życie łączy prywatne ściśle z publicznem, cóż dziwnego, że znalazło to wyraz w sztuce i stąd jej „tendencyjność“ rzekoma; a właściwie jej obywatelskość.

Istnienie w sztuce tej strony obywatelskiej nie ma nic do stopnia artyzmu; sztuka taka może być również dobrą lub lichą jak każda inna. Ale stanowczo polega to na grubem nieporozumieniu, żeby mniemać, że stopień artyzmu może być zawisłym od rodzaju artyzmu, i żeby przeto w imię wyższego poziomu sztuki prowadzić wojnę o hegemonję pewnego wycinka danej sztuki.

Zrozumienie Piękna przejawia się w zrozumieniu jego form, t. j. we wrażliwości na nie, bez względu na „tendencję“ czy „fabułę“; estetyczne wykształcenie należy przeto do wykształcenia formalnego, t. j. do ogólnego podłoża intelektu. Wobec tego kryterjum rozumienie sztuki w pewnym społeczeństwie zależy wyłącznie od poglądów na jej stronę formalną. Z obywatelskości w sztuce nie można snuć wniosków żadnych, dodatnich ni ujemnych, ani o rozumieniu jej, ani też o jej zawisłości czy niezawisłości.

Natomiast zachodzi tu coś innego. Jeżeli gdzieś sztuka zamyka się wyłącznie w życiu prywatnym, t. j. jeżeli czerpie natchnienie tylko ze źródła spraw i stosunków nieobywatelskich, może być zbiorem arcydzieł niedoścignionym, może się wspiąć na najwyższe szczyble artyzmu. — ale czy sztuka taka właśnie nie dowodzi samem unikaniem tematów z życia publicznego, że stoi poza społeczeństwem? — albo też społeczeństwu temu brak obywatelskości w stopniu dostatecznym, żeby przeniknęła do sztuki. Jedno z dwojga zachodzi na pewno. Społeczeństwo, posiadające taką sztukę, cierpi albo na brak wykształcenia obywatelskiego, albo też związek jego ze sztuką jest nader luźny.

Zamykając koło tych wywodów, widzimy, co za nieporozumienie powodowało tymi, którzy rozpaczali nad brakiem zrozumienia dla sztuki w naszym społeczeństwie. Jeżeli niema na to innych wskazówek, sprawa upada.

Nie brak natomiast wskazówek o wielce rozwiniętym rozumieniu sztuki, o dziwnie wielkiej czułości na

wrażenia artystyczne. Przypomnijmy choćby tylko stwierdzoną powyżej hipertrofię wykształcenia literackiego.

Łączy się tedy w Polsce zdolność artystyczna z całokształtem życia publicznego (z prywatnem musi się łączyć wszędzie a wszędzie), a zwłaszcza łączy się z objawami z zakresu nauki i polityki, jak to wykazuje spowicie myśli filozoficznej polskiej w szaty artystyczne, tudzież pielegnowanie „sprawy polskiej” w dziedzinie sztuki. Związek ten dowodem, że twórczość polska posiada równoczesność wielostronności, której pierwsze ślady tu napotykamy.

Nie tykając bliżej tego problemu (który nie jest oczywiście specyficznością polską, a tylko mieści w sobie pewne, specjalnie polskie objawy), zwróćmy uwagę na inne źródło obywatelskości zadomowionej w sztuce polskiej bardziej, niż w jakiegokolwiek innej. Wykładnikiem tego objawu patriotyzm, ten zaś stanowi kryterjum poczucia narodowego. Otóż pozostaje sprawa ta w związku z faktem historycznym, że poczucie narodowe objawiło się w Polsce nadzwyczaj wczesnie, bo już za Władysława Niezłomnego (Łokietka) było silnem i rozwiniętem na tyle, ażeby zwyciężyć i wytworzyć w Europie nowość: państwo narodowe w przeciwieństwie do dynastycznego.

Odkładając bliższe rozpatrzenie tych stron przedmiotu do dalszych rozdziałów, zakończmy niniejszy rejestr tych faktów z dziejów polskiego piśmiennictwa nadobnego, które posiadają znaczenie ogólniejsze w kwestji twórczości polskiej, przekraczając znacznie miarę wyższego stopnia kultury artystycznej, jako takiej, biernej, a stanowiąc dowody samodzielnej twórczości, niezależnej od wpływów zewnętrznych. Poprzestaniemy na suchym rejestrze polskiej oryginalności poetyckiej.

Zaczyna się ten rejestr od „Psałterza Dawidowego” Jana Kochanowskiego, do którego nie było z czego czerpać pomocniczych wzorów, a który stoi do dnia dzi-

siejszego najwyżej ze wszystkich europejskich przekładów i parafraz psalmów. Wespazjan Kochowski wprowadza do poezji polskiej bezpośrednio formy biblijne. W XVII wieku od Władysława IV poczynając, wytwarza się zwolna polski teatr w komedji rybałtowskiej; niestety, nie zdołał się rozwinąć z powodu upadku miast. Rodzima również literatura „sowizraliska“ nie wydała następstw, ale obydwie te przejawy świadczą o zdolnościach oryginalnych, twórczych; o tem, że piśmiennictwo byłoby wydało całe działy (teatr i powieść) bez uciekania się do naśladownictw piśmiennictw obcych. Z ogólnym upadkiem upadły jednak i te zawiązki. Potem Bogusławski i Książnin wprowadzali pierwiastki ludowe do polskiego dramatu muzycznego. Trembecki należał do najdoskonalszych w całej Europie wirtuozów formy, której wirtuozostwo zaczyna się od Morstinów.

W r. 1822 wydarzenie epokowe: wychodzą w Wilnie dwa tomiki poezyj Adama Mickiewicza. Niebawem powstaną Sonety krymskie, pierwsze sonety o treści opisywej i pierwszy poemat nakształt arabskich kassyd („Farys“), aż rozwój twórczy dojdzie do „Pana Tadeusza“. Polska podejmuje na nowo w literaturze powszechnej problem wielkiego eposu — i ciągnie się ta nić aż do „Pana Balcera“ Konopnickiej. Nowością twórczą jest tworzenie poetyczne na kanwie wydarzeń świeżej daty, całkiem współczesnych, w „Dziadach“. Problem dramatu metafizycznego, doświadczany w Anglii i w Niemczech, doznaje w Polsce nadzwyczajnego rozszerzenia, a nigdzie nie poświęca się mu tyle wybitnych piór, jak w Polsce: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid, Garczyński i wielu minorum gentium. Zamiłowanie do tej formy staje się na długo cechą poezji polskiej. Ile nowych myśli zawiera poezja nasza „wieszczca“, długoby wywodzić; faktem jest, że nie pozostała bez wpływu na inne piśmiennictwa, słowiańskie przedewszystkiem, ale i francuskie, tudzież niemieckie. Form nowych nie brak: w Księgach Pielgrzymstwa, w Irydjonie, w Psalmach

Krasińskiego, w „W Szwajcarii“, i t. p. Twórczość tej epoki jest rozległą, wielostronną, śmiałą. Czyż wspiał się kiedy człowiek jaki wyżej niż Mickiewiczowski Konrad w „Improwizacji“? i czy każda z zawartych tam myśli nie jest nawskroś oryginalna, słyszana po raz pierwszy w ludzkim języku? Podobnych faktów z dziedziny wielkiej poezji polskiej — mnóstwo. I trwa to długo; jeszcze o Norwidzie powiedziano słusznie, jako „był on istotnym pomnożycielem ogólnego skarbu myśli ludzkiej“. Norwid układa utwory dramatyczne „bez intrygi i węzła dramatycznego“, pierwszy w Europie „stwarza bohaterów, którzy „nic nie działają“; poprzestaje na tem, co możnaby nazywać akcją wewnętrzną. Jego stosunek do sztuki (wyłożony w „Promethidonie“) jest tego rodzaju, iż „na tem polu znaczenie Norwida jest nie tylko polskie, ale i ogólnoeuropejskie. Wyprzedza on prerafaelitów angielskich, inicjuje na szeroką skalę ideje analogiczne tym, które podjęli Ruskin i Morris. W Polsce był Norwid pierwszym propagatorem t. zw. sztuki stosowanej, która dopiero za dni naszych poczęła przyoblekać się w realne kształty“.„Ten zapomniany romantyk wyprzedził cały symbolizm francuski... Wyrósłszy z gleby polskiego geniuszu, jest nawskroś europejski; idąc po linii własnej, polskiej kultury, dochodzi w wielu punktach tam, gdzie dopiero później znalazła się myśl twórcza zachodniej Europy“.

Teatr Słowackiego jest oryginalnym rodzajem w scenicznej twórczości europejskiej. Dużo oryginalności posiada Fredro. Wyspiański, łączący cechy Słowackiego i Norwida, epigon obydwóch tamtych, jest już przedmiotem studjów krytyków i historyków literatury zagranicą. Powieść polska jest po francuskiej, a często obok niej, najlepsza w Europie; powieść historyczna od Czajkowskiego do Sienkiewicza przebyła; najwspanialszą ewolucję. Orzeszkowa, Prus-Głowacki, Reymont i wielki artysta Weysenhof ostoją się wobec najsurowszej krytyki cudzoziemca; Adolf Dygasiński nie naśladowuje Kiplinga,

a byłby również sławnym na cały świat, gdyby pisał w języku bardziej dostępnym europejskiemu ogółowi. Sieroszewski przyswoił sztuce piśmienniczej całe nowe światy; ani Loti, ani nikt wogóle nie tylko mu nie dorówna artyzmem, ale nie umywają się wszyscy fabuliści tematów „egzotycznych“ do niego co do zrozumienia, psychologicznego ludów niżej rozwiniętych. Wreszcie człowiek, którego możnaby nazwać poetycznym wykładnikiem naszego pokolenia, Jan Kasproicz, jest jedynym w swoim rodzaju na całą współczesną literaturę powszechną.

Pełno w sztuce polskiej wogóle, a w poezji w szczególności, i historyzmu i ludowości. Równoważą się znakomicie. Jeżeli kto zechce układać antologję poetycką jakiej „wielkiej demokracji“, może się śmiało ograniczyć do poezji polskiej, a nie zabraknie mu niczego. I również dobrze możnaby z wypisów polskiej Muzy ułożyć kanon wielkich przykazań tradycji historycznej.

Rozdział VI.

Zdatność naukowa.

Przechodzimy do odmiennej zgoła kategorii umysłowości, w dziedzinę, gdzie praca umysłowa odbywa się według myślenia logicznego, a gdzie celem wykrywania — Prawdy. Wielostronność dróg i środków znajdziemy tu jeszcze większą, niż w zakresie artystycznym; nauk jest bez porównania więcej, niż sztuk pięknych. Co jeszcze znamiennejsze: sztuk pięknych jest dzisiaj nie więcej, niż za czasów Peryklesowych, gdy tymczasem nauk wciąż przybywa. Wyczerpaliśmy bardzo wcześnie drogi, stojące ludzkości otworem w pochodzie ku Pięknu, podczas gdy dróg, wiodących do Prawdy, odkrywamy coraz więcej, końca nie widząc tej mnożności. Przyczyna tkwi w tem, że sztuka działa przez zmysły tylko, nauka zaś działa na umysł bezpośrednio. W miarę różniczkowania się myśli, w miarę powstawania nowych kombinacyj myślowych, mogą, a raczej muszą powstawać nowe działy badań odpowiednich. Nauce wystarcza sam rozwój umysłowy, podczas gdy do powstania nowej sztuki trzebaby wytworzenia się nowego zmysłu. Jeżeli zamknięta jest ilość zmysłów ludzkich, zamknięta też jest ilość sztuk pięknych, dana zgóry, a priori, w stosunku do danych również zgóry zmysłów, których człowiek własną zapobiegliwością pomnożyć nie zdoła.

Ażeby zyskać materiał dalszy do naszych rozważań (materiał, który zbierać można tylko indukcyjną metodą), przetrząśniemy główne momenty z dziejów polskiej nauki, odróżniając to od dziejów nauki w Polsce, boć to

nie to samo. Nie będziemy przemierzali obszarów wszystkich nauk, poprzestając na najbardziej typowych i na głównych, t. j. takich, z których dopiero w nowszych czasach wyłaniały się inne. Niektóre nauki były zresztą omawiane już przy roztrząsaniu kwestji „darów przyrody“, np. geologia, tudzież stosowane, jako to mechanika, inżynierja, nauki rolnicze i t. p.; do tych więc nie będziemy już wracali.

Sama rozległość przedmiotu obok nadzwyczajnej różnorodności zmusza wprowadzić podział na części. Zaczniemy od matematyki i opartych na niej naukach t. zw. ścisłych, następnie przejdziemy do przyrodniczych, poczem osobny ustęp poświęcimy geografji, która choć bardziej przyrodnicza niż humanistyczna, nadaje się atoli doskonale na łącznik pomiędzy naukami przyrodniczymi a humanistycznymi.

Nauka ta, rozumiana i przez ogół inteligencji, i przez władze oświatowe całkiem mylnie, przestała oddawien być czyjąkolwiek „pomocniczą“. Świadczy to ogromnie niezaszczytnie o zacofaniu naukowem władz oświatowych, skoro robią z geografji ciągle jakiegoś kopcieszka, któremu dobrze w kącie gdziekolwiek. Geografja jest nauką samoistną, o nadzwyczajnej rozległości, a jest zarazem najpotrzebniejszą ze wszystkich nauk do t. zw. ogólnego wykształcenia i dostarcza go też najwięcej. Coby to był za przewrót korzystny, gdybyśmy w oświacie polskiej wprowadzili geografję na to miejsce, które zajmuje literatura. Inaczej patrzelibyśmy na świat, i zmienilibyśmy się na naszą korzyść tak dalece, iż niebawem i świat patrzyłby inaczej na nas. Nie waham się powiedzieć, że gdyby jedna tylko nauka miała być uprawiana, najlepiej byłoby umieścić na stanowisku uprzywilejowanem geografję. Dla tych powodów nie łączę geografji z żadną inną nauką, lecz wyznaczam jej miejsce osobne, i mam nadzieję, że będę miał naśladowców.

Po geografji przejdziemy do nauk humanistycznych, poprzestając jednak na czterech najbardziej znamien-

nych: filologii, językoznawstwie, historii i prawie. Szczegóły z rozwoju tej ostatniej nauki w kulturze polskiej znajdują się potem jeszcze w następnym rozdziale o zdadności politycznej. Zamknijemy zaś cykl ten sprawozdaniem z filozofji, poczem zestawimy rezultaty co do nauki, oświaty i dobrobytu.

I. Nauki ścisłe.

Kryterjum zdadności naukowej może być tylko jedno, o ile chodzi o twórczość: dokonywanie odkryć naukowych, przygotowywanie ich lub uzupełnianie. Całkiem coś innego przyswajanie sobie nauk, a zupełnie co innego samodzielna praca około ich rozwoju.

Odkrycia posiadają najrozmaitszą doniosłość naukową, stosownie do tego, jakiego obszaru wiedzy dotyczą. Bywają odkrycia bardzo ciekawe, lecz drobne, których wpływ na poglądy naukowe nieznaczny, bo ledwie zmieni się coś nader szczegółowego, i to nie tykając szczegółów sąsiednich, nie wpływając na nie. Bywają inne, napozór tylko drobne, ale tyzące pewnego szczegółu pod jakimś względem zasadniczym, który zachodzi w całym szeregu innych szczegółowych obiektów czy faktów, i skutkiem tego odkrycie szczegółowe zatacza szersze kręgi i odmienia postać pewnej części nauki. Bywają wreszcie odkrycia, tyzące zasadniczo całego obszaru danej nauki, a nawet kilku pokrewnych. Takim było odkrycie Kopernikowskie.

Niezawsze wielki człowiek służyć może na świadectwo poziomu kulturalnego własnego społeczeństwa; często osobą swoją stanowi tylko dowód rozszerzenia się kultury innej, obcej, której uległszy, dzięki niej sam zdołał rozwinąć się; stanowi więc w takim razie okaz wpływów tamtej kultury, a zarazem może zachodzić objaw słabości kultury społeczeństwa własnego, zbyt niskiego jej stanu, iżby mogła zapewnić wybitnemu talentowi należyty rozwój. Nie można przeto wysnuwać wniosków o wysokim poziomie polskości z tego, że Polska „wydała

Kopernika", bo mógłby być zjawiskiem wyjątkowym, wynikiem ze stosunków kultury umysłowej poza Polską, a wbrew niskiemu jej stanowi w Polsce. Ten, który „wstrzymał słońce a poruszył ziemię” stanowi jednak objaw kulturalny polskości, bo wykształcił się na jeden z najpotężniejszych umysłów ludzkości w polskim środowisku naukowym, stanowiąc nie wyjątkowy jakości wyskok, lecz owoc naturalnego rozwoju polskiej wiedzy; słowem: bo wyrósł z polskiego podłoża naukowego.

Matematyka — astronomii podstawa i rusztowanie — kwitnęła u nas oddawna. Kadłubek już interesuje się sporem „pomiędzy zwolennikami Abaku z jednej, zaś Algorytmu z drugiej strony, t. j. pomiędzy wyznawcami dawnego a nowego (indyjsko-arabskiego) sposobu liczenia”. Posiada też sporo wiadomości astronomicznych; wie, że ziemia jest kulą, a sfera gwiazd stałych obraca się dokoła osi, z czego powstaje zjawisko wschodu i zachodu słońca, księżyca i gwiazd; zna przyczynę zaćmień, zwraca uwagę na komety, na trzęsienia ziemi i t. d. Słowem, Kadłubek przeszczepił do Polski wszystko, co tylko w Paryżu (skąd przywiózł sobie stopień magistra) współczesnym wiadome było matematykom i astrologom-astronomom najbardziej postępowym.

Na przełomie XIII i XIV stulecia nieznanymi bliżej magister Franco de Polonia zbudował „bardzo pomysłowo” narzędzie astronomiczne, które sam nazwał „torquetum”. Wiadomo, że słynny Witelo z Witowa pod Piotrkowem, który kwitnął w 3 ćwierci XIII wieku, znał gruntownie matematykę (czego dowiódł w swej Optyce); wszak to on „wskrzesał klejnoty geometrii starożytnych. Liczby „arabskie” przyjęte były w Polsce już w pierwszej połowie XIV stulecia; równocześnie zaznaczają się ślady rodzimego miernictwa gruntów. Za Kazimierza W., w piątym roku istnienia uniwersytetu, w r. 1368 obserwowano już w Krakowie komety w sposób naukowy, uznając ją ciałem niebieskiem. Dochowały się do dziś naszych szczęś-

liwie polskie prace astronomiczne z roku 1381 i z lat następnych. Na przełomie XIV i XV wieku uprawiano w Krakowie trygonometrię „i to w jej nowoczesnej postaci, a więc z tym ważnym rozdziałem geometrii rachującej bez którego znajomości jakikolwiek postęp w astronomji wydaje się niemożliwym“.

Z początkiem XV w. istniała już w Krakowie stała katedra nauk matematycznych. Zapowiedzi astronomiczne mamy w Krakowie od r. 1406. Słynny Marcin Bylica z Olkusza († około 1495), „autor kilku ciekawych pismek z dziedziny sztuki gwiazdziarskiej, gorliwy i zręczny obserwator narzędziami, dochowanemi dotychczas, niezwyklej na owe czasy dokładności, był żarliwym krzewicielem zdrowszych prądów w naukach matematycznych, m. i. algoryzmu italskiego, trygonometrii i Peurbachowskich „nowych“ teoryk astronomicznych“. Wspólnie z Regiomontanem opracował najstarszy w Europie traktat astronomji sferycznej.

Marcin Król z Przemysła († 1459) był profesorem astronomji w Bolonji, powróciwszy do Krakowa, fundował drugą katedrę matematyki; w pismach swych posunął znacznie myśl astronomiczną, skoro zdobył się na „krytykę, niekiedy dosadną, owoczesnych doktryn astronomji geocentrycznej“. A zatem Kopernik zastał grunt przygotowany.

Jan z Głogowa († 1507) obserwuje zaćmienia, dokonują pomiarów geodezyjnych; Wojciech z Brudzewa († 1495) odznacza się „biegłością w sztuce obserwatorskiej“, a przytem posiada „niepospolity dar wykładu i nauczania“. Jego to uczniem był Mikołaj Kopernik i „w Krakowie doznał pierwszego popędu do wieloletniej pracy nad kompozycją prawdziwego mechanizmu świata“.

Ani też po Koperniku nie zbrakło ruchu naukowego w dziedzinach matematyki i astronomji, na dowód, że ruch ten stanowił część stałą kultury umysłowej polskiej. Bardzo znacznym był udział Polaków w reformie kalen-

darza. Pisma kalendarjograficzne zaczynają się u nas pod koniec XIV wieku, a projekt poprawy kalendarza układa Marcin Król już w r. 1456. Zajmował się tą sprawą Tomasz Strzępiński, późniejszy biskup krakowski. Kolega uniwersytecki Kopernika, Marcin Biem, projektem swym, ogłoszonym w r. 1516, „wyprzedził pomysły twórców tyle późniejszej gregorjańskiej reformy kalendarza, a nawet — możemy to śmiało wyrzec — pod pewnemi względami trafnością proponowanych zmian prześcignął“.

W pierwszej ćwierci XVI w. dokonywano w Polsce obserwacji nie tylko w Krakowie, ale i na prowincji, a obserwatorów, i to dobrych, możemy wskazać po imieniu kilkunastu. W r. 1531 obserwowano kometę, nazwaną później mianem Halleya. W takim środowisku nie zabrakło też apologetów systemu Kopernikowskiego (Stanisław Jakóbiec, Jan Muszyński, Walenty Fontani, Jan Brożek, Stanisław Pudłowski).

Kwitnie nadal matematyka: Brożek pierwszy w Europie zajmuje się z powodzeniem geometryczną kwestją t. zw. wieloboków gwiazdzistych; Pudłowski († 1645) zajmuje się teorią liczb i dostrzeżeniami astronomicznymi.

Pudłowski, będąc proboszczem u św. Mikołaja w Krakowie, „mieszkanie swoje urządza wprost jakby dzisiejszą pracownię fizyczną, a zarazem dostrzegalnie astronomiczną. Ustala troskliwie kierunek południka, tudzież szerokość geograficzną miasta; dwiema naprzemian lunetami obserwuje i rysuje górzysty krajobraz księżyca, plamy słoneczne, fazy Wenery, cztery księżycy Jowisza, mleczną drogę, jako też dziwaczne kształty planety Saturna i t. d.. Wszelako najciekawszym szczegółem naukowej działalności Pudłowskiego, a świadczącym o niezwykłej jego bystrości, był niezawodnie i pozostanie świetny jego pomysł, ażeby przez przyjęcie stosownej, a „niezniszczalnej“ jednostki długości (etalonu), usunąć zamieszanie, pochodzące z używania w różnych czasach i przez różne ludy miar najróżniejszych. Na ta-

ka to „miarę powszechną“ (*mensura universalis*) proponował (1642) uczony krakowski długość wahadła sekundowego, który to pierwowzorzec sama przyroda ocali przed zniszczeniem i zaginięciem“. Wyprzedził więc pomysłem swym o półtora stulecia twórców systemu metrycznego.

W Kaliszu dokonywano obserwacyj od r. 1613 (m. i. plam słonecznych). Jeden z uczestników tych prac, Gajewski, skonstruował koło r. 1640 heliocentryczne planetarium. Znaczny poczet drugorzędnych uczonych XVII wieku stanowi podłoże dla kilku wybitnych umysłów twórczych. Smogulecki wyprzedził naukę europejską co do natury plam słonecznych; Susliga wykrył błędność ery dionizańskiej; Herka przyznał kometom naturę kosmiczną; Dominik Kromer proponował wyznaczanie długości geograficznej z zaćmień księżyców Jowisza; Tytkowski pierwszy stosował matematykę do rozważań czysto logicznych; Adam Kochański (1631—1700) był nader bliskim odkrycia Leibnizo-newtonowskiego; jego odkrycia matematyczne i stosowanie ich do astronomii, fizyki, mechaniki teoretycznej i praktycznej mogą służyć za dowód, że polska kultura matematyczna i astronomiczna polegała na podstawach tak trwałych, iż ostatnia dopiero uległa ogólnemu upadkowi kultury w Polsce. Jak najwarowniejsza twierdza trzymała się do ostatka, ostatnia dopiero uległa zalewowi ciemnoty okresu saskiego.

I ten dział pierwszy się odradza. Kompilatorów nie brakło nigdy — ale nie o takich nam tu chodzi. Jednakże już po r. 1740 następuje zwrot na lepsze, i odrodzenie dokonywa się „w przyspieszonym niemal tempie“. Od r. 1730 działa w Poznaniu, następnie od 1738 w Krakowie ks. Józef Popiołek, który naprzywoził z Włoch instrumentów i książek, i sam czynnym był astronomem. Tuławski i Arakielowicz (1732—1798) występują publicznie z obroną systemu Kopernikowskiego. Wszakże Józef Jabłonowski († 1776) wzniosł Kopernikowi w to-

ruńskim kościele św. Jana „pierwszy wogóle pomnik“, i dzięki jemu wykreślono dzieło Kopernika z rzymskiego Indexu. Pojawiają się koło r. 1760 nowe polskie podręczniki matematyczne, wreszcie obserwatorium w Wilnie (1760) i w Poznaniu (1765). Poważny ustęp w dziejach nauki stanowią obserwacje Merkurego przez słynnego ks. Poczobuta, i obserwacje Łuskiny (1761), obok których można wymienić cały szereg uczonych.

W Krakowie powstało obserwatorium pod Janem Śniadeckim w r. 1787, który następnie przeniósł się do Wilna. Jemu zawdzięczamy dużo ze sławy polskiego imienia, dzięki jego pierwszorzędnym obserwacjom, zwłaszcza planetoid; o genialności jego umysłu świadczą jego Algebra, Geografja fizyczna i matematyczna, Meteorologia, Rachunek prawdopodobieństwa, Trygonometria kulista, które to działy nauk uprawiał skutecznie, często posuwając je ku dalszemu postępowi. Współczesnych uczonych nie brakło, tak, iż Śniadecki występuje na tle gęstego podłoża naukowego. Nielada dziełem była np. triangulacja Litwy i Kurlandji, dokonana przez Sławińskiego.

Zjawia się niebawem genjusz Hoenie-Wrońskiego (1778—1853), który ogarniając wszystkie niemal dziedziny wiedzy, z wielką oryginalnością własnych metod łączył obfitość nowych pomysłów naukowych; odznaczał się twórczą działalnością także w zakresie matematyki i astronomji.

Od drugiej połowy XIX w. dotrzymujemy stale kroku nauce międzynarodowej. Polscy matematycy odznaczają się z reguły obok uprawianej specjalności nadto szerszemi horyzontami. Pośród licznego pocztu uczonych wyróżniało się kilku pierwszorzędnymi zaletami, np. Żmurko, własnymi drogami kroczyć lubiący; Mertens, który odkryciami swemi wzbogacił wszystkie działy matematyki; Baraniecki, autor pierwszej polskiej pracy o wyznacznikach; Dickstein i Sierpiński zasłużeni w t. zw. teorii mnogości, „najmłodszej gałęzi dociekań ma-

tematycznych", prócz innych także działów; — i wielu, wielu pracowników zdolnych, rozwojowi nauki nader przydatnych, ogłaszających z roku na rok sporo cennych przyczynków.

Jeden jeszcze szczegół wielce znamienny, a świadczący, jak dalece matematyka tkwi jakby w krwi polskiej: kiedy wielce zasłużony wydawca „Podręcznika dla Samouków“, organizator samouctwa w Polsce Michalski przystąpił do organizowania kół wyższego stopnia uprawiania nauki samouctwem, najwięcej zebrało się osób do... matematyki i nie brak takich, którzy doszli aż do możliwości roztrząsania wątpliwych problemów naukowych.

Również kwitnie ciągle pośród nas astronomja i związana z nią geodezja. Józef Chodźko († 1881) był szefem triangulacji w Kurlandji, na Kaukazie, w Armenji, wykonał przeszło półtora tysiąca oznaczeń hypsometrycznych na Kaukazie, wykonał pomiar natężenia siły ciężkości na szczycie Wielkiego Araratu i on pierwszy zwrócił uwagę na t. zw. odchylenia pionu. Obok niego wymienić możnaby długi szereg pierwszorzędných polskich geodetów, czynnych po całym świecie. Praktyczna astronomja zawdzięcza wiele Herkulesowi Dembowskiemu, który własnym kosztem utrzymywał znakomite obserwatorium nad włoskiem Lago Maggiore, poświęcone przeważnie mikrometrycznym pomiarom gwiazd podwójnych i wielokrotnych. „W tego rodzaju technice obserwatorskiej stoi on jeszcze po dziś dzień jako mistrz niedościgniony“. Adam Prażmowski, Marjan Kowalski († 1884 w Kazaniu), Jerzy Bogusławski († 1884 w Berlinie), Fr. Karliński († 1906) zasłużyli się dobrze obserwacjami i obliczeniami; nie ustępowali im młodszy od nich Jan Kowalczyk i Daniel Wierzbicki († 1901), nie mówiąc o szeregu dalszych ich towarzyszy. Astrofizykę uprawiał zaszczytnie Eug. Rogowski. Przedwcześnie zmarły Maurycy Rudzki († 1916) zdobył sobie europejskie imię w geofizyce, seismologii, hydrodynamicie kosmicznej. E. J. Wilczyński wy-

stąpił z nowymi metodami w fizyce matematycznej i astrofizyce „w najtrudniejszych nawet przedmiotach badań i poszukiwań”. Tylko niedostaje nam ciągle własnych warsztatów naukowych. Posiadamy uczonych znacznie więcej, niż ich w kraju zająć możemy; tak np. Wilczyński ten był kalkulatorem w Greenwich przy roczniku tamtejszym Nautical Almanach, następnie przeniósł się do Ameryki Północnej, gdzie zajmował kolejno stanowiska profesorskie przy Columbian University w Waszyngtonie, jako associated professor w Berkelay University w Kalifornji, w Carnegie Institution w Waszyngtonie (1904). Pisuje tedy przeważnie po angielsku...

Nowa Polska dostarczy warsztatów! Narazie chodziło nam tu o wykazanie, jak to matematyka i astronomja zadomowione są w Polsce, jak to Kopernik miał w Polsce z czego wyrósć, i jak dużo po nim zostało, i jak następnemu pokoleniu będzie co przekazać.

Oparta o nauki matematyczne fizyka zaczęła być nauką samodzielną dopiero w XVII wieku. Nie spóźniła się tedy Polska, skoro można dzieje fizyki u nas zacząć od owego proboszcza przy kościele św. Mikołaja w Krakowie, ks. Stanisława Pudłowskiego, o którym była powyżej mowa, jako o astronomie. W r. 1634 urządził na swem probostwie pracownię fizyczną, której wartość ocenić można według tego, do czego mogła posłużyć. Nasz pierwszy fizyk „powtarza doświadczenia Galileusza nad spadaniem ciał, czy to wolnem (z wieży kościoła), czy też po płaszczyznach pochyłych, albo krzywych najrozmaitszych, wyznacza ciężary gatunkowe rozlicznych ciał, studjuje ciepłotę wrzenia kilku cieczy; pierwszy wpada na pomysł wyznaczenia i rzeczywiście wyznacza „post mulat experimenta“ długość wahadła sekundowego dla Krakowa (1634—5)“. Początek świetny! Niebawem, w r. 1647, eksperymentowano w Krakowie i w Warszawie z rurką Torricelliego. Jezuita Stanisław Solwski († 1701) „uprawiał bardzo gorliwie fizykę,

a zwłaszcza mechanikę stosowaną, w której wykazuje wielką pomysłowość, chociażbyśmy nawet do zbudowanej przezeń, a przez Gaspara Schotta tak górno wysławianej maszyny, zwanej perpetuum mobile, ze sceptycyzmem odnosić się mieli“. Inny jezuita, znakomity Adam Kochański zajmował się również fizyką, mechaniką teoretyczną i praktyczną. „Przy kolegum jezuitów w Poznaniu, dzięki znacznemu zasiłkowi pieniężnemu królowej Marii Leszczyńskiej, powstaje około r. 1765 okazały gabinet fizyczny“. Pierwszą fizykę po polsku wydał ks. Józef Rogaliński w czterech tomach w Poznaniu w r. 1765.

Następuje zastój, aż dopiero w drugiej ćwierci XIX wieku fizycy-poczynają się znów pojawiać na polskim horyzoncie. W r. 1833 pojawia się rozprawa Łączyńskiego o zboczeniu magnetycznym i traktat o aeronautyce — i odtąd ruch naukowy w dziedzinie fizyki już nie ustaje, wzrasta się nieustannie ilościowo, a jakościowo rozwija się w sposób budzący doprawdy podziw. Andrzej Radwański, Cyprjan Tołwiński, A. Norejko, J. Karpiński, Wojciech Urbański, Feliks Strzelecki wreszcie, rozpoczynający szereg badaczy całkiem samodzielnych, wytworzyli polski „świat naukowy“ w zakresie fizyki. Ułatwione już mają działanie Ludwik Kuczyński i Gustaw Piotrowski, aż wreszcie Edward Wł. Skiba zaczyna w r. 1869 ogłaszać swe „wielce oryginalne prace z dziedziny optyki, akustyki, elektryczności i fizyki molekularnej“. Obok niego stają R. Błażejowski, Oskar Fabian, Józef Boguski, Eug. Dziewulski, Henryk Merczyng. Najzdolniejszy z tej plejady Wł. Gosiewski wzbogaca naukę polską „całym szeregiem głęboko pomyślnych prac z zakresu fizyki molekularnej, kinematyki, hydrostatyki, z teorii sprężystości... Jego Wykład mechaniki cząsteczkowej (Paryż 1873) pozostał dotychczas, niestety, nieukończony“.

„Ostatnie 20-lecie ubiegłego wieku aż po dobę obecną tworzy niejako apogeum twórczości polskiej w zakresie fizyki tak doświadczalnej jak i teoretycznej“. Wy-

stępują Fr. Dobrzyński, Kaz. Olearski, Fr. Tomaszewski. Przerósł ich wszystkich Zygmunt Wróblewski (1845—1888), który po licznych pracach około dyfuzji gazów przez ciała pochłaniające, skroplił w r. 1884 wspólnie z Karolem Olszewskim tlen, następnie azot, tlenek węgla i powietrze, tudzież zbadał kwestję skroplenia wodoru. August Witkowski (1854—1913) pracował z wielką dla siebie i nauki polskiej chwałą w rozmaitych działach fizyki. „Dwie jego prace: O rozszerzalności i ściśliwości powietrza (1891), tudzież o własnościach termodynamicznych powietrza (1895) są obecnie ostatnim wyrazem nauki w tych kwestjach bardzo aktualnych. Wreszcie obszerne, trzytomowe jego dzieło p. t. Wykład Fizyki (świeżo już w trzecim wydaniu) dorównywa najlepszym, jakie dziś posiadamy, zagranicznym dziełom, zawierającym uniwersytecki wykład fizyki doświadczałnej“. Trzecim w tej trójcy jest Karol Olszewski (1846—1915), z którego „kriogenicznej pracowni wyszło (1885—1911) przeszło 40 prac, zajmujących się skraplaniem i zestalaniem przeróżnych gazów, oznaczaniem ich gęstości, ciśnień i temperatur krytycznych, punktów wrzenia, badaniem ich widm absorbcyjnych i t. p., znaczna ich część skierowana do najbardziej opornych gazów, takich jak wodór i helium. Te piękne i ważne prace, któremi Olszewski, Wróblewski i Witkowski wzbogacili fizykę, roznieśli imiona ich i naukę polską — można to rzec bez przesady — nie tylko po Europie, ale także i w Ameryce“.

Młodszy od tamtych Wł. Natanson i Marjan Smoluchowski (1872—1917) znani są doskonale w nauce zagranicznej jako powagi w zakresie fizyki teoretycznej. Zwłaszcza Smoluchowski sięgnął do głębi przedmiotu, a nauce polskiej zapewnił szacunek wśród świata. Zasługi Marji ze Skłodowskich Curie około odkrycia radu i naukowego opracowania promieniotwórczości są powszechnie wiadome; sprawa to nowa, wielce spopularyzowana, „aktualna“.

Obok znakomitości o sławie europejskiej liczny jest chór polskich fizyków, z pośród których niejeden dobija się sławy większej pod najlepszymi horoskopami pilności i talentu. Odznaczyli się w tym chórze Józef Kowalski, Ignacy Zakrzewski, Konstanty Zakrzewski, Tadeusz Godlewski, St. Loria i in.

Stwierdźmyż, że w Polsce istniało podłoże nauk ścisłych (a nie tylko wyjątkowi uczeni) od Kadłubka czasów bez przerwy aż pod koniec XVII wieku. Humanizm nie tylko nie osłabiał tego ruchu naukowego, lecz owszem, w okresie humanistycznym stały nauki ścisłe w Polsce właśnie najwyżej. Upadek ich nastąpił potem w czasach ogólnego upadku umysłowości i całej polskiej kultury — najpóźniej. Odrodzenie nastąpiło najwcześniej. Działalność ks. Popiołka jest starszą, niż ks. Konarskiego; a gdy Konarski dokonał reformy szkolnictwa, oparł ją głównie nie na czem innem jak na wprowadzeniu do szkół nauk ścisłych. W wieku XIX zabłysnęły one u nas nowem wielkiem światłem, i znów wyraźnie występują zwartą ławą. Stopień zdatności oznaczać... byłoby śmiesznem wobec imion tylu, grupujących się około Kopernika; skoro tylko można wykazać, że nie był on w Polsce izolowanem zjawiskiem, można też posłużyć się jego imieniem, jako świadectwem zdatności twórczej w naukach ścisłych.

2. Nauki przyrodnicze.

Od nauk ścisłych oddzielamy te z poświęconych badaniu przyrody, które nie polegają zasadniczo na matematyce, a tem bardziej na obserwacji, na eksperymencie. Mechanika teoretyczna jest niewątpliwie „ścisłą“, a fizyka doświadczalna mogłaby być zaliczoną do „przyrodniczych“. Wiadomo, że nie wymyślono jeszcze podziału, przeciwko któremu nie możnaby podnosić wątpliwości; bo też to rzecz utylitarna. Nauka z nauką musi zachowywać związek, a im większy rozwój umiejętności, tem trudniej o wyraźne granice pomiędzy niemi.

Ograniczymy się w naszym przeglądzie do trzech nauk: chemji, biologji (zoologji i botaniki), tudzież do medycyny jako do najwybitniejszych przedstawicieli nauk przyrodniczych.

Chemja zaczyna się w Polsce jak wszędzie od alchemji. Słynęli polscy alchemicy, Kowski w XV w. i Sędziwój w XVII. Drugi kierunek, jatrochemja, t. j. chemja do celów leczniczych, którego przedstawicielem Paracelsus, posiadał u nas również licznych zwolenników, z lekarzem Albertem Łaskim na czele (XVI w.). Pierwszym chemikiem w nowoczesnym znaczeniu wyrazu był ks. Józef Osiński, który nie tylko napisał kilka rozpraw, ale założył przy warszawskim kolegium pijarskim pierwszą w Polsce pracownię chemiczną. Działo się to w latach 1777—1802, a zatem nie daliśmy się w chemji wyprzedzić Niemcom. Pierwszym profesorem chemji był od r. 1782 Jan Jaśkiewicz w Krakowie; w Wilnie od r. 1784 Józef Sartorius, wykładający jeszcze po łacinie, poczem Jędrzej Śniadecki rozpoczął wykłady po polsku od r. 1797.

Wybitny ten teoretyk chemji, choć był zwolennikiem matematycznego ujmowania zagadnień, pracował także doświadczalnie. Zajmował się powinowactwem chemicznym, składem chemicznym kwasów, istotą ciepła i światła; wogóle „szczególne znaczenie przywiązywał do tych właśnie zagadnień, które we współczesnej nam chemji teoretycznej są dominującym przedmiotem najważniejszych studjów“. W r. 1808 odkrył nowy metal, który nazwał „westem“, a który identyczny jest z „rutenem“, odkrytym na nowo w 40 lat po Śniadeckim. Jego „Początki chemji“ w dwóch tomach dla użytku słuchaczy ułożone, są „klasyczne w duchu nawskróś nowoczesnym“. O jego „Teorii jestestw organicznych“ wypadnie mówić na innym miejscu.

Śniadeckiego szkoła była liczną, a dobrą, lecz natrafiła na fatalne okoliczności po roku 1831. Dopiero na emigracji. zjawia się pierwszy wybitny specjalista do

chemii organicznej, Filip Walter (1810—1847). Odkrył on 21 połączeń organicznych, a z ropy naftowej wydzielił już 1840 roku węglowodory.

„W Polsce w środku wieku XIX panował smutny stan nauk doświadczalnych, graniczący niemal z zupełnym zastojem umysłowym, podczas gdy w cywilizowanych krajach ościennych Zachodu odbywał się wtedy bardzo żywy rozwój tych nauk. U nas w Polsce dopiero w r. 1862 w Szkole Głównej warszawskiej wznowione zostały studia uniwersyteckie w języku ojczystym. Wybija się natenczas Jakób Natanson (1832—1884), zasłużony badaniami nad mocznikiem, nad oznaczaniem gęstości pary i t. d.; on pierwszy zwrócił uwagę na powstawanie z analizy barwnika purpurowego. Szkoła Główna rozpowszechniła skutecznie popęd do wiedzy, ale chemicy polscy musieli szukać sobie miejsca zagranicą.

Dopiero gdy w Galicji przywrócono język polski uniwersytetom, wszczął polskie wykłady na nowo Bronisław Radziszewski (1830—1914). Stwarza pierwszą co do czasu w Polsce pracownię chemiczną w dzisiejszem tego słowa znaczeniu, to znaczy pracownię, która staje się zarazem szkołą i warsztatem u nas w kraju do samodzielnych badań naukowych”. Od niego wyszły pierwsze fundamenty stereochemii. Uczniów wydał „całe zastępy”.

Kraków wślawili Zygmunt Wróblewski i Karol Olszewski, którzy skroplili i zestalili własnymi przyrządami szereg gazów w najtrudniejszych warunkach nieprawdopodobnie ubożuchnej pracowni. Obok nich „zajaśniały na widowni nauki światowej silnym blaskiem“ cztery jeszcze imiona:

Marceli Nencki (1847—1901) wniknął w istotę chemicznych procesów życiowych; odznaczył się studjami nad barwnikami krwi, nad gnilnym rozkładem białka, a wspólnie z J. Zaleskim odkrył przeznaczenie wątroby. „Liczba własnych jego publikacyj dochodzi do 150, a komunikaty bezpośrednich jego uczniów i współpracow-

ników sięgają ogromnej liczby 440. Olbrzymi dorobek naukowy Nenckiego, imponujący rozmiarami i znaczeniem, wydali pod postacią zbioru prac wdzięczni jego uczniowie M. Sieber i J. Zaleski w r. 1904. Są to dwa tomy okazałe, liczące niemal 2.000 stron druku, zatytułowane: Opera omnia. „Trzeba by kilku stronic druku, żeby wyliczyć suchy tylko rejestr jego odkryć w zakresie chemii organicznej. Monachijski profesor M. Hahn pisał po przedwczesnej jego śmierci: „Rzadko kiedy chemia i medycyna w równej mierze miały okazję do oplakiwania straty męża, którego praca całego życia położyła kamienie węgielne i wbiła słupy drogowe w dziedzinie pogranicznej tych dwu wielkich odłamów wiedzy“. Ale dla tego olbrzyma nauki nie było w Polsce niewłasnowolnej stosownego miejsca. W Bernie szwajcarskiem utworzono dlań specjalną katedrę chemii fizjologicznej, a w roku 1891 stworzono dla niego jeszcze „odpowiedniejsze warunki dla rozwoju szeroko zakrojonych pomysłów naukowych“ w Instytucie medycyny doświadczalnej w Petersburgu...

Leon Marchlewski wslawił się odkryciem jednako-
wego pochodzenia chlorofilu i hemoglobiny (zieleń roślinna a krew zwierzęca). Zajęty tem, od r. 1895, otrzymawszy następnie katedrę w Krakowie, ścigał do swej pracowni współpracowników zewsząd, nawet z Ameryki. Stanisław Kostanecki (1860—1910) w Bernie szwajcarskiem rozwijał swoją teorię barwników i przysporzył chemii organicznej około dwu tysięcy nowych związków.

Czwartą w tej czwórce wielkich imion jest Marja ze Skłodowskich Curie, współpracowniczka swego męża przy odkryciu radu, następnie również samodzielna pracownica, zażywająca zasłużonej europejskiej sławy.

Jej imieniem wkraczamy w dziedzinę chemii fizycznej. Od Jędrzeja Śniadeckiego posiadała ona zawsze licznych pracowników Polaków, rzadko jednak mogących znaleźć w Polsce dobre do pracy warunki. Niejedno odkrycie przypada tu polskiej pracy. „Obecnie przeży-

wamy okres odrodzenia atomistyki, które się dokonało na tle z jednej strony badań teoretycznych z zakresu fizyki molekularnej, w czym duży udział przypada naszemu nieodżałowanemu prof. Marjanowi Smoluchowskiemu (1872—1917), a z drugiej strony na tle badań doświadczalnych w dziedzinie radjologii i fizyko-chemji koloïdów“, w czym polskie badania tworzą również część niepoślednią.

Niemają i wcale nielekki jest też dorobek nasz ostatniej doby, przy coraz liczniejszych szeregach pracowników, którym otwierają się wreszcie i jakieś warsztaty naukowe w kraju. Zamiast wymieniania licznych nazwisk, zwrócimy uwagę na coś ze statystyki naukowej. Oto obliczono (J. Zawidzki), że w latach 1901 do 1908 ogłosiło 600 polskich chemików 2070 przyczynków z przeróżnych działów cheinji; na każdy rok przypadało tedy przeciętnie 259 publikacyj. Z tego ogłaszano w języku polskim mniejszą zaledwie połowę, bo tylko 43%. Przyczynków doświadczalnych napisano w owym siedmioletniu około 1700, z czego 35% wykonanych było w pracowniach zachodnio-europejskich, w rosyjskich nieco ponad 15%, a w Galicji i Kongresówce razem w sam raz połowa. Cyfry wymowne.

W zakresie botaniki i zoologii zaczynają się oryginalne badania w Polsce od drugiej połowy XV wieku, a mianowicie od zestawienia przez Jana Stanke flory i fauny krajowej: 523 roślin, a zwierząt 219 — ilość przechodząca, i to niezmiernie, wszelkie inne katalogi średniowieczne. W XVI w. powstał szereg zielników polskich, ale oryginalnym jest wśród nich tylko Zielnik Marcina z Urzędowa z połowy XVI wieku. Drugim oryginalnem dziełem przyrodniczem jest „Myśliwstwo ptasze“ Mateusza Cygańskiego (obejmuje 136 gatunków łownych).

Uniwersytet Jagielloński posiadał jeden z pierwszych katedrę botaniki, z zobowiązaniem profesora do nauczania w polu i ogrodzie (1602). Pierwszym profesorem był

Szymon Syreński, którego Zielnik liczy przeszło półtora tysiąca stron folio. Warszawski ogród botaniczny jest najstarszy na północy Alp (około 1640), a katalog jego ogłoszono w r. 1652. W Wilnie urządzono ogród botaniczny w r. 1781, w Krakowie we dwa lata potem.

„Chwałą Polski XVIII w. jest książka Krzysztofa Kluka“, autor trzecztomowego dzieła „O roślinach“ i czterech tomów „O zwierzętach“, które wydał w ciągu lat pięciu — 3.300 stron druku. „Dyletant nieszczególnie zdolny, ale rozsądny i systematycznie pracowity“, który „czyniąc zadość ogólnym potrzebom czasu, trafiał łatwo stylem trochę gawędziarskim do ludzi nawet mniej wykształconych“. Na zlecenie Komisji Edukacyjnej ułożył też podręcznik szkolny, w którym na wyraźne żądanie Komisji trzymać się musiał systemu naturalnego, a nie Linnégo. Inicjatorem tego był Paweł Czempieński, autor pierwszej po polsku napisanej zoologii. „Świadczy to, jak szerokiego horyzontu był umysł Czempieńskiego, że w czasach, gdy Niemcy uwielbiali Linnégo i uważali go za bożyszcze, on trafnie uznawał rację podwójnego nazywania żywności, ale nie uznawał sztucznego systemu za co innego jak za dogodność w oznaczaniu“. Książka zaś Kluka zabrała się jeszcze do napisania flory polskiej, co też wyszło drukiem w latach 1781—1785 w trzech tomach pod tytułem Dykcjonarza roślinnego, ale z systemem Linnégo. Dzieło to posiada wielkie zalety, a współcześni nie mieli dość słów pochwały.

W kilka lat wyszła Flora Litwy księdza Jundziłła (w Wilnie 1791), gdzie skrytopłciowe opracowane są samodzielnie. Tenże napisał też „Początki Botaniki“. „w których fizjologia zajmuje poczesne miejsce“. Pisał też zoologię. Wybitniejszym był Jan Wolfgang, od 1828 r. profesor w Wilnie, a jego uczeń Stanisław Górski badał dokładniej od wszystkich florę i faunę litewską „na podstawie nowszych zapatrywań na granice gatunku“.

W Warszawie działali botanik Michał Szubert, który miał wielu uczniów, i zoolog Feliks Jarocki; ten uczniów

miał niewiele, ale wśród nich Antoniego Wagę, „który do późnej starości był w Królestwie najwybitniejszym reprezentantem tej nauki“. Nie brakło tam poważnych biologów ani po zamknięciu uniwersytetu, ale największej sławy dorobił się rodak z prowincji, która nigdy nie posiadała uniwersytetu. Wielkopolanin Leszczyc Sumiński zastąpił po roku 1848 odkryciem rodni paproci.

Sporo prac wybitnych, zaczętych jak najlepiej, nie zdołano doprowadzić do szczęśliwego końca. Przez skasowanie liceum krzemienieckiego przepadła np. wielka praca zbiorowa, do której wezwano wszystkich podwładnych uniwersytetowi wileńskiemu nauczycieli przyrody, ażeby pod przewodem profesora krzemienieckiego, Wilibalda Bessera (krakówianina) opracować florę „Krajów Zabrzanych“. Nie zdołał też ogłosić dorobku swego życia Hiacynt Łobaczewski, przygotowujący systematycznie geografję roślinną Polski. Nastąpiły najtrudniejsze dla nauki polskiej czasy. Nie brakło jednak chętnych. We Lwowie działał i zostawił po sobie całą szkołę przyrodników Aleksander Zawadzki. Stanisław Pietruski utrzymywał swoim kosztem i z wielkim nakładem pracy aż do roku 1848 w Podhorodcach w stryjskiem menażerję ssaków, ptaków i gadów. Włodzimierz Dzeduszycki († 1861), zebrawszy ogromne zbiory przyrodnicze, założył we Lwowie i ubezpieczył materialnie „Muzeum Im. Dzeduszyckich“. Najwyżej stanęła w owych czasach ornitologia, reprezentowana przez Kazimierza Wodzickiego i Taczanowskiego.

Tu należy jeszcze wspomnienie „jednego z najznakomitszych synów Polski“. Leon Cienkowski, warszawianin (1822—1887), profesor uniwersytetu w Petersburgu, powołany do Szkoły Głównej, nie zdążył ani objąć wykładów, przeniósł się do Odessy, potem do Charkowa. „Był otoczony taką czcią jako uczonec, jako profesor i jako człowiek, że był honorowym członkiem prawie wszystkich uniwersytetów rosyjskich. Był to badacz pierwszorzędnej miary. Zajmował się niższemi organiz-

mani. Grzyby, glony, monady, wymoczki, noktiluki, bakterje, śluzowce — oto świat jego badań. Można najogólniej powiedzieć, że cały dorobek naukowy Cienkowskiego rozszerzył znakomicie współczesne pojęcie o pierwotniakach. Przez dorobek ten nabrano przekonania, że wszelkie próby przeciągania granicy między roślinami a zwierzętami będą zawsze sztuczne¹. On też przyczynił się waleśnie do wykazania, że „niema różnicy między sarkodą a protoplazmą i że w plazmie rozgrywają się wszystkie zjawiska życia². Niestety, ten największy uczyony polski swego czasu, nie miał dla siebie miejsca w Polsce, uczniów nie mógł pozostawić, nie wytworzył szkoły.

Epokę stanowi krótka działalność warszawskiej Szkoły Głównej, gdzie umiano pielęgnować naukę dla nauki. „Można powiedzieć, że rozwój nowoczesny polskiej nauki datuje się od chwili, skoro jej wychowawcy, albo już ich uczniowie, zajęli się pracą naukową³. Była już mowa przedtem o Godlewskim i jego uczniu, Jentysie. Znane były i zagranicą Edwarda Janczewskiego wielostronne prace, zwłaszcza fundamentalne nad budową korzenia. Ale rozdział cały w historii botaniki — i nie samej tylko botaniki — stanowi Józef Rostafiński. Liczne jego monografie i odkrycia, historia hodowli roślin w Polsce, jego „Historja naturalna wieków średnich⁴, prace nad fizjografią okresu przedhistorycznego w Polsce i oznaczenie z tego pierwotnych siedzib Słowian, wreszcie jego botanika szkolna (pierwsza w Europie na podstawie biologicznej), to tytuły zasługi niemałej i zarobionej dobrze sławy. Zdolność żywa, umysł nadzwyczaj twórczy, podał nauce niemało nowego materiału i nowych pomysłów. W r. 1905 „podał nową teorię powstawania istot żywych, w której dowiódł po raz pierwszy, że wszystkie organizmy są pstre, i wyraził mniemanie, że zapłodnienie wyrównywa te pstroczyny, utrzymując gatunek w granicach pewnych wahań⁵“.

Niemałem imieniem w europejskim świecie naukowym cieszyli się Franciszek Kamiński i Władysław

Rothert, dzięki swym odkryciom biologicznym, anatomicznym i fizjologicznym w zakresie botaniki. Pierwszym z nich był docentem lwowskim, ale profesorami byli obydwaj w Odessie; Rothertowi powiodło się na starsze lata przenieść do Krakowa.

„Marjan Raciborski (1863—1917) był poza Nenckim i Curie-Skłodowską najwybitniejszym polskim przyrodnikiem od połowy zeszłego wieku“. Wsławił się najpierw swemi studjami na Jawie (choroba tytoniu), następnie monografiami z wielu działów, szczegółowem zbadaniem wzrostu „krokowego“ komórki. „Nazwisko jego było dobrze znane wszystkim botanikom, anatomom, fizjologom, morfologom, systematykom i paleontologom“. Zorganizował doskonale zbiorowe prace wstępne do wydania ilustrowanej flory polskiej, rozporządzając istną rzeszą uczniów i współpracowników; powstał w ten sposób szereg wybitnych prac, wytworzył się ożywiony ruch naukowy. On też jest twórcą pierwszego w Polsce instytutu botanicznego przy uniwersytecie Jagiellońskim.

Z uczniów jego najwybitniejszy i na katedrze w Krakowie następca, W. Szafer, ma za sobą liczne prace z dziedziny głównie systematyki i botaniki roślin. Kiedy w r. 1914 znaleziono w Staruni wykopalisko mamuta i nosorożca, i wysnuwano z tego wnioski o zaciągu tundry aż na Podole zachodnie, okazało się dzięki wiedzy Szafera, że zwierzęta owe „żyły w dąbrowie, podobnej do dzisiejszej podolskiej“. Szafer wykazał też zasługi Wincentego Pola jako geografa roślin, że „wyprzedził panujące dziś poglądy o zbiorowiskach roślinnych o pół wieku“.

W drugiej połowie XIX wieku nie było takiego działu botaniki, ani takiego w niej prądu naukowego, iżby przytem nie współdziałali polscy uczeni; w anatomji, fizjologii, w systematyce, fenologii, paleontologii, i t. d. Podobnież do każdego wielkiego problemu zoologicznego dorzuciła nauka polska poważny dorobek własny, a w niektórych działach otwarła nowe drogi lub uporządkowała dawniejsze.

Reimak (pochodzący z Warszawy i pierwotnie piszący po polsku) wykazał, jak się komórki mnożą; w warszawskiej pracowni Hoyera wykazano najpierw zmienność cech komórek, których właściwości badali dalej Hoyer i Kostanecki. Specjalne badania Maziarskiego, Godlewskiego młodszego i Michała Siedleckiego są dobrze zapisane w historii rozwoju nauki; podobnie prace z anatomii mikroskopijnej Hoyera starszego i młodszego, Maziarskiego, Nusbauma, Szymonowicza. Była już wzmianka o odkryciach 'światowej sławy Cienkowskiego co do pierwotniaków; w tymże zakresie odznaczyli się następnie Wrześniewski, Siedlecki, Janicki. Badania nad dziedziczeniem cech i zapłodnieniem posunęli znacznie naprzód polscy uczeni, zwłaszcza K. Kostanecki, Godlewski jun., L. Sitowski. Nie brak nam prac samodzielnych około postępu mechaniki rozwojowej (Godlewski jun., J. Nusbaum, St. Kopeć), ani też w zakresie embriologii i anatomii porównawczej.

Pośród systematyków polskich byli zażywający światowej sławy ornitolog Taczanowski, pajęcznik Wł. Kulczyński, ichtjolog Nowicki, do skorupiaków Garbowski, i wielu innych. Faunistyka polska rozwija się doskonale, w cenie największa zasługa Ant. Wierzejskiego, organizatora tej pracy niestrudzonego. Pracował też poza Polską cały szereg polskich pracowników na niwie zoologii; znać ich dzieła po całej kuli ziemskiej.

Przebiegłszy sumarycznie dziedzinę właściwych nauk przyrodniczych, należy stwierdzić, żeśmy zdatność swą do nich okazywali tak wcześnie, iż wcale nie jesteśmy w tym dziale spóźnionymi w zestawieniu z sąsiadami zachodnimi. Co ważniejsza, nie brak odkryć, świadczących o wybitnym pożytku polskiego współpracownictwa na tej niwie. Nie wznieśliśmy się jednak wysoko przez cały niemal czas Polski niepodległej; dopiero za reformy Stanisławowskiej współpracownictwo nasze staje się wybitniejszym — przedtem można orzec.

jako poprzestawaliśmy na udziale ilościowo i jakościowo miernym, jakkolwiek nigdy nie byliśmy nieobecni aż do czasów upadku kultury w okresie saskim. Nastąpił jednak raz jeszcze upadek niemal zupełny, a to w połowie XIX wieku. Potem byliśmy świadkami szybkiego odrodzenia, wzrostu i rozkwitu, w niejednym dziale nawet triumfu polskiej twórczości w zakresie tych nauk, a jednak dalecy jesteśmy od możliwości, żeby dać nauce tyle, na ile nas stać w miarę zdatności naszej, bo niedostatek warsztatów pracy wiąże nam ręce na każdym kroku.

Dodajmy jeszcze przegląd najtreściwszy dziejów sztuki lekarskiej w Polsce. Nauka to niewątpliwie przyrodnicza, ale kierująca się metodą nieco odmienną, a przytem w lwiej części nauka stosowana; dać jej więc miejsce nie w naukach przyrodniczych, lecz obok nich.

W ruchu naukowym *m e d y c z n y m* brali Polacy udział już w wiekach średnich, jak o tem świadczą polskie rękopisy średniowieczne treści medycznej po różnych księgozbiorach europejskich; w Bibliotece zaś Jagiellońskiej w Krakowie znajduje się 97 takich rękopisów z wieków XIV i XV.

Dominikanin polski, Nicolaus Polonus, doktor medycyny z Montpellier, „zuchwały nowator w terapii lekarskiej“, zaczyna cały korowód uczonych lekarzy w czasach, „w których wykształceni lekarze bywali zarazem jedynymi niemal przedstawicielami nauk matematycznych i przyrodniczych“. Aimericus Polonus, podobno krakowianin, doktoryzuje się z medycyny w początkach XIV wieku w uniwersytecie padewskim.

Wybitną rolę w dziejach nauki odegrał Marcin Bylica z Olkusa, lekarz nadworny Macieja Korwina. Najznakomitszy nasz lekarz z czasów Odrodzenia, Józef Struś, padewski doktor, wykładał tamże przez 10 lat, przekładał Galena z greczyzny na łacinę. Był jakiś czas lekarzem Izabelli Zapolskiej, leczył Solimana II w Carogrodzie, lecz odrzucił propozycję by zostać lekarzem nadwor-

nym sultana, a otrzymawszy podobne wezwanie od Filipa II, nie pojechał nawet do Madrytu, osiadł w Poznaniu, gdzie też dokończył żywota w r. 1568. Zasłużył się nauce dziełem o tężnie.

Żaden już potem z licznego grona polskich lekarzy XVI, ni następnego XVII wieku „nie wywarł wyraźnego wpływu poza granicami swej ojczyzny“. Dopiero na schyłku XVIII wieku „zaczyna się ponownie, przerywany na Strusiu, szereg wielkiej miary uczonych medyków polskich, którzy pracami swemi wzbogacili nie tylko naukę polską, lecz i zagraniczną“. Zaczyna ten nowy szereg Jan Śniadecki, który prowadził w Wilnie klinikę chorób wewnętrznych. Inny profesor wileński Bojanus celował w badaniach anatomji porównawczej (dzieło jego „pświęcone anatomji żółwia uchodzi za klasyczne“); Józef Frank wydaje 14-tomowy podręcznik medycyny wewnętrznej.

Z pośród uczonych krakowskich odznaczył się Ludwik Teichman-Stawiarski, pierwszorzędnny anatom i odkrywca kryształków heminy, — tudzież Józef Dietl, prawdziwy choraży nowej szkoły medycznej. W dziełach jego „jest i płomienny zapał kaznodziej, stojącego w obronie prawdy i święcie wierzącego w jej zwycięstwo; i nader cięte, lecz ściśle logiczne rozumowanie przenikliwego krytyka; i doświadczenie obfite arcyutalentowanego lekarza“. Jego medycyna opiera się całkowicie na naukach przyrodniczych. Znaczenie Dietla w historii medycyny uznawane jest powszechnie; zwłaszcza epokowe ma znaczenie jego dzieło, zadające ostatni cios metodzie puszczania krwi. Pozyskał sobie nadto niespożyte zasługi pracą około zdrojowisk krakowskich.

Warszawa szczyli się Szokalskim, Hoyerem, Chabubińskim. Wiktor Szokalski, znakomity okulista, organizator wielu instytucyj lekarskich, płodny pisarz, pozyskał sławę w Polsce i we Francji. Henryka Hoyera „prace z zakresu histologii stanowią rzetelny dorobek nauko-

wy". Doskonały profesor, wykształcił szereg uczniów, pracowników naukowych; jeden z nich Wacław Mayzel zasłużył się odkryciem t. zw. karjokinezy (dzielenie się jąder w komórkach). „Znacznie mniej znanym zagranicą, aniżeli Hoyer, jest jeden z największych lekarzy polskich Tytus Chałubiński. Uczony to dotychczas niedoceniony, dlatego zapewne, że swoje prace naukowe z dziedziny medycyny wydawał jedynie w języku polskim. Należał do tego typu uczonych, którzy wywierają na naukę wpływ i bardzo daleko sięgający i bardzo długo trwający". Jego „Metoda znajdowania wskazań lekarskich“ stanowi zasadnicze wzbogacenie nauki.

Należy go również uważać za inicjatora kierunku filozoficznego w medycynie polskiej. Przedstawicielami głównymi tego byli Henryk Hoyer, Władysław Biegański i Wiktor Biernacki. Kierunek to nawskróś oryginalny. Organem jego przez lat zgórą 10 było czasopismo „Krytyka Lekarska“, wydawana i redagowana przez Zygmunta Kramsztyka, również jednego z przedstawicieli tego kierunku. Podobnego czasopisma, poświęconego krytyce lekarskiej, historii medycyny i roztrząsaniu zasadniczych zagadnień nauk biologicznych i lekarskich, nie posiada dotąd żadne piśmiennictwo medyczne, prócz polskiego. Kierunek ten medycyny polskiej z końca XIX i początku XX wieku nie jest jeszcze dostatecznie znany zagranicą, aczkolwiek zaczyna tam powoli zyskiwać sobie prawo obywatelstwa. Jedno z dzieł Biernackiego p. t. „Istota i granice wiedzy lekarskiej“ zostało już przełożone na język rosyjski i niemiecki; także jedno dzieło Biegańskiego, gruntownie opracowana „Logika medycyny“, która wyszła w dwóch polskich wydaniach, doczekała się przekładu na język niemiecki“.

Z lekarzy polskich, pracujących stale zagranicą, odznaczył się Adam Raciborski, osiadły w Paryżu, którego dzieło o auskultacji i perkusji (1835) wyszło w dwóch wydaniach francuskich, a nadto przełożone jest na języki: niemiecki, rosyjski, grecki i dwukrotnie na angielski.

ski. Seweryn Gałęzowski, wsławiony okulista paryski, napisał bardzo wiele prac naukowych i wydawał czasopismo specjalne. Wszechświatowej sławy używał Robert Remak, sławny embriolog i badacz drobnowidowej budowy nerwów (jedną z prac histologicznych ogłosił po polsku). Rozwój psychiatrii w Rosji pochodzi od dwóch polskich uczonych, Balińskiego i Mierzejewskiego.

Medycyna kwitnie w Polsce krótko: praktyczna i teoretyczna pogrąża się we śnie od trzeciej ćwierci XVI w. do końca XVIII. Jakby holdowała zasadzie „nie albo wszystko“, dokonywa w obydwóch okresach rozkwitu odkryć pierwszorzędnych, wskazując nawet nowe kierunki nauce, wzbogacając ją nowemi działami.

3. Geografia.

Na pograniczu nauk humanistycznych a przyrodniczych stoi g e o g r a f i a. Źródłem jej pierwszym podróźnictwo, od niego więc zaczniemy. Najslawniejszą podróźą wieków średnich i najdonioślejszą była misja od papieża do Dżingishana w Karakorum, sprawowana przez dwóch Polaków: Jana de Plano-Carpino, który „zwany jest w liście, pisanym do Ludwika Świętego, Jean Carpin Polonois, a żywot jego jest pomieszczony w Elenchus Sanctorum Regni Poloniae“, tudzież towarzysza jego Benedykta, zwanego zawsze i stale „Polonus“. „Ich opis podróży jest pierwszym wielkim dokumentem geograficznym odkrycia stepowych i górskich wnętrzy Azji przez Europejczyków... aż do granic Kitaju-Chin“. — Jan z Kolna w ziemi chełmińskiej, odkrywa w r. 1476 Labrador, kraj Baffina, cieśninę Hudsonską, służąc królowi duńskiemu Krystynowi II. — Odkrycia Kolumba i Vespucciego skreślone są dobrze na t. zw. globusie Jagiellońskim, pochodzącym mniej więcej z roku 1510, przechowywanym w Bibliotece Jagiellońskiej. W r. 1512 wychodzi w Krakowie „Introductio in Ptolomei Cosmographiam“ Jana ze Stobnicy, „jedno z pierwszych dzieł naukowych,

w którym podano rozległe wiadomości o ziemiach nowych“.

Pierwszym naukowym geografem polskim jest jednakże Długosz, którego „Chorographia Regni Poloniae“ jest dokumentem pierwszorzędnej wartości w nauce światowej, największym w nauce polskiej. Dokładniejszego obrazu ziemi, a zwłaszcza hydrografii ziem polskich nie znajdujemy w literaturze polskiej aż do czasów Staszica z początkiem XIX wieku. A potem „Tractatus de duabus Sarmatiis“ Miechowity z r. 1517 „wzbudził polemikę i zaniepokojenie u współczesnych, a podziw u potomnych“, sprawiwszy rewolucję w poglądach geograficznych, gdy wbrew Ptolomeuszowi głosił, że Dniepr, Dźwina, Don i Wołga wypływają nie z Riphaei Montes, lecz z jezior w krainie „płaskiej i moczarowatej“. Dzieło Miechowity miało też 10 wydań łacińskich, 4 włoskie, 1 niemieckie, prócz polskiego przekładu.

Zmysł podróżniczy posiadali Polacy. Można się powołać w dalszym ciągu na czterech Łaskich, z których dwaj dotarli do Ziemi Św., dwaj podróżowali wiele po Zachodzie. Hetman Tarnowski bywał we Włoszech i w Grecji, w Palestynie i w Egipcie, w Portugalji, w Afryce północnej. Strykowski znał kraje moskiewskie, inflanckie, szwedzkie, Turcję i Grecję, robiąc wszędzie notatki. Marcin Broniewski wydał w r. 1595 „Opis Tartarji Perekopskiej“, „pierwszy opis geograficzny tych dziedzin, długo później, a zwłaszcza przez sławnego angielskiego podróżnika Clarke'go z respektem cytowany“. Z wieku XVII i XVIII posiadamy szereg opisów podróży po Azji i Afryce północnej. Słynie Krzysztof Arciszewski, zdobywca Brazylii w służbie holenderskiej (†1656). Krzysztof Pawłowski wojował w Mozambiku i w Indjach; w portugalskiej służbie. Marek Jakimowski, jeniec turecki, uciekwszy z 212 towarzyszami, zorganizował ich w śmiałych żeglarzy, „siał postrach po wybrzeżach tureckich aż po Aleksandrję i Rodos; wylądował w Messynie wzbudzając wśród współczesnych podziw i uznanie“.

Pierwszym kartografem polskim był Bernard Wapowski (1526). Za Zygmunta Augusta wydano instrukcję pomiaru całego państwa. Z tychże czasów pochodzą mapy Grodeckiego, Pograbskiego, Strubicza, Makowskiego, głośne w swoim czasie. Cudzoziemcy wykonywali całe atlasy na zlecenie wielmożów (Beauplan, Zannoni).

Miarą kultury kartograficznej jest udział kart szczegółowych w produkcji kartograficznej; dla uproszczenia sądu przeciwstawiamy w tym celu mapy całej Polski, jako mapy ogólne, mapom dzielnicowym i mapom służącym celom specjalnym jako dzieła szczegółowe. Otóż na dzieła szczegółowe kartograficzne przypadało w pierwszej połowie XVI wieku 33% ogółu produkcji, 48% na drugą połowę tego wieku, 67% na pierwszą, a 48% na drugą połowę XVII wieku; 20% na pierwszą, a 42% na drugą połowę XVIII wieku.

A oto wymowny szczegół: w r. 1770 wyszły dwa wielkie specjalne atlasy ziem polskich, Glassbacha w Berlinie i Kantera w Ratyźbonie — „oba z inicjatywy pruskiej, pierwszy na życzenie króla pruskiego Fryderyka, drugi brata królewskiego, księcia Fryderyka Henryka Ludwika. Obie mapy... stały się podstawą kartograficzną, podług której przeprowadzono pierwszy rozbiór Polski“. Nasz atlas Zannoniego, wydany staraniem księcia J. A. Jabłonowskiego, wyszedł w dwa lata później. W r. 1790 Jan Śniadecki i Feliks Radwański wnosili do rządu memoriał w sprawie sporządzenia wielkiego, bardzo specjalnego atlasu. Ale arcydziełem prawdziwie kartografii jest przygotowana przez rząd Królestwa Kongresowego, wykonana prawdopodobnie przez Prądzyńskiego, Stryjeńskiego i Juljusza Kolberga „Topograficzna Karta Królestwa Polskiego“, wydana jednakże dopiero w r. 1839 pod egidą rosyjską; ona to powtórzoną została jako „Karte von West-Russland“ przez niemiecki sztab generalny podczas wojny powszechnej (325 sekcji w podziałce 1 : 100.000). W Wielkopolsce wydawano kilka dzieł

większych kartograficznych, godnych uznania. „Ostatni-
niem jednak dziełem czysto kartograficznym polskim,
na. większą zakrojonem skalę, była jenerała Wojciecha
Chrzanowskiego Mapa dawnej Polski, wykonana w po-
działce 1 : 300.000, a obejmująca 48 wielkich arkuszy
(Paryż 1852); była ona wojenną mapą powstania stycz-
niowego“. Jest to „unicum swego rodzaju“, boć powsta-
ło pracą prywatną i środkami prywatnymi w czasie, kie-
dy tego rodzaju prace były już w całej Europie „zmili-
taryzowane i upaństwowione“. Nie brakowało nam da-
lej znakomitych kartografów, ale musieli szukać stano-
wisk w służbie państwowej rosyjskiej (Franciszek Ar-
miński, Adam Prażmowski i wielu innych), wykonywa-
jąc dzieła pierwszorzędnej wartości.

Z kulturą geograficzną całego świata złączone są
imiona Kościuszki i Pułaskiego. Najwyższy szczyt górski
w Australji zowie się od imienia Naczelnika, a w Sta-
nach Zjednoczonych Ameryki północnej jeden powiat
i dwa miasta w stanie Mississipi. Łatwiejsze dla cudzo-
ziemców do wymówienia nazwiska Pułaskiego stało
się nazwą geograficzną siedmiu powiatów w rozmaitych
stanach, i prócz tego mnóstwa miast, fortów i potoków.
W archipelagu kolumbijskim na północno-zachodniem
wybrzeżu Ameryki jest wyspa Kościuszki; obok zaś wys-
pa Zaremby i Wojewody. Na morzu Żółtem mamy grupę
wysp, zwaną archipelagiem Potockiego na cześć Jana
Potockiego, uczonego orientalisty, podróżnika pierwszo-
rzednego, a wielkiego mecenasa nauk (podróżował w la-
tach 1778—1805). Część gór Dauryjskich w kraju Zabaj-
kalskim zowie się grzbietem Czerskiego na cześć Jana
Cz., „którego studja geologiczne drogi pocztowej od
Urálu do Irkucka stały się podstawą naszej wiedzy w tym
kierunku“. Góry między deltami Leny i Oleneku zowią
się grzbietem Czekanowskiego, na cześć Aleksandra Cz.,
którego badania „przedstawiają jedną z najwspanialszych
kart historii odkryć geograficznych“. (1868—1875.)

Wiele zdziałała dla geografii i nauk pokrewnych polska „diaspora“ porozbiorowa, kiedy obie półkule wypełniły się rozbitkami polskimi. Dziennik podróży brygadiera wojsk polskich Józefa Kopcza, wziętego do niewoli pod Maciejowicami, zesłanego na Kamczatkę, zaczyna ten arcydługi szereg dzieł ludzi, którzy w najcięższej pograżeni niedoli, pragnęli być pożytecznymi. Możemy tu przytoczyć tylko najważniejsze nazwiska, dla przykładu. Tadeusz Maszewski „próbuję bodaj pierwszy (1812) syn-tezy geograficznej“ Sybiru. Odtąd iluż polskich pracowników na syberyjskiej ziemi wygnania! „Bogaty materiał geograficzny i etnograficzny, zawarty w powodzi wspomnień i przeżyć osobistych, nie został dotychczas dla nauki należycie wyzyskany“. Drugie tyle pracy polskiej wchłonęły w siebie ziemie kaukaskie. Nie brakło wypraw polskich do Afryki i Australji (Strzëlecki, Korzeliński, Wiśniowski, Malsburg).

Szereg znakomitych podróżników polskich XIX w. rozpoczyna ów Jan Potocki, znawca całego Starego Świata. Z licznych jego dzieł największą wartość naukową posiadające „Voyage dans l'empire de Maroc“ (1792) „zdumiewa bystrością spostrzeżeń geograficznych. Wystarczy przytoczyć określenie Marokka, jako rozgałęzień Atlasu, a wysp Kanaryjskich, jako jego przedłużeń“. — Sławny „Farys“ Wacław Rzewuski „zdobył sobie sławę trwałą w nauce organizacją badania naukowego Wschodu, ku czemu służyło założone przez niego pismo „Mines d'Orient“, wydawane w Wiedniu w latach 1809—1818. Wspaniała ta publikacja obejmuje sześć tomów in folio i mieści w sobie ze wszystkich zakresów nauk, odnoszących się do Wschodu, oryginalne rozprawy i komunikaty około 180 uczonych wszelkich narodów“. — Córka Jana Potockiego Edwardowa Raczyńska towarzyszy mężowi w podróżach (głównie po Turcji) i ilustruje jego dzieła. Adam Sierakowski wydaje najlepsze dzieło o krajach berberyjskich (1872). Wiadome są zasługi Sieroszewskiego około badań jakuckich, a Bronisław Piłsudski był

specjalistą do Ainów, najbardziej upośledzonego podobno plemienia kuli ziemskiej, u którego polski uczoney stwierdził jednak... zawiązki poezji.

Pamiętamy z lat młodych wyprawę afrykańską Stefana Rogozińskiego, pierwszego badacza Kamerunu. „Jaką rolę byłby odegrał Rogoziński w społeczeństwie, w którym, jak zwykle, ono a państwo, to jedno bywa?“. Wszak ten warszawianin zajmował Kamerun przed Niemcami. — Z innej znów strony podkreśla nam sprawę własnego państwa los zbiorów A. Rehmana, zakupionych do Zurychu i Berlina, podczas gdy nawet dublety dostały się do wszystkich ważniejszych muzeów Europy — prócz polskich. A były to zbiory z podróży naukowych z nad morza Czarnego, z Krymu, Kaukazu, z Afryki południowej. „Geobotaniczne wyniki wszystkich podróży Rehmana są pierwszorzędnej wartości, dla obszarów afrykańskich do dnia dzisiejszego podstawowe“. — Jan Czekanowski zbadał wschodnią część Afryki środkowej pod względem antropologicznym. Antoni Jakubski zorganizował w latach 1909—10 dwie wyprawy do Afryki wschodniej, gdzie wspiął się na Kilimandżaro, najwyższy szczyt afrykański. Ale księciem zaiste podróżników polskich, zrazu poniewolnych, jest Benedykt Dybowski, znakomitość w zakresie studjów nad Azją wschodnią. Zwłaszcza prace jego naukowe nad jeziorem Bajkałskiem zasługują na przydomek „wiekopomnych“, bo „stanowią fundament naszej wiedzy“ w tym kierunku. Powagą europejską w dziedzinie mongolistyki był Szczepan Kowalewski; Talko-Hrynecwicz stał się wyrocznią w zakresie antropologii wschodnio-azjatyckiej.

„Ile myśli polskiej, ile znojów i trudów polskich a bezimiennych zasług i chwały kryje się w obfitych plonach, które zbierał Oddział kartograficzny sztabu głównego, albo Komitet geologiczny rosyjski na bezbrzeżnych przestworzach azjatyckiej Rosji, któż to zdoła dziś bez gruntownych studjów historycznych ocenić?“. Wszakże szef Komitetu geologicznego był Polakiem: Karol Bogdano-

wicz. „Imię tego wielkiego uczonego jest związane niemal z każdym zakątkiem ziemi od śnieżnych strażnic Indyj, Hindukhu, aż do subarktycznych wulkanów Kamczatki nad Pacyfikiem“. Józef Chodźko określił geodezycznie przeszło 3.000 punktów w Armenji, Persji, Dagestanie i na Kaukazie; on nawiązał sieć triangulacyjną na szczycie Araratu (przeszło 5.100 m.). Podobnie pracował Bronisław Grąbczewski we wschodnim Turkestanie i w Tybecie.

„Jedną świetną, iście „promienistą“ postacią filomaty Ignacego Domeyki, między polską umysłowością a Ameryką południową nawiązane węzły nie zerwały się do tej pory“. Jego działalność eksploracyjna obejmuje całe Chile. Stał się przytem dobroczyńcą kraju pod względem oświatowym i ekonomicznym. „Szlakiem Domeyki poszło wielu, a choć żaden z Polaków nie zdobył jego zasług i sławy, niemniej w nauce i gospodarstwie Ameryki południowej imię ich jest zapisane rzetelnie“. Z grona ściśle naukowych badaczy wyróżnili się jeszcze Aleksander Babiński mapą Peru, Hugo Zapałowicz studjami glacialnemi w Andach, Józef Siemiradzki wielostronemi badaniami w Andach i kraju Pampasów.

„I w rzędzie tych, którzy morzu, wichrom, i lodom polarnym wydzierają tajemnice, znajduje się jedno polskie imię niezwyklej świetności: to Henryk Arctowski“. badacz antarktyczny, pełen zasług naukowych, a zarazem powaga w kwestji wahań klimatu.

Nie brak polskiej nauce geografji wybitnych syntetyków. Miejmy na uwadze, że nauka geografji datuje właściwie dopiero od połowy XIX wieku; w Polsce był jednak umysł niepospolity, który o pół wieku, w niektórych rzeczach i więcej, wyprzedziwszy Niemców i Francuzów, uchodziłby za geografji umiejętnej założyciela, gdyby nie to, że będąc Polakiem, popadł w okoliczności, skutkiem których dzieło jego w rękopisie lat 40 przeleżało, on sam zaś nie miał nawet sposobności przedmiotem tym dalej się zajmować. Genjalnym tym Polakiem

Hugo Kollataj. „Pozostawił po sobie tylko jedno dzieło natury geograficznej, ale też dzieło o wielkim pokroju. Dzieło to pod tytułem nie odpowiadającym treści: „Rozbiór krytyczny zasad historii o początkach rodu ludzkiego“, pisane w latach 1802—1806 w więzieniu ołomunieckim, wydane zostało w trzech tomach sporych z manuskryptu dopiero w latach 1842. Dzieło Kollataja jest w istocie wielkim systemem geografii ogólnej, pełnym świeżych i twórczych myśli; dość powiedzieć, że jasno określonym pojęciem czasu geologicznego i analizą procesów geologicznych w świetle sił, działających wspólnie, wyprzedza Lyella, a analizą wpływów środowiska na społeczeństwa daje podwaliny pod system antropogeografii, wyprzedzając tym sposobem nie tylko K. Rittera, ale nawet Ratzla“. — W r. 1803 wydał Jan Śniadecki swą „Jeografię, czyli opisanie matematyczne i fizyczne ziemi“, książkę „nową do dziś dnia“.

Najstarsza katedra geografii utworzoną została w uniwersytecie berlińskim, druga z kolei w Krakowie. Piastował ją Wincenty Pol, który bez porównania bardziej geografem był niż poetą, i zapewne dlatego parał się potem tak wiele rymotwórstwem, bo mu nie dano być geografem. W r. 1848 zajął katedrę, ale „niestety reakcja polityczna w Austrii zdmuchnęła już w pięć lat potem to nowe ognisko i nowy kierunek nauki w Polsce“.

„Ostatnia generacja naukowa na przełomie wieku XIX i XX wydała również cały szereg wybitnych pracowników polskich, czynnych niemal we wszystkich kierunkach nauk geograficznych i pokrewnych. Najnowsze przewroty, dokonywane się w rozmaitych ogniskach nauki światowej, znajdują w Polsce przedstawicieli często prędzej, niż u innych wielkich narodów“. Np. t. zw. problem płaszczowinowy z nauki francuskiej wszedł najpierw do polskiej (M. Limanowski, Rabowski, Tołwiński), a teorię geograficznych cyklów W. M. Davisa przeschodził do nas jego uczeń i towarzysz wycieczek naukowych, Ludomir Sawicki; podobnie Romer podchwytuje pierw-

sze ślady opozycji przeciw teorii żłobienia, względnie przegłębienia lodowcowego.

Nie brak również prac i pomysłów swoistych, pełnych inicjatywy naukowej. Zgasły podczas wojny M. P. Rudzki pozostawił obok licznych prac szczegółowych dwa „wspaniałe“ podręczniki: „Fizyka ziemi“ (1909) i „Zasady meteorologii“ (1913), „dzieła pod każdym względem oryginalne, w których nad materiałem opisowym góruje szeroki horyzont teoretyczny, zabarwiony na każdym niemal kroku twórczą myślą wielkiego badacza“. „Z licznych problemów poruszanych, względnie rozwiązanych przez Rudzkiego, należy podnieść przede wszystkim jego dociekania nad stanem fizycznym ziemi i wnioskami o wieku ziemi, o kształcie ziemi, a w szczególności o geoidalnej deformacji pod wpływem ucisku wielkich lodowców, wreszcie o ruchu falowym skorupy ziemskiej podczas trzęsień ziemi“.

Tu należy też Marjan Smoluchowski, zmarły również podczas wojny, największy fizyk polski ze względu na swe studia „o fizycznych podstawach teoryj górotwórczych“.

Klimatologiczne studia datują w Polsce już od drugiej połowy XVIII w. „Kraj nasz jest może jedynym w Europie, którego stosunki klimatyczne i geologiczne są w równej niemal mierze znane jak każdego innego kulturalnego kraju i państwa, a jednak niemal bez zupełnego przyczynienia się państwa do tego dzieła“. Stacja meteorologiczna warszawska istnieje od r. 1779, a już 1829 r. wydał Wojciech Jastrzębowski obraz klimatologiczny Warszawy na podstawie spostrzeżeń 50-letnich. Organizowanie prawidłowej sieci meteorologicznej poczyną się u nas w r. 1803. „Jeszcze większe zdziwienie musi wywołać fakt, że w owym czasie rozumiano w Polsce potrzebę górskich i szczytowych meteorologicznych spostrzeżeń“ (Staszic, Szaniawski; stacja na Łysej w paśmie świętokrzyskiem 1808).

Nie brak ani w aeronautyce polskiej sławy. Artur Berson, „najśmielszy i najszcześniejszy aeronauta świata“, który nawet z wysokości 11,000 m. zdołał dostarczać poprawnie spostrzeżeń (inni tracili przytomność wyżej 8.000 m.), autor monumentalnego dzieła „Wissenschaftliche Luftfahrten“ (Berlin 1899—1900, trzy tomy), który wsławił się swemi „wycieczkami“ powietrznymi, w Europie i w Afryce dokonywanymi, miał wprawdzie stację swą stałą w Berlinie, przy tamtejszym instytucie meteorologicznym, niemniej przeto zawsze pamiętał o tem, że jest Polakiem (rodem ze Sącza) i gorącym był patriotą.

W zakresie etnografji staliśmy zawsze w pierwszym szeregu. Pracowników w tej nauce mnóstwo, a szereg długi zaczyna się jeszcze pod koniec XVIII w. Któraż literatura może poszczycić się dziełem takim jak Kolberga „Lud“, obejmujący 35 tomów? Towarzystwo ludoznawcze lwowskie wydało 18 tomów czasopisma „Lud“; Erazm Majewski wydał w Warszawie 20 tomów „Wisły“.

Ogólny całokształt wiedzy geograficznej o Polsce ujęty jest w bardzo dobrych podręcznikach. W. Nalkowskiego, znakomitego metodyka nauczania geografji, autora „Geografji rozumowanej“, podręcznik p. t. „Rys geografji ziem dawnej Polski“ (1887); dwutomowe dzieło Rehmana „Ziemie dawnej Polski“ (1895, 1904); S. Pawłowskiego „Geografja Polski“, wytrzymałyby najsurowszą krytykę zachodnio-europejskich wymagań naukowych; obok nich I. tom Encyklopedji Polskiej, wydania Akademji Umiejętności, złożony z 31 odrębnych artykułów, oświetla wybornie naszą wiedzę geograficzną i fizjograficzną o Polsce. Ale koroną wszystkiego jest nasz „Słownik geograficzny“ (tomów 14 i 2 dodatkowe, Warszawa 1880—1902), wydany szczęśliwie pod redakcją Bronisława Chlebowskiego; dzieło, „o którym tyle na pewno twierdzić możemy, że dużo wielkich i szczęśliwszych narodów może nam go pozazdrościć“.

Statystyka nie jest w Polsce młodsza niż gdzie indziej. Zaczyna się od Staszica książki „Statystyka

Polski; krótki rys wiadomości potrzebnych tym, którzy ten kraj chcą oswojodzić i tym, którzy chcą w nim rządzić" (1807). „Zaprawdę, trudno jest sobie wyobrazić głębszą analizę stosunków, które zachodzą między krajem, jego powierzchnią, zaludnieniem i zasobami, już to dobytemi, już to tylko potencjalnymi niż te, którą nam Staszic w swej małej, a tak bogatej treści i myślą książce rozwinął". Odtąd sędzia statystyczne kwitną długo. W r. 1827 wychodzi „Atlas statystyczny Polski i krajów okolicznych" (Poznań, prawdopodobnie St. Platera), poezem następuje cały szereg publikacyj statystycznych Wielkiej Emigracji. Podupadła potem ta gałąź nauki, aż za naszych czasów podźwignawszy się na nowo, wydaje prace pierwszorzędnej wartości. Wyszczególnia się „Zarys metod statystyki" Jana Czekanowskiego (1913), torując „nowe metody pracy, których stosowanie będzie owocnem we wszelkich gałęziach nauk przyrodniczych i geograficznych".

Rejestr polskiej pracy w dziedzinie nauk geograficznych jest długi i niepojednanej treści. Odkrycia geograficzne terytorjalne nie były nam obce, a nauka geograficzna poczyna się u nas już w wieku XV. Kartografia kwitnie od pierwszej ćwierci XVI w., a wbrew trudnościom zdobywa się kilkakroć na dzieła znakomite. Rozbitki porozbiorowi podnoszą wielce stan geografji; często stają się inicjatorami pracy naukowej w danym obszarze. Przedsiębiorczości nie brakowało, ale brakowało sposobności dobrej; to też chodzili Polacy w obcą służbę, i wsiąkali w obcy ruch naukowy.

Możemy śmiało uważać w tej dziedzinie zdatność naszą za pierwszorzędną, skoro my, nie mający własnej żeglugi pomiędzy częściami świata, otwarliśmy jednak dla nauki niejedną krainę; ściśle badania rozpoczęliśmy nader wcześniej, i to z wynikami pierwszorzędnymi a trwałymi; wreszcie umysłowość polska wyprzedzała wielką reformę geografji przez Richthofena i Rittera, a to w osobie genialnego Kollataja. Pierwszorzędna zdolność na-

ukowa roztopiła się w polityce, bo nastał dla Polaków czas, do którego stosować musieli patrijoci zasadę, *primum vivere, deinde philosophari*. Wzgląd ten powtarzał się następnie przez cały wiek XIX. Nie wyjątkowy to wypadek, lecz istny symbol, że W. Polowi danem było zaledwie przez pięć lat zajmować się systematycznie geografią. Pomimo wszelkie przeciwności możemy być zadowoleni. Jeżeli w okres odzyskanej niepodległości wniesiemy nieuszczerploną zdatność naszą, a niepodległość dostarczy nam dostatecznie sposobności do systematycznej, spokojnej pracy naukowej, możemy mieć najlepszą otuchę, że zdolności nasze rozwiną się i zabłysną nowymi odkryciami naukowymi.

Przejdziemy teraz do nauk humanistycznych, zaczynając je rejestrować od tego, co było w Polsce najpopularniejsze: od łaciny.

4. Nauki humanistyczne.

Na przejściu z wieków średnich do nowożytnych nadaje cechę kulturze europejskiej przemożny prąd umysłowy, zwany humanizmem. Można powiedzieć, że Europa sięgała dotąd, dokąd humanizm (nieznany Rosji); narody zaś liczyły się do współdziałania w kulturze europejskiej w stosunku prostym do przejęcia się „prądem odrodzenia“.

W Polsce humanizm jest wcześniejszy, niż w Niemczech, a czerpaliśmy go wprost z Włoch, bez czyjegokolwiek pośrednictwa. Niedarmo Eneasza Silvius Piccolomini (późniejszy papież Pius II) w liście do biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego z r. 1450 wyrażał podziw dla wykształcenia Polaków, wyprzedzających Niemców blaskiem łacińskiej erudycji.

Już w najstarszych kronikach polskich pełno cytat z autorów klasycznych, a poczucie pięknej formy języka łacińskiego znać od początku XV wieku. Bawił w Krakowie w r. 1424 słynny Francesco Filelfo, a w r. 1433

mamy już w krakowskim Jagiellońskim uniwersytecie wykład Bukolik Vergiliusa, objaśnianych przez Grzegorza z Sanoka (późniejszego arcybiskupa lwowskiego). W sześć lat potem przybywa do Krakowa od soboru bazylijskiego Demetrius z Konstantynopola, i odtąd datuje początek studjów greckich. Z początkiem XVI w. uczą już greki w krakowskich szkołach parafjalnych. Od r. 1500 liczą się krakowskie wydania klasyków, szczególnie Cicerona, sławny zaś wydawca wenecki Aldus znajduje w Krakowie stały zbyt na swe wydawnictwa greckie.

Przebywali w Krakowie tacy słynni swego czasu mężowie, jak Włoch Filip Buonacorsi Kallimach, Niemiec Konrad Celtes; profesorami byli Ioannes Silvius, Costanzo dei Cancellieri, Piotr Illicinus, Franciszek Stankar z Werony (ten do hebrajskiego); kształcił się zaś w krakowskim uniwersytecie szereg cudzoziemców, którzy mieli potem odegrać wybitną rolę w humanizmie swych krajów (Bebel, Turmair, Rothwyla i i.); tu uczyli się greczyzny Gaspar Ursinus Velius i Szwajcar Rudolf Agricola junior.

Poetów łacińskich wydaliśmy długi szereg, począwszy od Pawła z Krosna, który zjawia się w Krakowie w r. 1500 — aż do Macieja Sarbiewskiego, „wtórego Horacego“ (1595—1640), którego „Lyricorum libri IV“ liczyły 40 wydań w różnych stronach Europy, a jeszcze na początku XIX wieku czytowane były w uniwersytetach angielskich obok starożytnych klasyków.

Starożytność nęciła Polaków nadzwyczaj. Słynęły po świecie książki Jana Zamoyskiego „De senatu romano“ (Venetiis 1563) i Pawła Goślickiego „De optimo senatore“ (Venetiis 1568)¹⁾. W Polsce posłowie sejmowi „trybunami“ się zwali, a koło dostojników państwa zestawiano z rzymskim senatem. To też popularność studjów klasycznych była nadzwyczajna, a język łaciński stał się

¹⁾ Podobno szekspirowski Polonius jest refleksem lektury Goślickiego.

potocznym całej polskiej inteligencji, co utrzymało się aż do początków wieku XIX. Kiedy po rozbiorach w zaborze austriackim zwracano się do cesarza Leopolda II. w r. 1790 z projektem uznania pewnych praw ludności, proszono o język urzędowy łaciński (zamiast niemieckiego), skoro polski uważał rząd zaborczy za niedopuszczalny. A dzisiaj Polak Bonawentura Graczyński jedyny w Europie włada klasyczną greczyzną tak dalece, iż pisuje w tym języku i w metrach antycznych tragedje klasyczne. A któż dziś w całej Europie (prócz Anglii) potrafi lepiej wprowadzać na scenę nowożytną Sofoklesa, Eurypidesa, jak krakowski filolog Michał Bogucki?

Zdawałoby się, że nadzwyczajne takie zamiłowanie musi wieść do twórczości naukowej w tejże dziedzinie. A jednak nie. Filologia klasyczna — to nie polska nauka. Znawców przedmiotu, pierwszorzędnych często, nie brak (obdarzało się nimi nawet ościennych), ale jednego tylko wydaliśmy filologa, posiadającego europejskie znaczenie naukowe. Był nim Andrzej Patrycy Nidecki (1522—1587), uczeń Robortella w Padwie i Sigoniusa, towarzysz francuskiego Mureta, słynny wydawca fragmentów Cicerona (Wenecja 1561, drugie wydanie pomnożone, a przygotowane we wsi Bierzanowie pod Krakowem, Wenecja 1565). Anglik Turner pisał wówczas do niego: „Apollo es, non coniectator“, a wartość tej pracy uznało jeszcze 1862 r. niemieckie edytorstwo (Karol Halm).

Potem bywało pracy filologicznej niemało (pełno prac polskich i w zagranicznych czasopismach naukowych), tłumaczono sporo, komentowano wiele i wcale dobrze, ale twórczo filologii nie zbogacano. Sam Adam Mickiewicz był także filologiem, a wykłady jego literatury łacińskiej w uniwersytecie w Lozannie (1838—1840) pozostawiły po sobie jak najlepszą sławę. Alfons Walicki (†1858) wykładał filologję w uniwersytecie rosyjskim w Charkowie, a w Kazaniu Józef Kowalewski (†1878).

Ale dopiero w ostatnich czasach nabiera polskie studjum filologii klasycznej zakroju europejskiego. Orygi-

nalną a pełną wielkich walorów jest na wielką skalę zakrojona historia literatury rzymskiej Kazimierza Morawskiego. Wielkiej sławy zażywa Tadeusz Zieliński, profesor dawniej uniwersytetu petersburskiego, teraz warszawskiego, najlepszy dziś w Europie znawca Cicerona. Z prac nad mitologią zasłynął Witold Klinger, profesor uniwersytetu kijowskiego. Uznaniem powszechnem, zwłaszcza w Anglii, cieszy się chronologia dzieł Platona, układu Wincentego Lutosławskiego. Stanisław Witkowski odznaczył się jako znawca późniejszego języka greckiego, t. zw. „koiné”. Ale specjalnością polską staje się patrystyka grecka IV wieku, dzięki dwom profesorom krakowskiego uniwersytetu, Adamowi Miodońskiemu (†1913) i Leonowi Sternbachowi. „Meletemata patristica” krakowskiej Akademii Umiejętności, poświęcone pracom przygotowanawczym do krytycznego wydania tych Ojców Kościoła, stały się wydawnictwem europejskiem, a podobnie zdobywa sobie uznanie „Archivum philologicum”, także wydawane. Tymże śladem kroczy Gustaw Przychocki, specjalista do św. Grzegorza z Nazjanzu. Sternbach używa też opinii największego po śmierci Krumbachera (†1910) znawcy bizantynizmu.

Jak na dużą oświatę łacińską w Polsce jakżeż mało nauki filologicznej?! Nigdzie w Europie nie mówiono tak biegle po łacinie jak w Polsce, gdzie łacina nieledwie stała się na nowo językiem żywym, będąc w powszechnem użyciu, a jednak uczonej latynista należał do rzadkości. Popularność przedmiotu nie pozostaje wcale w związku z naukowem uprawianiem go; co stwierdziwszy na tem miejscu, nie będziemy się potem dziwili objawom analogicznym przeciwnego porządku, mianowicie że najmniej popularny w społeczeństwie przedmiot może kwitnąć właśnie w jego dorobku naukowym. Kto poświęca się sprawom oświaty, winien zdawać sobie dobrze sprawę z tego; gdyby uwzględniano te fakty, popularyzacja wiedzy byłaby szybszą i dokładniejszą.

Pozostawmy jednak tę kwestję na potem, aż dokonamy sumarycznego przeglądu ruchu naukowego w Polsce.

Również daleko, jak w popularnej łacinie, a może nawet dalej, zaszliśmy w młodej nauce języka wstawa, wyrobionej dopiero w ciągu drugiej połowy XIX wieku, a która nie budziła nigdy większego zajęcia u ogółu polskiej inteligencji.

Początki tej nauki niestare, nie sięgają poza pierwsze dziesiątki lat wieku XIX. Wiadomo, że epokę stanowią tu studia nad sanskrytem. Były i u nas, i to stosunkowo bardzo wczesnie, boć jeszcze Walenty Skorochod Majewski (1764—1835) założył swoim prywatnym kosztem drukarnię sanskrycką w Warszawie, a specjalne do tego czcionki w Warszawie też zostały odlane. Drukował, wydawał Majewski do roku 1830. A potem? Jakżeż wymowna data. Po upadku powstania nastąpił nie tylko polityczny upadek sprawy polskiej... Urwał się wątek jak w tylu innych rzeczach, aż dopiero za dni naszych powiodło się wznowić studia sanskryckie w Krakowie (Leon Mańkowski), wnet potem i we Lwowie (Andrzej Gawroński). Jak dotychczas, mamy więc dwa niejako epizody naukowe w tej dziedzinie, a epizodyczność w nauce?!

Orientalistyki próbowało się także, często zaszczytnie. Wyrobiła się w Polsce „cała szkoła dragomanów i tłumaczy polskich, tudzież pisarzy oryginalnych o Wschodzie. Dzięki temu już na początku XVI w. wypowiedzi pierwszy Miechowita przynależność Madziarów do ich braci uralskich, a taki Otfiński daje nam pierwszy w Europie przekład Saadięgo. Wiek XVII przysparza nauce gramatyka i leksykologa tureckiego języka, arabskiego i perskiego w osobie Menińskiego, na którym się oparli przeważnie wszyscy późniejsi słownikarze europejscy, a którego dzieła dziś jeszcze mają wartość niepospolitą. Prawie współczesny z nim Krusiński pierwszy podaje dzieje wzajemnych stosunków Persji i Afganista-

nu, tłumaczone z łaciny na inne języki europejskie. Po wieku XVIII, wieku pracy orientalnej w usługach polityki, po założeniu szkoły orientalnej w Konstantynopolu i kilku katedr języków wschodnich w Połocku, Warszawie, w Wilnie, występują już całe zastępy orientalistów polskich, zjawia się jeden z pierwszych i najcelniejszych przekładów poematów Szanfary; występuje Majewski, jeden z najwcześniejszych w Europie znawców sanskrytu; Kossowicz wyprzedza innych w badaniu Awesty i staroperszczyzny; wreszcie cała plejada badaczy jak Sękowski (egiptolog) i Muchliński turkolog; Chodźko i Żaba iraniści, Kazimirski arabista, Józef Kowalewski, słynny mongolista, Kleczkowski sinolog i wielu, wielu innych, pracujących często w obcych językach, a w ich liczbie i ci, którym sami Rosjanie przyznają, że podłożyli podwaliny dla orientalistyki w Rosji, jak znów współczesny nam i jeden z młodszych dzisiejszej plejady, ks. Władysław Szczepański kładzie świetne podwaliny palestynologii w Rzymie (profesor Instytutu Biblijnego tamże i autor nowego na język polski przekładu epokowego czterech ewangelij). Głośną, acz doraźną była wyprawa archeologiczno-artystyczna hr. Lanckorońskiego i jego zespołu do Małej Azji¹⁾. Jan Grzegorzewski założył w Konstantynopolu i Sofji „Hyacinthaeum“¹⁾, instytucję do badań orientalistycznych i począł wydawać w Krakowie „Rocznik Orientalistyczny“.

Chociaż od XVI w. ciągną się długim szeregiem polskie prace orientalistyczne, chociaż nie brak wśród nich dzieł o poważnym zakresie naukowym, jednakże cierpi to wszystko również na epizodyczność. Można do tych uczonych zastosować w pewnym znaczeniu mickiewiczowskie, że każdy z nich był „sam sobie sterem, żegla-

¹⁾ Na cześć św. Jacka, „pierwszego orientalisty polskiego“, którego Grzegorzewski uważa za autora t. zw. Kodeksu Kumańskiego w bibliotece św. Marka w Wenecji, wydane przez Akademię budzyńską.

rzem, okrętem“, lecz nie ze samolubstwa bynajmniej, tylko dla braku podkładu naukowego w społeczeństwie, boć warunki polskiej pracy kulturalnej w XIX wieku nie mogły podkładu takiego dostarczyć. Wszak to uczeni ci musieli nawet pisywać przeważnie w obcych językach.

Dopiero za naszych czasów poprawiły się nieco stosunki. Skazańcy polityczni, przyczyniający się znakomicie do zbadania języków Dalekiego Wschodu, wśród których najwybitniejsi Dybowski, Bronisław Piłsudski, Sieroszewski, Edw. Piekarski znajdowali już dla swych prac zrozumienie w kraju i punkt oparcia w krakowskiej Akademji Umiejętności. W ostatnich czasach powstały katedry orientalistyki w Krakowie (Tad. Kowalski, języki semickie i kultura islamu) i we Lwowie (Mojżesz Schorr, semitolog). Godzi się przypuścić, że w niepodległej Polsce nie będą już trudy ich skazane na rolę nowych... epizodów.

W sławistyce ustępujemy Czechom i stoimy bodaj na samym szarym końcu pośród pobratymców. Ale i w polonistycznych ściślejszych badaniach (nie dających się zresztą oddzielić od ogólnosławistycznych) dawał nam się we znaki brak ciągłości, i dopiero w ostatnich czasach zaświtała nadzieja, że powzięty świetny rozpęd stanie się już początkiem systematycznego wreszcie kroczenia ku dociekaniom naukowym.

Studja językowe zaczynają się od kwestji ortograficznej, podjętej już w wieku XVI, potem słabną, aż dopiero podejmuje je na nowo sławna swego czasu Gramatyka Kopczyńskiego (1780), poczem następuje dzieło Józefa Mrozińskiego „Pierwsze zasady gramatyki języka polskiego“ (1822), cenne dlatego, że uwzględnia współczesny stan nauki francuskiej, angielskiej, i niemieckiej. Od-tąd też nie ustawały już prace około gramatyki. Metoda historyczno-porównawcza (Böppa) długo jednak kołatała napróżno do polskich uczonych, aż przyswoił ją Hipolit Cegielski (1842). Rok 1831 stanowi i w zakresie językoznawstwa polskiego fatalną datę pustynną. Dopiero

w Szkole Głównej wykłady Przyborowskiego (1863 do 1869) wytwarzały nowy jakiś punkt stały, ale wypadły na schyłek Szkoły, gdy Warszawa miała być zamienioną w istną pustynię naukową. Szczęściem w krakowskiej Akademji Umiejętności powstało po r. 1873 kilka rodzajów wydawnictw stałych, poświęconych językoznawstwu. Profesor krakowski, Lucjan Malinowski, stał się twórcą dialektologii polskiej, w której następnie odznaczili się Jan Karłowicz, Hanusz, Zawiliński, Kryński, znakomitością zaś stał się Kaz. Nitsch.

Badania leksykalne postawił wysoko Linde, ale potem długa pauza aż do Karłowicza (†1903) z jego „Słownikiem wyrazów obcego a mniej jasnego pochodzenia“ (1894—1904) i „Słownikiem gwar polskich“ (tom VI. w r. 1911). Stan nauki polskiej reprezentuje obecnie wielki nowy „Słownik języka polskiego“, wychodzący w Warszawie i stąd zwan krótko „warszawskim“, ułożony przy udziale licznych pracowników pod redakcją Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwiedzkiego. Ciekawe jest dla historii nauk zestawienie go ze Słownikiem Lindego: „Pomnaża skarbiec Lindego nie tylko licznymi uzupełnieniami z języka dawnego, ale także i tą bardzo znaczną częścią dorobku językowego, którą język nasz wzbogacił się w ciągu całego stulecia XIX, stwarzając tysiące nowych wyrazów i wyrażeń, w których się odzwierciedla rozwój kultury tego stulecia, wpływ zasadniczych przeobrażeń dziejowych i do gruntu zmienione warunki bytu narodu“¹⁾.

Ostatnie czasy poszczycić się mogą dwoma całościowymi kształtami gramatyki polskiej: Romana Pilata (wykłady w opracowaniu Krčeka, 1908) i A. Kryńskiego (1910).

¹⁾ Adam Antoni Kryński: Szkic językoznawstwa polskiego od początku wieku XIX (Księga pamiątkowa ku uczczeniu 250 rocznicy założenia uniwersytetu lwowskiego przez króla Jana Kazimierza r. 1661, wydana przez członków uniwersytetu, tom I, Lwów 1912).

Uwzględniając niewesołe warunki pracy naukowej w Polsce, możnaby z tego dorobku być zadowolonym, bo stwierdza, że nie brak zdolności i że ludzie się znajdują, uprawnia więc do otuchy, że w lepszych warunkach zdolamy dorównać „szczęśliwsiemu narodowi“ (trzymając się utartej formuły), ale bądź co bądź jest tego wszystkiego mało. Z jednym wyjątkiem.

Istnieje dziedzina jedna w polskim językoznawstwie, która pomimo że nie należeliśmy do „szczęśliwszych narodów“, zwraca uwagę i obfitością prac i nader wysokim poziomem naukowej metody i bogactwem wyników. Jakaś szczególniejsza zdolność do zajmowania się zasadniczymi momentami językoznawstwa, w których roztrząsaniu rozwinięli nasi uczeni znaczną twórczość; okoliczność mogąca służyć sama jedna za dowód, że nam zdolności do uprawiania językoznawstwa wcale nie brak, i że rodzaj naszych zdolności nadaje się, owszem świetnie nawet do przyczynienia nauce tej postępu.

Przypada w Polsce „w porównaniu z ogromną literaturą lingwistyczną w Niemczech, bardzo wielki stosunkowo procent na zajęcie się zasadniczymi sprawami językoznawstwa, na twórczą myśl naukową nad istotą i funkcją zjawisk językowych“.

A na czele kroczy tu nestor filologów polskich, Jan Baudouin de Courtenay. „W każdym razie i bez żadnej przesady zaliczyć go można do szeregu najwybitniejszych językoznawców... oryginalność i śmiałość myślenia oraz bogactwo pomysłów... myśliciel w zakresie naukowego poznania... wnika w psychiczną i socjalną stronę języka“. Zaczął w r. 1903 publikować swe prace o psychologii języka, z których najważniejsze trzy: „O psychicznych podstawach zjawisk językowych“ (1903), „Próba uzasadnienia samoistności zjawisk psychicznych na podstawie faktów językowych“ (1904) i „Charakterystyka psychologiczna języka polskiego“ (dla Encyklopedji Polskiej wyd. Akademji Um.). Obok tego staje klasyczna praca metody Baudouina: „Próba teorii alternacyj

fonetycznych". Poza tem czynnym był w każdej niemal gałęzi językoznawstwa.

Za jego przykładem znać u całego szeregu polskich uczonych wielkie zajęcie do kwestyj psychologii językowej (Kruszewski, Appel, i i.); wyrabia się jakoby polska specjalność w językoznawstwie.

Typowym przykładem wielkiego rozpędu twórczego jest działalność naukowa Jana Rozwadowskiego. Sformułował on „prawo dwuczłonowości“, stwierdzające, że podstawą każdego tworu językowego, o ile jest wyrazem jasnej apercpcji, jest dwuczłonowość; prawo ilościowe rozwoju językowego, wynikłe ze spostrzeżeń, że różnica między parami tworów językowych musi przedstawiać pewną ilość stałą, a gdy spadnie poniżej tej miary, jeden z tworów jako samodzielny ginie; jeżeli zaś posunie się ponad tę miarę, powstaje nowy, samodzielny twór; tudzież prawo „dysautomatyzacji“, stwierdzające, że zasadniczą przyczyną ewolucji w twórczości nie tylko językowej, lecz całej kulturalnej, jest ciągła potrzeba odświeżania zużywającego się przez automatyzację czynnika uczuciowego („Ruch filozoficzny“, w tomie I, 1911).

Prace około historii języka polskiego zaczynają się od dziełka Rakowieckiego „Rys historyczny początku i stanu języka słowiańskiego i polskiego“ (1822), ale nastąpiła dłuższa przerwa, poczem gałąź ta rozkwitła dzięki Nehringowi, Kalinie, Baudouinowi, Bruecknerowi, Łosiowi (twórcy Słownika staropolskiego). Brueckner i Łoś nie na tem jednem celują polu, a niesprawiedliwością byłoby nie wymienić tu również nazwiska Ułaszya.

Warszawskie „Prace filologiczne“ i krakowski „Rocznik sławistyczny“ wyrobiły sobie uznanie w świecie naukowym i poza Polską. Jest jedno jeszcze czasopismo, którem wartoby zainteresować jak najszersze sfery inteligencji polskiej, przeznaczone dla nie-filologów, mianowicie znakomicie redagowany „Język polski“, wydawnictwo komisji języka polskiego Polskiej Akademji

Umiejętności w Krakowie, którego filarem i duszą jest prof. Nitsch, najlepszy popularyzator językoznawstwa, a powaga w dialektologii.

Pokrewną metodycznie filologii jest nauka h i s t o r j i, opierająca się dotychczas w znacznej części na metodzie filologicznej. Tej pokrewności historia nigdy nie zatraci, boby podrywała fundamenty własnej budowy; chcąc atoli budowę swą rozwinąć, musi dbać o inne jeszcze pokrewieństwa. Nowoczesny postęp historjografiji wciąga w jej ramy coraz bardziej nie tylko prawo, ale całą grupę nauk socjologicznych, a zespół ten doprowadzić może do epokowego w nauce przewrotu, niemiejszego niż niegdyś ustalenie metody indukcyjno-empirycznej, skryształizowanej w dziełach Bacona. Obyśmy nie stali na uboczu tego nowego wielkiego szlaku wiedzy!

Z początku była historia sztuką piękną, sztuką ułożenia pięknego utworu piśmienniczego. W Polsce dokonywał się rozwój historjografiji po takiej samej linii jak wszędzie indziej: Gallus pisze leoninami nie bez artystycznej racji, Kadłubek układa staranne kompozycje stylistyczne, u Długosza pozostaje jeszcze za przykładem Liviusa retoryka. Ale już u Kadłubka przewija się inne pojmowanie historii, mianowicie, jako m a g i s t r a v i t a e; układa on niejedną ustęp tendencyjnie, a całe dzieło posiada wybitną cechę dydaktyczną. W dziele Długosza pełno obydwóch tamtych pierwiastków historjografiji, ale na pierwszy plan wysuwa się pierwiastek nowy, trzeci: dążność do odkrycia prawdy. Kromer, Strykowski starają się jak najwięcej pracować „źródłowo“; a czyż rymotwórcze pisma Twardowskiego nie posiadają wartości źródłowej, straciwszy wszelką artystyczną? Trzy główne pierwiastki historjograficzne powstały kolejno z biegiem czasów, lecz raz powstawszy, nie przestawały już nigdy istnieć; wikłają się i zachodzą wzajemnie na siebie w dziełach dalszych generacyj. Czyż w naszym „szkicu historycznym“ od Szajnochy do Kubali nie złączyły się wszystkie?

Pojmowanie Prawdy jest jednakże rozmaite i ma ciekawą historję, gdyż oblicze jej nie odrazu odsłaniało się całe ludziom myślącym. Najidealniejsze duchy ludzkości składały się długimi pokoleniami na stopniowe zdobywanie dostępu do tej najwyższej kategorii człowieczeństwa, do której szczytu wspinać się będziemy bez końca, nigdy go tu nie osięgając. Jak żadna doskonałość, tak też ani doskonała Prawda nie może być udziałem śmiertelnych; danem nam jest tylko dążenie do niej i zbliżanie się ku niej. O to chodzi, by coraz bliżej być Prawdy, to też wszelkie ulepszenie sposobu zbliżania się, wszelakie umożliwienie lepszego poznawania jej stanowi najwyższy rodzaj zasługi około ludzkości (stąd wartość metody i każdego, choćby drobnego narazie, jej wydoskonalenia).

W zakresie sztuki historjograficznej poczyną się dążenie do prawdy od zakazu moralnego pisania nieprawdy. Gallus przenosi milczenie nad nieprawdę i daje czytelnikowi wyraźnie do poznania, kiedy dla miłości prawdy wypada mu milczeć. Długosz lubuje się już w docieraniu do prawdy tak dalece, iż nie szczędzi mozołu, czasu ni grosza na ten cel. Następcy jego nie obniżali poziomu historjografii polskiej, wznoszącej się do stanowiska nauki. Nie kłamali. Ale nasunęła się wątpliwość nowa, czy nie może zachodzić obowiązek zatajenia prawdy w całości lub częściowo? Naruszewicz dopiero opowiedział się przy bezwzględnym kulcie prawdy, Lelewel doszedł do tegoż przekonania — ale potem cofnęliśmy się. Wśród nieszczęść porozbiorowych, „utraciwszy rozum w mękach długich“, doszło się do tego, iż brano za niegodziwca historyka, który ujemne strony przeszłości badał narówni z dodatnimi. W reakcji nieuniknionej przeciw takiemu pojmowaniu rzeczy zabrnęło się znowu do nierozumnego przesądu, jakoby krytycyzm polegał wyłącznie na udzielaniu nagan — i tendencyjne upiększanie dziejów narodowych szło o lepsze z tendencyjnym oszpecaniem ich. Magistra vitae poszła na służbę indywidu-

alnych zapatrywań autora. Dużo z tego wypłynęło zła (jakoż nie mogło obyć się bez tego), ale bądź co bądź sama możliwość istnienia tendencyjnej surowości świadczy o gotowości uznania prawdy, choćby z własnem upokorzeniem, a zatem stanowi dowód silnego pożądanja prawdy. Mieściły się w tem zarazem wymagania względem samych siebie wzrastające coraz, a wraz z tem wzrastające poczucie obowiązku i odpowiedzialności; sama choćby niechęć do szowinizmu ma wielką wartość. Ale to ze stanowiska społecznego; z naukowego jednakże było to błędem, dużym błędem.

Nie wolno absolutnie ogłaszać dzieł historycznych, układanych specyficznje w celach dydaktycznych. Pisarza historycznego nie obchodzi to nic a nic, czy z dzieła jego będzie pożytek w życiu publicznem i jaki. Wskazywanie pożytków nie do niego należy. On ma dbać tylko o prawdę naukową, którą ktoś inny zamienić może na „nauczycielkę życia“. Z zawilosci zmaconych źródeł wykrzesz prawdę całą, a inni wykują z niej broń potrzebną do życia; historyk jednak nie jest ludwisarzem.

Niema prawdy innej, jak cała prawda; to też wszelkie zatajanie jest popełnianiem kłamstwa. Podawanie części tylko prawdy jest chytrością kłamcy, który nie kłamie niby, bo tylko prawdę mówi; ale częściowa prawda bywa kłamstwem najgorszem. W nauce nie istnieją zaś absolutnie żadne a żadne względy, któreby mogły robić z zatajania prawdy obowiązek. Dzieło, przemilczające umyślnie jakąkolwiek część prawdy, nie jest dziełem naukowem. Nauka a prawda to jedno.

Nie należy przeczyć historji tytułu do „nauczycielstwa życia“, ale sprawa cała (o którą toczył się w Polsce niedawno spór znaczny) nie dotyczy zgoła pisania dzieł historycznych.

Pod względem naukowym wytrzymuje całe średnio-wiecze naszej historjografji doskonale porównanie ze stanem jej na Zachodzie; Długosz zaś wart więcej od współczesnych historyków włoskich i francuskich. Kromer,

Strykowski, Wapowski byliby znakomitościami również gdziekolwiek, a Piasecki († 1649) celuje chwytnością związku przyczynowego tak dalece, iż zdaje się nieraz należeć do jeszcze późniejszych czasów. Potem nastaje jednak upadek, i to niski; przerywa się tradycja naukowa. Nagle działalność Naruszewicza (i części jego plejady) stanowi kartę jeszcze szlachetniejszą w stosunku do Zachodu, niż zestawienie Długosza z tamtymi. Naruszewicz okazał się mistrzem ponad swoje czasy, a zanosilo się na powstanie szkoły... gdy znów przerwano nam ciągłość pracy. Tem większego podziwu godzien Lelewel, który okazał się równym talentem i wiedzą największym w Europie, chociaż niewiele miał w życiu sposobności do rozwijania talentu. Zarabiał na życie katalogowaniem prywatnych zbiorów monet, żeby literalnie nie umrzeć z głodu. Po nim idzie Szajnocha, który począł mieć zapewnione skromniutkie przynajmniej utrzymanie wtedy, kiedy zaczął... tracić wzrok.

Warunki dla historyków jak wogóle dla wszystkich uczonych polskich nastaly (wśród prześladowania polskiej kultury) tego rodzaju, iż uczone polski zdołaly z największym wyteżeniem sił wydobyć z siebie ledwie minimum tego, co w nim tkwiło i na co go byłoby stać, gdyby się znalazł w warunkach korzystnych dla rozwoju swego intelektu. I aż do dnia dzisiejszego tragedją i klątwą każdego zdolniejszego uczonego polskiego jest ten przymus okrutny poprzestawania na minimum możliwej wydajności własnej pracy. Odzyskanie niepodległości nie może temu w mig zaradzić, boć organizacji „świata naukowego“ nie improwizuje się, ale młodszy mają już bądź co bądź warunki takie, o jakich starszym ani się marzyło. Jeżeli młodsze pokolenie uczonych nie uroni nic z usilności np. Korzona, jeśli mieć będzie talenty godne np. Łaguny, i erudycję tych obydwóch, — toć w zakwitających nam obecnie warunkach pracy naukowej, które tamtym wydałyby się wprost cudownymi, podaży się do maximum wydajności i historjografja polska dogoni, co za-

niedbała, szybko, a zacnie i przeganiać innych zapewne. Wyobraźmyż sobie Lelewela w dzisiejszych warunkach!

Odzyskanie niepodległości zapewni nauce rzecz najważniejszą: ciągłość, możliwość utrzymania tradycji naukowej, tworzenia „szkół“.

Wszak to Szajnocha był samoukiem, podobnie Szuj-ski i Kalinka i wielu innych, boć w Polsce nie można się było nigdzie kształcić na historyka. Rymopisami byli i Szajnocha i Bielowski i Szujski. Dopiero po Szujskim († 1883) zaczyna się na nowo korowód takich, którzy zamłodu uczyli się metody historycznej, dzięki repolonizacji uniwersytetów krakowskiego i lwowskiego. Po Szujskim dopiero zaczyna się też wyjeżdżanie zagranicę na dalsze wydoskonalenie się w studjum historycznym, a że dla powodów wcale nienaukowych zresztą jeździło się niemal wyłącznie do Niemiec, nastąpiły niebawem fatalne ujemne skutki niemieckiej jednostronności, o czym była już mowa. Co gorsza, jeżdżono na krótkie terminy i dziwnie wczesnie wracano z uchwyconym i trzymanym w garści „ostatnim wyrazem nauki“. Zaczęły się czasy, które możnaby nazwać „improvizacjami naukowymi“, bo występowało z nadzwyczajnym pośpiechem z niebardzo przemyślanymi doktrynami. „Krytycyzm“ stosowany był do wszystkiego prócz tego, co miało markę niemiecką. Coś owoś uchwyconego z nauki niemieckiej stosowało się naprędce do historii polskiej, i robił się z tego odrazu nowy „kierunek naukowy“. Tak było np. z doktryną Bobrzyńskiego, zaczerpniętą od Waitza.

Obok niemożności utrzymania tradycji naukowej drugą przeszkodą należytego rozwoju historii była dążność, żeby studjum historyczne dawało realne zyski polityczne, żeby mianowicie odkrywszy przyczyny upadku Polski, podało tem samym sposób odzyskania niepodległości. Traktowano historję, jak medycynę: uprawiać patologję dla terapii. Robiło się to gorączkowo, żeby dojść prędko do praktycznego wyniku, tj. odkryć sposób na wznowie-nie państwa polskiego. Wiała z tych prac miłość Ojczy-

zny i niepospolity nieraz duch obywatelski, ale sprawa była naukowo clybiona, a przytem wykonywana błędnie. Na dnie sprawy tkwiło przeświadczenie, że historia może być nauką stosowaną. Jest w tem coś istotnego, owszem; ale nie można żadnej nauki uprawiać wyłącznie jako stosowanej, bo w takim razie po pewnym czasie nie byłoby z czego czerpać i „stosować“. Do wynalazków droga jedyna przez odkrycia, tj. przez naukę czystą, nie troszczącą się o zastosowanie praktyczne. Za mało było w Polsce czysto naukowych studjów historycznych, iżby dały się robić na ich podstawie wynalazki polityczne, to też te, które niby porobiono, okazały się wszystkie nie do użytku.

Uprawiano atoli także historję „niestosowaną“, i to z wielkimi sukcesami. Epokę stanowi pod tym względem założenie Akademji Umiejętności, która nadała wydawnictwu źródeł historycznych u nas metodę i program. Nie zabrakło znamienitych wydawców, z Wincentym Zakrzewskim na czele, edytorem niezrównanym, dorównującym najlepszym europejskim. Na podstawie dobrych wydawnictw powstawały dobre prace monograficzne, w czem prym trzymał fenomenalny talent Tadeusza Wojciechowskiego, a pośród młodszych Karol Potkański. Zdobyliśmy się też w krótkim stosunkowo czasie na odrobienie od lelewelowskich czasów nagromadzonych załegłości w t. zw. naukach pomocniczych, których stan nadaje się najlepiej na kryterjum ogólnego stanu nauk historycznych. Tu działali wiele, na podziw wiele Piekosiński, po nim Krzyżanowski Stanisław, z żyjących Semkowicz.

Ruch naukowy historyczny wzmaga się, badania archiwalne postępują, ilość udatnych rozpraw naukowych rośnie z roku na rok, prace wybitne nie należą już do rzadkości. Długoby trzeba wyliczać, żeby wymienić imiona zasłużonych historyków, (choćby ograniczyć się tylko do zmarłych). Nie o to chodzi nam jednak, lecz tylko o wykrycie cech nauki polskiej.

Większość historyków polskich okazywała od czasów Wielkiej Emigracji i okazuje dziś jeszcze skłonność do nadzwyczajnego upraszczania sobie zjawisk historycznych. Często (zwłaszcza u Bobrzyńskiego) znać całkowite niemal ignorowanie tego, co stanowi właśnie nieodłączną cechę wszelkich zjawisk życiowych: z a w i ł o ś ć, która jest tem większą, im bardziej życie się doskonali, a którą można rozwiązywać tylko mozolną indukcją.

N a u k i p r a w n i c z e odznaczają się od dłuższego czasu (zwłaszcza w Niemczech) żywiołową jakąś niechęcią do zawilosci zjawisk życia. Tkwiącą w metodzie prawniczej dążność do upraszczania doprowadzono do przesady, nieraz do absurdu; wszak marzono o wprowadzeniu do prawa metody geometrycznej! Niegdyś Lelewel celował wykształceniem prawniczym, lecz potem należało ono do rzadkości wśród naszych dziejopisów, i dzięki temu niedostatkowi łatwo było popaść w jednostronność przy pierwszym ponownem zetknięciu się z metodą prawniczą. Studium wydarzeń historycznych połączył z kwestjami prawniczemi najlepiej Oswald Balzer, daleki od wszelkiej jednostronności i nieskłonny do hołdowania dedukcji; jest to uczony stanowczo najlepiej przygotowany do roztrząsania konstrukcyjnych zagadnień dziejowych, obcy wszelkim improwizacjom naukowym. Obok niego staje Władysław Abraham, drugi filar polskich studjów prawniczo-historycznych. Nie brak wśród młodszego pokolenia zdolnych prawników, ani też nie brak im zainteresowania do kwestyj historycznych, podczas gdy pośród historyków niwieszyscy jeszcze posiadają wykształcenie prawnicze. Socjologii dziejopisowie nasi niemal że nie tknęli.

Można skutkiem tego zarzucić polskiemu ruchowi historycznemu pewną ciasnotę. Na usprawiedliwienie tego znajdzie się mnóstwo okoliczności łagodzących, ale fakt faktem. Cierpimy na zacieśnienie metodyczne i na

zacieśnienie treści, ograniczając się niemal wyłącznie do badań około historii polskiej.

Samo zaś prawo cierpiało w okresie porozbiorowym na brak warsztatu. Niegdyś prawnicy polscy składali dowody, że nie napróżno dano im być obywatelami wielkiego państwa. Możemy się szczyć takimi mężami jak Jarosław Bogorya Skotnicki i Janusz Strzelecki lub Jan Rzeszowski, współpracownicy ustawodawstwa Kazimierza W., a cóż dopiero Pawłem Włodkowicem z Brudzewa, który na początku wieku XV wskazuje nowe zasady prawa międzynarodowego¹⁾. Od Tańczyckiego do Andrzeja Zamoyskiego i twórców Trzeciego Maja nie brakło nam zdolnych kodyfikatorów. Dwa razy w ciągu tych wieków zmieniliśmy poglądy na państwo i społeczeństwo: po Brudzewskim nastąpił Andrzej Maksymilian Fredro, zanim zrzucił go z piedestału Kollataj, a pośród tych głównych graniczników ileż odmian myśli polskiej od Modrzewskiego do Staszica! Wytworzyliśmy swe własne swoiste prawo publiczne, własne prawo międzynarodowe, oddzielaliśmy sądownictwo od administracji już w r. 1422 (przywilej czerwiński), a w r. 1791 my jedni dokonaliśmy przemiany państwa na nowoczesne bez krwawej rewolucji. Po rozbiorach, pozbawieni warsztatu państwowego, skazani na dostosowywanie się do obcych poglądów prawnych i na konieczność studjowania obcego prawa, nie zatraciliśmy jednak zmysłu prawniczego, co dobrze wróży o przyszłej naszej wydatności wiedzy prawniczej.

Obok łaciny „palestra“ dawała oświatę szlachcicowi polskiemu; zajmowanie się prawem było nader popularne, i nigdzie nie uczono młodzieży tyle prawa jak w Polsce. Wybitne zamiłowanie wiodło w tej dziedzinie do twórczości, i to znacznej, a uczony prawnik nie należał w Polsce bynajmniej do rzadkości. Nie zachodzi więc w tym

¹⁾ Grotius rozpoczął naukę tego przedmiotu; rzecz sama istniała oczywiście zawsze.

wypadku ów dziwny objaw, jaki zapisaliśmy przy filologii klasycznej, natomiast stwierdzić należy krótkotrwałość rozwoju nauk prawnych. Rozwój ten trwa właściwie zaledwie półtrzecia wieku od połowy XIV do początku XVII wieku, od statutów Kazimierza W. do „Polityki“ Petrycego (1605), poczem nastaje zastój.¹⁾ Od wieku XVII brak uczoności prawniczej coraz większy, podczas gdy popularność prawa została. Kiedy nastaje odrodzenie społeczeństwa, uczoność prawnicza zrywa się z letargu niemal pierwsza, a dzieje porozbiorowe dostarczają tysiącznych dowodów, jak starannie pielęgnowano ten dział nauk, którego wybitnemu rozwojowi przeszkadzały rzeczywiście tylko brak państwowości własnej.

Jest zaś historia prawa w Polsce odmienną niż w innych krajach Zachodu. Brak prawa feudalnego, brak recepcji prawa rzymskiego i przeprowadzona do najdalszych konsekwencji autonomia sprawiają, że prawa polskiego obcy nie rozumieją; nieporozumienie dochodzi do tego stopnia, że obcy mogą nabrać nawet mniemania, jakoby w Polsce wiedzy prawniczej zgoła nie było, nie było bowiem w Polsce tych działów prawa, z których wiedza prawnicza składa się u obcych narodów, zwłaszcza u Niemców. Mniemanie cudzoziemców przeszło do uczonych polskich i (nieprawdopodobne a jednak prawdziwe) można się u prawników uczonych polskich spotkać często ze zdaniem, jakoby w Polsce nauki prawnicze nie były zgoła istniały! Nie było tylko tych działów, jakie stanowią historję prawa u innych, ale to wcale nie dowód, że prawa wogóle nie było. Aż przykro, jak taka myłka logiczna mogła się zakraść do nauki polskiej.

¹⁾ Ostatnim etapem twórczości polskiej prawniczej jest wystąpienie Petrycego przeciw cenzurze w r. 1605. Ani nawet dla królewskiej osoby nie pozwalał na wyjątek od zupełnej wolności druku.

Rekapitułując przegląd nauk humanistycznych, musimy z żalem stwierdzić brak zdatności do filologii. Wszak wbrew temu, że w oświacie łacińskiej byliśmy pierwsi, wydaliśmy aż do połowy XIX w. jednego tylko filologa łacynistę, pracującego twórczo. Dopiero najnowsze czasy pozwalają stwierdzić, że i na tem polu rozwija się w nas zdatność do pracy twórczej. W językoznawstwie brak zupełny podłoża naukowego; mamy do zapisania niejeden piękny dorobek, ale to tylko epizodyczne przejawy. Sławistyka prawie że nie istnieje! Polonistyka ruszyła się (z jednym wyjątkiem leksykografii) dopiero za naszych czasów. A jednak pomimo takiego ogromnego opóźnienia i zacofania wręcz naukowego, są wskazówki, że może uda nam się odrobić jeszcze zaniedbania, i stanąć godnie obok innych narodów. W ostatniem pokoleniu językoznawców objawił się istny rozpęd zdolności twórczych, roztrząsanie kwestyj zasadniczych odbywa się nadspodziewanie dodatnio. Możemy się nawet poszczycić w tym zakresie znaczniejszym już stosunkowo dorobkiem odkryć naukowych.

W historii staliśmy długo przynajmniej narówni z Zachodem, a pod niejednym względem wyżej, ale w okresie upadku kultury narodowej historia upadła pierwsza, jakoby hasło dając do nauk powszechnego upadku. Od połowy XVII w. aż do Naruszewicza, to nazbyt długo! Zatraca się całkiem zdatność naukową w tej dziedzinie. Następujące potem przerwy rozwoju nie z naszej były winy. Filolog mógł być w najgorszych nawet warunkach dziejów porozbiorowych znaleźć ujęcie dla swej twórczości naukowej, gdyby ją był posiadał; historyk potrzebuje warształu bez porównania trudniejszego do urządzenia (archiwa, podróże, edytorstwo, nauki pomocnicze i t. d.) i nie mógł użyć zdatności swej, choćby ją posiadał w stopniu wyższym. Lelewel, organizacja umysłowa wyjątkowa zaiste, stał się znakomitym historykiem jeszcze przed emigracją, przed r. 1830. A potem mąciła ruch naukowy gorączka zrobienia z historii nauki

stosowanej. W najnowszych dopiero czasach równocześnie z językoznawstwem znać postęp, i to wielki.

W nauce prawa staliśmy przez pewien czas najwyżej z humaniorów. Praktyka przeplatała się przez dwa wieki w tej dziedzinie z teorią w sposób świetny, jak to zobaczymy w następnym rozdziale. Tymczasem zamknijmy koło naszej indukcji rejestrem do dziejów polskiej filozofji.

5. Filozofja.

Ubolewa się, i słusznie, nad niskim stanem filozofji w Polsce. Rzecz jest zaiste ciekawa, bo filozofowania nigdy u nas nie brakło, a nauka nasza od filozofji się zaczyna. Filozofowanie jest u Kadłubka, Witelo jest „jednym z pierwszych w XIII w. znawców i krzewicieli filozofji nowoplatońskiej w zachodniej Europie“, poczem następuje zajmujący wielce rozkwit scholastyki w Krakowie (o czem obszerniej niżej), a reakcja przeciw scholastyce jest w Polsce u Grzegorza z Sanoka (1403—1477) bardzo wczesna, boć to współczesny Mikołaja z Kuzy, „uchodzącego powszechnie za pierwszego zwiastuna nowożytnych w zakresie filozoficznego myślenia dążności“. Potem opanowały dziedzinę filozoficzną w Krakowie „umysły zbyt mało samodzielne“, ale zabłysnął jeszcze tłumacz Arystotelesa, Sebastian Petrycy († 1626), który „myśli Arystotelesa z zakresu etyki dalej rozwijając, doszedł aż do sformułowania dwóch zasadniczych w etyce stanowisk, tj. utylitaryzmu i intuicjonizmu, których to stanowisk uzasadnianie odgrywało najważniejszą rolę w badaniach etycznych XVII i XVIII wieku“.

I znowu posucha aż do braci Śniadeckich. Jan Śniadecki (1756—1830), przeciwnik Kanta, zwolennik empiryzmu w swej „Filozofji ludzkiego umysłu“ (1822), ma antagonistę w bracie, ogłaszającym już w r. 1799 „Mowę o niepewności zdań i nauk na doświadczeniu fundowanych“, oceniającym „znaczenie filozofji Kanta dla przyro-

doznawstwa". Są to umysły twórcze w całym znaczeniu tego wyrazu. Niebawem zaś, „czego nie powiedział Kant, bo krępował go duch czasu, to wszystko wydobył z niego i powiedział Wroński“ (1778—1853). On jeden z pierwszych formułował zasadę ewolucji wszechświata (początkowa „nieskończona nieokreśloność wszechświata określa się i różnicuje w sposób coraz wyrazistszy, coraz bardziej szczegółowy“). Wszechstronność Wrońskiego budzić będzie podziw poprzez wszystkie wieki; wszak „nie było ani jednego działu wiedzy czy to matematycznej, czy przyrodniczej, czy ekonomiczno-społecznej, czy historycznej lub filozoficznej, którejby Wroński nie był opanował i nie okazał się w niej mistrzem“. Uzupełnia plejadę naszą z początków XIX w. Józef Gołuchowski (1797—1858), który ogłosił w r. 1822 główne swe dzieło „Filozofja w stosunku do życia całych narodów i oddzielnych ludzi“. „Gdyby Gołuchowski nie był już nic więcej napisał, ta jedna praca wystarczyłaby, aby mu zapewnić nie tylko jedno z pierwszorzędných miejsc w dziejach myśli polskiej, ale także wybitne miejsce w dziejach filozofji XIX wieku w ogólności. Drugiej w tym rodzaju pracy powszechna literatura filozoficzna nie posiada“.

W połowie XIX w. nowa plejada. August Cieszkowski (1814—1894), filozoficzny twórca mesjanizmu polskiego; Bronisław Trentowski (1808—1869), zdumiewający nas dzisiaj nowożytnością pomysłów¹⁾ i oryginalnością najzupełniejszą, chociaż osnuł system swój na heglizmie, zmienionym o tyle, że wprowadził weń pojęcie Boga osobowego; Karol Libelt (1807-1875), który tak słusznie podniósł twórcze znaczenie wyobraźni, bez której myśl byłaby bezsilną — i cały szereg innych.

Następuje fala t. zw. pozytywizmu pod przewodem Aleksandra Świętochowskiego, „którego dzieło o powstawaniu praw moralnych jest może najlepszą pracą, na jaką się zdobył polski pozytywizm“, — i katolicka przeciw

¹⁾ Idę tu za najnowszemi pracami Władysława Horodyskiego.

temu kierunkowi reakcja, której przewodzą niepospolite umysły Stefana Pawlickiego, wielce zasłużonego badacza historii filozofii greckiej, tudzież Marjana Morawskiego, autora „Wieczorów nad Lemanem“, jednego z takich dzieł, jakie nie w każdym zjawiają się stuleciu. Nakoniec arcydługi szereg pracowników uważnych, starannych, dokładnych, ale nie lubiących się wyrwać na „systemy“, trochę komentatorów i uzupełniaczy, trochę próbujących znów (jak za czasów heglizmu) przepol-szczenia obcych myśli. Niełatwo byłoby klasyfikować ich, bo „chyba nie było w ostatnich czterdziestu latach ani jednego głośniejszego europejskiego albo nawet amerykańskiego myśliciela, któryby nie był na umysły polskie jakiegoś wywarł wpływu. Filozofja polska tego okresu może słusznie uchodzić za odbłask całego światowego ruchu na tem polu“.

Oto rusztowanie dziejów filozofji w Polsce, do którego nasuwają się pewne uwagi:

W części II. będę się starał wykazać, jak dalece twórczą była scholastyka krakowska XV wieku. Upadek filozofji w wieku XV tyczy się całej Europy. Można, a raczej trzeba zarzucić nam, żeśmy przespali dwa wieki rozwoju filozofji w Europie, wieki XVII i XVIII. Od początku XIX w. wydajemy raz wraz dzieła pierwszorzędnej wartości, ale brak rzeszy filozoficznej czyni z nich meteory jakieś, i przesuwa zbyt prędko do... historii filozofji, niewyzyskane należycie, niewessane w organizm naukowy i oświatowy polski. Szwankujemy wielce ilościowo, filozofom wybitnym brak tła filozoficznego w narodzie; do przemiany nauki w oświatę trzeba bowiem koniecznie odpowiedniej ilości uczonych, choćby o średnich tylko zdolnościach, ale sumiennych, pracowitych, dokładnych, rozumiejących swój przedmiot gruntownie. Wszyscy nasi wybitni filozofowie nie zdołali zapewnić społeczeństwu wykształcenia filozoficznego — oto tajemnica naszego niedomagania. Dopiero w ostatniem pokoleniu zanosi się na utrwalenie filozofji w Polsce, dzięki

coraz większej ilości owych pracowników, rezygnujących z własnych systemów, poprzestających na drobnych przyczynkach do rozwoju filozofji. Jest to zupełnie analogiczne do nastania „okresu monograficznego“ w historii. Skoro raz nastął, nie powinien już nigdy przestać istnieć.

Nie brak okoliczności łagodzących to zaniedbanie, iżeśmy pomimo wielkich talentów nie wytworzyli polskiego „świata filozoficznego“ w XIX wieku. Wystarczy nadmienić, że Wroński musiał pisywać po francusku, a Gołuchowskiego za jego „Filozofję w stosunku do życia“ Nowosilcow usunął z katedry wileńskiej. Warunki pracy kulturalnej w Polsce XIX wieku tłumaczą niemal wszystko. Co warta wolność, choćby „łatana“, widać na pomnożeniu, jakiego doznała filozofja od czasu wolności szkół i uniwersytetów w zaborze rakuskim, tudzież od założenia Akademji Umiejętności. A skoro tak, wolno roić niemałe nadzieje, gdy posiadamy oto wolność całą. Miejmyż otuchę, że najnowsza wielka synteza filozoficzna polska, Erazma Majewskiego „Nauka o cywilizacji“ nie przejdzie do historii nazbyt prędko, że filozof twórczy nie zmarnuje się już u nas skutkiem braku rzeszy filozoficznej.

6. Nauka, oświata, dobrobyt.

W Polsce rozpoczęło się życie umysłowe nie od oświaty, lecz od nauki. Jest to objaw powszechny, gdyż uniwersytety starsze są od szkół ludowych. Nauka musi być w pierw, bo oświata jest właściwie spopularyzowaniem nauki. Gdyby nie było nauki nigdzie, nie byłoby też nigdzie oświaty. Jakoż znane są ludy, nie wykazujące ani nawet „cienia śladu“ jakichkolwiek zawiązków oświaty, ludy izolowane, niepoddane wpływowi cywilizacyjnym z zewnątrz. Obserwowanie początków myślenia, tj. początków rozwoju umysłowego, poucza, że oświata może się wyjątkowo zaczynać od sztuki, od poezji,

ale narazie wykluczmy jeszcze z naszych roztrząsań ten objaw, pozostawiając go sobie na koniec następnego rozdziału. Narazie poprzestajemy na rozpatrywaniu stosunku oświaty do nauki, obydwóch do dobrobytu.

W Polsce rozpoczyna się tedy rozwój umysłowy od nauki. Za czasów Kadłubka († 1223) nie myślał nikt o oświacie, tylko o naukowem przygotowaniu kleryków. Z aktów najstarszych uniwersytetów europejskich (bolońskiego, padewskiego, paryskiego, montpelliarskiego i i.) stwierdzić można, że co najmniej na przełomie XII a XIII wieku dojeżdżali tam polscy scholarzy studjować prawo kościelne, czasem świeckie i nauki wyzwolone. Kadłubek studjował w Paryżu. W kronice swej pozostawił mnóstwo śladów wielostronnej uczoneści, rozsiawając ją po całym dziele.

Kwitnął potem Witelo w trzeciej ćwierci XIII stulecia, kiedy o oświacie w Polsce mowy jeszcze być nie mogło.

Wysoko stoi już nauka, czego dostatecznym dowodem przytoczone tu nazwiska, ale jeszcze jedynymi ludźmi oświeconymi „in nostra terra, scilicet Polonia“ (jak pisze Witelo) są uczeni. Tak samo było, kiedy Kazimierz W. zakładał uniwersytet, kiedy Władysław Jagiełło uzupełniał go wydziałem teologicznym. Można się spierać o to, kiedy się zaczyna w Polsce oświata, tj. odkąd pojawiają się ludzie wykształceni, a nie uczeni; nam tu starczy stwierdzić, że długo była w Polsce nauka bez oświaty. Podobniez bywało u wielu społeczeństw innych.

Ale może być odmiennie. Jeżeli silnym jest napór umysłowości z zewnątrz, a społeczeństwo dane przyswaja sobie wyniki obcej nauki gromadnie, samo nie przyjmując czynnego udziału w dalszem jej rozwijaniu, natenczas oświata może się znacznie rozszerzyć, a nauka nie powstanie. Tak bywa z reguły poza Europą. Oświata oparta na pośrednio czerpanych echach nauki obcej może się znakomicie nawet szerzyć, chociaż w kraju nie będzie ani jednego uczonego.

Najczęściej zachodzi równoczesność jednego i drugiego objawu, ale rzadko natomiast zdarza się równomierność. Zazwyczaj to lub owo przeważa znacznie nad drugim. Może być wysoki stan nauki przy niskim stanie oświaty — i przeciwnie, upadek nauki pomimo wysokiego stanu oświaty. A co najbardziej dla historyka zajmujące, że stosunek oświaty do nauki może być w dziejach tego samego społeczeństwa w rozmaitych czasach rozmaity. Równomierność jest tu ideałem. Spełnienie go wymaga wielu skomplikowanych warunków, lecz zasadniczym warunkiem będzie zawsze, ażeby nauki rozwinęły się w społeczeństwie tak dalece, iżby mu do szerzenia i pogłębiania oświaty starczyć mogło w zupełności czerpanie z własnych źródeł uczoneści.

Dzieje nauk w Polsce stwierdzają niestety, że nauka polska nie stała się takim źródłem, obfitem dostatecznie, iżby oświatę utrzymać na poziomie europejskim bez uciekania się do źródeł cudzych. Źle jest, jeżeli wyniki nauki obcej bezpośrednio stamtąd zostają wprowadzane do oświaty powszechnej, bez pośrednictwa własnego świata naukowego tegoż społeczeństwa. Źle jest, bardzo źle, jeżeli krzewicielami oświaty w pewnym społeczeństwie muszą być obcy. Tak źle u nas nie było nigdy, ale z powodu niedostatecznego stanu nauk (to pod tym, to pod owym względem) szwankował często stosunek oświaty do nauki, równomierność należała do rzadkich wyjątków, a upadek oświaty zawsze nam zagrażał.

Polska nie miała szczęścia do nauk, jakkolwiek nie brakło Polakom nigdy zdolności, a ochota znajdowała się... często (więc jednak niezawsze). Zrazu to samo oddalenie od głównych szlaków międzynarodowych, które zaznacza Gallus na samym wstępie swej kroniki, a które zdecydowało o ubóstwie kraju, stanowiło nie tylko co do dóbr materialnych przeszkodę rozwojowi, lecz niemniej co do duchowych. Szlaki handlowe bywają zazwyczaj zarazem szlakami wymiany myśli; oddalenie od jednego oddalało nas tedy i od drugiego. Trudność tę pokonaliś-

my świetnie, jak to wykazują przytaczane powyżej przykłady. Pomimo odległości (na owe czasy niezmiernych) Paryż i Padwa nie były obce Polakom, ale bądź co bądź Polaków takich, którychby było stać na pokonanie przeszkody wielkich odległości, nie mogło być wielu.

Jak wszystko na świecie, tak też i rozwój nauk pozostaje w związku ze sprawami ekonomicznymi, z kwestją dobrobytu. Czasy dobrobytu przygotowują zazwyczaj następujący po nich rozwój nauki; jeżeli dobrobyt trwa dłużej, nauka mu towarzyszy wiernie. Ubóstwo zwiastuje zawsze upadek nauk, trwające zaś dłużej—wiedzie do całkowitego o nauce zapomnienia. Tylko jednostki mogą stanowić wyjątek, ale natenczas stają się też wyjątkowemi w swem społeczeństwie postaciami, i nie wywierają wpływu, ani nawet nie mogą zająć należnego sobie stanowiska ni znaleźć uznania. W takich okresach zdarza się, że takie wyjątkowe jednostki przechodzą do społeczeństw innych, a nawet wynaradawiają się. Dzieje narodów europejskich dostarczają mnóstwa przykładów takiego nieuniknionego związku spraw materialnych z duchowymi; i w historii stwierdza się prawidło, że człowiek składa się z duszy i ciała.

Jakościowo pokonaliśmy tedy świetnie przeszkodę oddalenia od wielkich dróg nauki europejskiej, od Paryża, Padwy i Bolonji, ale nie mogliśmy pokonać przeszkody ilościowo, nie mogliśmy wysyłać tam znaczniejszej ilości adeptów nauki, bośmy na to byli za ubodzy. Rozwój nauki wymaga zaś w znacznym stopniu tego ilościowego momentu, bo chodzi o to, żeby wyrobić „świat naukowy“ w społeczeństwie, żeby uczony, pracujący twórczo, nie czuł się obco, żeby w kategorii myślenia naukowego nie musiał szukać dla siebie podłoża pośród obcych, lecz żeby myśl jego rozwijała się na swojskiem podłożu i do tego podłoża wracała, słowem, żeby uczony nie znalazł się poza społeczeństwem własnem. Na to jedyna rada w odpowiedniej ilości osób, mogących go zrozumieć i chcących zajmować się sprawami, jakie nauka poruszy. Przy

pewnej ilości osób naukowo wykształconych musi się wreszcie wytworzyć jakaś twórczość naukowa, muszą się wreszcie znaleźć uczeni, zdolni pracować samodzielnie. Rozwój nauki niemieckiej polegał niemal wyłącznie na niezmiernej liczności świata naukowego; ilość zdobywała się na jakość, chociażby w zbyt małej do ilości proporcji. Pomimo wszelkich wad niemieckiego ustroju nauki, doszły Niemcy bądź co bądź do tego nieocenionego rezultatu, że mogły oprzeć u siebie oświatę wyłącznie na niemieckiej nauce, a to triumf nielada.

Ilościowy rozrost nauki jest wręcz niemożliwy bez dobrobytu. Dlatego też uniwersytety kwitną tam tylko, gdzie kwitnie dobrobyt, ilość ich i jakość jest wprost proporcjonalną do ekonomicznego stanu kraju. W kraju ubogim napróżno mnożyć uniwersytety, jakość ich sprawi zawód i zejda do rzędu lichych uczelni średnich, jak np. niemieckie po wojnie 30-letniej, hiszpańskie po strasznem przesileniu ekonomicznem z końca XVI wieku; a jakżeż próżne są wysłki uniwersyteckie krajów południowo-słowiańskich, zbyt jeszcze ubogich, niewiele ekonomicznie zróżniczkowanych. Spełni jednak słaby nawet uniwersytet zawsze zadanie ilościowego przysparzania świata naukowego, jeżeli tylko nazbyt wielkie ubóstwo nie zważy słabego kwiatu i nie wypaczy uniwersytetu.

Nie przygodny to wcale zbieg okoliczności, ale głęboki związek przyczynowy, że założycielem uniwersytetu polskiego jest król-gospodarz Kazimierz Wielki, a założył go w latach, kiedy podniósł się znacznie dobrobyt kraju. Można dużo objawów historycznych okresu piastowskiego wyjaśnić ubóstwem Polski; faktem jest, że Polska pozyskała uniwersytet właśnie wtedy, gdy po raz pierwszy przestała być ubogą. Istnieje też w dalszych okresach związek ciągły pomiędzy stanem nauk w Polsce a stanem ekonomicznym kraju. Kwitnie najbardziej nasz uniwersytet w owym wieku XV i w tej jeszcze części XVI, kiedy rósł dobrobyt i miast i stanu ziemiańskiego; podupadać poczyna, skoro tylko zachwia-

ła się równowaga ekonomiczna społeczeństwa. Sam żywiol ziemiański uniwersytetu nie może utrzymać na odpowiedniej wyżynie, i już Jan Kochanowski stwierdzić musiał niższość krakowskiej Szkoły, upatrując powód w tem, że za mało na nią łożono kosztów (w „Satyrze“). Wiek XVII zeszedł nam cały niemal na wojnach, druga jego połowa spowodowała niesłychany upadek dobrobytu i zupełny uniwersytetu upadek. Dobrobyt wzniawia się następnie jeszcze, ale tylko w jednej warstwie: szlacheckiej, a ta jednostronność ekonomiczna wpływa fatalnie na wszelkie dziedziny życia publicznego, nie w najmniejszej mierze także na upadek nauk. Wszak szlachcic przestał troszczyć się o oświatę, będąc pewnym, że bez oświaty i tak osiągnie wszystko, bo wszystko z urodzenia należy mu się. Skoro stopień oświaty przestał stanowić rękomię, a przynajmniej ułatwienie powodzenia w walce o byt, ciekawość do nauki ograniczoną została do owych wyjątkowych jednostek, pozbawionych znaczenia w ogólnej ekonomice życia zbiorowego, znajdujących się niejako poza społeczeństwem. W okresie Stanisławowskim zaczyna się na nowo różniczkowanie ekonomiczne, przynajmniej do pewnego stopnia (o ile dopuściły warunki zewnętrzne), dobrobyt poczyną się udzielać zajęciom miejskim, podnosi się w każdym razie ogólny poziom ekonomiczny kraju — i oto podnosi się zarazem ogólny stan kultury i zjawia się reforma uniwersytetów. A czyż zamoyska akademja nie była wynikiem zamożności nie tylko rodu Zamoyskich, ale całej tamtej krainy? Czyż wileński uniwersytet nie powstał wówczas, kiedy Litwie otworzone były nowe horyzonty ekonomiczne? A jakżeż słabo wegetował twór akademji lwowskiej, której nie towarzyszyły pomyslnie warunki ekonomiczne prowincji? I czyż trzeba zawiłych wywodów, żeby zrozumieć, że losy uniwersytetów pozakładanych po odzyskaniu niepodległości zawisły bardzo a bardzo od losów waluty polskiej?

Upadek miast od drugiej połowy XVI wieku, „potop“, straszliwe przesilenia pieniężne XVII wieku, wyniszczenie Litwy wojenkami litewskich magnatów, całkowita w końcu bierność ekonomiczna Korony wobec Niemiec i „krajów cesarskich“ — oto etapy w historii... nauki polskiej. Nie mogli zaradzić złym tego następstwom najzdolniejsi uczeni, ani nawet tacy olbrzymi ducha, jak Paweł Brudzewski i Mikołaj Kopernik. Zaginęła nawet ich tradycja. Następcy ich tyle potem z Polską mieli związku, iż w Polsce się rodzili, ale ani działac dla Polski nie mogli, ani też, pośród polskiego ogółu podłoża dla siebie nie znajdując, nie zdołali powstrzymać... dalszego nauk upadku, aż dopiero rozwijać się zaczęło na nowo życie ekonomiczne nieco przynajmniej wszechstronnie. Postęp w jednej dziedzinie życia udzielił się wnet dziedzinie drugiej; to rzecz całkiem naturalna, boć w sprawach życia wszystko ma związek ze wszystkim, ale tu chodzi o stwierdzenie, że dobrobyt musi zawsze przynajmniej nieco wyprzedzić naukę, jeżeli nauka nie ma stanowić zjawiska egzotycznego. Najbardziej zaś przyswojona duchowi narodowemu nauka zacznie stawać się egzotyczną, skoro tylko dobrobyt zacznie się stale obniżać.

Za przykład niech nam posłuży wspaniała prawdziwie postać wspomnianego już wielkiego uczonego polskiego, Adama Kochańskiego, którego życie wypadło właśnie na okres ciągłego ubożenia Polski. „Umysł rozległy, filozoficzny, nie ograniczający się do jednej specjalnej gałęzi nauk ścisłych, myśliciel bystry i głęboki, zarówno w abstrakcjach matematycznych, jak i w zastosowaniach ich do astronomji, fizyki, do mechaniki teoretycznej, jak niemniej i praktycznej. Jeden ze stałych współpracowników wydawanej w Lipsku publikacji periodycznej *Acta Eruditorum* i w żywej z Leibnizem pozostając korespondencji, często zasiłał poważne to wydawnictwo swojemi pracami. Tam między innymi na oznaczenie ilości, będącej stosunkiem obwodu kół

dó własnej jego średnicy, podał sposób wykreslny, dający tę wartość z dokładnością zdumiewającą. Szczegółowy rozbiór matematycznych prac Kochańskiego doprowadza znawcę przedmiotu do uderzającego wniosku, że rodak nasz w różnych stadjach swoich dociekań był już nader bliskim odkrycia Leibniza - Newtonowskiego, a mianowicie wynalazku rachunku różniczkowego i całkowego, opartego na znanym już sobie pojęciu ilości nieskończenie małych“. Tenże Kochański umiał zastosowywać swą wiedzę odrazu w praktyce. „Uczony matematyk... autor pracy teoretycznej o statyce, w swej rozprawie o zegarmistrzostwie, wchodzącej w skład dzieła Kaspra Schotta p. t. „Technica curiosa“ z r. 1664, podał kilka ustrojów zegarowych własnego pomysłu, proponował próbowanie dokładności ślimaka zapomocą ciężaru zawieszonoego na strunie owijającej ślimak, pracował nad zastąpieniem w zegarkach szczecinek, których wtedy używano, sprężyną regulującą; zbudował zegarek z wahadłem magnetycznym; był wreszcie pierwszym inicjatorem zawieszenia sprężynowego, uważanego i dziś za najlepší zabezpieczające izochronizm wahadła“.

I cóż zostało w Polsce z tego Kochańskiego, który nie usuwał się bynajmniej od ludzi, boć był bibliotekarzem króla Jana III? Czasy tego panowania uważane są (i słusznie niestety) za czasy upadku nauki w Polsce; jest to rzecz powszechnie zresztą wiadoma. Co za szyderstwo losu! A przecież to ten król, który interesuje się astronomją, wyszczególnia Heweljusza, który odwdzięcza mu się „wyniesieniem na niebo Tarczy Sobieskiego“; interesował się również źródłami siarczanemi (koło Szklą w województwie ruskiem), które opisywał nadworny jego lekarz, Konnor; opiekował się nie tylko Krzysztofem Mieroszewskim, który kierował wzniesieniem fortyfikacyj w Krakowie i w Częstochowie i zostawił w rękopisie traktat o architekturze wojennej; to król, w którego obecności toczyły się najpoważniejsze swego czasu dysputy filozoficzne.

Oto jest prawdziwy obraz Sobieskiego; — i cóż z tego zostało? Sama osoba królewska przedstawia się dziś w mniemaniu ogółu, jakoby jakiegoś króla ciemnoty, dalekiego od zainteresowania się Muzami, opiewanego wprawdzie przez poetów, ale osobiście niedostępnego dla umysłowych rozkoszy. Nawet osobisty jego wizerunek przystosował się w wyobrażeniu ogółu do tła zgęszczającej się nad narodem ciemnoty nadciągającego okresu saskiego. Warunki materialne życia zbiorowego nie dopuściły do zorganizowania się świata naukowego w Polsce, a wobec tego — na nic wysiłki jednostek i cała ich wartość umysłowa; pozostają wyjątkami, których wartości ogół nie umie nawet obrócić na swą korzyść. Są to świadectwa zdolności polskich, a zarazem niemocy polskiej równocześnie w jednej i tej samej dziedzinie.

Zdolności są w świecie intelektu początkiem wszelkiej sprawy, ale same z siebie nie wydadzą dalszego ciągu, jeżeli nie otrzymają pomocy z zewnątrz, od okoliczności z innych dziedzin życia zbiorowego.

Zdolność stanowi niewątpliwie część intelektu, lecz taką, która tworzy łącznik bezpośredni z dziedziną woli i czynu, gdyż zdolność prze zawsze do zajmowania się tem, do czego się ma zdolności, a co zowieśmy upodobaniem, powołaniem nawet, gdy objawia się w wysokim stopniu. Zdolność bierna, oświatowa, poprzestająca na przyswojeniu sobie rezultatów badań cudzych, mieści się cała wyłącznie w intelekcie, podczas gdy zdolność czynna, twórcza, wykracza poza intelekt. Ponieważ zaś nauka nie używi się zdolnościami biernymi, ale wymaga koniecznie czynnych, boby ani nawet istnieć nie mogła przy biernych, a cóż dopiero rozwijać się — staje się przeto nauka łącznikiem między intelektem a wolą. Stąd nauki stosowane i inne jeszcze objawy, o których niżej rzecz będzie. Im nauka wyżej się rozwinie, tem bardziej prze do czynu; tem bardziej przyczynia się w społeczeństwie do wyrobienia kultury czynu.

Zdolność jest miedzą między polami Logosu a Ethosu. Sama może się rodzić i po tej i po tamtej stronie, ale winna na drugą stronę wychylać się; inaczej pozostanie bierną, gdy z Logosu się wywodzi, ujemną zaś (niszczyć tylko umiejacą), jeżeli od Ethosu wyszła. Zdolność intelektualna wymaga przeto pomocy wydatnej od dziedzin czynu w życiu zbiorowym, a zdolność do czynu potrzebuje ciągłego oparcia się o intelekt. Logos i Ethos wspomagają się wzajemnie; doskonała ich harmonja, równowaga i równoczesność wytworzyłyby doskonałą kulturę czynu.

Organizacja świata naukowego, to zorganizowany intelekt życia zbiorowego; zorganizowany dobrobyt, to organizacja woli, bo wartości materialne nie dadzą się wytworzyć bez użycia wykształconej woli. Tamto dziedzina organizacyjna Logosu, a to Ethosu. Bez znacznej pomocy Ethosu nie może tedy ostać się zorganizowany Logos, a Logos luźny nie zda się życiu zbiorowemu. Myśl luzem znalazłszy się w społeczeństwie, pozostaje tak długo izolowaną od ducha społeczeństwa, a skutkiem tego niepożyteczną dla życia zbiorowego, dopóki z postępem czasu, lepiej zrozumiana, nie wejdzie w dorobek intelektu osób, zajętych pracą nie tylko intelektualną. Czyli: teoria jest nieużyteczną, dopóki nie znajdzie uznania praktyków. Jałowe jest Logos bez oparcia się o Ethos.

Przejście z Logosu do Ethosu, to s z t u k a w y k o - n y w a n i a. W życiu zbiorowym sztuką tą jest polityka, ku której wypada się zwrócić teraz, jako ku następnemu ogniwu w toku naszych badań.

Rozdział VII.

Zdatność polityczna.

Polityka — jest to sztuka wykonywania pomysłów oderwanych. Jak rzemiosło uczy wykonywać pomysły uchwytnie materialnie, wymiarowo, podobnież polityka wiedzie do urzeczywistnienia celów intelektualnych; można ją nazwać rzemiosłem dziedziny intelektu. Tam s p o r z ą d z a się coś z danego materiału, a tu w c i e l a się jakiś zamiar z pomocą danych stosunków i okoliczności, stanowiących materiał dla polityka. Politykowanie gnieździ się wszędzie, od najprostszycy stosunków życia, to też używa się w mowie potocznej wyrazu „politykować” na oznaczenie celowo obmyślanej działalności w stosunkach nawet powszednich życia prywatnego; jednakże w języku naukowym przyjęło się ograniczenie tego wyrażenia do samych tylko stosunków życia publicznego. Przyjąwszy tę poprawkę, określimy politykę jako sztukę wykonywania zamiarów dotyczących ogółu.

Ktoby zgodził się ze mną, że w życiu publicznem nie powinno być niczego moralnie zdrożnego, mógłby określić politykę jako sztukę wcielania Ideałów. Ale nie zapędzajmy się przedwcześnie zbyt daleko!

Życie publiczne składa się z dziedziny społecznej i państwowej, a z tych każda ma liczne działy. Mówi się też o polityce np. kolejowej, taryfowej, ubezpieczeniowej, robotniczej, nawet o szkolnej, o polityce wewnętrznej i zewnętrznej; słowem, wszelka gałąź życia publicznego ma swoją politykę, tj. poszukiwanie sposobów wykonania pewnego zamiaru i osiągnięcia pewnego

celu w owej dziedzinie życia publicznego. Do rozsądku politycznego należy, ażeby polityka jednej gałęzi nie kłóciła się z drugą, żeby one wszystkie do jednego zmierzwały celu, i żeby były pod tym względem obmyślane i wykonywane trafnie.

Wymagają przeto sprawy te ogromnych zasobów znanstwa i są dostępne tylko najtęższym umysłem; im umysł mniej rozległy, im mniej znanstwa rzeczy mieści się w czyjej głowie, im niższego typu umysł sprawuje politykę, tem bardziej postępowanie jego i czyny stają się parodią polityki, i tem większe prawdopodobieństwo, że człowiek taki (choćby najpopularniejszy) będzie zbierał wyniki przeciwne zamierzonym, i że zaprowadzi na manowce społeczeństwo, czy grupę społeczną, która pozwala mu się wodzić.

Specjalistą być w polityce można tylko z pewnem zastrzeżeniem. Gdyby bowiem żadna z osób kierujących polityką oddzielnych działów życia publicznego nie ogarniała całości, natenczas pomimo największych wysiłków i najlepszej woli tych ludzi rezultat ogólny, tj. suma działalności ich wszystkich musiałaby być wielce ujemną, a to dlatego, ponieważ nie byłoby polityki ogólnej. Jedno szłoby do lasa, drugie do sasa, powstałby chaos, i nastaloby marnowanie sił państwowych i społecznych, podczas gdy celem polityki ogólnej musi być ich wzmaganie. Polityk wtenczas dopiero zna się naprawdę na pewnym dziale polityki, kiedy mu ogólna nie jest obcą. Prawidłó to uzupełnia się innem atoli, a mianowicie, że żadną a żadną miarą nie może być zdatnym do polityki ogólnej, kto.... nie zna się na niczem. Gdyby możebnem było społeczeństwo, złożone z samych ludzi rozumnych, dopuszczanoby w niem do publicznego uprawiania polityki tylko osoby, wybitne w pewnej specjalności, lecz zdolne do ogarnięcia całości życia publicznego. Im bardziej rozsiadła się w jakim kraju głupota, tem łatwiej o dyspensę od tych wymagań, od obydwóch!!

Poszczególne gałęzie życia publicznego przynależą do jednego z dwóch głównych konarów: do państwowych spraw lub do społecznych. Co za ogrom, żeby umieć orientować się w tych i tamtych równocześnie! A jednak naczelne stanowiska powinny być dostępnymi tylko dla takich; społeczeństwo zaś, któremu zabraknie mężów takiego pokroju, skazane jest na upadek.

Polityka nie może być inną w zakresie państwowym, a inną w społecznym. Na chorobę rozbieżności politycznej zginęły Niemcy, prowadząc politykę demokratyczną społeczną, państwową jednakowoż absolutystyczną niemal; oddając Rzeszę hasłom demokratycznym z powszechnem głosowaniem, lecz konkretne państwa, państwa Związkowe, zatrzymując w obęczach najciaśniejszego cenzusu i faktycznych przywilejów stanowych (w Meklemburgu nawet jurydycznie, gdyż obowiązywało tam aż do r. 1918 prawo feudalne). Niemcy runęły podczas wojny powszechnej, lecz nie z jej powodu. I bez tej wojny byłyby runęły od kataklizmów wewnętrznych, nieuchronnych, gdzie zachodzą rozbieżności polityczne.

Ład pomiędzy polityką państwową a społeczną stanowi nieodzowny warunek rozwoju obydwóch działów życia publicznego. Na jedno i na drugie należy przeto patrzeć krytycznie z wyżyn, pozwalających objąć wzrokiem jedno i drugie zarazem. Oto szczyt Ethosu ludzkiego!

Polityka do Ethosu należy niepodzielnie; dobra zaś polityka stanowi jego koronę. W polityce, we wszelkiej polityce, od najdrobniejszej aż do ogólnej, wszystko musi być celowem. Na nic tu cała metoda myślenia przyczynowego. Dziwny brak talentów politycznych w tem pokoleniu we wszystkich krajach Europy przypada równocześnie z zaprowadzeniem istnego monopolu dla metody przyczynowej w nabywaniu wykształcenia. Doszło do tego, iż górują nad europejskimi mężami stanu politycy azjatyccy, mniej wykształceni, ale mocni celowością każdego swego kroku, aczkolwiek celowość ich prymitywna.

Dobrá może być taka tylko polityka, która jest zawsze i we wszystkim państwowo-społeczną równocześnie. Traktowanie państwa w oderwaniu od społeczeństwa nie tylko jest błędnem, ale niebezpiecznym, prowadzi bowiem do lekceważenia sił społecznych, i kończy się często podporządkowaniem społeczeństwa państwu tak dalece, iż społeczeństwo staje się wkońcu jedynie przedmiotem doświadczeń państwowo-politycznych. Niemieckie uwielbienie dla państwa doprowadziło do tego, iż siłom społecznym przyznawano ledwie znaczenie środków pomocniczych do popierania siły politycznej państwa. Pomyłka fatalna, gdyż w obrębie cywilizacji zachodnio-europejskiej siła społeczna ma się do politycznej jak przyczyna do skutku. Wszelkie wzmoczenie siły społecznej działa zarazem politycznie, częstokroć natychmiast powiększając, jej zasoby.

Niema lepszego sposobu zapewnienia państwu mocy politycznej, niż pielęgnowanie sił społecznych. Niekoniecznie tedy trzeba uprawiać państwową politykę bezpośrednio, chcąc się przysłużyć politycznie, bo wszelka praca około dobra publicznego wydaje skutki polityczne. Pokazało się to na Wielkopolsce, która posiadając wielkie zapasy sił społecznych, przekuła je w odpowiedniej chwili na siłę polityczną. Gdyby nie zdatność polityczna Wielkopolan, nie byłaby Polska odzyskała niepodległości. Wszak polityka wymaga siły, a tę trzeba mieć z czego czerpać.

Skoro polityka stanowi o działaniu celowem, tem bardziej stosowaną być musi do czasu, miejsca i okoliczności; ażeby była skuteczną, winna być stosowną. Innemi słowy: musi wyrastać ze społeczeństwa, a wyniki jej muszą posiadać wartość zdobyczy społecznych, jeśli mają być trwałe. Gdzie to kryterjum zawodzi, tam błędna polityka musi prowadzić do zawodów.

Siły społecznej nie da się wytworzyć zapomocą aparatu państwowego. Państwo może pomagać lub przeszkadzać, lecz nie potrafi wywołać sił społecznych,

a wkońcu musi się albo zastosować do nich, albo upaść. „Oświecony“ absolutyzm nie wychowywał bynajmniej społeczeństw, lecz wchodził z nimi w kompromis, będąc raczej ich narzędziem niż sternikiem.

Państwu dzieje się najlepiej, gdy obywatele jego zajmują się jak najbardziej polityką społeczną (handlową, przemysłową, kredytową, komunikacyjną, i t. p.), a państwową dodatkowo tylko. Nigdy nie może być zbyt wiele osób, zajętych sprawami społecznymi, podczas gdy przeludnienie kraju politykomanami państwowymi wiedzie do upadku państwa. Hiperprodukcja państwowo-polityczna zagraża całym dziedzinom pracy społecznej, że będą leżały odłogiem, przez co osłabnie zdolność polityczna.

Im więcej wolności w jakim kraju, tem mniej tam politykomanji, bo stosunki, rozwijając się ewolucyjnie, niewiele stosunkowo dają pola do politycznego eksperymentowania. Sprawił to brak wolności w Europie, iż polityka przedzierzgnęła się w sztukę narzucania ogółowi celów, przyjętych przez rozporządzających siłą państwową. Stąd sztuczność polityki państwowej, i w znacznej mierze społecznej, uprawianej bez względu na istotne potrzeby. Wielkie siły, jakimi dysponowali przez cały wiek XIX ci, którzy dzierżyli rządy, sprawiały, iż zdolano niejedno narzucić na czas dość długi, iżby się to wydawało zakorzenionem już udatnie i znaturalizowanem — a z tego wyrobiła się znów wiara we wszechmoc polityki, jakoby celowem działaniem politycznem dało się osiągnąć wszystko. Tem skwapliwiej rzucano się do polityki, i Europa poczęła chorować na przerost polityczny, na nadmiar politykowania. Nieuchronny z tego skutek: upadek społeczny, widoczny aż nazbyt dla każdego.

Rozbudziła się też w wieku XIX nadzwyczajna zaciekłość polityczna, będąca objawem następczym wiary we wszechmoc polityki. Im bardziej zdawało się, jakoby wszystko mógł przemieniać i urządzić po swojemu ten,

któ posiada siłę, tem zacieklejszą musiała stać się walka o wpływ. Objaw ten udzielił się nawet Polakom, chociaż historia polska XIX w. starczyć powinna była za dowód i za ostrzeżenie, że polityką sztuczną nie osiągnie się niczego.

W ciągu wieku XIX, a zwłaszcza w drugiej jego połowie, rozpowszechniło się inne jeszcze błędne mniemanie o polityce, a mianowicie, jakoby jedynem dla niej kryterjum było: powodzenie. Uznawano za dobre wszystko, co się udało. Powodzenie polityczne dawało patent na bohatera. Przesąd ten stanowi prostą drogę do krótkowzroczności politycznej. Współcześni widzą tylko doraźne objawy powodzenia; na obserwowanie skutków dalszych nie starczy im życia. Ogłoszono tedy mistrzem polityki niejednego, kto przemocą czy chytryością osiągnął cel zamierzony na czas stosunkowo krótki, choćby popełnił błędy takie, które dłuższą trwałość jego dzieła czyniły wręcz niemożliwą. Usunięto z kryterjum politycznego momenty historyczne, akcentując wyłącznie współczesną doraźność. Doprowadzono do tego, że statysta, któryby chciał wciągać w obliczenia polityczne dalsze pokolenia, stał się niemożliwym w politycznym życiu, uchodząc za fantastę. Nikt np. nie chciał widzieć rażących błędów Bismarcka, a natomiast wysoka zdolność polityczna Cavoura poszła w zapomnienie. Windhorst, zaś, reprezentant cywilizacji łańskiejszej w Niemczech, uchodził za wielki charakter, za „poczciwość“, ale nigdy nie uważano go za wielkiego polityka. Ostatecznie stanęło na tem, że uczciwość przeszkadza polityce, i objawiono światu piątą ewangelję, głoszącą nowe przykazanie: Bądź cnotliwym, z wyjątkiem życia publicznego! Niecnota w polityce bywała wprawdzie zawsze, ale wytykano ją, jako niecnotę; w wieku XIX kazano ją wielbić jako cnotę w y j ą t k o w ą w dosłownem znaczeniu tego wyrazu. Reguła opiewała: pielęgnuj cnotę; wyjątek nakazywał rzucić cnotę w życiu publicznem,

i to pod srogim rygorem, że się będzie inaczej uważanym za głupca.

Rygor poskutkował znakomicie. Od spraw największych przechodziła zasada do coraz mniejszych, aż cały obszar życia publicznego opanowali ludzie mniej skrupulatni. We Francji ludzie z czulszem sumieniem wycofywali się całkiem z życia publicznego, a typ polityka „zawodowego“ począł się wyradzać w jakąś mieszaninę aktora i oszusta. Typ ten rozpowszechnił się szybko po innych krajach i nastąpiło powszechne zatrucie atmosfery życia publicznego.

A wszystko to wypłynęło z przekonania o wszechmocy politykowania, jako konsekwentne następstwo.

Dawniej, przedtem, panowało przekonanie o wszechmocy oręża w urządzaniu stosunków państwowo-społecznych. Mniemano, że można ludzi do wszystkiego zmusić przemocą. Niegdyś zaprowadzano ewangelję za pomocą wypraw wojennych. Nie takie dawne czasy, kiedy to orzeczono, że *cuius regio, illius religio*, a kto pragnie wyznawać religję inną niż dynasta owej krainy, powinien poszukać sobie dalej w świecie monarchę tegoż wyznania; przyznano tedy monarchom prawo wyganiaania z kraju poddanych innego wyznania, przymuszania zaś na miejscu do przyjęcia wyznania monarszego. Rozumując ściśle, przyznawano tedy w pokoju westfalskim (1648) tylko dynastjom wolność sumienia, legalizując zgóry ucisk religijny. Potem przyjęto, że tylko wola dynastów może być źródłem prawa publicznego, sankcjonując zgóry wszelką przemoc wobec pojęć niezgodnych z wolą dynasty. Rozbiory Polski, dokonane były w imię prawa dynastycznego przeciw konstytucjonalizmowi. Szereg kongresów pierwszej połowy XIX w., urządzanych przez „święte przymierze“ utrzymywał panowanie gwałtu dynastycznego nad całym kontynentem. W Polsce zaraz po rozbiorach pracowało się systematycznie nad zagładą języka polskiego, uważając to za wykonalne. Dziś wiemy, że wszystkie a wszystkie przyto-

czone tu pomysły są wbrew woli ogółu niewykonalne. Można porzucić wiarę lub język ojców, lecz nie można być przymuszonym do porzucenia ich; wszelkie eksperymenty tego rodzaju przypadły beżskutecznie. Przez wieki całe wierzyło się jednak mocno w możliwość nieograniczoną dokonywania zmian wszelkich, w narzucalność skuteczną wszelkich celów, jakieby wytknął sobie ten, kto rozporządza przemocą, tj. kto może użyć argumentu oręża.

Zasadę najwyższą uprawiania polityki w czasach t. zw. nowożytnych określić można słowy: kto ma wojsko, może sobie na obszarze zajęтым przez swe wojsko urządzić świat po swojemu. Późno dopiero w wieku XIX spostrzeżono się, że oręż posłużyć może tylko do eksperymentu, nie rokującego trwałości, jeżeli przeciwny jest woli ogółu. Im wola ta silniejsza, tem kruchszy wobec niej oręż przemocy.

Runął przesąd o wszechmocy oręża, a na jego miejsce wysunął się nowy o wszechmocy polityki. Miejsz otuchę, że policzone są dni i tego drugiego przesądu.

Polityka może być skuteczną trwale natenczas tylko, gdy utrzymuje się w granicach struktury społecznej i państwowej, powstałej ewolucyjnie w danym obszarze etnograficznym lub geograficznym. Polityka winna być służką ewolucji dziejowej.

Ażeby uniknąć nieporozumienia, pospieszam zaznaczyć, jako ewolucja nie na bierności polega. Ewolucja może być jednostronna, wielostronna, wszechstronna; tylko ta ostatnia jest prawdziwą, tamte zaś ewolucjami ograniczonymi, wstrzymanymi. Ewolucja polega na swobodnem współdziałaniu wszystkich możliwych w danych stosunkach sił, bierność zaś uszczupla je, wykluczając niektóre od współdziałania. Byłoby to błędem, mniemać, jakoby ewolucyjnem było wszystko, co dzieje się bez przymusu z zewnątrz; nie tylko przymus taki, ale i bierność znajduje się również poza ewolucją; bierność bowiem jest oddawaniem się w położenie przymusowe; Ludzie bier-

ni, oddający się tylko oddziaływaniu, sami zaś nie oddziaływający, znajdują się poza ruchem ewolucyjnym.

Polityka, mając być służką ewolucji, porusza tedy wszystkie siły, urastające ze społeczeństwa, kierując nimi w określonych powyżej granicach swej skuteczności.

Polityka posługuje się orężem; o ile ma to być trwale skutecznem, musi się poddać temu samemu ograniczeniu. Inaczej wojna będzie rodziła wojnę.

Wojna a dyplomacja stanowią dwie połowy polityki, to też obie należą do kategorii przejawów Ełhosu. Logosem polityki dyplomacja bynajmniej nie jest, ale nauka winna być Logosem wszelkiej polityki, tak wojennej, jako też dyplomatycznej. Nie pisząc rozprawy o polityce, nie wdaję się bliżej w te kwestje, nie dotykam też zagadnienia potrzeby lub zbyteczności wojny.

Chodziło tu tylko o pewne uwagi ogólne, potrzebne do oceny polskiej zdatności politycznej.

Historja polska jest obok angielskiej najbardziej ewolucyjną, a cechę tę dochowała aż do drugiej połowy XVII wieku (mniej więcej do czasu odsieczy wiedeńskiej), poczem ewolucja historyczna wstrzymana została, ustępując pola coraz bardziej bierności politycznej, którą zrzucił z narodu dopiero Sejm Wielki.

Była już mowa o tem, jak to w Polsce twórczość polityczna starszą jest od naukowej i artystycznej.

Polityka jako sztuka wykonywania zamiarów dotyczących ogółu widoczną jest już w celowem postępowaniu Mieszka I. Od czasu sporu 6-go Stanisława z Bolesławem Śmiałym społeczeństwo poczyna zgłaszać się do współpracownictwa politycznego, a już od połowy XIII w. zaczyna się w Polsce okres państwa wytworzonego przez społeczeństwo. Odtąd państwo zawsze na społeczeństwie się opierało, a jedyna próba narzucenia społeczeństwu ustroju państwowego nie wysnutego

z ustroju społecznego (próba Jana Kazimierza po uchyleniu „potopu“) spelzła na niczem.

Polska polityka była stale społeczno - państwową. Sprawa państwa związaną była licznymi węzły z posiadaniem ziemi, bo w ustroju polskim łączyły się pług i miecz w jednym ręku (przez nadania na „prawie żołnierskiem“, a potem przez przymusową służbę wojenną wszelkiego rodzaju właścicieli ziemskich w ustawodawstwie Kazimierza W.). Wszystkie kierunki polskiego życia zbiorowego były zawsze równocześnie społecznymi i państwowymi: dobre i złe, dodatnie prądy i ujemne, mieściły w sobie stale to i tamto. Po rozbiorach próby odzyskania niepodległości polegały na pewnych dążeniach społecznych zarazem.

Nie powstydzimy się sposobu, w jaki państwo polskie stało się „szlacheckiem“ w okresie od końca XIV do końca XVI wieku. Przegląd tych zasadniczych aktów ustawodawczych społeczno-państwowych, które zwykliśmy nazywać „przywilejami szlacheckimi“, nie dostarcza zaiste powodu do najmniejszego zgorzienia.

Przywilej koszycki (1374) nie był niczem więcej, jak tylko zakończeniem dokonywającej się już od stu lat nowej organizacji społeczno-państwowej, a mianowicie dopełnieniem ustawodawczej pracy Kazimierza Wielkiego. Nie rozpoczyna bynajmniej nowego okresu w dziejach państwa, lecz raczej kończy okres poprzedni, kończąc walkę społeczeństwa o prawo wobec państwa, walkę rozpoczętą za Bolesława Śmiałego. Ustawa podatkowa, a tem jest ów przywilej przede wszystkim, była prostem wypełnieniem braku dotkliwego w ustawodawstwie; byłaby nastąpiła i za Kazimierza W., gdyby się życie jego było przeciągnęło.

Przywilej czerwiński 1422 r. zawiera płatność podatku w gotówce, a nie w naturze; bardzo rozsądne żądanie, skoro obrót pieniężny wzmógł się już dostatecznie. Żądano dalej, żeby nie konfiskować nikomu majątku inaczey, jak tylko za wyrokiem sądowym; również wielce

sprawiedliwa myśl. Żądanie trzecie, żeby nie można było być w jednej osobie i sędzią ziemskim i starostą grodowym, świadczy bardzo zaszczytnie o tem pokoleniu. Oddzielenie sądownictwa od administracji jest fundamentem sprawiedliwości, a zatem przywilej ten cały stanowi postęp dobroczynny w rozwoju prawa polskiego. Pozostawiono sądownictwo administracyjne tylko do ciężkich zbrodni kryminalnych, gardłowych (tj. takich, na które mogła być kara śmierci). Oto cały przywilej czerwiński.

W następnym roku 1423 zjazd dostojników całego państwa w Warcie zajmował się prawem spadkowym, opieką nad małoletnimi i nadzorem ksiąg sądowych. Nie domagała się tedy szlachta wówczas żadnych szczególnych praw stanowych dla swej samolubnej korzyści, ale wywalczyła sobie tylko stopniowo prawa, które my dziś uważamy za całkiem naturalne, takie, bez jakich nie umiemy sobie dzisiaj wyobrazić porządków państwowych. Nie żądała szlachta ta dla siebie przywilejów w dzisiejszem znaczeniu tego wyrazu. Należy ostrzec każdego, komu się o tych „przywilejach“ opowiada, że w dawnych wiekach wyraz „privilegium“ znaczy po prostu tyle, co dzisiaj „ustawa“.

Przywilej jedlneński 1430 r. stanowi dalsze poważne udoskonalenie polskiego prawa sądowego, stanowiąc, żeby król sądził tylko w najwyższej instancji, ażeby nie rozsyłał od siebie „justycjonariuszów“ po kraju bezpośrednio. Obwieszczając zaś zasadę „neminem captivabimus, nisi iure victum“, zapisuje się tem samem w historii, jako wielka zasługa cywilizacyjna wogóle; czyż zasada, że więzionym być można tylko na podstawie wyroku sądowego, nie jest fundamentem cywilizacji? Zakaz, żeby król nie mógł bić monety bez zezwolenia dostojników państwowych, zmierza do wprowadzenia porządku w stosunki monetarne. Zakaz, żeby król podróżował po kraju nie na przygodny koszt ludności przydrożnej, wybierając od niej t. zw. „stacje“, lecz na koszt

skarbcza publicznego (królewskiego), stanowi roztropne uporządkowanie kwestji, wiodącej z natury rzeczy do niemiłych a niepotrzebnych nieporozumień; jest ten zakaz postanowieniem prawdziwie postępowem. Cóż innego zarzucimy temu „przywilejowi“? Czy dopatrzymy się niewłaściwości w postanowieniu, by także mieszczanie płacili poradne ze swych gruntów położonych za murami miejskimi? Czy może weźmiemy szlachcie za złe, że żądała zrównania w prawach wszystkich ziem polskich? Na tem bowiem koniec jedlneńskiego przywileju. My dzisiaj zażądałibyśmy zapewne natychmiast wszystkich tych „przywilejów szlacheckich“, gdyby one nie stanowiły w naszej umysłowości czegoś, co się już rozumie samo przez się.

Na zjeździe wojskowym w Cerekwicy w r. 1454 zażądano, żeby nie było wolno prowadzić wojny bez uchwały sejmików. Piorunowało się tyle w podręcznikach historii polskiej na ten pomysł, aż oto podczas wojny powszechnej wyłoniło się to samo żądanie w rozmaitych stronach Europy.

Ludzka to rzecz, że w najlepszych dążeniach znajdują się zawsze strony słabe; nigdy nic nie jest zupełnie dobrem, czyli doskonałym. Od czerwińskiego poczynając, były owe „przywileje“ wielce chwalebne, ale niebezpiecznym był sposób, w jaki je otrzymywano. Narady obozowe musiały rozluźniać karność wojskową, a zamieniając wojsko na jakiś olbrzymi sejmik, mogły się łatwo wyrodzić w plagę i klątwę wypraw wojennych. To też najpilniejszą sprawą dalszego rozwoju państwa polskiego było, żeby szlachcie dać jakąś instytucję prawną do obrad w imieniu wszystkich ziem polskich, z prawem inicjatywy, żeby nie radzili po obozach nad sprawami publicznymi. Jak najbardziej naturalny rozwój prawa polskiego musiał zmierzać do... sejmowania.

Za daleko zawiodłoby nas to tutaj, gdyby chcieć choćby jak najkrócej wyłuszczać genezę sejmów. Wystarczy zwrócić uwagę na owo cerekwickie odwoływa-

nie się do sejmików. Lecz cóż począć, gdyby jedne sejmiki były za wojną, a drugie przeciw? Jeżeli zaś o zamierzonej wojnie miało się radzić publicznie, na sejmikach, nie możnaby nigdy zająć nieprzyjaciela nieprzygotowanego. Uchwała tego rodzaju, wykonywana tak pryncyplownie, wychodziłaby w praktyce na to, że Polska zawsze poczeka, aż zostanie napadnięta.

Podczas wojny 13-letniej okazało się niepraktycznym, żeby każda ziemia z osobna uchwalała podatki, bo zapadały czasem uchwały niezgodne. Poczęto przeto łączyć sejmiki sąsiednich ziem, i powstały z tego dwa sejmy prowincjonalne, wielkopolski i małopolski. W r. 1457 zdarzyło się atoli, że Wielkopolska uchwaliła pospolite ruszenie, a Małopolska podatek po 12 groszy z łanu. W r. 1464 chciał król pospolitego ruszenia z Wielkopolski, ale Wielkopolanie oświadczyli, że skoro Małopolanie nie ruszają w pole, a tylko dają podatek na zaciężnych, i oni też wolą płacić po 12 groszy. Taka różność uchwał była kłopotliwą, próbowano tedy rady na to w ten sposób, żeby zebrać odrazu na jednym miejscu obydwaj sejmy prowincjonalne, lub przynajmniej ich delegacje. Pierwszy taki ogólny zjazd sejmowy odbył się w r. 1459 w Piotrkowie. W r. 1468 obmyślono po raz pierwszy правило, jak takie zjazdy zbierać. Małopolski sejm prowincjonalny zażądał wtenczas sam zwołania sejmku obydwóch prowincyj do Piotrkowa. Postanowiono, żeby szlachta wybrała z każdego powiatu po dwóch posłów sejmowych. Wtenczas też pojawia się nazwa na taki zjazd posłów z całego państwa: sejm walny. Instytucja ta miała zwolenników i przeciwników, ustaliła się dopiero od r. 1496, określiła się zaś prawniczo aż w r. 1505. W tym też roku stanęła uchwała *nihil novi*, że do ważności jakiegokolwiek nowej uchwały trzeba od-tąd, żeby się na nią zgodził król, zjazd dostojników podczas sejmku odbyty (senat) i posłowie sejmowi.

Wytworzyło się tedy sejmowanie polskie ewolucyjnie bez jakiegokolwiek myśli o uprzywilejowaniu jednego

stanu kosztem innych. Miasta królewskie miały prawo uczestnictwa w sejmie, lecz same się od tego wypraszały, nie chciały wyprawiać od siebie posłów, bojąc się, że to mogłoby poderwać ich samorząd i narazić mieszczaństwo na... podwyższenie podatków; woleli więc obchodzić zdaleka miejsce, gdzie podatki się uchwalało. Z własnej woli mieszczaństwa sejm walny stał się korporacją wyłącznie szlachecką.

Nie znajdzie nikt niczego zdrożnego na całej drodze, na której państwo polskie stało się w XV wieku szlacheckiem, a potem działała bezwładność. Widocznie więc zabrakło sił innych, skoro bezwładność rozstrzygała. Nastaly pokolenia, nie wytwarzające nowych sił społecznych w ilości dostatecznej. Siły nowe mogły być wyjść tylko z poza szlachty, a więc w pierwszej linii z mieszczaństwa.

W wieku XVI ogólny bilans siły społecznej wypada znakomicie. Wszak powstaje piśmiennictwo, w którym mieszczaństwo bierze udział narówni ze szlachtą; kwitną nauki, w których rozwoju mieszczaństwo zajmuje stanowisko przodujące; pojawia się szereg inowacyj w zarządzie państwa, z których możemy być prawdziwie dumni (podatek progresywny, rozdział skarbu „stołowego“ królewskiego od państwowego publicznego, utwierdzenie odziedziczonej po wieku XV zasady wolnego handlu i t. d.); wreszcie coraz znaczniejsze społeczno-polityczne oddziaływanie na ościennych — to wszystko nie mogłoby się było dzieć, gdyby w społeczeństwie polkiem nie nagromadziło się dużo siły społecznej. Olbrzymi był rozpad tej siły, przekazanej przez wiek XV, a wiek XVI dodaje swój dorobek, i to wystarczyło, jakkolwiek sił całkiem nowych, tj. nowych źródeł sił nie przybyło. Z jedynym wyjątkiem mieszczańskich uczonych i literatów, wszystko robi szlachta sama. Tak nie mogło być zawsze; twórczość społeczna, zbyt ograniczona, musiała się wyczerpać.

Udział szlachty w życiu narodowym zaczyna się od zawodu wojennego; udział mieszczaństwa od piśmienictwa. Mieczem utorowała sobie szlachta drogę polityczną, okupiwszy prawa swe krwią własną; od intelektu zaczyna tę samą drogę mieszczaństwo. Według wszelkiego prawdopodobieństwa byłoby się doszło tą drogą, tak różną do tych samych rezultatów narodowych, a może nawet droga od intelektu byłaby krótszą, ale przyczyny zewnętrzne wywołały upadek miast i zasypały nowe źródło siły społeczno-państwowej, zanim ewolucja dalsza zdołała je rozszerzyć należycie. Szlachta popełniła błędów niemało, potem wyrodziła się nawet w sobkostwie stanowym, ale przyczyną wszystkiego złego było to, że stała się jedyną siłą społeczno-państwową w Polsce. Ta „jedyność“ zgubiła ją i wszystkich innych, zgubiła Polskę całą.

Wynik byłby taki sam, gdyby „jedyność“ była przy mieszczaństwie; nie o to bowiem chodzi, która warstwa posiada monopol sterowania państwem, ale o to, żeby takiego monopolu nie było. Rozróżnijmyż sprawę według jej cech istotnych: nie szlachta zgubiła Polskę, lecz monopol polityczny jako taki. Byłby jednak zgubnym, gdyby go zamiast szlachcie przyznać „chłopstwu“.

Powiedziano powyżej, że nie mamy powodu wstydić się dróg, jakimi państwo polskie stało się „szlacheckiem“. Śmiem twierdzić, że do sprowadzenia monopolu szlacheckiego przyczyniła się w znacznej mierze... dobra wola tejże szlachty. W życiu prywatnem często się zdarza, że najlepsze zamiary, wykonywane niewłaściwie, podjęte niewczesnie, sprowadzają wyniki ujemne, a nawet szkodliwszemi się stają od złej woli. W życiu publicznem tem bardziej. O ileż bowiem łatwiej jest obronić się przed złą wolą, niż przed źle zorganizowaną wolą dobrą!

Polskie nobilitacje, służyć mające za nagrodę zasług, stanowiły prawdziwe nieszczęście Ojczyzny. A się-

gały one aż do włościaństwa, na świadectwo najlepszej woli stanu szlacheckiego, przygarniającego do siebie wszystkich, miłujących „dobro wspólne“.

Jak mamy na to wyraźne świadectwa w głosach współczesnych, szlachta polska miała w XVI w. piękne i szlachetne mniemanie o istocie szlachectwa, mianowicie, że nie ma to być warstwa zamknięta w sobie, z godnością polegającą na przywileju ślepego trafu urodzenia, lecz że winna być zbiorem wszystkich lepszych, rozumniejszych i zdatniejszych osób, pochodzących pierwotnie ze wszystkich warstw. Sypały się też w XVI w. nobilitacje; kto odznaczył się czemkolwiek, zostawał szlachcicem. Niejeden z piechoty wybranieckiej dostąpił tego zaszczytu; zdarzały się nawet nobilitacje całych wsi od jednego razu. A z tego skutki fatalne: kto miał być pierwszym wśród kmieci, stawał się ostatnim wśród szlachty. Ci, którzy mieli być przodownikami swej warstwy, stawali się jej cudzymi; warstwa zaś, z której wyszli, pozostawała upośledzoną, jak przedtem. Zamiast dążności do równouprawnienia, wyrabiało się dążenie, żeby przejść do warstwy uprzywilejowanej.

Częściej niż u włościaństwa zdarzały się nobilitacje mieszczan. Gdyby pozostali byli mieszczanami najlepsi miast obywatele, wywieraliby zbawienny wpływ na współobywateli miejskich; czyż zaś państwo obeszloby się bez współpracownictwa inteligentnego mieszczaństwa? gdyby im zagradzano drogę do „rzeczypospolitej“, próbowaliby wejść tam szturmem, bo przy pewnym stopniu inteligencji następuje zawsze domaganie się udziału w sprawach publicznych. Mieszczaństwo polskie pracowało dużo intelektem; świadkiem historia piśmiennictwa, ale nie wyrobiła się kultura mieszczańska, bo cały dorobek kulturalny miejski przechodził do warstwy szlacheckiej.

Spójrzmy dla przykładu na mięścinę trzeciorzędą nad górną Wisłą — Oświęcim. Młodzież tamtejsza garnęła się gęsto do studjów wyższych. W XVI w. kilkuset

oświęcimian oddawało się zawodom naukowym, a kilkunastu okryło się sławą, z wielkim Łukaszem Górą na czele. Był to mąż wielkich istotnie zasług, księżę prozy polskiej i jeden z najbardziej cywilizowanych Polaków wogóle. Co za szkoda, że zrobił się z niego Górnicki! Szlachcic naprędce, który z mieszczaństwem nie miał już nic wspólnego. I tak bywało ze wszystkimi; nadawano im herby i odrywano ich od rodzimego pnia. Skończyło się to na tem, że w tymże Oświęcimiu, tak przez Muzy upodobanym, w drugiej połowie XVII w. podpisywał się burmistrz... „znakiem Krzyża świętego“. Wszystko, co było lepszego, frunęło na wysokie drzewo, pomiędzy herby szlacheckie; zostało na gnieździe tylko to, co było mniej zdatne. A gdy potem zakazano królowi nobilitacji, gdy później ograniczono samo pojęcie szlachectwa do szczęśliwego urodzenia, mieszczanin, przywykły przykładać się do nauk dla otrzymania nobilitacji; przestał pracować nad sobą, gdy zabrakło przynęty i nagrody państwowej.

Powtórzmy sobie, że gdyby mieszczaństwo było silnem ekonomicznie, a przytem inteligentnem, gdyby miało być na czele ludzi, których rada w sprawach publicznych posiadałaby wagę, bez których ciężko byłoby się obejść w załatwianiu spraw publicznych — takie mieszczaństwo dążyłoby do równouprawnienia, byłoby się wcześniej czy później o nie upomniało, a w razie niechęci, byłoby wymusiło uznanie swych praw obywatelskich. Ale w Polsce niechęci do tych ludzi właśnie nie było; przeciwnie, była chęć nagradzania ich, jak najlepiej tylko nagradzać umiano, przyznając odrazu wszystkie prawa obywatelskie przez nadanie szlachectwa. Nikt się nie spostrzegł, że może powstać coś złego z dobrej wiary i dobrej woli.

W tem właśnie życia zbiorowego właściwość, że na nic samo odczuwanie sercem toku spraw publicznych, lecz trzeba patrzeć w przyszłość z pomocą rozsądku i z zimną krwią obliczać ze wszystkiego wszelkie możli-

we następstwa. Gdyby szlachta polska XVI wieku była gorszą, gdyby takich Łukaszów Górów była odpychała, może byłoby lepiej dla przyszłości narodu, bo Górowie byłiby organizowali mieszczaństwo, a inteligencja ich podniosłaby poziom tej warstwy. Aleć u nas najzdolniejsi mieszczenie marzyli o tem, żeby przestać być mieszczanami.

Nobilitacja tak pojmowana była przeto błędem politycznym, gdyż sprowadzała następstwa przeciwne zamierzonym, i stała się przyczyną skutków ujemnych. Mamy tu do czynienia z klasycznym przykładem źle zorganizowanej dobrej woli, a to z powodu przenoszenia żywcem teorii w praktykę: w tym wypadku teorii, jako szlachectwo obejmować ma wszystko, co szlachetne w społeczeństwie, ażeby zapewnić wpływy szlachetnym. Czyż można było wymyślić coś szlachetniejszego? I czyż to nie jest najzupełniejszą prawdą, jako szczęśliwym byłoby państwo, podległe wyłącznie wpływom obywateli szlachetnych, zorganizowanych do pracy publicznej? Taką to organizacją miała stać się szlachta polska, jak tego liczne są wskazówki w pisarzach złotego okresu piśmiennictwa. A tymczasem rzeczywistość zadała brutalnie kłam teorii, która nie uwzględniała zgoła warunków życia; nie uwzględniała... tarcia.

Takie stosowanie teorii zwiemy doktrynerstwem. Teoria polska nobilitacji jest pierwszym, a niestety nie ostatnim przykładem polskiego doktrynerstwa. Geneza jego w tem, że się nie odróżniało stopniowania ilościowego w życiu zbiorowym. Kiedy chodziło o wysnucie prawideł dla życia publicznego, robiło się to na podstawie życia rodzinnego, które jest zbiorowym wprawdzie, lecz nie publicznem. Zestawiania takiego sporo możnaby przytoczyć przykładów, a zazwyczaj kwapiono się zarazem z wysnuwaniem wniosków do praktyki państwowej. Jeszcze częściej czerpało się argumentację polityczną z drugiego stopnia życia zbiorowego, a mianowicie z „majętności“, co także nie należało do kategorii

życia publicznego. Nie zdawano sobie z tego sprawy, ani też tem mniej jeszcze z tego, że życie prywatne a publiczne bardzo niewiele mają ze sobą wspólnego co do ustroju. Zbiorowość publiczna — państwo, czy też część państwa (województwo, powiat) — nie są bynajmniej powiększoną do olbrzymich rozmiarów „majątnością“, a cóż dopiero rodziną. Zachodzi tu różnica nie ilościowa, lecz jakościowa. Pomyłka ta zdarzała się nie tylko u nas, ale u nas wysnuto z teorii najwięcej praktycznych wniosków, i trzymano się ich uparcie. My byliśmy w cywilizacji łacińskiej największymi doktrynerami.

Doktrynerstwo nasze zaczyna się w drugiej połowie XVI w., w czasie rozkwitu tedy piśmiennictwa politycznego. Niewszyscy pisarze polityczni mieli w sobie żyłkę doktrynerską, ale ci, którzy ją mieli (Orzechowski np.), byli najpopularniejszymi. Za daleko zaprowadziłoby nas poszukiwanie przyczyn tego objawu; poprzestańmy na stwierdzeniu faktu, bo w całej tej książce o zebraniu faktów chodzi przedewszystkiem.

Oczywiście, że doktrynerstwo polityczne osłabia zdolność polityczną, a podcina korzenie twórczości politycznej. Żadną miarą nie można zaliczyć do objawów tej twórczości samych teoryj, choćby najwspanialsze były. Polityka jest z królestwa Ethosu, a więc musi się legitymować praktyką, tj. czynną stroną życia publicznego.

Zdatność nasza polityczna wznosiła się do twórczości, póki nie owładnęło naszej umysłowości doktrynerstwo. Przyjrzyjmy się bliżej tej materji.

Dokładnem kryterjum łączności spraw społecznych z państwowemi jest stopień samorządu, co można obserwować dokładnie na urządzeniach wszystkich państw europejskich, od rosyjskiego do angielskiego. Znamienne to, że to samo kryterjum odnieść można do wolności obywatelskiej. **Wolność, to samorząd!**

W tej dziedzinie zachodzi drugie podobieństwo historii polskiej do angielskiej. Obydwa państwa nie знаły nigdy biurokracji. Anglii niesposób sobie wyobrazić z administracją biurokratyczną. Polsce została ona narzucona dopiero przez państwa zaborcze, a wznowione państwo polskie dopóty nie odnajdzie samo siebie, dopóty będzie się błąkało po manowcach, póki nie wytnie ze siebie tego pasorzytnego nowotworu; jeżeli zaś nie zdobędziemy się na powrót do ustroju samorządnego, niepodległość sama będzie ciągle wystawiona na sztych, gdyż Polska biurokratyczna nie zdobędzie się na właściwą ewolucję społeczno-państwową. W razie dłuższego utrzymania państwowości biurokratycznej musiałby nastąpić rozłam pomiędzy państwem a społeczeństwem, skutkiem czego państwo nie mogłoby się nigdy wzmocnić i nie mogłoby wogóle stawiać sobie żadnego celu poza najprymitywniejszą walką o byt. Zachodzi tu bowiem wypadek uprawiania polityki — w tym razie polityki administracyjnej — wbrew strukturze społecznej, ewolucyjnie wyrobionej. Biurokracja nie należy zgoła do ewolucji polskiej, a nawet jest duchowi narodowemu jaskrawo przeciwna. Zaprowadzono ją u nas przemocą obcego panowania, a pozostawiono po odzyskaniu niepodległości tylko siłą bezwładności, która nareszcie jednak przestanie działać...

Ograniczenie polityki do obrębu struktury ewolucyjnej społeczeństwa i państwa ścieśnia kazuistycznie jej zakres, ale zato ją pogłębia; co ujmie ilościowo niejako, przyda z lichwą jakościowo. Oby się trzymano na całą przyszłość tego ograniczenia, gdyż tylko w niem wyrasta twórczość polityczna. Jest ona wykluczoną przy polityce sztucznej, nie liczącej się z warunkami struktury ewolucyjnej w państwie i społeczeństwie. Twórczość jest bowiem emanacją z wnętrza, z własnego ducha, którego stanowi triumf i objaw zewnętrzny dojrzały; twórczość nie jest jakimś przygodnym nabytkiem z zewnątrz.

Dopóki polityka polska trzymała się szranek własnej ewolucji społeczno-państwowej, posiadała siłę twórczą. Oto nie naśladować Zachodu, nie przyjmując ni feudalizmu, ni później legizmu (powrócimy jeszcze do tej kwestji w jednym z następnych rozdziałów, poświęconym omówieniu stosunku do Europy), wytworzyliśmy ustrój własny, nie tylko zdolny do życia politycznego, lecz powołujący do nowego życia ościenne społeczności, już politycznie zamierające. Polska polityczna twórczość stawała się lekiem dla sąsiadów; wytrzymywała tedy próbę najcięższą, najtrudniejszą: próbę uniwersalności, iż nie była lokalną tylko zaradnością, ale dorobkiem powszechnej kultury politycznej. Polskie pomysły polityczne nie były dziełem samego tylko Ethosu polskiego, czynnego około utrzymania własnej państwowości, lecz zarazem dziełem polskiego Logosu, trwałym dorobkiem dziejów, podwyższającym poziom owej sztuki wykonywania zamiarów dotyczących ogółu.

Przez znaczną większość czasów naszego życia historycznego dawaliśmy sobie radę na europejskiej arenie politycznej własną twórczością polityczną. Państwo nasze wyłoniło się z własnej, rodzimej organizacji społecznej, a swoistość naszego życia publicznego uderza każdego historyka, prawnika, socjologa.

Państwo Władysława Niezłomnego (Łokietka) oparłszy się na idei narodowej, było pierwszym tego rodzaju ustrojem państwowym w Europie. Zdarność polityczna ustroju państwowego polskiego okazała się w dobie krytycznej po śmierci Kazimierza W., kiedy to za Ludwika węgierskiego obywaliliśmy się faktycznie bez króla, a zmuszeni sześć razy do buntu przeciw królowi, utrzymaliśmy państwo bez szwanku z pomocą organizacyj samorządnych. Dawaliśmy sobie doskonale radę, a nawet posunęliśmy państwo na wyższy szczebel rozwoju za pomocą nowego pomysłu politycznego: przez unję.

O stosunku naszym do Litwinów jako takich mowa będzie w osobnym ustępie części trzeciej. Tutaj zasta-

nówmy się nad samą zasadą unji, bez względu na specjalne stosunki polsko-litewskie.

Pomysł unji, jeden z najbardziej twórczych pomysłów w całej historii powszechnej, stanowi tem większą zasługę Polski, im bardziej oryginalnym on był w czasach, kiedy Zachód nie umiał urządzać stosunków międzynarodowych inaczej, jak tylko na zasadach prawa dynastycznego. System unij stanowi wyłączną własność polskiej umysłowości; wszak wzoru do niego nie było skąd czerpać. Polska znalazła się wobec stosunków i faktów, które nie dawały się regulować zapomocą form dotychczasowych; znalazłszy się wobec nowej treści, umiała Polska wynaleźć dla niej nowe formy — i w tem chwala twórczości polskiej. Wydała ona myśl nową, żeby sąsiednie kraje łączyć w jeden systemat polityczny, dokonywając tego nie przemocą, ale pod hasłem równoprawnienia i obopólnej korzyści. Obmyślona w tym celu nowa forma prawno-państwowa mieściła w sobie w zasadzie od początku obydwie główne pierwiastki prawa polskiego publicznego: swobody obywatelskie i samorząd. Wraz z unją zaczyna się natychmiast szerzenie tych dwóch zasad w kraju zunjowanym.

System unij posiada tę zaletę, że regulując stosunki między państwami czy narodami, wyklucza zgóry jednostronność i narzucenie czegoś słabszemu przez silniejszego, boć do unji trzeba koniecznie dwóch stron; a choćby druga strona była jak najslabszą, w unji wykluczone jest panowanie jednego narodu nad drugim, gnębienie jednego państwa przez drugie. Skoro w układzie pomiędzy dwoma państwami zachodzi w czemkolwiek stosunek nierówności, nie jest to unją. Unją jest zyskiem dla słabszego; dla silniejszego mniejsze przedstawia korzyści — ale jest korzyścią nadzwyczajną dla powszechności narodów, dla cywilizacji.

Przez półtrzecia wieku, od Kazimierza W. do początku wieku XVII rozwijało się też wspaniale prawo pol-

skie, a na torach zupełnej oryginalności, snując swe teorie, które wytrzymywały próbę praktyki.

Dzisiaj nie trzeba chyba wywodzić, ile byłaby zyskała Europa, gdyby w wieku XVI Jagiellonowie wzięli byli górę nad Habsburgami, gdyby na zachód od Polski (od Czech poczynając) zapanowała była idea unij zamiast idei dynastycznej. Unja a dynastyczna idea wykluczają się wzajemnie. Państwa oparte na dynastyczności stoczyły też walkę z Polską nazabój, aż wymazały ją z mapy politycznej Europy.

Gdyby system unij się rozwinął, okazałoby się, że mieści on w sobie największą różnorodność odcieni ze wszystkich form stosunków międzynarodowych; że jest najbardziej giętkim, ale też zato najsposobniejszym do jak najwyszczególniejszego zastosowania. Unja nie polega na jakimś niezmiennym kanonie. Dlatego właśnie, że nie może być narzuconą, musi zawierać w sobie niemało odcieni form, by dogodzić stronom pozostającym na nierównym poziomie państwowym, społecznym, kulturalnym. Inaczej musiało się zawierać unję z Litwą, inaczej z Prusami Królewskimi; a czyż unja z Czechami, na którą zanosilo się dość długo, nie byłaby jeszcze inną? Wyobraźmyż sobie (mówiąc po akademicku) debatę o unję z Niemcami, a uwydatniłby się wlot cały szereg kwestyj obcych zgoła tantym unjom.

Nie tylko z każdym kontrahentem unja musi być indywidualną, ale różnaitą być musi z tym samym kontrahentem w rozmaitych czasach.

Realizacja żadnego ideału nie odbywa się naraz, lecz stopniowo, bo w miarę pojawiania się nowych stron życia, muszą się one przejmować tymże ideałem, lub go odrzucać; jeżeli się nim przejmą, trzeba go dopiero wprowadzać w nowe kształty życia, a więc nie można do tego użyć form starych. Żywotność ideału polega na tem, by się on wciąż odradzał, ale nie na tem, by trwał bez zmian w szczegółach. Wszystko, co żywe, zmienem jest — inaczej skostnieje, przestarzeje się i zamrze.

Dany ideał życia publicznego musi się tedy realizować na nowo na każdym szczeblu rozwoju życia zbiorowego; korzystając oczywiście z realizacji poprzedniej o tyle, o ile tradycja ułatwia zawsze kontynuację dzieła. Tradycja winna ustrzec od opaczego, niewłaściwego stosowania ideału danego na nowym szczeblu rozwoju; dobrze jest, gdy się tę korzyść osiągnie, historia bowiem notuje wielkie nieraz pomyłki pod tym względem.

Życie zbiorowe komplikuje się coraz bardziej, to też realizacja żadnego ideału zbiorowego nie jest nigdy ukończona. Rozwój życia zbiorowego nie zna granic. Ci, którzy początkowo byli niższymi co do rozwoju społecznego, państwowego, kulturalnego, mogą przegonić tamtych, którzy pierwotnie silniejszymi byli. Równouprawnienie, stanowiące istotę unji, wymagać będzie w takim razie norm innych; trzeba będzie wprowadzić zmiany stosownie do nowych czasów i nowych ludzi. Systemat unij tem właśnie góruje ponad wszystkiemi innemi, że nie przesądza na przyszłość niczego na niczyją niekorzyść; mieści w sobie najwięcej rękojmi, że w najdalszej nawet przyszłości zasada równouprawnienia utrzymana będzie; zawsze z pomocą środków odpowiednich współczesnym stosunkom. Wszakżeż unja polskolitewska była zmieniana, poprawiana ośm razy.

Zdolność dostosowania się do czasu, miejsca i okoliczności jest w systemie unij nadzwyczajną, z pewnością większą, niż w jakimkolwiek innym ze znanych dotychczasowej historii europejskiej. Zdolność ta ma jednak granice i myliłby się, ktoby przypisywał zasadzie unji zupełną uniwersalność czasu i miejsca. Ideał ten ma też swoje ograniczenia.

Unją możliwą jest tylko pomiędzy członkami tej samej cywilizacji. Dlatego niewykonalnym stał się projekt rozszerzenia unji na Moskwę (poselstwo Sapiehy 1600 r. i sprawa ze Samozwańcem, 1604—08), a nawet projekt prostego połączenia obydwóch tronów w jednej osobie (kandydatury Iwana Okrutnego, Fiedora, a z dru-

giej strony kandydatura Władysława IV; pomiędzy tem zaś projekt zrzucenia z tronu Zygmunta III., a ofiarowania korony Samozwańcowi). Ale co więcej: utopją była ugoda w Hadziaczu z Rusią w r. 1658, którą zerwała sama Ruś, chociaż otrzymywała warunki świetne. Ani bowiem Moskwa, ani Ruś nigdy unji nie chciała. Nie mając odpowiednich pojęć w swej kulturze, nie mogła realizować czegoś pozostającego poza jej horyzontem. Ani Moskwa, ani Ruś nie mogły chcieć unji.

Unja nie da się oktrojować, chociażby towarzyszyła temu jak najlepsza wola. My zaś staliśmy się wcześniej doktrynerami unji, stosującymi system ten na ślepo, i to tak dalece, iżśmy przepomnieli o tem nawet, że do unji trzeba koniecznie dwóch pragnących ją zawrzeć; zatraciliśmy prosty rozsądek, skoro nam się mogło zdawać, że wystarcza, gdy my jesteśmy skłonni zawierać unję z całą uczciwością. Ileż czasu straciliśmy i sił na niewczesne zabiegi o unję we wschodniej Słowiańszczyźnie, należącej do innej cywilizacji! A doktryneryzm ten, rzecz jakżeż znamienne, obudził się natychmiast, skoro tylko zaczął się świt odrodzenia. Oto Czaratoryscy marzyli zrazu o unji z Moskwą, przypuszczając, że uda im się połączyć w swem ręku obydwaj trony, polski i rosyjski. A ledwie zabłysnęła jutrzienka niepodległości... Lecz nie piszę broszury politycznej. Powtórzę tylko, że nie może być unji, gdzie niema drugiej strony, pragnącej ją zawierać, a kto się upiera przy tem hasle, chociaż z tamtej strony nikt o unji nie myśli, daje przykład ślepego zaiste doktrynerstwa.

Skłonność do doktrynerstwa została nam, niestety. Nie może być gorszej zawady do wyćwiczenia się w sztuce wykonywania zamiarów dotyczących ogółu, czyli w polityce.

Spotykamy się tedy w Polsce ze szczególnym objawem: wielka twórczość polityczna obok niskiego stopnia rutyny politycznej. Cóż sądzić wobec tego o polskiej zdatności politycznej?

W polityce może być zdatność bez twórczości całkiem; może też być zdatność jednostronna, objawiająca się tylko twórczością. Zdatność zupełna obejmować musi i twórczość i rzemieślniczą niejako stronę wykonawczą.

Bez odrobiny twórczości, według cudzych wzorów, lecz korzystając też pilnie z cudzego doświadczenia, można w polityce zająć daleko i otrzymywać doskonale wyniki, zbierać wspaniałe korzyści. Żadna dziedzina intelektu nie wymaga tak mało zdolności twórczej jak polityka. Zdatność wykonywania może być wielką przy wykonywaniu pomysłów cudzych, a pomysły cudze mogą być zupełnie wystarczającymi do utrzymania państwa; gdy tymczasem gdzie indziej może panować obfitość nawet pomysłów oryginalnych, a dobrych, a szwankować zdatność do ich wykonania.

Do państwowej i społecznej walki o byt twórczość polityczna zapewne potrzebną nie jest; ale państwa, narody i społeczeństwa, nie obdarzające cywilizacji niczem własnym, oryginalnym, pozbawione są znaczenia ogólnego, ponieważ ogólny zestrój danego zespołu cywilizacyjnego byłby bez nich taki sam; nie mają też takie społeczeństwa żadnego celu poza własną walką o byt. Twórczość polityczna stanowi przeto nieodzowny warunek, ażeby dane państwo miało jakieś znaczenie i jakiś cel. Pod tym względem istnieje tu podobieństwo z życiem prywatnym: może się komuś bardzo dobrze powodzić, chociaż to osoba bez znaczenia, której brak celu w życiu; może zaś ktoś posiadać wielkie znaczenie dla potrzeb ogółu, przejęty górnymi celami w życiu, ale może mu się powodzić źle, bo choć celuje zdolnością twórczą, brak mu w dostatecznej mierze zdatności praktycznej życia powszedniego.

Znany to powszechnie fakt, jako dar inicjatywy rzadko łączy się ze zdatnością wykonawczą. Twórczość polityczna nie jest niczem innym jak darem rozumnej inicjatywy, dzięki której powstaje coś nowego w stosun-

kach życia publicznego. Jednostkę, która obmyśli coś takiego, pożytecznego dla ogółu, można, a w danym razie nawet należy zwolnić od wymagania, żeby sama wykonała, co wymyśliła; znajdzie się kto inny, specjalista od wykonywania. Inna atoli sprawa, jeżeli w całym społeczeństwie nie znajdują się wykonawcy; społeczeństwo, wzięte jako całość, nie może być zwolnione od postulatu wykonywania myśli w niem samym zrodzonych. W jakiegokolwiek zdarzałoby się to dziedzinie życia, w nauce, w sztuce, czy w przemyśle lub w jakimkolwiek zakresie, świadczyć to będzie zawsze o niedojrzałości, lub o niedostatkach w organizacji społeczeństwa, jeżeli inicjator poszukiwać musi wykonawców w obcym społeczeństwie, nie mogąc ich znaleźć we własnym. W polityce atoli jakżeż można ubiegać się o wykonanie pomysłu pośród obcych? Dodajmyż, że wykonawczość jest w polityce zbiorową, bo stanowczo niewykonalnym jest w życiu publicznym wszystko, czem nie zainteresuje się znaczniejsza ilość obywateli; nie osiągalnym jest, czego nie pragnie ogół. Ochoczych do wykonania muszą być tysiące, setki tysięcy, jeżeli pomysł polityczny ma być wykonany; inaczej pomysł przebrzmi bez echa, a nawet pamięć o nim zaginie. Wykonywanie niezawsze jeszcze kończy się wykonaniem; zdarza się wykonywanie bez rezultatu. Setki tysięcy pragną czegoś, wykonują to ofiarnie, z zapalem i poświęceniem, ale wykonywanie źle jest zorganizowane, a na czele akcji realizującej brak ludzi obdarzonych zdolnością polityczną — i wtenczas pomimo wszystko celu się nie osiąga.

Zdatność polityczna ogółu składa się tedy bezwarunkowo z obu pierwiastków, z twórczości i z umiejętności wykonania. Jeżeli jej brak twórczości, jest zdatnością niższego rzędu, lecz jeżeli jej brak wykonawczości, nie jest wcale zdatnością. Politykę oceniać należy pod tym względem odmiennie, niż inne działy pojęć oderwanych w życiu. Zdatność polityczna musi się wylegitymować

realizacją, boć inaczej jakżeż ocenić wartość samego pomysłu, póki nie został wypraktykowany?

Odróżnić należy jednak samo wykonanie od powodzenia w polityce. Może coś zostać wykonanem dobrze, a pomimo to nie powieść się. Powodzenie zawisło od okoliczności postronnych niemal tak samo, jak od wewnętrznej wartości samejże rzeczy. Polityk winien je przewidywać i postępować stosownie do tego; jeżeli tego nie umie, pozbawiony jest zdatności politycznej. Zachodzi atoli ten wzgląd, że pośród zawilego splotu okoliczności życia publicznego w danym kraju, a cóż dopiero w stosunkach międzynarodowych wyrobić się może zawsze jakiś *vis maior*, której uległszy, nie traci się nic ze swej wartości. I dlatego to powodzenie samo nie może stanowić wyłącznego kryterjum politycznego.

Polskie swoiste urządzenia życia publicznego: wolności obywatelskie, samorząd, unja, wytrzymały długo próbę realizacji; do tych pomyslnych zdobyczy politycznych dodać należy jeszcze polski program ekonomiczny aż do połowy mniej więcej wieku XVI (o czem była mowa w części pierwszej). W połowie wieku XVII realizacja psuje się; około roku 1700 sejmowanie przechodzi w karykaturę, samorząd w bezrząd. Dlaczego?

Nastąpił upadek polskich instytucyj życia publicznego, ponieważ przestały się one zmieniać odpowiednio do nowych czasów i okoliczności. Jak powiedziano wyżej, żywotność ideału wymaga nieustannego odradzania się z pokolenia w pokolenie; jeżeli zaś trwa on bez zmian w szczegółach, staje się przestarzałym. Niestosownie zorganizowany kierunek, choćby w zasadzie najlepszy, staje się szkodliwym. To też szkodliwym staje się wszystko, co przestaje ulegać postępowym zmianom, co przestaje „z żywymi naprzód iść“, co przestało się doskonalić.

Tu wystarczy powołać się na przykry fakt, który stwierdzono już w ustępie o prawie polskiem, jako rozwój jego trwał zbyt krótko. Unja lubelska była ostatniem

już określeniem stosunku do Litwy aż do sejmu czteroletniego (więcej o tem w osobnym ustępie o Litwie). Po tem jeszcze artykuły henrycjańskie, trybunały główne za Batorego — i prawo polskie popada w zastój. Twórczość prawniczo-polityczna zamknęła się... a ustrój życia publicznego u nas był zbyt swoisty, iżby można było węgutować naśladownictwem.

Nie wygasła twórczość polska społeczno-państwowa, ale straciła wszelką wartość polityczną, a nawet wpływała nadzwyczaj ujemnie na państwo i społeczeństwo, gdyż toczył ją czerw doktrynerstwa, rozpanoszywszy się już w straszliwy sposób. W półczwarta miesiąca zajął Karol Gustaw całą Polskę i Litwę, bo doktrynerstwo polskie robiło z niego kandydata do tronu elekcyjnego!! Andrzej Maksymilian Fredro (†1679) był twórcą całego systemu politycznego, wielce oryginalnego, który został wykonany i... prowadził prosto do upadku państwa. On wymyślił teorię polityczną, jako najlepiej nie zajmować się polityką zagraniczną, nie mieć fortec, a w skarbie pustki. Co nam dziś wydaje się obłędem umysłowym, to uważane było całkiem poważnie za mądre, przemyślnie wielce wskazania polityczne. Logiki nie odmówi Fredrze, kto przyjmie jego założenie, jako ludzie starają się szkodzić tylko takiemu, którego się boją; kogo zaś nie boją się, ten jest pomiędzy ludźmi bezpieczny. O wartości tej tezy możnaby dyskutować, gdyby stosowaną być miała do życia prywatnego; w dziedzinie publicznego jest to dziwoląg oczywiście.

Bo też Fredro uważa państwo za majątność narodu; jak wioska jest majątnością szlachcica. Po Fredrze nastąpił rychły już upadek życia publicznego.

Zamarła polska zdatność polityczna na doktrynerstwo. Choroba ta powstaje z jednostronności w rozważaniu danego przedmiotu. Taką jednostronnością było traktowanie życia publicznego pod kątem widzenia dobrze zorganizowanego życia prywatnego, stosowanie jednakiej metody tu i tam.

Pozostawało to niewątpliwie w związku z jednostronnością struktury życia publicznego, zawartego w wyłączności szlacheckiej, skutkiem czego zaczęto do państwa stosować „ekonomikę“ folwarku, mniemając, że to to samo, tylko na większą skalę....

Życie nie wypływa nigdy z jednego tylko źródła, ani nie płynie jednym tylko łóżyskiem. Zdrowe życie publiczne niemożliwe jest, jeżeli niewszystkim warstwom danem jest wytwarzać nowe siły społeczne. Wszelka siła wymaga ciągłego odnawiania przez powoływanie do działania nowych silników (motorów). Pod tym względem świat materialny a duchowy ulegają temu samemu prawu.

Polityka w Polsce, wyrastając nie z całego społeczeństwa, stawała się coraz znaczniejszej jego części coraz obojętniejszą; nie interesowano się tem, na co nie miało wpływu. W miarę jak możnowładztwo brało górę w upadającej Rzplitej, przestawała się już i szlachta interesować sprawami politycznymi. W ograniczeniu coraz ciśniejszem było więc coraz mniej pola do rozwoju zdadności politycznej.

Zapewne, ale czyż ścieśnienie to stanowiło cechę wyłącznie polską w owych czasach? W innych krajach pole twórczości politycznej, a choćby tylko ćwiczenia samej zdadności wykonawczej było jeszcze węższe niż w Polsce, ograniczone do monarszego dworu...

Ułomność jednostronności politycznej usuwano, indziej w potokach krwi, a w Polsce usunięto ją bez wojny domowej w wiekopomnej konstytucji Trzeciego Maja. Do zalet jej należy i to, że zapobiegała zgóry zastoju, nakazując co 25 lat rewizję ustawy.

Tymczasem *vis maior* stosunków zewnętrznych nie dopuściła do wykonania ustawy Trzeciego Maja. A potem... nieudane powstania polskie nie mogą stanowić dowodu zdadności politycznej. Czy okazujemy ją, odzyskawszy niepodległość?

Niełatwo wspiąć się ponownie na sam szczyt Ethosu, gdy go się raz opuściło. Tam trzeba się wspinać stopniowo, wśród znoju i utrapień. Lecz nie zrażajmy się. Ojcowie nasi umieli umierać dla Ojczyzny; my nie tracimy tej gotowości, a douczmy się żyć dla Ojczyzny, tj. umieć działać z korzyścią dla Niej.

Wspinać się na szczyt Ethosu, w dziedzinę polityki rozumnej, uczciwej a skutecznej, trzeba z pomocą Logosu, od którego pochodzi wszelki zawiazek twórczości. Bez odpowiednika Logosu polityka nie może być twórczą, choćby najczynniejszą była, tj. choćby najbardziej obfitowała w wydarzenia zewnętrzne. Nie może przeto być twórczą polityka uprawiana przez nieuków.

Ponieważ skuteczną może być polityka tylko w granicach struktury ewolucyjnej, a zatem tem samym tylko w granicach kultury umysłowej, istniejącej w danym czasie i w danym miejscu. Czerpać środki musi polityka ze wszystkich sześciu kategorii kultury umysłowej nowoczesnego społeczeństwa: z historyzmu i ludowości, z prac umysłowych około darów przyrody, z handlu, przemysłu i z oświaty. Państwo nowożytnie, powołując do obywatelstwa szersze warstwy ludowe, uległoby wykojeniu, gdyby nie dbało o oświatę tych mas; ich Ethos, puszczony samopas bez dozoru Logosu, prowadziłoby prosto do przepaści. Bez historyzmu niema polityki dla społeczeństwa, posiadającego historję; a że niema narodu bez historji, wszelka więc polityka narodowa musi czerpać środki z historyzmu. Ale będą to dopiero środki duchowe, trzeba zaś jeszcze materialnych, dostarczających siły materialnej. Polityka skuteczna musi przeto czerpać pełną dłoń z dobrobytu obywateli, z pielęgnowania z pomocą inteligencji darów przyrody, z handlu i przemysłu.

Niech mi będzie wolno powtórzyć, jako niema twórczości bez wytkniętego celu; a zatem niema bez tego polityki czynnej, takiej, która stanowi o znaczeniu państwa w układzie politycznym powszechnym. Znaczenie zaś Polski jest i będzie proporcjonalne do stopnia rozumnego

wyzyskiwania darów przyrody i wprowadzania ich w polski przemysł i handel (tego nie można powtarzać dość często). Państwo nowopowstające musi się znaleźć jak najprędzej na właściwym sobie miejscu pośród powszechności państw, musi pozyskać sobie jakieś znaczenie — z czego wynika, że dla Polski niema sprawy pilniejszej, jak sprawa podwyższania polskiego dobrobytu. Ta polityka będzie u nas twórczą, która ku sprawom dobrobytu zwróci się jak najmocniej.

Roztrząsania sprawy o naszą zdatność polityczną wymagały napomknienia o ramach polityki powszechnej, europejskiej. Jest to aż nazbyt proste, skoro roztrząsania nasze mają nas wieść do oznaczenia znaczenia i celu Polski. Ani jedno, ani drugie nie może być zbadane należyte bez uwzględnienia tła europejskiego. Nie posunęliśmy się też już ani na krok dalej w niniejszych wywodach, póki nie przeniesiemy dociekań naszych na szersze tło europejskiej powszechności.

Tam więc podążymy w części trzeciej naszego dziełka, badając *powszechność sprawy polskiej*, jako dalszą kategorię ujęcia przedmiotu, niezbędną do należytego wyjaśnienia zagadnień, o które nam chodzi.

Zacniemy od rzeczy ogólnej, od określenia stanowiska i znaczenia Polski w przedrozbiorowym okresie uczestnictwa jej w historii powszechnej europejskiej. Najogólniejszą kwestją dziejów Polski jest stanowisko jej historyczne na rubieży Zachodu a Wschodu, rola jej pomiędzy temi dwoma światami. Któż z nas nie zna miłego dla ucha wyrażenia o misji naszej historycznej do utworzenia syntezy Zachodu i Wschodu?

Od krytycznego rozpatrzenia tej kwestji zacniemy też nasze uwagi o powszechności sprawy polskiej. Zapiścimy się w odmienną zgoła dziedzinę zjawisk, ale nie oddalimy się ani na chwilę od przedmiotu, który winien być oświetlony wszechstronnie, jeżeli ma być wyjaśniony.

Treść tomu pierwszego:

Rozdział wstępny 1

Przygnębienie po wojnie zwycięskiej — Czy nowe w dziejach pojęcie dobra powszechnego? — Niepodległość jako środek do celu — Trzy sprawy wymagające wyjaśnienia.

Czy kwestja znaczenia i celu Polski nie jest fikcyjna? — Narodowość — Cywilizacje, ich cechy zasadnicze a znamienne — Cywilizacje bez narodowości — Zrzeszenia polityczne z wyłącznym celem walki o byt — Naród jako społeczność ludów zrzeszonych do celów z poza walki o byt.

Celowość — Prawa świata duchowego a materialnego — Niedomagania przyczynowości — O tworzeniu wydarzeń — Zdatność czynu a myślenia — Kultura czynu — Naród sam sobie cel oznacza.

Historjografja a metoda historyczna — Niezbędne rozprzestrzenienie nauki, polskiej nie da się osiągnąć metodą niemiecką — Stopnie powszechności dziejów — Trzy szczeble metody i nauki historycznej — Istota historii powszechnej.

Nauka o cywilizacjach — Logos i Ethos — Motywy planu książki.

CZEŚĆ I. KULTURA UMYSŁOWA.

Rozdział I. Historyzm a podkład ludowy 33

1. Historyzm.

Obcowanie pokoleń — Rodzaje tradycji i stopnie historyzmu — Tarcie — Romantyzm polityczny — Etyczność polskości — Polska metoda polityczna — Vis maior obecnej polskiej sytuacji międzynarodowej — Tradycja granic 1772 roku.

2. Podkład ludowy.

Przesąd o rzekomej pra-warstwie społeczeństwa — Geneza szlachty i ludu wiejskiego w Pol-

— sse — Przebieg pojęć inteligencji o ludzie wiejskim — Kultura chłopska — Przeżytki i odkrycia — Sztuka i poezja na podkładzie ludowym — Zakres istotny twórczości ludowej — Brak kultury mieszczańskiej.

3. Historyzm a ludowość.

Ludowość, historyzm a konserwatyzm — Konserwatyzm chłopski cechą najbardziej znamioną — Przystosowywanie się do zmian ekonomicznych — Zdolności rozwojowe — Oddziaływanie z góry w dół i z dołu do góry — Przesada ludowości w Polsce — Jej szczerść i pochodzenie rodzime — Wstecznicze wpływy rządów zaborczych — O rzekomej „oświecie ludowej“.

Ludowcowść — Ewentualności uprzywilejowania jednej warstwy — Groza rozbieżności kulturalnej — Lud sam niszczący ludowość — Historyzm u ludu — Dobroczytność pomyłki przesadnej ludowości.

Warunek postępu kultury — Logos i Ethos w stosunku historyzmu do ludowości — Walka o byt.

Rozdział II. Dary przyrody 88

Uszlachetnianie czynności wypływających z walki o byt — Rejestr naszych darów przyrody i początki pracy umysłowej około nich — Rolnictwo — Juljusz Au, Emil Godlewski i Adam Prażmowski — Zabiegi prywatne — Hodowla zwierząt domowych — Wodnictwo rolne i bartnictwo — Zootechnika nowsza, paleontologia zwierząt domowych i badania biologiczne — Górnictwo — Węgiel, sól, sole potasowe, nafta — Geologia naftowa — Geologia wogóle.

Niewola gospodarcza Polski zubożyła całe gospodarstwo europejskie — Przemienianie darów przyrody na walory kulturalne dawną właściwością polską — Zacołanie w stopniu wykonania.

Rozdział III. Handel i przemysł 114

Kultura w przekroju w sprawach ekonomicznych — Miejsce w handlu powszechnym — Błędy wspólne z Europą, a różnice na korzyść — W Polsce najstarsza wolność handlu, jedność monety, oddzielenie skarbu nadwornego od państwowego — Wyższość ekonomistów polskich w sprawie pieczy o ta-

niość — Merkantylizm a upadek miast — Dążenie do jednakowych miar i wag — Los miast a ludu wiejskiego; jednostronność gospodarcza — Ponośne zagospodarowanie się około r. 1700 — Brak fiskalizmu i nadzwyczajna postępowość — Nieprzyjęty fizjokratyzm a polski system ekonomji politycznej.

Zozerwanie Wisły — Podcinanie przemysłu i handlu przez państwa zaborcze — W czym Skarbek wyprzedził Liszta — Inicjatywa Banku Polskiego — Komunikacje wodne — Miernictwo i planimetry polskie — Drogi i mosty.

Po r. 1830 nawet teoria chroni się zagranicę — Z czego zbudowano cytadelę warszawską — Rządy zaborcze wołały polską sztukę, niż handel i przemysł.

Kolejnictwo — Ernest Malinowski, bohater kolejnictwa — Ubijanie przemysłu zapomocą taryf.

Podatki i polityka kredytowa — Jak w zaborze rosyjskim doprowadzono do niedostatku środków żywności i jak w Galicji ubito przemysł — „Dobrye stosunki“ austriacko-polskie — Zabór pruski.

Inżynierja polska, wojskowa, i cywilna, mechanika i przemysł mechaniczny, hydraulika; R. Irzkowski i Stan. Janicki.

Sprawa morską — Logos a Ethos.

Rozdział IV. Oświata 142

Księgozbiory i drukarnie — Uniwersytety — Szkoły średnie — Pedagogiczne wytyczne polskie — Ochronka i szkoła ludowa w Polsce niepodległej.

Pod rządami zaborczemi — Rabunek zbiorów, a nowe zbiory i biblioteki — Czartoryski i Czacki — Praca oświatowa Kongresówki — Po roku 1831 — Teoria pedagogiczna — Po wojnie krymskiej — Po 1863 roku — Szkolnictwo w szponach czynownictwa — „Zbrodnia tajnego nauczania“.

Po wojnie francusko-pruskiej — Ulga w zaborze austriackim — Nowe ulepszenia polskiego pomysłu aż do neofilaretyzmu.

Po rewolucji rosyjskiej 1905 r. — Ruch oświatowy i Poradnik dla samouków — Dziennikarstwo.

Rola oświaty w życiu narodu, a odrabianie zaległości doby rozbiorowej — Oświata a dobrobyt; Logos i Ethos — Kultura umysłowa a twórczość.

CZĘŚĆ II. TWÓRCZOŚĆ POLSKA.

Rozdział V. Zdarność artystyczna 173

1. Sztuka plastyczna.

Sceptycyzm jako pobudka twórczości — Ethos a Logos w twórczości — Odwrotne w Polsce następstwo sztuk — Rejestr polskiej oryginalności w architekturze (krakowski gotyk, cortile Wawelu, Słoński, attyki, podcienie, budownictwo drewniane, barok wileński, Talowski).

Rzeźba, spóźnienie, a potem szybki rozkwit — Wit Stwosz nie epigonem, lecz typem ewolucyjnym — Dalsze dzieje rzeźby w Polsce.

Malarsztwo dawne — Norblin, Orłowski, Michałowski — Zainteresowanie ogółu od Grottgera, Matejki, Kossaka — Pokonanie przeciwności, nie-sprzyjających warunków przyrodzonych.

2. Muzyka.

Przodujące stanowisko w wieku 15, a wybitne w 16 i 17; kompozytorowie od r. 1426 swojsey — Chopin — Polskość formy nie stanowi zawady powszechności — Rejestr twórczości od Ogińskiego i Moniuszki do Szymanowskiego — Koncerty od Jarzębskiego w 1627 roku — Muzyka sztuką mieszczańską.

3. Poezja i uwagi ogólne.

Fakty a wyobrażenia zmysłowe i odmienny porządek sztuk na różnych stopniach cywilizacji — Poezja jako pra-sztuka i jako korona sztuk pięknych — Poezja jako propagator — Polityka w poezji polskiej i włoskiej — Filozofowanie w poezji polskiej; mesjanizm; wieszcz — Jeden z fundamentów polskiej kultury — Czy to brak samodzielności sztuki, lub brak zrozumienia dla sztuki? — Nieporozumienie o tendencję a technikę — Jak wysoka nawet sztuka może być poza społeczeństwem? — Równoczesność wielostronności w sztuce polskiej — Obywatelskość naszej sztuki a pierwszeństwo idei narodowej.

Rejestr polskiej oryginalności poetyckiej (Kochanowski, Kochowski, komedia rybałtowska, literatura sowizraliska, Książnin, Trembecki; Mickiewicz,

Słowacki, Krasinski, Garczyński, Norwid, Fredro, Wyspiański, Czajkowski, Orzeszkowa, Głowacki, Reymont, Weyssenhof, Dygasiński, Sieroszewski, Kasprzewicz) — Równowaga historyzmu a ludowości w sztuce polskiej.

Rozdział VI. **Zdatność naukowa.** 208

Stała ilość sztuk pięknych, a coraz większa nauk — Podział rozdziału.

1. **Nauki ścisłe.**

Odkrycia naukowe — O ile wielki człowiek świadczyć może o wysokim poziomie kulturalnym —

Matematyka i astronomja od Kadłubka; Witelo; Marcin Bylica; Marcin Król; Jan z Głogowa; Wojciech z Brudzewa i i. przed Kopernikiem — Po Koperniku — Kalendarjografja, obserwacje, rozwój geometrji; działalność Pudłowskiego, odkrycia Smoguleckiego, Susligi, Kochańskiego i i. — Polska kultura matematyczna i astronomiczna, ostatnia dopiero uległa ogólnemu upadkowi kultury w okresie saskim, i pierwsza się odradza — Nowi uczeni, obserwatorja w Krakowie i w Wilnie; Jan Śniadecki, Hoene-Wroński — Druga połowa 19 w. — Samouctwo w matematyce — Geodezja 19 wieku, Rudzki.

Fizyka. Doświadczenia Pudłowskiego i Kochańskiego w 17 wieku — Odrodzenie w drugiej ćwierci 19 wieku — Czasy Wróblewskiego i Witkowskiego; najnowsi.

2. **Nauki przyrodnicze.**

Chemja. Alchemja, jatrochemja, chemja nowoczesna — Stanowisko Jana Śniadeckiego i jego szkoła — Upadek i odrodzenie; pracownia Radziszewskiego — Wróblewski i Olszewski — Nencki, Marchlewski, St. Kostanecki, Marja Curie — Chemja fizyczna od J. Śniadeckiego do Smoluchowskiego — Cyfry.

Biologja. Od połowy 15 wieku do Kluka i Jundziłła — Odkrycie Sumińskiego — Prace w najtrudniejszych dla Polski czasach — Leon Cienkowski, jeden z najznakomitszych synów Polski — Wpływy Szkoły Głównej — Botanicy Jańczewski, Rostafiński,

Rothert, Raciborski i Szafer — Zoologiczne problemy: Remak, Hoyer, Siedlecki, Godlewski jun. i i. — Systematycy.

Medycyna. Od 16 w. do J. Strusia w wieku 16, poczem upadek — Odrodzenie od schyłku 18 w. Frank, Bojannus, Jan Śniadecki w Wilnie; następnie Dietl w Krakowie; Szokalski, Höyer, Mayzel, Chałubiński w Warszawie — Kierunek filozoficzny — Polscy lekarze zagranicą.

3. Geografia.

Podróżnicy od Jana de Plano Carpino, naukowa geografia od Długosza; odkrycia Miechowity — Kartografia — Polskie imiona w topografii światowej — Działalność polskiej diaspory poroźbiorowej; Polacy podróżnikami uczonymi po całej kuli ziemskiej — Antaryk Arctowski — Syntetycy: Kollataj, Pol, wyprzedzający naukę zachodnią — Najnowsze problemy naukowe; Sawicki, Rudzki, Smoluchowski — Klimatologia od drugiej połowy 18 wieku — Aeronautyka; Artur Berson — Etnografia — Podręczniki — Statystyka.

4. Nauki humanistyczne.

Obfitość łaciny a niedostatek filologii — A. P. Nidecki — Garstka nowszych i współczesnych.

Językoznawstwo. Epizod z przed roku 1830; sanskryt — Orjentalistyka — Sławistyka — Polonistyka; badania leksykalne — Gramatyki — Prace około zasadniczych momentów nauki; Baudouin, Rozwadowski i i. — Historia języka; Brueckner i Łoś; Ułaszyn — Dialektologia — Czasopisma.

Historja. Trzy pierwiastki historjograficzne — Różne pojmowanie prawdy historycznej — Przerwanie tradycji i minimum wydatności; Naruszewicz, Lelewel i Szajnocha, jako typy — Szujski i Bobrzyński; historia stosowana — Historia nie-stosowana; W. Zakrzewski, T. Wojciechowski, Potkański; Pickosiński, Krzyżanowski, Semkowicz.

Prawo zaniedbane przez historyków — Balzer i Abraham — Odmienność rozwoju prawa a filologii — Nieporozumienie, jakoby w Polsce nie było nauk prawnych.

Rekapitulacja.

5. Filozofja.

Nauka polska od filozofji się zaczyna; wiek 13, wiek 15 — poczem posucha aż do braci Śniadeczkich — Wroński, Gołuchowski, Cieszkowski, Trentowski; Świętochowski; Pawlicki; M. Morawski — Brak tła filozoficznego w narodzie — Erazm Majeński.

6. Nauka, oświata, dobrobyt.

Nauka przed oświatą — Rozwój ich nie musi być równoczesny, ani równomierny — Dlaczego Polska nie miała szczęścia do nauk — Jakość a ilość nauki; kwestja dobrobytu — Okresy ekonomiczne a naukowe w Polsce — Adam Kochański, a czasy Sobieskiego — Zdolności wymagają pomocy z zewnątrz — O zdolnościach wdgóle, pod kategorjami Logosu i Ethosu.

Rozdział VII. Zdatność polityczna 277

Istota i obszar polityki — Choroba rozbieżności politycznej — Korona Ethosu — Siła społeczna i państwowa — Przesady o wszechmocy oręża lub polityki — Skuteczność polityki tylko w granicach ewolucyjnej struktury społecznej i państwowej — Nauka jako Logos wszelkiej polityki.

Polityka społeczno-państwowa w Polsce — Ewolucja t. zw. przywilejów szlacheckich i sejmowania — Mieszczaństwo — Monopol polityczny zgubny bez względu na to, która warstwa go sprawuje — Nobilitacje polskie — Doktrynerstwo polskie — Jako zbiorowość publiczna nie jest powiększoną zbiorowością prywatną.

Samorząd jako kryterjum wolności i łączności spraw państwowych ze społecznymi — Brak biurokracji, feudalizmu, legizmu — Próba uniwersalności — Pierwszeństwo idei narodowej w Polsce — System unji; realizacja stopniowa, ograniczenia możliwości, doktrynerstwo.

Zdatność a twórczość w polityce, inicjatywa a wykonanie, zdatność indywidualna a zbiorowa — Powodzenie jako kryterjum — Upadek instytucji życia publicznego, a twórczość w doktrynerstwie — Odnawianie siły przez powoływanie nowych silników — Jak wspinać się na szczyty Ethosu i jaka polityka będzie w Polsce twórczą.



DK
411
K66
t.1

Koneczny, Feliks
Polskie logos a ethos

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

